MALCOLM
GLADWELL

DAWID I GOLIAT

Jak skazani na niepowodzenie mogą pokonać gigantów

MALCOLM GLADWELL

DAWID I GOLIAT

JAK SKAZANI NA NIEPOWODZENIE MOGĄ POKONAĆ GIGANTÓW

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA SOBOLEWSKA

znak litera nova

KRAKÓW 2020

Dla A.L. i dla S.F., słabeusza,
który okazał się czarnym koniem

Pan jednak rzekł do Samuela: „Nie zważaj ani na jego wygląd, ani na wysoki wzrost, gdyż nie wybrałem go, nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg, bo człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, Pan natomiast patrzy na serce”.

1 Księga Samuela 16, 7

WSTĘP

GOLIAT

„Czyż jestem psem, że przychodzisz do mnie z kijami?”

1 W sercu starożytnej Palestyny leży region zwany Szefela, pasmo poprzecinanych dolinami wzgórz łączące Wyżynę Judejską z szeroką równiną śródziemnomorskiego wybrzeża. To zniewalająco piękne tereny, z licznymi winnicami, polami pszenicy oraz lasami figowców i terebintów. Mają one także istotne znaczenie strategiczne.

Przez stulecia stoczono wiele bitew o panowanie nad tym regionem, bo dolinami ciągnącymi się od śródziemnomorskiej równiny prowadziła z wybrzeża prosta droga do miast Wyżyny Judejskiej: Hebronu, Betlejem i Jerozolimy. Najważniejszą doliną jest Ajalon, na północy. Jednak najwięcej historii wiąże się z doliną Elah. To tutaj w XII wieku Saladyn stawił czoła krzyżowcom. Ponad tysiąc lat wcześniej dolina odegrała kluczową rolę w wojnach Machabeuszów z Syrią, ale do najsłynniejszego starcia doszło tu w czasach opisanych w Starym Testamencie, kiedy młode królestwo Izraela zmierzyło się z wojskami Filistynów.

Filistyni pochodzili z Krety i należeli do Ludów Morza. Przybyli do Palestyny i osiedlili się na wybrzeżu. Izraelici żyli w skupiskach w górach pod przywództwem króla Saula. W drugiej połowie XI wieku p.n.e. Filistyni rozpoczęli wędrówkę na wschód, w górę rzeki, dnem doliny Elah. Chcieli zająć pasmo górskie w pobliżu Betlejem i rozbić królestwo Saula na dwie części. Byli zaprawionymi w bojach, groźnymi

wojownikami, a przy tym zaprzysięgłymi wrogami Izraelitów. Zaniepokojony Saul zebrał swoich żołnierzy i pospieszył w doliny, by stawić czoła najeźdźcom.

Filistyni rozłożyli obóz na wzgórzu po południowej stronie doliny Elah. Izraelici rozbili namioty naprzeciwko, na północnym zboczu, więc obie armie patrzyły na siebie ponad wąwozem. Żadna nie śmiała ruszyć do ataku. Oznaczałoby to bowiem zejście po stoku, a następnie samobójczą wspinaczkę do obozu wroga. W końcu Filistyni mieli dość. Wysłali do doliny swojego najlepszego wojownika, żeby przełamać impas pojedynkiem.

Tym harcownikiem był ponaddwumetrowy olbrzym, w pełnej zbroi i hełmie z brązu. Miał oszczep, włócznię i miecz. Przed nim szedł giermek niosący dużą tarczę. Olbrzym stanął naprzeciwko Izraelitów i krzyknął: „Wybierzcie spośród siebie człowieka, który by przeciwko mnie wystąpił! Jeżeli zdoła ze mną walczyć i pokona mnie, staniemy się waszymi niewolnikami, jeżeli zaś ja zdołam go zwyciężyć, wy będziecie naszymi niewolnikami i służyć nam będziecie”[1].

W izraelskim obozie nikt nie rwał się do walki. Kto mógłby pokonać tak przerażającego przeciwnika? Aż tu nagle na ochotnika zgłosił się pasterz, który przyniósł z Betlejem jedzenie dla swoich braci. Saul zaprotestował: „To niemożliwe, byś stawił czoło temu Filistynowi i walczył z nim. Ty jesteś jeszcze chłopcem, a on wojownikiem od młodości”. Ale pasterz był nieugięty. Twierdził, że miał już do czynienia z groźniejszymi przeciwnikami. „Kiedy sługa twój pasał owce u swojego ojca, a przyszedł lew lub niedźwiedź i porwał owcę ze stada – powiedział Saulowi – wtedy biegłem za nim, uderzałem na niego i wyrywałem mu ją z paszczęki”. Saul nie miał innego wyjścia. Ustąpił, a pasterz zbiegł po zboczu w kierunku stojącego w dolinie olbrzyma. „Zbliż się tylko do mnie, a ciało twoje

oddam ptakom powietrznym i dzikim zwierzętom” – krzyknął wojownik, kiedy ujrzał nadchodzącego przeciwnika. Tak zaczął się jeden z najsłynniejszych pojedynków w historii. Olbrzym nazywał się Goliat. Pasterz nosił imię Dawid.

2 Ta książka opowiada o tym, co się dzieje, kiedy zwykli ludzie stawiają czoła olbrzymom. Przez „olbrzymów” rozumiem tu najróżniejszych potężnych przeciwników – od armii i niepokonanych wojowników po kalectwo, nieszczęście i ucisk. Każdy rozdział opowiada historię innej osoby – sławnej albo nieznanej, zwyczajnej albo genialnej – która stanęła przed ogromnym wyzwaniem i była zmuszona jakoś zareagować. Powinienem przestrzegać reguł gry czy słuchać własnego instynktu? Mam wytrwać czy się poddać? Oddać cios czy wybaczyć?

Opowiadając te historie, chcę przyjrzeć się dwóm kwestiom. Po pierwsze: wiele z tego, co uważamy w naszym świecie za wartościowe, powstaje dzięki takim właśnie „asymetrycznym” konfliktom, ponieważ z aktu przystąpienia do nierównej walki rodzą się wielkość i piękno. Po drugie zaś, ciągle źle rozumiemy konflikty tego rodzaju. Błędnie je odczytujemy. Błędnie interpretujemy. Olbrzymy nie są tym, czym się wydają. Te same cechy, które z pozoru dają im siłę, często są źródłem wielkiej słabości. A występowanie z pozycji przegranego może zmienić ludzi w sposób, którego często nie doceniamy: może otworzyć przed nimi drzwi, stworzyć nowe możliwości, nauczyć czegoś, oświecić i umożliwić to, co w przeciwnym razie mogłoby się wydawać niewykonalne. Potrzebujemy lepszych wskazówek co do tego, jak stawiać czoła olbrzymom – a najlepiej zacząć tę podróż od heroicznego starcia Dawida z Goliatem, do którego doszło 3000 lat temu w dolinie Elah.

Kiedy Goliat rzucił Izraelitom wyzwanie, żądał walki jeden na jednego. Była to powszechna praktyka w starożytnym świecie. Dwie strony konfliktu, chcąc uniknąć rzezi otwartej bitwy, wybierały po jednym wojowniku, który miał je reprezentować w pojedynku. Na przykład rzymski historyk z I wieku p.n.e. Kwintus Klaudiusz Kwadrygariusz opisuje wielką bitwę, w której galijski wojownik zaczął drwić ze swych rzymskich przeciwników. „Od razu wywołało to wielkie oburzenie Tytusa Manliusza, wysoko urodzonego młodzieńca” – pisze Kwadrygariusz. Tytus wyzwał Gala na pojedynek:

> Wystąpił naprzód, nie mogąc znieść, by jakiś Gal bezwstydnie szargał rzymską waleczność. Stanął przed Galem, uzbrojony w tarczę legionisty i hiszpański miecz. Ich walka rozegrała się na moście [na rzece Anio] w obecności obu armii, które czekały w napięciu. I tak stanęli naprzeciw siebie: Gal, zgodnie ze swą metodą walki, dzierżył tarczę wysoko i czekał na atak; Manliusz, który polegał na odwadze raczej niż na biegłości, uderzył tarczą o tarczę, tak że Gal stracił równowagę i się zachwiał. Gdy próbował wrócić do poprzedniej pozycji, Manliusz ponownie uderzył tarczą w jego tarczę i raz jeszcze zmusił go do zmiany ustawienia. W ten sposób prześlizgnął się pod mieczem Gala i zadał mu cios w pierś swym hiszpańskim ostrzem […]. Kiedy Manliusz zabił już Gala, odciął mu głowę, wyrwał język i zawiesił go sobie, ociekający krwią, na szyi[2].

Tego właśnie spodziewał się Goliat – walki wręcz z podobnym do siebie wojownikiem. Nie przyszło mu do głowy, że pojedynek może się rozegrać na innych warunkach, więc przygotował się zgodnie z tym założeniem. Aby

ochronić się przed ciosami zadawanymi w korpus, założył pancerz misternie wykonany z setek nakładających się na siebie łusek z brązu. Zakrywał mu ramiona i sięgał do kolan, więc ważył prawdopodobnie około pięćdziesięciu kilogramów. Harcownik miał też wykonane z brązu nagolenice z zamocowanymi płytkami, także z brązu, chroniącymi stopy, oraz ciężki metalowy hełm. Był wyposażony w trzy rodzaje broni, wszystkie optymalnie dobrane do walki wręcz. W dłoni trzymał oszczep z brązu, którym mógł przebić tarczę, a nawet zbroję. Do biodra miał przytroczony miecz. A jako główny oręż niósł specjalną włócznię z metalowym drzewcem, grubym „jak wał tkacki". Przywiązany był do niej sznur z całym systemem obciążników, umożliwiającym rzucenie nią z niesamowitą siłą i precyzją. Historyk Moshe Garsiel pisze: „Izraelitom wydawało się, że ta niezwykła włócznia, rzucona silną ręką Goliata, jest zdolna przebić każdą tarczę i zbroję z brązu za jednym zamachem". Rozumiecie, dlaczego żaden z Izraelitów nie kwapił się walczyć z Goliatem?

Aż tu pojawia się Dawid. Saul próbuje dać mu swój miecz i zbroję, żeby miał jakiekolwiek szanse. Dawid odmawia. „Nie potrafię się w tym poruszać – mówi – gdyż nie nabrałem wprawy". Podnosi za to z ziemi pięć gładkich kamieni i wkłada je do swojej torby na ramię. Następnie schodzi do doliny, z kijem pasterskim w dłoni. Goliat patrzy na idącego w jego stronę chłopca i czuje się obrażony. Spodziewał się walki z doświadczonym wojownikiem. A widzi pastuszka – młodzieńca trudniącego się jednym z najpośledniejszych zajęć – który najwyraźniej chce użyć swego pasterskiego kija jako pałki przeciwko mieczowi Goliata. „Czyż jestem psem – pyta olbrzym – że przychodzisz do mnie z kijami?"

To, co zdarzyło się potem, przeszło do legendy. Dawid wkłada jeden z kamieni do skórzanego koszyczka procy i strzela w odsłonięte czoło

Goliata. Olbrzym pada ogłuszony. Dawid podbiega do niego, chwyta jego miecz i odcina mu głowę. „Gdy spostrzegli Filistyni, że ich wojownik zginął – czytamy w biblijnej relacji – rzucili się do ucieczki”.

W pojedynku cudem zwycięża słabszy, który, według wszelkich oczekiwań, wygrać nie powinien. W takim ujęciu opowiadaliśmy sobie tę historię przez wiele stuleci. To w tym kontekście określenie „walka Dawida z Goliatem” weszło do naszego języka – jako metafora nieprawdopodobnego zwycięstwa. Problem w tym, że ta wersja wydarzeń jest niemal całkowicie błędna.

W starożytnych armiach walczyły trzy rodzaje wojowników. Pierwszym była kawaleria – zbrojni na koniach lub w rydwanach. Drugim – piechota, czyli piesi żołnierze w zbrojach, z mieczami i tarczami w ręku. Do trzeciego należeli wojownicy miotający pociski (dziś tę formację nazwalibyśmy artylerią): łucznicy i przede wszystkim procarze. Ci ostatni posługiwali się procami złożonymi ze skórzanego koszyczka z przymocowanymi po dwóch stronach długimi kawałkami sznura. Wkładali do niego kamień lub ołowianą kulkę, kręcili, trzymając za oba końce sznurka, coraz szybciej, zataczając coraz szersze koła, a następnie wypuszczali jeden koniec rzemienia, wyrzucając pocisk do przodu.

Posługiwanie się procą wymagało ogromnych umiejętności i długiego treningu. Ale w rękach doświadczonego wojownika proca była śmiercionośną bronią. Na średniowiecznych obrazach można zobaczyć procarzy, którzy trafiają ptaki w locie. Procarze irlandzcy potrafili podobno wcelować w monetę z takiej odległości, że niemal niknęła im z oczu, a w starotestamentowej Księdze Sędziów każdy z tych wyborowych wojowników „ciskał z procy kamieniem tak celnie, że włosa nie chybił”. Doświadczony procarz mógł zabić lub poważnie zranić przeciwnika

z odległości 200 metrów[3]. Rzymianie mieli nawet specjalne szczypce do usuwania pocisków z procy, gdy te przebiły ciało jakiegoś biednego żołnierza. Wyobraź sobie, że stoisz przed miotaczem pierwszej ligi amerykańskiego baseballu, a on celuje piłką w twoją głowę. Tak właśnie czuli się przeciwnicy procarzy – z tą różnicą, że rzucano w nich nie piłką z korka i skóry, tylko kamieniem.

Historyk Baruch Halpern twierdzi, że proca miała w starożytnej sztuce wojennej tak duże znaczenie, iż te trzy formacje wojowników równoważyły się wzajemnie, tak jak każdy gest w grze w kamień, nożyce, papier. Piechota w zbrojach i z długimi włóczniami mogła odeprzeć atak kawalerii. Konnica mogła z kolei pokonać łuczników i procarzy, bo konie poruszały się zbyt szybko, by ci zdążyli dokładnie wycelować. Natomiast „artyleria” była śmiertelnie groźna w starciu z piechotą, bo duży, powolny żołnierz obciążony zbroją był łatwym celem dla procarza, który miotał pociski z odległości 100 metrów. „To dlatego poniosła klęskę ateńska wyprawa na Sycylię w wojnie peloponeskiej – pisze Halpern. – Tukidydes szczegółowo opisuje, jak doszło w górach do zdziesiątkowania ciężkiej piechoty Ateńczyków przez miejscową lekką piechotę, posługującą się głównie procami”.

Goliat to ciężka piechota. Myśli, że będzie pojedynkować się z innym ciężkozbrojnym piechurem, tak jak to miało miejsce w wypadku potyczki Tytusa Manliusza z Galem. Kiedy mówi: „Zbliż się tylko do mnie, a ciało twoje oddam ptakom powietrznym i dzikim zwierzętom”, kluczowe znaczenie ma tutaj zwrot „zbliż się”. Goliat chce, żeby przeciwnik podszedł do niego, by mogli walczyć wręcz. Saul, próbując ubrać Dawida w zbroję i dać mu miecz, wychodzi z tego samego założenia – że Dawid zmierzy się z Goliatem z bliska.

Dawid nie ma jednak zamiaru przestrzegać rytuału walki jeden na jednego. Kiedy mówi Saulowi, że jako pasterz zabijał niedźwiedzie i lwy, ma to nie tylko dowieść jego odwagi, ale zwrócić uwagę na coś jeszcze: że chce walczyć z Goliatem tak, jak nauczył się pokonywać dzikie zwierzęta – miotając pociski.

Biegnie w stronę Goliata, bo bez zbroi jest szybki i zwrotny. Umieszcza kamień w procy, zaczyna kręcić nią w kółko, coraz szybciej, z prędkością sześciu lub siedmiu obrotów na sekundę, i celuje pociskiem w czoło Goliata – jedyny czuły punkt olbrzyma. Z obliczeń przeprowadzonych przez Eitana Hirscha, eksperta od balistyki w siłach zbrojnych Izraela, wynika, że typowych rozmiarów kamień wypuszczony z takiej broni przez wytrawnego procarza z odległości 35 metrów uderzyłby Goliata w głowę z prędkością 34 metrów na sekundę – co aż nadto wystarczy do przebicia czaszki ofiary i pozbawienia jej przytomności, a nawet życia. Pod względem mocy obalającej umiejętnie użyta proca odpowiada współczesnemu pistoletowi sporego kalibru. „Stwierdziliśmy – pisze Hirsch – że Dawid mógł wyrzucić pocisk z procy i trafić Goliata w ciągu nieco ponad jednej sekundy, a więc w czasie tak krótkim, że Goliat nie byłby w stanie się osłonić ani na dobrą sprawę ruszyć z miejsca”.

Co mógł zrobić Goliat? Miał na sobie ważącą blisko 50 kilogramów zbroję. Był przygotowany na walkę wręcz, w której mógłby stać nieruchomo, chroniony pancerzem przed ciosami, i z potężną siłą zadawać pchnięcia dzidą. Patrzył na zbliżającego się Dawida najpierw z pogardą, potem ze zdumieniem, a w końcu już tylko z przerażeniem – kiedy uświadomił sobie, że starcie, na które czeka, nagle przybrało inną formę.

„Ty idziesz na mnie z mieczem, dzidą i zakrzywionym nożem – powiedział Dawid do Goliata – ja zaś idę na ciebie w imię Pana Zastępów, Boga wojsk izraelskich, którym urągałeś. Dziś właśnie odda cię Pan w moją

rękę, pokonam cię i utnę ci głowę […]. Niech wiedzą wszyscy zebrani, że nie mieczem ani dzidą Pan ocala. Ponieważ jest to wojna Pana, On więc odda was w nasze ręce”.

Dawid dwukrotnie wspomina o mieczu i dzidzie Goliata, jakby chciał podkreślić, jak dalece odmienne zamiary ma on sam. Następnie sięga do swojej pasterskiej torby po kamień i w tym momencie nikt patrzący z górskich grani po obu stronach doliny nie powinien już uważać zwycięstwa Dawida za nieprawdopodobne. Dawid był procarzem, a procarze przecież bez trudu pokonywali piechotę.

„Goliat miał takie szanse w walce z Dawidem – pisze historyk Robert Dohrenwend – jak każdy wojownik z epoki brązu w starciu z [przeciwnikiem] uzbrojonym w pistolet automatyczny kalibru .45”[4].

4 Dlaczego narosło tyle nieporozumień wokół wydarzeń tego dnia w dolinie Elah? Z jednej strony pojedynek pasterza z olbrzymem pokazuje, jak nierozsądne są nasze założenia dotyczące siły i mocy. Król Saul wątpi w szanse Dawida dlatego, że Dawid jest mały, a Goliat duży. Saul utożsamia moc z tężyzną fizyczną. Nie dopuszcza myśli, że może ona przyjmować także inne formy – łamania zasad, zastępowania czystej siły szybkością i zaskoczeniem. Nie jest w tym zresztą odosobniony. W kolejnych rozdziałach będę przekonywał, że dziś nadal popełniamy ten sam błąd, co ma konsekwencje w najróżniejszych dziedzinach życia, od edukacji naszych dzieci po walkę z przestępczością.

Pojawia się tu jednak druga, głębsza kwestia. Saulowi i Izraelitom wydaje się, że wiedzą, kim jest Goliat. Mierzą go wzrokiem i wyciągają pochopne wnioski co do jego możliwości. Ale tak naprawdę go nie widzą. W istocie zachowanie Goliata jest zastanawiające. Ma niby być wielkim wojownikiem. Ale jego postępowanie na to nie wskazuje. Schodzi do

doliny w towarzystwie pomocnika – idącego przed nim sługi, który niesie tarczę. W starożytności tarczownicy często towarzyszyli łucznikom podczas bitwy, bo strzelający z łuku żołnierz nie miał wolnej ręki, żeby trzymać własną osłonę. Dlaczego jednak Goliat, wzywający Izraelitów do walki jeden na jednego na miecze, potrzebuje pomocnika niosącego łuczniczą tarczę?

Poza tym dlaczego mówi do Dawida: „Zbliż się”? Dlaczego sam nie może do niego podejść? Biblijna relacja podkreśla, jak wolno Goliat się porusza, co brzmi dziwnie w odniesieniu do kogoś, kto podobno jest zaprawionym w bojach bohaterem o niespożytej sile. Tak czy inaczej, dlaczego Goliat nie reaguje znacznie wcześniej na widok Dawida schodzącego po zboczu bez miecza, tarczy i zbroi? Kiedy go widzi, w pierwszej chwili jest urażony, podczas gdy powinien się przerazić. Jakby nie zdawał sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Wygłasza nawet tę dziwną uwagę, kiedy wreszcie dostrzega Dawida z pasterskim kosturem w dłoni: „Czyż jestem psem, że przychodzisz do mnie z kijami?”[5]. „Kijami” – w liczbie mnogiej. A przecież Dawid trzyma tylko jeden kij.

Wielu współczesnych ekspertów medycznych uważa, że Goliat cierpiał na poważne schorzenie. Wygląda i zachowuje się jak ktoś chory na akromegalię – chorobę wywołaną łagodnym guzem przysadki mózgowej. Guz powoduje nadmierną produkcję hormonu wzrostu, co by wyjaśniało nadzwyczajne rozmiary ciała Goliata. (Najwyższy człowiek w historii, Robert Wadlow, cierpiał na akromegalię. Tuż przed śmiercią miał 272 centymetry wzrostu i najwyraźniej wciąż rósł).

Co więcej, jednym z częstych skutków ubocznych tego schorzenia są problemy ze wzrokiem. Guzy przysadki mogą rozrosnąć się tak, że uciskają nerwy wzrokowe, co sprawia, że osoby z akromegalią często mają ograniczone pole widzenia, a także diplopię, czyli dwoi im się w oczach.

Dlaczego Goliata na dno doliny sprowadził sługa? Bo był przewodnikiem słabo widzącego olbrzyma. Dlaczego Goliat tak wolno się porusza? Bo świat wokół wydaje mu się nieostry. Dlaczego tak późno orientuje się, że Dawid zmienił reguły gry? Bo widzi pasterza dopiero, gdy ten podszedł blisko. „Zbliż się tylko do mnie, a ciało twoje oddam ptakom powietrznym i dzikim zwierzętom” – krzyczy Goliat i jest w tym zapowiedź słabości. Jakby chciał powiedzieć: „Musisz się do mnie zbliżyć, bo inaczej cię nie znajdę”. I jeszcze to niedające się inaczej wyjaśnić: „Czyż jestem psem, że przychodzisz do mnie z kijami?”. Dawid miał tylko jeden kij. Goliat widział dwa.

Izraelici, patrząc z wysoka, dostrzegali budzącego postrach olbrzyma. W rzeczywistości to samo, co decydowało o jego imponujących rozmiarach, było także źródłem jego największej słabości. Kryje się tu ważna lekcja dotycząca walki z wszelkiego rodzaju gigantami. Potężni i silni nie zawsze są tacy, jak nam się wydaje.

Dawid ruszył biegiem na Goliata, kierowany odwagą i wiarą. Goliat nie przejrzał w porę jego zamiarów – i runął na ziemię, zbyt duży i powolny, nie widząc wystarczająco wyraźnie, by zrozumieć, jak zmieniła się sytuacja. Przez te wszystkie lata opowiadaliśmy takie historie nie tak jak należy. Niniejsza książka ma pomóc nam spojrzeć na nie z właściwej perspektywy.

---

[1] Cytaty z Biblii dotyczące walki Dawida z Goliatem przytoczone we wstępie pochodzą z: 1 Sm, 17 (przyp. tłum.).

[2] Informacje bibliograficzne oraz uwagi i komentarze autora niniejszej książki znajdują się w przypisach końcowych (przyp. tłum.).

[3] Współczesny rekord w miotaniu kamieniem z procy ustanowił w 1981 roku Larry Bray: 437 metrów. Oczywiście przy takiej odległości musi ucierpieć celność.

[4] Izraelski minister obrony Mosze Dajan – który przyczynił się do oszałamiającego zwycięstwa Izraela w wojnie sześciodniowej w 1967 roku – też napisał esej o historii Dawida i Goliata. Według Dajana: „Dawid stanął do walki z Goliatem nie z gorszym, lecz przeciwnie – z doskonalszym uzbrojeniem. A jego wielkość polegała nie na gotowości ruszenia do boju przeciwko komuś znacznie silniejszemu od siebie, ale na wiedzy, jak wykorzystać broń, dzięki której osoba słaba mogła zdobyć przewagę i stać się silniejsza”.

[5] W polskim przekładzie Biblii Tysiąclecia Goliat mówi: „Czyż jestem psem, że przychodzisz do mnie z kijem?” (1 Sm 17, 43). Natomiast w używanej przez protestantów Biblii warszawskiej pojawia się liczba mnoga: „Czy ja jestem psem, że przychodzisz do mnie z kijami?”. Angielskie przekłady także różnią się pod tym względem, ale w większości najpopularniejszych Goliat mówi o kijach w liczbie mnogiej (przyp. tłum.).

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZEWAGI SŁABOŚCI (I SŁABOŚCI PRZEWAG)

„Jeden udaje bogacza – nie mając niczego, inny udaje nędzarza – a opływa w dobra”.
Księga Przysłów 13, 7

ROZDZIAŁ 1
VIVEK RANADIVÉ

„To był zupełny przypadek. Przecież mój ojciec nigdy wcześniej nie grał w koszykówkę”.

1 Kiedy Vivek Ranadivé postanowił zostać trenerem drużyny koszykarskiej swojej córki Anjali, wyznaczył sobie dwie zasady. Pierwsza: nigdy nie będzie podnosić głosu. Anjali grała w National Junior Basketball – młodzieżowej lidze koszykówki. Drużyna składała się głównie z dwunastolatek, a dwunastolatki, jak Ranadivé wiedział z doświadczenia, nie reagują dobrze na krzyk. Zdecydował, że treningi na boisku będzie prowadzić tak jak interesy w swojej firmie informatycznej. Będzie mówił spokojnym, łagodnym głosem i przekonywał dziewczyny o mądrości swojego podejścia, apelując do rozumu i zdrowego rozsądku.

Druga zasada była istotniejsza. Vivka Ranadivé zastanawiał sposób gry Amerykanów w koszykówkę. Sam pochodzi z Bombaju, gdzie wychował się na krykiecie i piłce nożnej. Nigdy nie zapomni, jak po raz pierwszy zobaczył mecz koszykówki. Gra wydała mu się bezmyślna. Drużyna A zdobywała punkt i od razu wycofywała się na swój koniec boiska. Drużyna B wybijała piłkę i biegła z nią, kozłując, pod kosz drużyny A, gdzie ta cierpliwie czekała. Po czym role się odwracały.

Przepisowe boisko do koszykówki ma 28 metrów długości. Przez większość czasu dana drużyna broniła tylko mniej więcej 8 metrów,

oddając pozostałe 20 bez walki. Czasami zawodnicy stosowali pressing na całym boisku – czyli przeszkadzali przeciwnikom w próbach dotarcia z piłką pod kosz. Jednak trwało to tylko po kilka minut. Jakby w koszykarskim świecie panowała jakaś zmowa co do tego, jak należy prowadzić rozgrywkę, pomyślał Ranadivé, a efektem tej zmowy było zwiększanie się rozziewu między dobrymi a słabymi zespołami. Dobre drużyny miały przecież zawodników, którzy są wysocy, umieją świetnie kozłować i celnie rzucać. Potrafiły więc bezbłędnie wykonywać starannie przygotowane zagrywki na połowie przeciwnika. Dlaczego w takim razie słabe drużyny swoim sposobem gry tylko ułatwiały dobrym zespołom zadanie?

Ranadivé przyjrzał się swoim zawodniczkom. Morgan i Julia były zapalonymi koszykarkami. Ale Nicky, Angela, Dani, Holly, Annika, a także jego córka Anjali nigdy wcześniej w koszykówkę nie grały. Nie były szczególnie wysokie. Nie potrafiły celnie rzucać. Nie radziły sobie za dobrze z kozłowaniem. Nie należały do dzieciaków, które codziennie rżnęły w kosza na podwórku. Ranadivé mieszkał w Menlo Park, w sercu kalifornijskiej Doliny Krzemowej. Jego drużyna składała się, jak to ujął, „z niskich blondyneczek”. To były córki komputerowych maniaków i programistów. Robiły projekty z chemii i fizyki, czytały grube, skomplikowane książki i marzyły, że jak dorosną, zostaną biolożkami morskimi. Ranadivé wiedział, że jeśli będą grać w konwencjonalny sposób – jeśli bez oporu pozwolą przeciwniczkom przedostać się z piłką pod ich kosz – najprawdopodobniej przegrają z dziewczynami, dla których koszykówka jest pasją. Ranadivé przyjechał do Ameryki jako siedemnastolatek z 50 dolarami w kieszeni. Nie był człowiekiem, który łatwo daje za wygraną. Dlatego jego druga zasada brzmiała: będą stosować pressing na całym boisku – w każdym meczu, przez cały czas. Drużyna

Ranadivé doszła do krajowych mistrzostw. „To był zupełny przypadek – stwierdziła Anjali Ranadivé. – Przecież mój ojciec nigdy wcześniej nie grał w koszykówkę”.

2 Wyobraźmy sobie, że mielibyśmy zebrać wszystkie wojny między bardzo dużym a bardzo małym krajem z ostatnich 200 lat. Powiedzmy, że jedna strona konfliktu musi co najmniej dziesięciokrotnie przewyższać drugą pod względem populacji i siły militarnej. Jak często, twoim zdaniem, potężniejszy kraj wygrywa? Większość z nas odparłaby, jak sądzę, że tak się dzieje w blisko 100 procentach przypadków. Dziesięciokrotna różnica sił to dużo. W istocie jednak odpowiedź jest dość zaskakująca. Kiedy kilka lat temu politolog Ivan Arreguín-Toft przeprowadził takie obliczenia, wyszło mu 71,5 procent. A zatem w nieco mniej niż jednej trzeciej przypadków wygrywa słabszy kraj.

Arreguín-Toft postawił następnie nieco inne pytanie. Co się dzieje, kiedy znacznie słabsza strona zbrojnego konfliktu bierze przykład z Dawida i nie chce walczyć na zasadach strony silniejszej, a zamiast tego stosuje niekonwencjonalną taktykę lub partyzantkę? Odpowiedź: w takich przypadkach odsetek zwycięstw słabszej strony rośnie z 28,5 procent do 63,6 procent. Rozważmy – czysto teoretycznie – następujący przykład: Stany Zjednoczone mają dziesięć razy większą populację niż Kanada. Gdyby między tymi dwoma krajami wybuchła wojna, a Kanada wybrałaby niekonwencjonalny sposób walki, historia podpowiada, że powinniśmy postawić na Kanadę.

Zwycięstwa słabszej strony traktujemy jak coś nieprawdopodobnego: dlatego już od tylu lat przemawia do nas historia Dawida i Goliata. Jednak z ustaleń Arreguína-Tofta wynika, że te triumfy wcale nieprawdopodobne

nie są. Słabsi wygrywają całkiem często. Dlaczego więc jesteśmy oszołomieni za każdym razem, kiedy Dawid pokonuje Goliata? Dlaczego automatycznie zakładamy, że ktoś mniejszy, biedniejszy lub mniej wprawny koniecznie musi stać na straconej pozycji?

Jednym z takich zwycięskich słabeuszy na liście Arreguína-Tofta był na przykład T.E. Lawrence (lepiej znany jako Lawrence z Arabii), który pokierował arabską rewoltą przeciw tureckiej armii okupującej Arabię pod koniec pierwszej wojny światowej. Brytyjczycy wsparli powstanie Arabów, a ich celem było zniszczenie długiej linii kolejowej zbudowanej przez Turków, prowadzącej z Damaszku w głąb pustynnego Hidżazu.

Zadanie wydawało się niemal beznadziejne. Turcy mieli świetną, nowoczesną armię. Lawrence natomiast dowodził niezdyscyplinowaną zbieraniną Beduinów. Nie doświadczonym wojskiem, tylko nomadami. Sir Reginald Wingate, jeden z brytyjskich dowódców w tym regionie, nazwał ich „niewyszkoloną zgrają, która w większości nigdy nie strzelała z karabinu”. Podkomendni Lawrence’a byli za to twardzi i mobilni. Beduiński żołnierz wiózł na ogół na wielbłądzie tylko karabin, 100 nabojów i 20 kilogramów mąki, więc mógł pokonać prawie 180 kilometrów dziennie przez pustynię, nawet latem. Beduini mieli przy sobie nie więcej niż pół litra wody, bo zawsze potrafili znaleźć jakieś źródło. „Naszą szansą były szybkość i czas, nie siła uderzeniowa – pisał Lawrence. – Największym zapleczem, z jakiego mogliśmy korzystać, byli członkowie plemion, nieprzyzwyczajeni do formalnych działań wojennych, dysponujący takimi atutami, jak łatwość przemieszczania się, wytrzymałość, indywidualna inteligencja, znajomość terenu, odwaga”. Osiemnastowieczny generał Maurycy Saski stwierdził, że sztuka wojny opiera się na nogach, nie rękach. Można powiedzieć, że oddziały Lawrence’a składały się wyłącznie z nóg. Typowy kilkunastodniowy bilans działalności jego ludzi wiosną 1917 roku

wyglądał następująco: 24 marca wysadzili w powietrze 60 odcinków szyn i przecięli linię telegraficzną w Buajrze, 25 marca uszkodzili pociąg i 25 odcinków szyn w Abu al-Na’amie, 27 marca wysadzili 15 odcinków torów i przecięli linię telegraficzną w Istabal Antar, 29 marca zaatakowali turecki garnizon i wykoleili pociąg, 31 marca wrócili do Buajru i ponownie uszkodzili tory kolejowe, 3 kwietnia wysadzili 11 odcinków szyn w Hedii, 4 i 5 kwietnia zaatakowali linię kolejową w pobliżu Wadi Daidżi, a 6 kwietnia dwukrotnie powtórzyli natarcie.

Mistrzowskim posunięciem Lawrence’a był szturm na portowe miasto Akaba. Turcy spodziewali się ataku ze strony brytyjskich okrętów patrolujących wody zatoki Akaba na zachodzie. Lawrence postanowił uderzyć na miasto ze wschodu, z niebronionej pustyni, i w tym celu poprowadził swoich ludzi śmiałą, liczącą ponad 960 kilometrów pętlą – z Hidżazu na północ na Pustynię Syryjską i z powrotem na południe do Akaby. Działo się to latem, trasa wiodła przez jedne z najbardziej niegościnnych terenów Bliskiego Wschodu, a Lawrence dołożył jeszcze dodatkowy wypad na przedmieścia Damaszku, żeby zmylić Turków co do swoich zamiarów. „W tym roku dolina była jednym wielkim kłębowiskiem żmij rogatych i afrykańskich, kobr i czarnych węży” – pisze Lawrence w *Siedmiu filarach mądrości* o jednym z etapów wyprawy:

> Po zapadnięciu zmroku czerpaliśmy wodę tylko w razie konieczności, bo węże pływały w stawach lub kłębiły się na brzegach. Dwa razy żmije afrykańskie wpełzły w sam środek dyskutującego przy kawie kręgu, podrywając ludzi na równe nogi. Trzech Arabów zmarło od ukąszeń, czterej wyszli obronną ręką, skończyło się bowiem na strachu i bólu opuchniętych kończyn. Huwajtaci znali tylko jeden sposób leczenia: ukąszone miejsce

bandażowali kawałkiem wężowej skóry i czytali pacjentowi Koran tak długo, póki nie wyzionął ducha[6].

Po dotarciu do Akaby kilkusetosobowa grupa wojowników Lawrence'a zabiła lub pojmała 1200 Turków, tracąc tylko 2 ludzi. Turkom po prostu nie przyszło do głowy, że przeciwnik będzie na tyle szalony, żeby zaatakować od strony pustyni.

Sir Reginald Wingate nazwał ludzi Lawrence'a „niewyszkoloną zgrają". Uważał Turków za zdecydowanych faworytów. Czy jednak nie było to dziwne? Posiadanie mnóstwa żołnierzy, broni i zasobów – co było udziałem Turków – daje przewagę. Ale także unieruchamia i spycha do defensywy. A tymczasem mobilność, wytrzymałość, inteligencja, znajomość terenu i odwaga – to, czego ludziom Lawrence'a nie brakowało – pozwoliły im dokonać niemożliwego, mianowicie zaatakować Akabę od wschodu, co było tak zuchwałą strategią, że Turcy w ogóle się jej nie spodziewali. Środki materialne zapewniają pewne określone korzyści, istnieją jednak także korzyści wynikające z braku takich środków – a słabeusze często wygrywają właśnie dlatego, że te drugie czasem w niczym nie ustępują tym pierwszym.

Z jakiegoś powodu tę lekcję bardzo trudno jest nam przyswoić. Mamy chyba niezwykle sztywną i ograniczoną definicję przewagi. Uważamy za pomocne rzeczy, które w istocie takie nie są, a traktujemy jako bezużyteczne te, dzięki którym w rzeczywistości stajemy się silniejsi i mądrzejsi. Część pierwsza tej książki to próba przyjrzenia się konsekwencjom tego błędu. Dlaczego kiedy widzimy olbrzyma, automatycznie zakładamy, że to on wygra bitwę? Czego trzeba, by stać się tym, kto nie przyjmuje zastanego porządku rzeczy za pewnik – jak Dawid czy Lawrence z Arabii, czy też Vivek Ranadivé i jego drużyna niezbyt wysportowanych dziewcząt z Doliny Krzemowej?

3 Drużyna koszykarska Vivka Ranadivé grała w lidze klas siódmych i ósmych National Junior Basketball, reprezentując Redwood City. Dziewczyny trenowały w Paye’s Place, sali gimnastycznej w pobliskim San Carlos. Ponieważ Ranadivé nigdy nie grał w koszykówkę, ściągnął do pomocy dwoje ekspertów. Pierwszym był Roger Craig, kiedyś zawodowy sportowiec, a teraz jeden z pracowników software’owej firmy Vivka Ranadivé[7]. On z kolei zwerbował swoją córkę Rometrę, która grała w koszykówkę na studiach. Na boisku często miała za zadanie pilnować najlepszej zawodniczki przeciwnika, aby ją w ten sposób unieszkodliwić. Dziewczyny z Redwood City uwielbiały Rometrę. „Zawsze była dla mnie jak starsza siostra – stwierdziła Anjali Ranadivé. – Super się z nią trenowało”.

Strategia drużyny była zbudowana wokół dwóch ograniczeń czasowych, których trzeba przestrzegać, żeby przemieścić się z piłką na połowę przeciwnika. Pierwsze to tak zwany błąd pięciu sekund, obowiązujący przy podaniu z autu. Kiedy jedna drużyna zdobywa punkty, gracz drużyny przeciwnej staje z piłką poza linią boiska i ma pięć sekund, żeby podać ją komuś ze swojego zespołu. Jeśli ten czas upłynie, piłkę przejmuje przeciwnik. Zazwyczaj do tego nie dochodzi, bo koszykarze nie czekają na połowie rywali, żeby bronić się przed podaniem z autu. Od razu wracają na swoją część boiska. Drużyna Redwood City postępowała inaczej. Każda z zawodniczek jak oka w głowie pilnowała swojej odpowiedniczki w zespole przeciwnika. Kiedy niektóre drużyny stosują pressing, broniąca staje za pilnowaną przez siebie przeciwniczką grającą w ataku, żeby jej przeszkadzać, kiedy ta już dostanie piłkę. Natomiast dziewczyny z Redwood City miały bardziej agresywną i ryzykowną strategię. Ustawiały się przed rywalkami, żeby w ogóle nie dać im złapać podania z autu. Żadna z nich nie kryła przeciwniczki wrzucającej piłkę zza

linii boiska. Bo po co? Ranadivé wykorzystał tę dodatkową zawodniczkę do różnych zadań, między innymi jako drugą broniącą do pilnowania najlepszej z rywalek.

„Weźmy futbol amerykański – mówił Ranadivé. – Rozgrywający może biec z piłką. Ma całe wielkie boisko, żeby ją rzucić, a i tak cholernie trudno jest wykonać celne podanie”. W koszykówce było jeszcze trudniej. Mniejsze boisko. Limit pięciu sekund. Cięższa, większa piłka. Często przeciwniczki Redwood City nie mieściły się z podaniem w tym wyznaczonym czasie. Albo wykonująca aut zawodniczka panikowała na myśl, że jej pięć sekund zaraz upłynie, i odrzucała piłkę. Albo jej podanie przechwytywała jedna z dziewczyn z Redwood City. Zawodniczki Vivka Ranadivé broniły wręcz maniacko.

Drugi limit czasowy w koszykówce nakazuje drużynie wyprowadzić piłkę na połowę przeciwnika w ciągu dziesięciu sekund. Jeśli rywalkom Redwood City udało się uniknąć błędu pięciu sekund i celnie podać z autu, dziewczyny koncentrowały się na tym drugim ograniczeniu. Rzucały się na zawodniczkę, która złapała podanie, i ją blokowały. To było zadanie Anjali. Podbiegała do kozłującej zawodniczki, żeby ta była kryta przez dwie obrończynie równocześnie (co w koszykówce nazywa się podwojeniem), i wyciągała swoje długie ręce w górę i na boki. Może uda jej się odebrać piłkę. Może przeciwniczka spanikuje i odrzuci piłkę albo zostanie zablokowana i opóźniona, tak że sędzia będzie musiał odgwizdać błąd.

„Kiedy zaczynałyśmy, żadna z nas nie umiała grać w obronie – wspominała Anjali. – No to tata powtarzał przez cały mecz: »Masz kryć daną osobę i pilnować, żeby nigdy nie złapała podania z autu«. Odebranie komuś piłki, czyli przechwyt, to najlepsze uczucie pod słońcem. Tak grałyśmy: pressing i przechwyt, i to samo od nowa. Przeciwnicy strasznie

się denerwowali. Dużo drużyn było od nas o wiele lepszych, grały od dawna, a my je pokonywałyśmy”.

Dziewczyny z Redwood City natychmiast odskakiwały od przeciwniczek – 4:0, 6:0, 8:0, 12:0. Raz prowadziły 25:0. Ponieważ zazwyczaj dostawały piłkę pod koszem rywalek, rzadko musiały próbować ryzykownych rzutów z daleka, wymagających umiejętności i doświadczenia. Rzucały z dwutaktu. W jednym z niewielu meczów, w których poniosły porażkę w ciągu tego pierwszego roku, drużyna miała na boisku tylko cztery zawodniczki. I tak stosowały pressing. Dlaczego nie? Przegrały tylko 3 punktami.

„Dzięki takiej obronie mogłyśmy ukryć nasze słabości – tłumaczyła Rometra Craig. – Jak to, że nie mamy zawodniczek dobrze rzucających z dystansu. Ani najwyższego składu. Bo dopóki grałyśmy twardo w obronie, mogłyśmy przechwytywać piłkę i wychodzić na łatwe dwutakty. Byłam z dziewczynami szczera. Powiedziałam im: »Nie jesteśmy najlepszą drużyną«. Ale one rozumiały, na czym polega ich rola. – Dwunastolatki poszłyby za Rometrą w ogień. – Były super”.

Lawrence uderzył tam, gdzie Turcy byli słabi – na najdalszych, pustynnych odcinkach kolei – a nie tam, gdzie byli mocni. Redwood City skupiło się na podaniu z autu, momencie meczu, w którym świetna drużyna jest równie bezradna jak słaby zespół. Dawid nie chciał zmierzyć się z Goliatem w walce wręcz, bo wtedy z pewnością by przegrał. Stanął w sporej odległości od olbrzyma, tak że cała dolina stała się jego polem bitwy. Dziewczyny z Redwood City zastosowały taką samą taktykę. Broniły wszystkich 28 metrów boiska. Pressing na całym boisku to praca nóg, nie rąk. Wysiłek zajmuje miejsce umiejętności. To koszykówka dla tych, którzy, tak jak Beduini Lawrence’a, są „nieprzyzwyczajeni do formalnych działań wojennych [i dysponują] takimi atutami, jak łatwość

przemieszczania się, wytrzymałość, indywidualna inteligencja, […] odwaga”.

– To wyczerpująca strategia – powiedział Roger Craig.

Siedzieli razem z Vivkiem Ranadivé w sali konferencyjnej w swojej firmie i wspominali wspaniały sezon Redwood City. Ranadivé rysował na tablicy schematy przedstawiające zawiłości stosowanego przez nich pressingu. Craig siedział przy stole.

– Moje dziewczyny musiały mieć lepszą kondycję od przeciwniczek – stwierdził Ranadivé.

– Kazaliśmy im biegać – przytaknął Craig.

– W treningu stosowaliśmy strategię typową dla futbolu amerykańskiego – wyjaśnił Ranadivé. – Kazałem im biegać bez końca. Nie mogłem ich w tak krótkim czasie nauczyć techniki, więc skupiliśmy się na tym, żeby były w dobrej formie i rozumiały podstawy gry. Dlatego tak dużą rolę odgrywa tu nastawienie psychiczne, bo człowiek na pewno się zmęczy.

Przy tym ostatnim słowie w głosie Vivka Ranadivé zadźwięczała nuta aprobaty. Jego ojciec był pilotem, którego indyjski rząd wsadził do więzienia, bo ten nie chciał przestać kwestionować bezpieczeństwa posiadanych przez kraj samolotów. Po obejrzeniu filmu dokumentalnego o Massachusetts Institute of Technology Ranadivé postanowił, że będzie tam studiować, bo to idealna uczelnia dla niego. Było to w latach siedemdziesiątych, kiedy wyjazd z Indii na studia za granicę wymagał od rządu zatwierdzenia wydania dewiz, więc przyszły student MIT koczował przed siedzibą prezesa Banku Rezerw Indii, aż dostał pieniądze. Ranadivé jest szczupły i drobnokościsty, porusza się leniwym krokiem i emanuje niewzruszonym spokojem. Nie należy jednak mylić tego z nonszalancją. Cechą rodzinną klanu Ranadivé jest nieustępliwość.

Vivek Ranadivé odwrócił się teraz do Craiga.

– Jaki mieliśmy okrzyk?

Zastanowili się przez chwilę, a potem zawołali radośnie jednym głosem:

– Raz, dwa, trzy, nastawienie!

Cała filozofia Redwood City opierała się na gotowości, by dać z siebie więcej niż inni.

– W którymś momencie do drużyny dołączyło kilka nowych dziewczyn – wspominał Ranadivé – więc na pierwszym treningu mówiłem im: „Słuchajcie, będziemy robić tak”, i pokazywałem, co mam na myśli. Mówiłem: „Chodzi przede wszystkim o nastawienie”. Była wśród tych nowych dziewczyn jedna, co do której miałem wątpliwości. Bałem się, że nie zrozumie, o co nam chodzi z tym nastawieniem. A kiedy drużyna wzniosła okrzyk, ta nowa powiedziała: „Nie, nie. Nie: raz, dwa trzy, nastawienie. Tylko: raz, dwa, trzy, nastawienie, ha!” – i w tym momencie Ranadivé i Craig wybuchnęli śmiechem.

4

W styczniu 1971 roku drużyna Fordham University Rams miała się zmierzyć z koszykarzami University of Massachusetts Redmen. Mecz odbywał się w Amherst, w słynnej hali zwanej The Cage (Klatką), gdzie od grudnia 1969 roku Redmeni nie przegrali ani razu. Ich rekord wynosił 11:1. Gwiazdą zespołu był sam Julius Erving – „Dr J.” – jeden z największych koszykarzy wszech czasów. UMass było bardzo, bardzo dobrą drużyną. Natomiast w Fordhamie grały zadziorne chłopaki z Brooklynu i Bronxu. Ich środkowy doznał poważnego urazu kolana w pierwszym tygodniu treningów, więc ich najwyższy zawodnik miał 195 centymetrów wzrostu. Skrzydłowym z wyjściowej piątki – a na tej pozycji grają na ogół zawodnicy prawie tak wysocy jak środkowi – był Charlie Yelverton, który miał tylko 188 centymetrów. Ale od pierwszego gwizdka

Ramsi stosowali pressing na całym boisku i do końca nie odpuścili. „Odskoczyliśmy na trzynaście do sześciu i przez resztę meczu trwała wojna – wspomina Digger Phelps, ówczesny trener Fordhamu. – To były twarde chłopaki z miasta. Graliśmy na całych 28 metrach. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później tamci pękną”. Phelps wysyłał jednego za drugim niezmordowanych chłopaków z irlandzkiej albo włoskiej rodziny z Bronxu, żeby kryli Ervinga, a ci jeden po drugim schodzili z boiska za przekroczenie limitu dozwolonych fauli. Żaden nie był tak dobry jak Erving. Nie miało to znaczenia. Fordham wygrał 87:79.

W świecie koszykówki mnóstwo jest historii takich jak ta – o legendarnych meczach, w których Dawid pokonał Goliata, stosując pressing na całym boisku. Pozostaje jednak zagadką, dlaczego ta taktyka nigdy nie zdobyła popularności. Co zrobił Digger Phelps w następnym sezonie po olśniewającym zwycięstwie nad Redmenami? Nigdy już nie zastosował podobnego pełnego pressingu. A czy trener drużyny Uniwersytetu Massachusetts, Jack Leaman, który na własnym boisku dostał lekcję pokory od bandy chłopaków z ulicy, wyciągnął wnioski z tej porażki i skorzystał z pressingu przy następnej okazji, kiedy jego drużyna grała z pozycji słabszego? Bynajmniej. Wielu ludzi z koszykarskiego środowiska nie wierzy w pressing, bo nie jest to idealny sposób gry: dobrze poprowadzona drużyna przeciwnika może sobie z nim poradzić, jeśli jej zawodnicy świetnie kozłują i zręcznie podają. Nawet Ranadivé chętnie to przyznaje. Wystarczyłoby, żeby rywalki odpowiedziały pressingiem, a pokonałyby Redwood City. Dziewczyny nie były na tyle dobre, żeby dać sobie radę, gdyby przeciwniczki odpłaciły im tą samą monetą. Gdyby podopieczne Vivka Ranadivé albo zadziorni i ambitni gracze Fordhamu grali w konwencjonalny sposób, przegraliby 30 punktami. Pressing dawał słabeuszom największe szanse na pokonania Goliata. Logicznie rzecz

biorąc, każda drużyna, która nie jest faworytem, powinna grać w ten sposób, prawda? Dlaczego zatem większość tego nie robi?

Arreguín-Toft stwierdził taką samą zastanawiającą prawidłowość. Kiedy słabszy kraj walczył jak Dawid, zwykle wygrywał. Ale na ogół słabsi tak nie walczyli. Na 202 przypadki nierównych konfliktów, zgromadzone w bazie danych Arreguína-Tofta, słabsza strona decydowała się na bezpośrednie, konwencjonalne starcie z Goliatem 152 razy – i 119 razy przegrywała. W 1809 roku Peruwiańczycy bili się tak z Hiszpanami i ponieśli klęskę; w 1816 Gruzini walczyli tak z Rosjanami i zostali pokonani; w 1817 Lankijczycy wojowali tak z Brytyjczykami i doznali porażki; w 1823 roku Birmańczycy także wybrali tę metodę walki z Brytyjczykami i przegrali. Lista klęsk nie ma końca. W latach czterdziestych XX wieku komunistyczni powstańcy w Wietnamie krzyżowali szyki Francuzom, dopóki w 1951 roku strateg Viet Minhu Võ Nguyên Giáp nie przeszedł na konwencjonalne działania wojenne – i od razu zaczął ponosić porażki. Podobnie postąpił George Washington podczas rewolucji amerykańskiej, kiedy porzucił taktykę partyzancką, która tak dobrze służyła kolonistom na początku konfliktu. „Washington jak najszybciej zaczął tworzyć formację w typie brytyjskim: Armię Kontynentalną – pisze William Polk w *Violent Politics* (Brutalna polityka), historii niekonwencjonalnych działań wojennych. – W rezultacie raz za razem ponosił klęskę i omal nie przegrał wojny”.

Wydaje się to bez sensu. Przypomnijmy sobie jednak długą drogę Lawrence’a przez pustynię do Akaby. Łatwiej ubrać żołnierzy w kolorowe mundury i kazać im maszerować w rytm piszczałek i werbli niż przekonać ich, żeby pokonali 1000 kilometrów przez pustynię na wielbłądach. Łatwiej i znacznie przyjemniej cofnąć się i ładnie ustawić po zdobyciu każdego punktu – i wykonywać perfekcyjnie przygotowane zagrywki – niż dwoić

się i troić, machać rękami i walczyć o każdy centymetr boiska. Strategie słabeuszy są trudne.

Jedyną osobą, która przyswoiła sobie lekcję płynącą ze słynnego meczu Fordhamu z Uniwersytetem Massachusetts, był chudy, niewysoki rozgrywający drużyny Redmenów Rick Pitino. Nie grał wtedy. Obserwował i nie mógł wyjść ze zdumienia. Nawet dziś, ponad 40 lat później, potrafi wymienić z pamięci nazwiska prawie wszystkich graczy Fordhamu: Yelverton, Sullivan, Mainor, Charles, Zambetti. „Wystawili najbardziej niewiarygodną drużynę grającą pressingiem, jaką w życiu widziałem – stwierdził Pitino. – Pięciu facetów między 180 a 195 centymetrów. Niesamowite, jak kryli całe boisko. Przeanalizowałem to. Nie ma mowy, żeby nas pokonali, myślałem. Nikt nas nie pokonał w Klatce”.

W 1978 roku, w wieku 25 lat, Pitino został głównym trenerem drużyny Uniwersytetu Bostońskiego i dzięki zastosowaniu pressingu wprowadził ją do rozgrywek NCAA, amerykańskiej ligi akademickiej, gdzie zagrała po raz pierwszy od 24 lat. Następnie przeszedł do Providence College, gdzie przejął drużynę, która w poprzednim roku osiągnęła wynik 11:20. Zawodnicy byli niscy i niemal całkowicie pozbawieni talentu – wierne odbicie Fordham Rams. Postawili na pressing i zabrakło im tylko jednego zwycięstwa do występu w finałowym meczu o mistrzostwo kraju. W swojej trenerskiej karierze Pitino raz po raz odnosił ogromne sukcesy, dysponując graczami niedorastającymi przeciwnikom do pięt.

„Co roku zgłaszało się do mnie całe mnóstwo trenerów, żeby nauczyć się pressingu – powiedział Pitino. Prowadzi dziś drużynę koszykówki Uniwersytetu Louisville, więc to miasto w Kentucky stało się mekką wszystkich dawidów próbujących dowiedzieć się, jak pokonywać goliatów. – Potem piszą do mnie maile. Twierdzą, że nie dadzą rady. Nie wiedzą, czy ich zawodnicy wytrzymają. – Pitino pokręcił głową. –

Trenujemy codziennie po dwie godziny – ciągnął. – Zawodnicy są w ruchu przez prawie 98 procent treningu. Przeznaczamy bardzo mało czasu na rozmowy. Kiedy wprowadzamy korekty – to znaczy kiedy Pitino i pozostali trenerzy przerywają grę, żeby poinstruować zawodników – trwają one 7 sekund, tak że tętno nigdy nam nie spada. Cały czas pracujemy". Siedem sekund! Trenerzy, którzy przyjeżdżają do Louisville, siadają na trybunach, patrzą na tę bezustanną aktywność i tracą nadzieję. Żeby grać według reguł Dawida, trzeba być zdesperowanym. Trzeba być tak kiepskim, że nie ma się wyboru. Ich drużyny są akurat na tyle dobre, że trenerzy wiedzą, iż to się nie uda. Nigdy nie przekonają zawodników, żeby trenowali tak ciężko. Brakuje im tej desperacji. Ale Ranadivé? O, on był zdesperowany. Patrząc na jego podopieczne, można by pomyśleć, że ich całkowity brak umiejętności podawania, kozłowania i rzucania do kosza był ich największą słabością. A przecież to nieprawda. Bo to właśnie dzięki temu mogły zastosować tę zwycięską strategię.

5 Wygrane mecze Redwood City miały między innymi ten skutek, że trenerzy przeciwników zaczęli się wściekać. Mieli poczucie, że drużyna Vivka Ranadivé nie gra czysto – że to nie fair stosować pressing na całym boisku wobec dwunastolatek, które dopiero opanowują podstawy gry. Celem młodzieżowych rozgrywek koszykówki, twierdził ten chór głosów sprzeciwu, jest nauczenie się koszykarskich umiejętności. Dziewczyny z Redwood City w odczuciu oponentów nie grały w koszykówkę właściwie. Oczywiście równie dobrze można by twierdzić, że stosując pressing na boisku, dwunastolatka uczy się czegoś znacznie cenniejszego – że wysiłek może zatriumfować nad talentem i że warto podważać przyjęte konwencje. Jednak trenerzy drużyn, które dostawały baty od Redwood City, nie byli skłonni do takich filozoficznych rozważań.

– Jeden facet chciał się ze mną bić na parkingu – wspominał Ranadivé. – Taki duży gość. Wyraźnie sam grał w futbol i koszykówkę, a teraz zobaczył, jak ten chudy cudzoziemiec pokonał go w jego własnej grze. Chciał mi przyłożyć.

Roger Craig opowiadał, że czasem był zdumiony tym, co widział.

– Tamci trenerzy krzyczeli na swoje zawodniczki, upokarzali je, wrzeszczeli. Wołali do sędziów: „Faul! Faul!”. A my wcale nie faulowaliśmy. Po prostu graliśmy agresywnie w obronie.

– Kiedyś mieliśmy mecz z drużyną z East San Jose – powiedział Ranadivé. – Te dziewczyny grały od lat. Jakby urodziły się z piłką do koszykówki w ręku. A my po prostu je miażdżyliśmy. Prowadziliśmy chyba z 20:0. Nie dawaliśmy im wrzucić piłki z autu na boisko, a ich trener tak się wściekł, że podniósł krzesło i rąbnął nim o podłogę. Zaczął wrzeszczeć na swoje dziewczyny, a oczywiście im bardziej krzyczysz na dzieciaki w tym wieku, tym bardziej się denerwują. – Ranadivé pokręcił głową. Nigdy, przenigdy nie należy podnosić głosu. – W końcu sędzia dosłownie wyrzucił go z budynku. Bałem się. Widocznie facet nie mógł tego znieść, bo te nasze blondyneczki, które były wyraźnie gorszymi zawodniczkami, po prostu ich masakrowały.

Wszystkie cechy wyróżniające idealnego koszykarza są połączeniem techniki z precyzyjnym wykonaniem. Kiedy w grze bardziej od umiejętności zaczyna liczyć się wysiłek, zmienia się ona nie do poznania – staje się zdumiewającą mieszanką przerwanych zagrywek, bezładnego wymachiwania rękami i wyrzucania piłki na aut przez spanikowanych, chociaż na ogół dobrych graczy. Trzeba być outsiderem spoza środowiska – cudzoziemcem nowym w tym sporcie albo chudym chłopakiem z Nowego Jorku, siedzącym na końcu ławki rezerwowych – żeby mieć czelność grać w ten sposób.

T.E. Lawrence mógł zatriumfować, bo miał niewiele wspólnego z oficerem armii brytyjskiej z prawdziwego zdarzenia. Nie skończył z wyróżnieniem najlepszej angielskiej akademii wojskowej. Był z zawodu archeologiem, który pisał oniryczną prozę. Na spotkania ze swoimi zwierzchnikami w armii przychodził w sandałach i pełnym stroju Beduina. Mówił po arabsku jak miejscowy i jeździł na wielbłądzie, jakby całe życie nic innego nie robił. Nie obchodziło go, co ludzie z wojskowego establishmentu sądzą o jego „niewyszkolonej zgrai", bo nie był z tym establishmentem szczególnie związany. Albo weźmy Dawida. Musiał wiedzieć, że pojedynki z Filistynami powinny przebiegać formalnie, ze skrzyżowaniem mieczy. Był jednak pasterzem, co w czasach starożytnych oznaczało jedną z najpośledniejszych profesji. Nie miał interesu w przestrzeganiu subtelności wojskowego rytuału.

Dużo myślimy o korzyściach, jakie dają nam prestiż, zasobność środków i przynależność do elitarnych instytucji. Za mało zastanawiamy się nad tym, jak taka materialna przewaga ogranicza nasze możliwości. Vivek Ranadivé stał przy linii bocznej boiska, a rodzice dziewcząt z przeciwnej drużyny i trenerzy obrzucali go wyzwiskami. Większość ludzi ugięłaby się w obliczu takiej krytyki. Ale nie on. „To był zupełny przypadek. Przecież mój ojciec nigdy wcześniej nie grał w koszykówkę". Dlaczego miałoby go obchodzić, co sądzi o nim koszykarski świat? Ranadivé trenował drużynę złożoną z dziewcząt niemających uzdolnień w sporcie, o którym sam nic nie wiedział. Był outsiderem na przegranej pozycji i właśnie to dało mu wolność, by spróbować czegoś, co nikomu innemu nawet się nie śniło.

6

Na mistrzostwach kraju dziewczyny z Redwood City wygrały dwa pierwsze mecze. W trzeciej rundzie miały zmierzyć się z przeciwniczkami pochodzącymi gdzieś z głębi hrabstwa Orange.

Musiały grać z nimi na ich boisku, drużyna rywalek zapewniła też sędziego. Mecz zaczynał się o ósmej rano. Zawodniczki Redwood City wyjechały z hotelu o szóstej, żeby przebić się przez poranne korki. Dalej było już tylko gorzej. Sędzia nie wierzył w „raz, dwa, trzy, nastawienie, ha!”. Uważał, że gra na blokowanie podania z autu to nie koszykówka. Zaczął gwizdać faule jeden po drugim.

– To były faule osobiste: nieprzepisowe użycie rąk – westchnął Craig. Tandetne zagranie. Wspomnienie było bolesne.

– Dziewczyny nie rozumiały, o co chodzi – powiedział Ranadivé. – Sędzia dopatrywał się u nas fauli mniej więcej cztery razy częściej niż u tamtych.

– Ludzie na trybunach gwizdali – dodał Craig. – Było kiepsko.

– Stosunek dwa do jednego w liczbie fauli jest zrozumiały, ale cztery do jednego? – Ranadivé pokręcił głową.

– Jedna z dziewczyn musiała zejść z boiska za przekroczenie limitu przewinień.

– Przewaga tamtych nie była miażdżąca. Nadal mieliśmy szansę na wygraną. Ale…

Ranadivé zrezygnował z pressingu. Musiał. Zawodniczki Redwood City cofnęły się pod swój kosz i biernie przyglądały zbliżającym się przeciwniczkom. Dziewczyny z Redwood City przestały cały czas biegać. Zatrzymywały się i zastanawiały przy każdym podaniu. Grały w koszykówkę tak, jak powinno się grać, i w końcu przegrały – ale wcześniej udowodniły, że Goliat nie jest takim gigantem, jak mu się wydaje.

[6] T.E. Lawrence, *Siedem filarów mądrości*, t. 1, tłum. J. Schwakopf, Warszawa 1971, s. 344 (przyp. tłum.).

[7] Należy tu dodać, że Roger Craig to ktoś więcej niż tylko emerytowany sportowiec. Był jednym z najlepszych zawodników futbolu amerykańskiego grających na pozycji biegacza w historii National Football League.

ROZDZIAŁ 2
TERESA DEBRITO

„Największa klasa, jaką uczyłam, liczyła 29 dzieci. Ależ była zabawa”.

1 Kiedy zbudowano Shepaug Valley Middle School z myślą o dzieciach z wyżu demograficznego, codziennie rano ze szkolnych autobusów wysypywało się 300 uczniów. Tłum wlewał się do budynku przez kilkoro dwuskrzydłowych drzwi, a wewnątrz na korytarzach panował ruch jak na autostradzie.

Było to jednak dawno temu. Wyż demograficzny się skończył. Sielankowy zakątek Connecticut, w którym leży Shepaug – z uroczymi wioskami z epoki kolonialnej i krętymi wiejskimi drogami – odkryły zamożne pary z Nowego Jorku. Ceny nieruchomości wzrosły. Młodsze rodziny przestało być stać na zamieszkanie w tej okolicy. Liczba uczniów spadła do 245, potem zaledwie do 200. Obecnie naukę w szkole (w klasach szóstych, licząc od początku edukacji) rozpoczyna 80 dzieci. Biorąc pod uwagę liczbę uczniów podstawówek w tym rejonie, ta liczba może wkrótce zmniejszyć się o połowę, co oznacza, że liczebność klas spadnie poniżej średniej krajowej. Szkoła zmieniła się więc z przepełnionej w kameralną.

Posłalibyście swoje dziecko do szkoły Shepaug Valley?

Historia Vivka Ranadivé i dziewczęcej drużyny koszykarskiej Redwood City pokazuje, że nie zawsze słusznie uznajemy coś za przewagę lub słabość, że mylimy te kategorie. W tym i w następnym rozdziale chciałbym rozważyć z tej perspektywy dwa pozornie proste pytania dotyczące edukacji. „Pozornie” – bo wydają się proste, chociaż, jak się przekonamy, w rzeczywistości wcale takie nie są.

2

Kwestia szkoły Shepaug Valley to pierwsze z tych dwóch prostych pytań. Przypuszczam, że bylibyście zachwyceni, gdyby wasze dziecko chodziło do jednej z tych kameralnych klas. Właściwie wszędzie na świecie rodzice i decydenci uważają za rzecz oczywistą, że im klasy mniejsze, tym lepsze. W ciągu kilku ostatnich lat rządy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Holandii, Kanady, Hongkongu, Singapuru, Korei i Chin – oraz wielu innych państw – podjęły poważne kroki, aby zmniejszyć liczebność klas. Kiedy gubernator Kalifornii ogłosił szeroko zakrojone plany ograniczenia liczebności klas w tym stanie, w ciągu trzech tygodni jego popularność wzrosła dwukrotnie. Nie minął miesiąc, a 20 innych gubernatorów poszło za jego przykładem, a po kolejnych dwóch tygodniach Biały Dom ogłosił własne plany w tym zakresie. Do dziś 77 procent Amerykanów uważa, że sensowniej wydać pieniądze podatników na zmniejszenie liczebności klas niż na podwyżki pensji nauczycieli. Wiecie, w jak niewielu sprawach 77 procent Amerykanów zgadza się ze sobą?

W klasach w Shepaug Valley siedziało kiedyś aż po 25 uczniów. Dziś jest ich czasem zaledwie 15. Co oznacza, że nauczyciel poświęca poszczególnym uczniom znacznie więcej uwagi niż dawniej, a zdrowy rozsądek mówi, że im więcej tej nauczycielskiej uwagi, tym lepsza jakość nauczania. Uczniowie w nowej, kameralnej placówce Shepaug Valley powinni mieć lepsze wyniki w nauce niż ci ze starej, przepełnionej szkoły – prawda?

Okazuje się, że można to sprawdzić w bardzo elegancki sposób. W Connecticut dużo jest szkół takich jak Shepaug. To stan z wieloma małymi miasteczkami i niewielkimi podstawówkami, a małe szkoły w małych miasteczkach podlegają naturalnym wahaniom przyrostu naturalnego i cen nieruchomości – co oznacza, że klasy w jednym roczniku mogą świecić pustkami, a w następnym być zatłoczone. Tak na przykład zmieniała się liczba osób zaczynających naukę w piątej klasie w jednej ze szkół w Connecticut:

1993	18	2000	21
1994	11	2001	23
1995	17	2002	10
1996	14	2003	18
1997	13	2004	21
1998	16	2005	18
1999	15		

W 2001 roku piątoklasistów było 23. Rok później – 10! Między rokiem 2001 a 2002 nic innego się w tej szkole nie zmieniło. Pozostali ci sami nauczyciele, ten sam dyrektor, te same podręczniki. Nadal mieściła się w tym samym budynku w tym samym mieście. Lokalna gospodarka i ludność były właściwie identyczne jak rok wcześniej. Zmieniła się tylko liczba dzieci w piątej klasie. Jeśli uczniowie z liczniejszego rocznika osiągnęli lepsze wyniki niż ci z rocznika mniej licznego, to możemy być niemal pewni, że powodem była liczebność klasy, prawda?

Taką sytuację nazywamy „naturalnym eksperymentem”. Czasem naukowcy organizują formalne eksperymenty, żeby sprawdzić swoje hipotezy. Jednak w rzadkich wypadkach rzeczywistość sama podsuwa sposób przetestowania danej teorii – a naturalne eksperymenty mają

znaczną przewagę nad formalnymi. Co się zatem okaże, jeśli wykorzystamy naturalny eksperyment z Connecticut i porównamy coroczne wyniki w nauce każdego dziecka, które uczyło się w niewielkiej klasie, z wynikami uczniów należących do licznego rocznika? Właśnie takie badanie przeprowadziła ekonomistka Caroline Hoxby – przeanalizowała pod tym kątem wyniki nauczania ze wszystkich szkół podstawowych w stanie Connecticut. Co odkryła? Nic! „Wiele badań wskazuje, że nie da się stwierdzić statystycznie istotnego efektu danej zmiany w polityce – mówi Hoxby. – Co nie znaczy, że takiego efektu nie było. Po prostu nie dało się go znaleźć w danych. W tym badaniu szacunkowe wartości, które otrzymałam, wskazywały precyzyjnie na zero. Innymi słowy: nie ma żadnego efektu”.

To oczywiście tylko jedno badanie. Obraz jednak wcale się nie rozjaśnia, kiedy przyjrzymy się innym analizom liczebności klas – a w kolejnych latach przeprowadzono ich setki. W 15 procentach tych badań stwierdzono statystycznie istotne dowody na to, że dzieci lepiej się uczą w mniejszych klasach. Taki sam odsetek wskazuje, że uczniowie w mniejszych klasach uczą się gorzej. W 20 procentach badań, tak jak u Hoxby, nie stwierdza się żadnego wpływu liczebności klas na wyniki w nauce. A w pozostałych znajduje się trochę dowodów to na jedno, to na drugie, nie dość jednak mocnych, żeby pozwalały na wyciągnięcie konkretnych wniosków. Typowa praca badawcza z tego zakresu kończy się mniej więcej tak:

> W czterech krajach – Australii, Hongkongu, Szkocji i Stanach Zjednoczonych – nasza strategia identyfikacji prowadzi do uzyskania wysoce nieprecyzyjnych szacunków, które nie pozwalają sformułować z wystarczającą pewnością żadnych wniosków dotyczących wpływu liczebności klas na wyniki nauczania.

> W dwóch krajach – Grecji i Islandii – zaobserwowano, jak się wydaje, istotne efekty zmniejszonej liczebności klas. Francja jest jedynym krajem, w którym stwierdzono interesujące różnice między nauczaniem matematyki i przedmiotów przyrodniczych: podczas gdy w wypadku matematyki liczebność klas ma statystycznie istotny, znaczny wpływ na postępy uczniów, w naukach przyrodniczych efekt o porównywalnej wadze można wykluczyć. W dziewięciu z badanych systemów oświatowych możemy stwierdzić brak oddziaływania liczebności klas na dużą skalę – są to dwa systemy belgijskie oraz Kanada, Czechy, Korea, Portugalia, Rumunia, Słowenia i Hiszpania. Możemy także wykluczyć jakikolwiek istotny wpływ liczebności klas na wyniki uczniów w dwóch krajach: Japonii i Singapurze.

Rozumiecie? Po przebrnięciu przez tysiące stron danych dotyczących wyników uczniów z osiemnastu różnych krajów ekonomiści doszli do wniosku, że tylko w dwóch miejscach na świecie – w Grecji i na Islandii – istnieją „istotne korzystne efekty zmniejszonej liczebności klas”. W Grecji i na Islandii? Presja w sprawie tworzenia mniejszych klas w Stanach Zjednoczonych doprowadziła do zatrudnienia w latach 1996–2004 około ćwierci miliona nowych nauczycieli. W tym samym okresie wydatki w oświacie na jednego ucznia wzrosły o 21 procent – przy czym prawie wszystko z owych dziesiątków miliardów dolarów poszło na pensje dla tych dodatkowych nauczycieli. Można spokojnie powiedzieć, że nie ma drugiej takiej profesji na świecie, której przedstawicieli przybywałoby w ciągu ostatnich 20 lat w tak szybkim tempie, w tak dużej liczbie i takim kosztem. Kolejne kraje wydawały na to mnóstwo pieniędzy, bo patrzymy na taką szkołę jak Shepaug Valley – gdzie każdy nauczyciel ma szansę dobrze poznać każdego ucznia – i myślimy: tu właśnie chcę posłać swoje

dziecko. Jednak dowody sugerują, że to, co w naszym przekonaniu stanowi ogromną korzyść, być może wcale taką zaletą nie jest[8].

Rozmawiałem niedawno z jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Hollywood. Zaczął od opowieści o swoim dzieciństwie w Minneapolis. Kiedy przychodziła zima, robił obchód okolicy i zbierał zlecenia od sąsiadów, którzy chcieli, żeby odgarniać im śnieg z podjazdów i chodników. Następnie przekazywał każde z takich zleceń podwykonawcom, to znaczy innym dzieciom z sąsiedztwa. Płacił im od razu po wykonaniu roboty, gotówką do ręki, a sam pobierał należność od zleceniodawców później, bo przekonał się, że to najpewniejszy sposób, aby jego ekipa przykładała się do pracy. Miał ośmioro, czasem dziewięcioro podwładnych. Jesienią przerzucał się na grabienie liści.

„Sprawdzałem, jak wykonali pracę, żeby móc powiedzieć klientowi, że będzie miał wysprzątany podjazd dokładnie tak, jak chciał – wspominał. – Zawsze znalazło się jedno czy dwoje dzieciaków, które nie robiły tego dobrze, i musiałem je zwolnić”. Miał wtedy dziesięć lat. W wieku lat jedenastu zdążył zgromadzić w banku 600 dolarów – wszystko zarobione samodzielnie. Było to w latach pięćdziesiątych. Dzisiaj ta suma odpowiadałaby 5000 dolarów. „Nie miałem pieniędzy na realizację swoich planów – powiedział, wzruszając ramionami, jakby było oczywiste, że jedenastolatek ma poczucie celu i wie, czego chce. – Każdy głupek potrafi wydawać forsę. Ale kiedy zarabiasz, oszczędzasz i odraczasz nagrodę, uczysz się cenić pieniądze w inny sposób”.

Mieszkał z rodziną w dzielnicy eufemistycznie nazywanej „mieszaną”. Chodził do państwowych szkół i donaszał używane ubrania. Jego ojciec był produktem wielkiego kryzysu i mówił otwarcie o pieniądzach. Mój rozmówca, dziś człowiek z Hollywood, wspominał, że kiedy chciał coś

mieć – nowe buty sportowe, dajmy na to, albo rower – ojciec oznajmiał mu, że połowę musi zapłacić sam. Jeśli zostawił zapalone światło, ojciec pokazywał mu rachunek za energię elektryczną. „Mówił: »Popatrz, tyle płacimy za prąd. Nie gasisz światła, bo ci się nie chce. Płacimy za twoje lenistwo. Ale jeśli potrzebujesz światła do pracy, dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie ma problemu«”.

W wieku szesnastu lat spędził lato, pracując u swojego ojca w skupie złomu. To była ciężka fizyczna harówka, a jego traktowano jak każdego innego pracownika. „Ta robota sprawiła, że nie chciałem mieszkać w Minneapolis – powiedział. – Ani musieć pracować u ojca. Była straszna. W brudzie. Ciężka. Nudna. Polegała na pakowaniu złomu do beczek. Pracowałem tam od połowy maja do początku września. Nie mogłem zmyć z siebie tego brudu. Z perspektywy czasu myślę, że ojciec chciał, żebym u niego popracował, bo wiedział, że wtedy zrodzi się we mnie chęć ucieczki. Będę zmotywowany, żeby zająć się czymś innym, lepszym”.

W college’u prowadził firmę usługową: odbierał i dostarczał rzeczy z pralni swoim zamożnym kolegom. Organizował loty czarterowe do Europy dla studentów. Chodził z przyjacielem na mecze koszykówki, siedział na beznadziejnych miejscach – gdzie widok zasłaniał filar – i zastanawiał się, jak by to było usiąść w pierwszym rzędzie, tuż przy boisku. Kiedy poszedł na studia magisterskie w Nowym Jorku, biznesowe i prawnicze, mieszkał w złej dzielnicy na Brooklynie, żeby zaoszczędzić. Po dyplomie dostał pracę w Hollywood, z niej wynikła następna, lepsza, i kolejna, jeszcze lepsza, a także różne kontrakty na boku oraz pasmo niezwykłych sukcesów – do tego stopnia, że dziś ma dom w Beverly Hills wielkości lotniczego hangaru, własny odrzutowiec, ferrari w garażu, a przed rezydencją zdający się nie mieć końca podjazd z bramą, która wygląda tak, jakby przywieziono ją z jakiegoś średniowiecznego zamku

w Europie. Ten facet rozumiał pieniądze. A rozumiał je dlatego, że na ulicach rodzinnego Minneapolis odebrał gruntowną edukację co do ich wartości i funkcji.

„Chciałem mieć więcej wolności. Miałem różne aspiracje. Pieniądze były narzędziem, którego mogłem użyć do realizacji moich ambicji, moich pragnień, mojej motywacji – mówił. – Nikt mnie tego nie nauczył. Doszedłem do tego sam. Po części metodą prób i błędów. Podobała mi się moc, jaką dawały pieniądze. Dodały mi poczucia własnej wartości. Poczułem, że mam większą kontrolę nad swoim życiem”.

Mówił to, siedząc w swoim domowym gabinecie – pomieszczeniu wielkości domu przeciętnego człowieka – i doszedł w końcu do puenty. Miał dzieci, które bardzo kochał. Jak każdy rodzic, chciał zapewnić im dobre warunki, dać im więcej, niż miał sam. Stworzył jednak olbrzymią sprzeczność i był tego świadomy. Odniósł sukces, ponieważ przeszedł twardą szkołę życia, dzięki czemu poznał wartość pieniędzy, znaczenie pracy oraz radość spełnienia, czekające tych, którzy sami radzą sobie w świecie. Jednak ten sukces sprawił, że jego dzieciom trudno byłoby wpoić te same lekcje. Dzieci multimilionerów z Hollywood nie grabią liści przed domami swoich sąsiadów w Beverly Hills. Ojcowie nie machają im gniewnie przed nosem rachunkiem za prąd, jeśli nie zgaszą światła. Te dzieciaki nie siedzą na meczu koszykówki za filarem, zastanawiając się, jak by to było mieć miejsce w pierwszym rzędzie. One żyją w pierwszym rzędzie.

„Jestem przekonany, że wychowywanie dzieci w zamożnym środowisku jest znacznie trudniejsze, niż to się na ogół wydaje – stwierdził mój rozmówca. – Trudne warunki materialne rujnują ludzi. Ale bogactwo też ich psuje, bo tracą ambicję, dumę i poczucie własnej wartości. Na

każdym z tych dwóch biegunów jest trudno. Najlepiej idzie pewnie tym, którzy mieszczą się gdzieś pośrodku”.

Oczywiście niewiele rzeczy budzi mniejsze współczucie niż multimilioner użalający się nad losem swojego potomstwa. Dzieci człowieka z Hollywood zawsze będą mieszkać tylko w najpiękniejszych domach i podróżować wyłącznie pierwszą klasą. Jednak jemu nie chodziło wyłącznie o komfort materialny. On sam wybił się i zyskał dużą renomę w show-biznesie. Jeden z jego braci przejął rodzinny interes – skup złomu – i świetnie mu się wiodło. Drugi został lekarzem i prowadził dobrze prosperującą praktykę. Jego ojciec wychował trzech synów, ambitnych, spełnionych, którzy coś w życiu osiągnęli. A mój rozmówca zauważył, że jemu, człowiekowi dysponującemu setkami milionów dolarów, będzie trudniej wychować dzieci z powodzeniem równym temu, z jakim udało się jego ojcu w kiepskiej dzielnicy w Minneapolis.

4

Człowiek z Hollywood nie jest pierwszą osobą, która doznała tego objawienia. Chyba większość z nas intuicyjnie to rozumie. Naszym myśleniem o związku między wychowywaniem dzieci a pieniędzmi rządzi pewna istotna zasada – mówi ona, że więcej nie zawsze znaczy lepiej.

Trudno być dobrym rodzicem, jeśli ma się za mało pieniędzy. To oczywiste. Bieda jest wyczerpująca i stresująca. Jeśli trzeba tyrać na dwóch etatach, żeby związać koniec z końcem, trudno mieć wieczorem siłę, żeby poczytać dzieciom na dobranoc. Jeżeli jesteś pracującym samotnym rodzicem, starasz się opłacać czynsz, wykarmić i ubrać rodzinę, dojeżdżasz na drugi koniec miasta, by wykonywać fizycznie wymagające zajęcie, trudno będzie ci zapewnić dzieciom stały dopływ miłości i uwagi oraz

konsekwentną dyscyplinę, które są potrzebne do stworzenia dobrego, zdrowego domu.

Z pewnością nikt jednak nie powie, że mając więcej pieniędzy, zawsze będzie się lepszym rodzicem. Gdyby poproszono cię o narysowanie wykresu przedstawiającego zależność między wychowywaniem dzieci a zamożnością, nie narysowałbyś czegoś takiego:

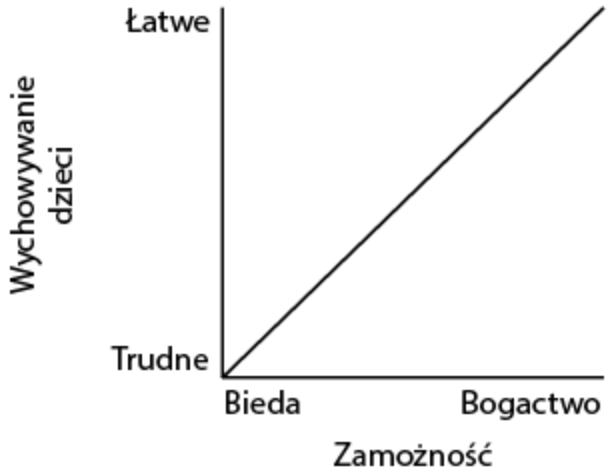

Pieniądze ułatwiają wychowywanie dzieci do pewnego pułapu, powyżej którego przestają mieć szczególne znaczenie. Jaki to pułap? Naukowcy prowadzący badania nad szczęściem twierdzą, że rosnąca zamożność przestaje uszczęśliwiać ludzi, kiedy roczny dochód rodziny wynosi około 75 000 dolarów. Powyżej tej sumy zaczyna działać „prawo malejących przychodów krańcowych”, jak powiedzieliby ekonomiści. Jeżeli twoja rodzina zarabia 75 000, a twój sąsiad – 100 000, te dodatkowe 25 000 rocznie oznacza, że sąsiad może mieć ładniejszy samochód i trochę częściej stołować się na mieście. Ale nie będzie szczęśliwszy od ciebie ani lepiej przygotowany do radzenia sobie z tysiącami dużych i małych spraw składających się na bycie dobrym rodzicem. Lepsza wersja wykresu

obrazującego zależność między wychowywaniem dzieci a dochodami wygląda tak:

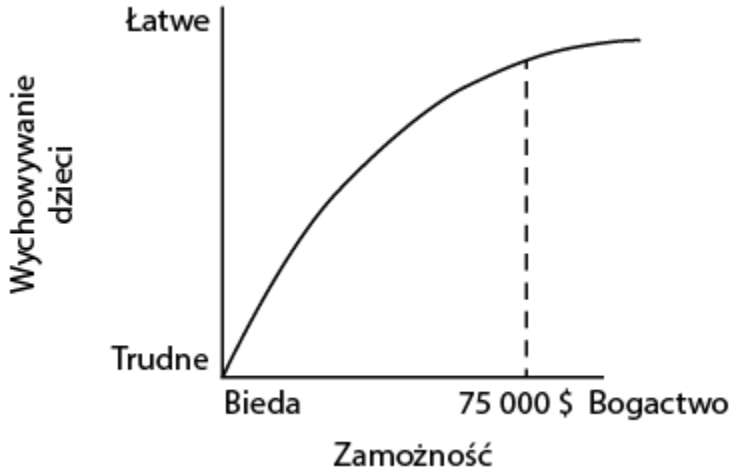

Ta krzywa nie mówi jednak wszystkiego, prawda? Kiedy bowiem dochód rodziców osiąga pewien pułap, wychowywanie dzieci znów zaczyna stawać się trudniejsze. Dla większości z nas wartości należące do świata, w którym dorastaliśmy, nie różnią się znacząco od tych w świecie, który tworzymy dla naszych dzieci. Ale dla kogoś, kto dochodzi do wielkiej fortuny, sprawa wygląda inaczej. Psycholog James Grubman celnie określa milionerów w pierwszym pokoleniu mianem „imigrantów do bogactwa”, mając na myśli to, że stają oni przed takimi samymi wyzwaniami związanymi z wychowaniem dzieci jak wszyscy imigranci w nowym kraju. Ktoś taki jak nasz hollywoodzki potentat dorastał w Starym Kraju klasy średniej, gdzie niedobór był czynnikiem motywującym i wielkim nauczycielem. Ojciec nauczył go znaczenia pieniędzy oraz cnót niezależności i pracowitości. Natomiast jego dzieci żyją w Nowym Świecie bogactwa, gdzie obowiązują inne, zbijające z tropu zasady. Jak mówić „pracuj ciężko, bądź samodzielny, poznaj wartość pieniędzy” dzieciom, które rozglądają się wokół i uświadamiają sobie, że nigdy nie będą musiały ciężko pracować, być samodzielne ani przekonywać się na własnej skórze

o znaczeniu pieniędzy? Dlatego tak wiele kultur na całym świecie ma przysłowia opisujące trudności z wychowywaniem dzieci w atmosferze dostatku. W angielskim istnieje powiedzenie: „Shirtsleeves to shirtsleeves in three generations” (Od łachmanów do łachmanów w trzy pokolenia). Włosi mówią: „Dalle stelle alle stalle” (Od gwiazd do stajni), a Hiszpanie: „Quién no lo tiene, lo hace; y quién lo tiene, lo deshace” (Kto nie ma, ten robi, a kto ma, ten zmarnuje). Bogactwo zawiera ziarna własnego zniszczenia.

„Rodzic musi ustalać pewne granice. A to dla imigrantów do bogactwa jedna z najtrudniejszych rzeczy, bo nie wiedzą, co powiedzieć, kiedy wymówka »nie stać nas« odpada – tłumaczył Grubman. – Nie chcą kłamać i mówić: »Nie mamy pieniędzy«, bo jak się jest rodzicem nastolatka, to ten na to powie: »Chwileczkę. Masz porsche, a matka maserati«. Rodzice muszą przestawić się z »nie, bo nie możemy« na »nie, bo nie«”.

Jednak „nie, bo nie”, stwierdził Grubman, powiedzieć znacznie trudniej. Z „nie możemy” sprawa jest prosta. Czasem wystarczy, że rodzic powtórzy to tylko raz czy dwa. Dziecko z klasy średniej dość szybko zda sobie sprawę, że nie ma sensu prosić o kucyka, bo jego kupno jest po prostu nierealne.

Odmowa na zasadzie „nie kupimy kucyka, i już” wymaga odbycia rozmowy oraz szczerości i umiejętności wytłumaczenia, że to, co możliwe, nie zawsze jest słuszne. „Ćwiczę z zamożnymi rodzicami ten scenariusz i widzę, że oni nie mają pojęcia, co powiedzieć – stwierdził Grubman. – Muszę ich uczyć, co powinni mówić: »Owszem, mogę ci to kupić. Ale decyduję, że nie kupię, bo nie odpowiada to naszym wartościom«”. Co z kolei oczywiście oznacza, że musisz wyznawać pewien system wartości i umieć je wyrazić, tak by twoje dziecko uznało je za wiarygodne – co jest bardzo trudną rzeczą w każdych okolicznościach, a szczególnie kiedy masz

ferrari w garażu, prywatny odrzutowiec i mieszkasz w Beverly Hills w domu wielkości hangaru.

Potentat z Hollywood miał za dużo pieniędzy. Na tym polegał jego problem jako rodzica. Znacznie przekroczył poziom zamożności, przy którym zasobność portfela poprawia sytuację, a nawet ten, przy którym przestaje się ona szczególnie liczyć. Znalazł się w punkcie, w którym pieniądze utrudniają wychowanie normalnych, dobrze przystosowanych do życia dzieci. Nasz wykres naprawdę wygląda tak:

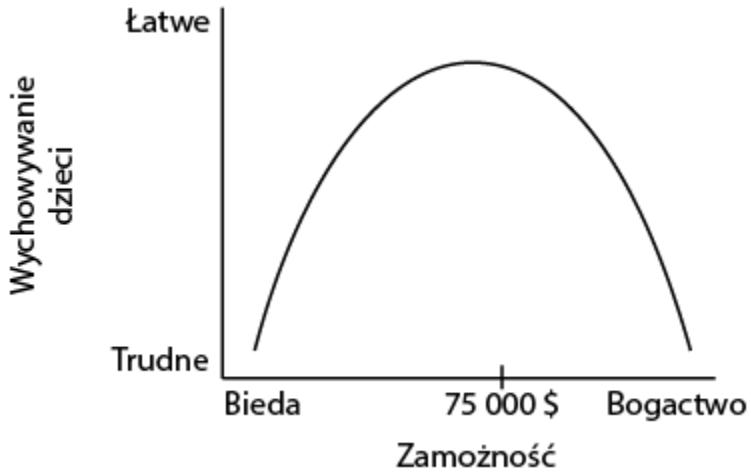

Taki wykres nosi nazwę krzywej dzwonowej. W krzywych tego typu trudno się połapać. Prawie zawsze nas zaskakują, a my często mylimy się w kwestii tego, co jest przewagą, a co słabością, ponieważ zapominamy, że funkcjonujemy w świecie krzywych dzwonowych[9].

Wracamy tu do zagadki liczebności klas. Co, jeśli zależność między liczbą uczniów a ich wynikami w nauce nie przedstawia się tak:

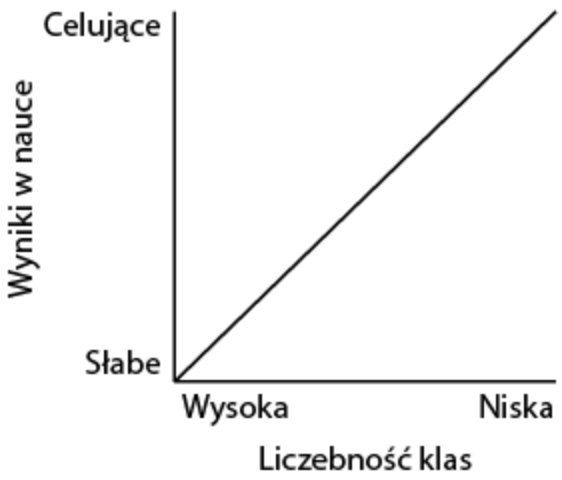

ani nawet tak:

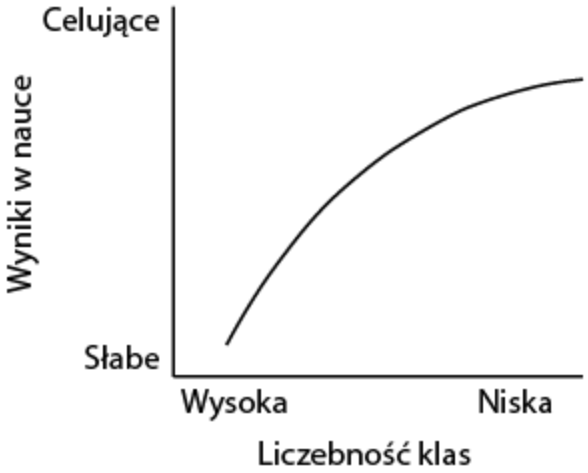

Co, jeśli wygląda w ten sposób?:

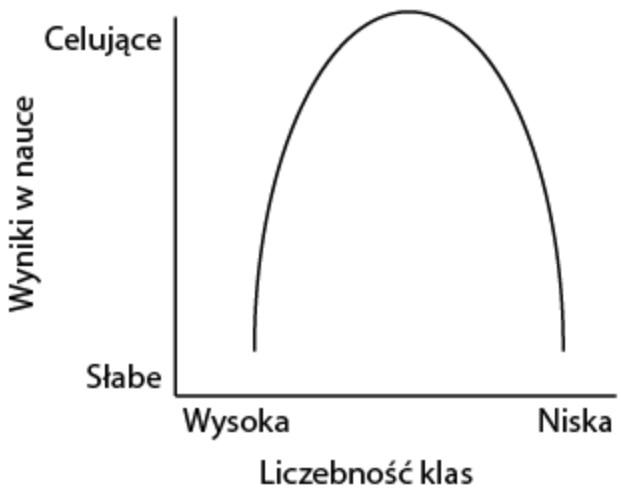

Dyrektorką szkoły Shepaug Valley jest Teresa DeBrito. W ciągu pięciu lat pracy na tym stanowisku obserwowała, jak z roku na rok liczba nowych uczniów przyjmowanych do szkoły się zmniejsza. Rodzicom może wydawać się, że to dobrze. Jednak Teresie od razu przychodziła na myśl ta ostatnia krzywa. „Za kilka lat będziemy mieć mniej niż 50 dzieci w całym roczniku rozpoczynającym naukę w naszej szkole – stwierdziła. Ta perspektywa napawała ją strachem: – Będzie ciężko”.

5 Krzywe dzwonowe składają się z trzech części, a każdą z nich rządzi inna logika[10]. Im więcej czegoś robimy lub mamy po lewej stronie krzywej, tym bardziej sytuacja się poprawia. Spłaszczony środek krzywej oznacza, że zwiększone starania nie robią szczególnej różnicy. A kiedy znajdziemy się po prawej stronie, dalszy przyrost tylko pogarsza sytuację[11].

Jeśli spojrzymy na zagadnienie liczebności klas z tej perspektywy, to, co nas dziwiło, zaczyna nabierać sensu. Liczba uczniów w klasie jest jak stopień zamożności rodzica. Wszystko zależy od tego, w którym miejscu krzywej się znajdujemy. W Izraelu, na przykład, klasy w szkołach podstawowych zawsze były dość liczne. W systemie oświatowym tego

kraju stosuje się „regułę Majmonidesa”, nazwaną tak od imienia dwunastowiecznego rabina, który orzekł, że liczba uczniów w klasie nie powinna przekraczać 40. A zatem w danej klasie podstawówki może się uczyć nawet 38 czy 39 dzieci. Kiedy jednak uczniów będzie 40, szkoła może podzielić taką klasę na dwie dwudziestoosobowe. Jeśli przeprowadzimy taką analizę jak Caroline Hoxby i porównamy wyniki w nauce w jednej z tych dużych klas z wynikami klasy dwudziestoosobowej, to uczniowie z tej ostatniej wypadną lepiej. Co nie powinno dziwić. Każdemu nauczycielowi trudno byłoby sobie poradzić z 36 czy 37 dzieci. Izrael znajduje się więc po lewej stronie krzywej dzwonowej.

Wróćmy teraz do Connecticut. W szkołach przeanalizowanych przez Hoxby liczebność klas wahała się od mniej więcej 18 do 25 osób. Kiedy Hoxby twierdzi, że jej badania nie wykazały, by liczba uczniów w klasie miała znaczenie, ma na myśli, że nie stwierdziła korzyści ze zmniejszania klas w tym średnim przedziale. Innymi słowy, gdzieś między Izraelem a Connecticut przesuwamy się ku płaskiemu środkowi krzywej zależności wyników w nauce od liczebności klas – poprawianie warunków w grupie (to jest zmniejszanie liczby uczniów) przestaje się tu przekładać na korzyści dla dzieci.

Dlaczego nie ma znaczącej różnicy między klasą dwudziestopięcio- a osiemnastoosobową? Niewątpliwie w tej ostatniej będzie łatwiej nauczycielowi: mniej klasówek do sprawdzania, mniej dzieci, z którymi trzeba pracować. Jednak mniejsza klasa przekłada się na lepsze wyniki, tylko jeśli nauczyciele zmienią styl prowadzenia lekcji, kiedy mają mniej uczniów. A badania wskazują, że w tym średnim przedziale nie zawsze to robią. Po prostu mniej pracują. Tak działa ludzka natura. Wyobraź sobie, że jesteś lekarzem i nagle się dowiadujesz, że w piątek po południu masz

przyjąć 20 pacjentów zamiast 25, przy tej samej pensji. Jak zareagujesz? Poświęcisz każdemu z nich więcej czasu? Czy po prostu wyjdziesz z pracy o wpół do siódmej zamiast o wpół do ósmej i zjesz kolację ze swoimi dziećmi?

A teraz kluczowe pytanie. Czy klasa może być za mała, tak jak rodzic może zarabiać za dużo? Rozmawiałem o tym z wieloma nauczycielami w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie i kolejni moi rozmówcy zgadzali się, że owszem, może.

Oto jedna z typowych odpowiedzi:

> Dla mnie idealna liczba uczniów to osiemnaście: w klasie jest wtedy wystarczająco dużo osób, żeby nikt nie czuł się zagrożony, a jednocześnie każdy może czuć się ważny. Osiemnaścioro dzieci można dogodnie podzielić na grupy dwu-, trzy- i sześcioosobowe – co zapewnia różne poziomy kameralności. Przy osiemnastu uczniach zawsze mogę poświęcić czas każdemu z nich, kiedy jest to potrzebne. Na drugim miejscu będzie u mnie klasa dwudziestoczteroosobowa – przy dodatkowych sześciu osobach mamy jeszcze większe szanse, że wśród uczniów znajdzie się ktoś o odrębnym zdaniu, jeden czy dwóch buntowników, którzy będą kwestionować status quo. Jednak taka dwudziestoczteroosobowa gromadka ma swoje minusy: ryzykujemy, że przy tylu uczniach w klasie zapanuje energia typowa dla publiczności, a nie zespołu. Kiedy dodamy jeszcze sześcioro i dojdziemy do trzydziestki, energia wiążąca poszczególne osoby osłabnie na tyle, że nawet najbardziej charyzmatyczny nauczyciel nie utrzyma przez cały czas odpowiedniej magii.

A w drugą stronę? Jeśli odejmiemy szóstkę od tej idealnej osiemnastki, otrzymamy Ostatnią Wieczerzę. I mamy problem. Dwanaście osób to na tyle mała grupa, że mogłaby się zmieścić przy świątecznym stole – zbyt kameralna jak na potrzeby wielu licealistów, którzy czasem chcieliby chronić swoją autonomię, i dająca się zbyt łatwo zdominować przez klasowego mądralę albo tyranizującego wszystkich łobuza bądź też wchodzącego w podobne role nauczyciela. Kiedy klasa skurczy się do sześciu uczniów, w ogóle nie ma się gdzie schować, brakuje też różnorodności myśli i doświadczeń, wzbogacającej naukę w liczniejszym gronie.

Innymi słowy, nauczycielowi może być trudno poradzić sobie zarówno z niewielką klasą, jak i z tą bardzo liczną. Przy dużej liczbie uczniów problemem jest liczba potencjalnych interakcji, nad którymi trzeba zapanować. W tym drugim przypadku trudność sprawia intensywność potencjalnych interakcji. Jak ujęła to jedna z nauczycielek, kiedy klasa jest zbyt mała, uczniowie zaczynają zachowywać się „jak rodzeństwo na tylnym siedzeniu samochodu. Dzieciaki robią się kłótliwe i po prostu nie mają dokąd od siebie uciec”.

Ciekawie wypowiada się na ten temat pewien nauczyciel liceum. Uczył ostatnio trzydziestodwuosobową klasę i uważał to za koszmar: „Kiedy mam do czynienia z tak dużą klasą, pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to: Cholera, za każdym razem, kiedy zbiorę jakieś prace do oceny, będę siedzieć nad nimi tu, w szkole, całymi godzinami, zamiast być w domu z własnymi dziećmi”. Nie chciałby też jednak uczyć klasy mniejszej niż dwudziestoosobowa:

> Źródłem życia w każdej klasie jest dyskusja, a do jej rozkręcenia potrzeba zwykle pewnej masy krytycznej. Uczę w tej chwili klasy, w których uczniowie po prostu o niczym nie dyskutują, co czasem

mnie dobija. Jeśli liczba uczniów za bardzo spada, dyskusja na tym ucierpi. Wydaje się to sprzeczne z intuicją, bo sam bym pomyślał, że ciche dzieciaki, które wahałyby się zabrać głos przy trzydziestu dwóch osobach, chętniej się odezwą przy szesnastu. Ale z mojego doświadczenia wynika co innego. Cisi tak czy inaczej siedzą cicho. A jeśli klasa jest zbyt mała, być może wśród tych, którzy się odzywają, nie ma na tyle dużej różnicy poglądów, żeby dyskusja ich porwała. Istnieje też trudna do uchwycenia kwestia poziomu energii. W bardzo małej grupie zazwyczaj brakuje pewnej energii, którą wyzwalają tarcia między ludźmi.

A kiedy klasa jest naprawdę maleńka?

Miałam kiedyś dziewięcioro uczniów na lekcjach francuskiego w dwunastej klasie. Brzmi jak marzenie, prawda? To był koszmar! Nie da się rozkręcić żadnej rozmowy ani dyskusji w języku docelowym. Trudno prowadzić gry rozwijające słownictwo, gramatykę i tak dalej. Po prostu brakuje dynamiki.

Ekonomista Jesse Levin przeprowadził fascynujące badania pod tym kątem wśród holenderskich uczniów. Policzył, ilu kolegów na podobnym poziomie mają dzieci w klasie, i stwierdził zdumiewającą korelację między tą liczbą a wynikami w nauce, szczególnie w przypadku słabszych uczniów[12]. Innymi słowy, uczeń – zwłaszcza ten radzący sobie w szkole kiepsko – potrzebuje wokół siebie osób zadających te same pytania, zmagających się z tymi samymi problemami i przejmujących się tymi samymi rzeczami, żeby czuć się trochę mniej osamotnionym i trochę bardziej normalnym.

Tu właśnie pojawia się kłopot z bardzo małymi klasami, twierdzi Levin. Kiedy liczba uczniów w klasie jest zbyt mała, szanse, że dzieci będą otoczone masą krytyczną innych, podobnych do siebie osób, zaczynają drastycznie spadać. Zdaniem Levina zbyt daleko posunięta redukcja liczebności klas „zabiera słabszym uczniom kolegów na podobnym poziomie, od których się uczą”.

Rozumiecie, dlaczego Teresa DeBrito martwiła się sytuacją w Shepaug Valley? Jest dyrektorką szkoły, gdzie uczą się dzieci właśnie w tym wieku, w którym zaczyna się trudne wejście w okres dojrzewania. Nastoletni uczniowie są nieśmiali, skrępowani i boją się, żeby nie wyjść na przemądrzałego kujona. Doprowadzenie do tego, żeby się zaangażowali, żeby wyszli poza proste odpowiadanie na pytania nauczyciela, może być, jak stwierdziła DeBrito, „drogą przez mękę”. Chciała, żeby w klasach w jej szkole było dużo interesujących, różnorodnych głosów, a także by panowała w nich ekscytacja, jaką niesie ze sobą masa krytyczna uczniów zmagających się z tym samym problemem. Jak to osiągnąć w klasie świecącej pustkami? „Im więcej mamy uczniów – ciągnęła DeBrito – tym bardziej różnorodne mogą być te klasowe dyskusje. W przypadku dzieci w tym wieku, jeśli grupa jest za mała, to jakby je zakneblować”. Nie powiedziała tego, ale można było sobie wyobrazić, że nie miałaby nic przeciwko temu, żeby ktoś wybudował wielkie osiedle na rozciągającej się za szkołą łące.

„Zaczynałam jako nauczycielka matematyki w szkole w Meriden – opowiadała DeBrito, przywołując miasto w innej części stanu, z mieszkańcami o średnich i niższych dochodach. – Największa klasa, jaką uczyłam, liczyła 29 dzieci. – Wspominała, jak było trudno, ile musiała włożyć pracy w zajmowanie się tyloma uczniami, w poznanie ich, w monitorowanie ich postępów. – Trzeba mieć oczy z tyłu głowy. Trzeba

słyszeć, co się dzieje w sali, kiedy zajmujesz się daną grupą. Musisz naprawdę panować nad sytuacją, kiedy masz tyle dzieciaków w klasie, żeby gdzieś tam, w rogu, któreś z nich nie gadały o czymś, co nie ma nic wspólnego z tematem zajęć".

Potem jednak przyznała mi się do czegoś. Naprawdę lubiła uczyć w tej klasie. Ten rok był jednym z najlepszych w jej karierze. Wielkim wyzwaniem dla kogoś, kto uczy matematyki dwunasto- i trzynastolatki, jest sprawienie, by ta nauka wydawała się ciekawa – a przy 29 osobach w klasie nikt się nie nudził. „Dzieciaki miały wokół siebie dużo więcej rówieśników, z którymi mogły pracować – stwierdziła. – Nie miały cały czas do czynienia tylko z jedną grupą. Było więcej możliwości zróżnicowania swoich doświadczeń. I na tym właśnie polega problem: co zrobić, żeby ożywić, wzbogacić lekcję i zaangażować dziecko, tak by uczniowie nie siedzieli tylko biernie w ławkach".

Czy chciała, żeby w każdej klasie w Shepaug znalazło się 29 osób? Oczywiście, że nie. DeBrito wiedziała, że jest dość oryginalna i że dla większości nauczycieli ideałem będzie mniej liczna klasa. Chciała tylko pokazać, że mamy obsesję na punkcie małych klas, bo koncentrujemy się na ich dobrych stronach, zapominając o tym, że duże klasy też mają swoje plusy. Czyż nie jest dziwna filozofia edukacyjna, w której inni uczniowie w klasie są traktowani jak konkurenci naszego dziecka rywalizujący z nim o uwagę nauczycielki, a nie jego sojusznicy, towarzysze w przygodzie, jaką jest nauka? Teresa DeBrito z nostalgią wspominała tamten rok w szkole w Meriden. „Lubię ten hałas. Lubię słyszeć, jak dzieciaki się spierają, dyskutują, współpracują. Ależ była zabawa".

Pół godziny drogi od Shepaug Valley, w miasteczku Lakeville w stanie Connecticut, mieści się szkoła o nazwie Hotchkiss. Uważa się ją za jedną

6 z najlepszych prywatnych szkół z internatem w Stanach Zjednoczonych. Roczne czesne wynosi prawie 50 000 dolarów. Na terenie szkoły znajdują się dwa jeziora, dwa lodowiska do hokeja, cztery teleskopy, pole golfowe i dwanaście fortepianów. I to nie byle jakich, ale, jak szkoła nie waha się podkreślić, steinwayów, najbardziej prestiżowych fortepianów na rynku[13]. Hotchkiss to placówka, która nie szczędzi wydatków na edukację swoich podopiecznych. Średnia liczba uczniów w klasie? Dwanaścioro. To, czego Teresa DeBrito się obawia, położony po sąsiedzku Hotchkiss reklamuje jako swoją największą zaletę, deklarując z dumą: „Oferujemy naukę w kameralnym, interaktywnym i przyjaznym środowisku”.

Dlaczego taka szkoła jak Hotchkiss stwarza sytuację, która w oczywisty sposób szkodzi jej uczniom? Być może dlatego, że nie myśli o uczniach, tylko o ich rodzicach, którzy uważają pole golfowe, fortepiany Steinway i małe klasy za dowód na to, iż dobrze wydali te 50 000 dolarów. Jednak lepsza odpowiedź brzmi: Hotchkiss wpadł po prostu w pułapkę, w którą aż nazbyt często wpadają bogaci ludzie, instytucje i kraje – czyli goliaci. Szkoła zakłada, że wszystko, co można kupić za mnóstwo pieniędzy, zawsze przekłada się na realne korzyści. Co oczywiście nie jest prawdą. Taka nauka płynie z krzywej dzwonowej. Dobrze być większym i silniejszym od przeciwnika. Nie najlepiej być tak dużym i silnym, że staje się łatwym celem dla pocisku wystrzelonego z prędkością 240 kilometrów na godzinę. Goliat nie osiągnął tego, co zamierzał, bo był za duży. Potentat z Hollywood nie wychowywał dzieci tak, jak by sobie życzył, bo był za bogaty. Hotchkiss nie jest taką szkołą, jaką chce być, bo ma w klasach za mało uczniów. Wszyscy zakładamy, że bycie większym, silniejszym i bogatszym zawsze leży w naszym interesie. Vivek Ranadivé, pasterz

imieniem Dawid oraz dyrektorka szkoły Shepaug Valley powiedzą wam, że tak być nie musi.

---

[8] Wyczerpującą analizę setek badań nad wpływem liczebności klas na wyniki w nauce przeprowadził ekonomista E. Hanushek w pracy *The Evidence on Class Size*. Twierdzi on: „Prawdopodobnie żaden inny aspekt szkolnictwa nie został zbadany tak gruntownie jak liczebność klas. Prace badawcze w tym zakresie są prowadzone od lat i nic nie wskazuje na to, by istniał jakikolwiek związek [liczby uczniów w klasie] z wynikami w nauce".

[9] Psycholodzy Barry Schwartz i Adam Grant twierdzą w błyskotliwie napisanej pracy, że właściwie prawie wszystkie istotne zjawiska opisuje krzywa dzwonowa: „W wielu dziedzinach psychologii okazuje się, że *X* podnosi *Y* do pewnego poziomu, a potem obniża *Y* […]. Nie ma czegoś takiego jak bezwzględne dobro. Wszystkie pozytywne cechy, stany i doświadczenia wiążą się z kosztami, które na pewnym etapie mogą zacząć przewyższać korzyści".

[10] Mój ojciec, który jest matematykiem i maniakiem ścisłości, ma na ten temat inne zdanie. Twierdzi, że zbytnio upraszczam sprawę. Krzywe dzwonowe składają się w istocie z czterech części. Pierwsza z nich ma charakter liniowy. W części drugiej „zależność liniowa zanika". To właśnie strefa malejących przychodów krańcowych. W trzeciej części dodatkowe środki nie mają wpływu na efekty. A w czwartej zwiększanie środków przynosi skutek odwrotny do zamierzonego. Jak pisze mój ojciec: „Pierwszą część krzywej można nazwać podstawą, a pozostałe łatwo zapamiętać – to słabnięcie, spłaszczenie i spadanie".

[11] Przykładem klasycznej krzywej dzwonowej jest zależność między spożyciem alkoholu a zdrowiem. Jeśli przejdziemy od całkowitej abstynencji do picia jednego kieliszka wina tygodniowo, będziemy żyli dłużej. Jeżeli będziemy pić dwa kieliszki na tydzień, to jeszcze wydłużymy sobie życie, a przy trzech kieliszkach – jeszcze trochę bardziej, i tak dalej, aż do około siedmiu kieliszków tygodniowo. (Ta ilość dotyczy mężczyzn, nie kobiet). To ta wznosząca część krzywej: im więcej, tym lepiej. Dalej następuje odcinek od, powiedzmy, siedmiu do czternastu kieliszków tygodniowo. W tym przedziale zwiększenie ilości wypijanego wina już nam nie pomaga, ale też nam szczególnie nie szkodzi. To środkowa część krzywej. W końcu przechodzimy do jej prawej strony: części opadającej. Tutaj przekraczamy czternaście kieliszków wina tygodniowo, a im więcej pijemy, tym bardziej skracamy sobie życie. Alkohol nie jest sam w sobie dobry, zły czy neutralny. Picie zaczyna się dobrze, staje się neutralne, a kończy się źle.

[12] Oczywisty wyjątek: dzieci z poważnymi zaburzeniami behawioralnymi lub trudnościami w uczeniu się. W przypadku uczniów ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi krzywa dzwonowa jest przesunięta daleko w prawo.

[13] Chociaż strona internetowa Hotchkiss podaje, że szkoła ma dwanaście fortepianów Steinway, w innym miejscu jej dyrektor muzyczny stwierdził, że właściwie mają ich dwadzieścia – a do tego jeszcze instrument firmy Fazioli, będący rolls-royce’em wśród fortepianów koncertowych. To w sumie ponad milion dolarów wydanych na fortepiany. Walczyk zagrany w sali muzycznej Hotchkiss zabrzmi naprawdę dobrze.

ROZDZIAŁ 3
CAROLINE SACKS

„Gdybym poszła na Uniwersytet Maryland, nadal studiowałabym nauki ścisłe”.

1 Sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy Paryż stanowił centrum świata sztuki, w Café Guerbois w dzielnicy Batignolles zbierała się co wieczór pewna grupa malarzy. Jej nieformalnym przywódcą był Édouard Manet, jeden z najstarszych i najbardziej uznanych członków, przystojny, towarzyski trzydziestolatek, zawsze modnie ubrany i czarujący wszystkich wokół swoją energią i humorem. Wielkim przyjacielem Maneta był Edgar Degas. Należał do nielicznych osób, które mogły mierzyć się z Manetem intelektualnie. Łączył ich ognisty temperament i cięty język, więc czasem wdawali się w zażarte kłótnie. Paul Cézanne, wysoki i szorstki w obejściu, siadywał markotnie w rogu, w spodniach związanych sznurkiem. „Nie podaję ci ręki – powiedział kiedyś do Maneta, zanim zaszył się w swoim kącie. – Od ośmiu dni się nie myłem”. Claude Monet, uparty egocentryk, był synem sklepikarza i nie miał tak dobrego wykształcenia jak niektórzy z pozostałych członków grupy. Przyjaźnił się z „beztroskim urwisem” Pierre-Auguste’em Renoirem, który przez cały okres trwania tej przyjaźni namalował jedenaście portretów Moneta. Moralnym kompasem grupy był Camille Pissarro: zaangażowany politycznie, lojalny i pryncypialny. Nawet Cézanne – człowiek zrzędliwy i wyobcowany – go uwielbiał. Wiele lat później będzie mówił o sobie: „Cézanne, uczeń Pissarra”.

Ta grupa niezwykłych malarzy z czasem zapoczątkuje nowoczesną sztukę, tworząc ruch zwany impresjonizmem. Malowali siebie nawzajem, rozstawiali koło siebie sztalugi i wspierali się emocjonalnie i finansowo, a dziś ich obrazy wiszą we wszystkich najważniejszych muzeach świata. Ale w latach sześćdziesiątych XIX wieku dopiero walczyli o uznanie i z trudem wiązali koniec z końcem. Monet nie miał grosza przy duszy. Renoir musiał mu kiedyś przynieść chleb, żeby nie umarł z głodu. Jemu samemu nie wiodło się zresztą lepiej. Nie miał nawet pieniędzy na znaczki pocztowe. Właściwie żaden marszand nie był zainteresowany ich obrazami. Kiedy krytycy sztuki wspominali o impresjonistach – a krytyków było wtedy w Paryżu zatrzęsienie – to zwykle po to, żeby ich zdeprecjonować. Manet z przyjaciółmi siedzieli w wyłożonej ciemną boazerią Café Guerbois, przy stolikach z marmurowymi blatami, na lichych metalowych krzesłach, jedli, pili i dyskutowali o polityce, literaturze i sztuce, a zwłaszcza o swojej karierze – bo wszyscy impresjoniści zmagali się z jedną kluczową kwestią: co zrobić z Salonem?

W XIX wieku sztuka odgrywała olbrzymią rolę w życiu kulturalnym Francji. Malarstwo regulował organ administracji rządowej – Ministerstwo Domu Cesarskiego i Sztuk Pięknych – i uważano je za prestiżowy zawód wymagający odpowiednich kwalifikacji, tak jak dzisiejsze prawo czy medycyna. Obiecujący malarz zaczynał w École Nationale Supérieure des Beaux-Arts w Paryżu, gdzie odbierał staranną, formalną edukację, przechodząc stopniowo od kopiowania rysunków do malowania modeli z natury. Na każdym etapie kształcenia odbywały się konkursy. Ci, którym poszło w nich kiepsko, odpadali. Ci, którym poszło dobrze, zdobywali nagrody i prestiżowe stypendia, zaś ukoronowaniem malarskich osiągnięć był Salon, najważniejsza wystawa sztuki w całej Europie.

Co roku każdy francuski malarz przedstawiał jury ekspertów dwa lub trzy swoje najlepsze płótna. Termin upływał 1 kwietnia. Artyści z całego świata pchali załadowane obrazami wózki po brukowanych uliczkach Paryża, by zawieźć swoje prace do Palais de l'Industrie, hali wystawowej zbudowanej na paryską wystawę światową między Polami Elizejskimi a Sekwaną. Przez kilka następnych tygodni jury poddawało pod głosowanie każdy obraz. Na tych, które uznano za nie do przyjęcia, przybijano stempel z czerwoną literą „R", oznaczającą „odrzucone" (*refusé*). Zaakceptowane prace wieszano na ścianach Palais. Wystawę otwierano na początku maja i przez następnych sześć tygodni odwiedzało ją nawet milion ludzi, przepychając się w tłumie do prac największych, najbardziej znanych artystów i wyśmiewając malowidła, które nie spodobały się publiczności. Najlepsze prace nagradzano medalami. Zwycięzcy zyskiwali sławę, a wartość ich obrazów gwałtownie rosła. Przegrani wracali do domu ze zwieszoną głową i zabierali się od nowa do pracy.

„W Paryżu jest ledwie piętnastu miłośników sztuki zdolnych do zachwycenia się obrazem bez aprobaty Salonu – stwierdził kiedyś Renoir. – A 80 000 nie kupi nawet kawałka pracy malarza, który tam nie wystawia". Renoir tak się denerwował Salonem, że któregoś roku poszedł do Palais de l'Industrie podczas obrad jury i czekał na zewnątrz w nadziei, że dowie się wcześniej, czy się dostał, czy nie. Jednak później, onieśmielony, przedstawił się jako przyjaciel Renoira. Inny stały bywalec Café Guerbois, Frédéric Bazille, wyznał kiedyś: „Potwornie się boję, że zostanę odrzucony". Kiedy malarz Jules Holtzapffel nie został przyjęty do Salonu w 1866 roku, strzelił sobie w głowę. „Członkowie jury mnie odrzucili. A zatem nie mam talentu – napisał w liście pożegnalnym. – Muszę umrzeć". Dla malarza w dziewiętnastowiecznej Francji Salon był

wszystkim, a dla grupy impresjonistów stanowił istotną kwestię dlatego, że jury Salonu raz za razem odprawiało ich z kwitkiem.

Salon miał tradycyjne podejście. „Obrazy miały być namalowane precyzyjnie, z zachowaniem mikroskopijnych szczegółów, z zastosowaniem właściwej perspektywy i wszystkich znanych artystycznych konwencji, odpowiednio wykończone i oprawione – pisze historyczka sztuki Sue Roe. – Światło dodawało dramatyzmu, ciemność sugerowała powagę. W malarstwie narracyjnym przedstawiana scena powinna być nie tylko oddana trafnie i dokładnie, ale także utrzymana w moralnie dopuszczalnym tonie. Popołudnie w Salonie było jak wieczór w Operze Paryskiej: publiczność oczekiwała rozrywki i podniesienia na duchu. Widzowie w większości wiedzieli, co im się podoba, i chcieli oglądać to, co już znają”. Jak twierdzi Roe, medale zdobywały ogromne, namalowane z pietyzmem obrazy przedstawiające sceny z historii Francji lub mitologii, z końmi i wojskiem albo pięknymi kobietami, o takich tytułach jak *Pożegnanie z żołnierzem*, *Młoda kobieta płacząca nad listem* czy *Porzucona niewinność*.

Impresjoniści mieli zupełnie inny pogląd na to, czym jest sztuka. Malowali sceny z codziennego życia. Pociągnięcia pędzla były w ich pracach widoczne. Postacie niewyraźne. Członkom jury Salonu i odwiedzającym coroczną wystawę tłumom ich obrazy wydawały się amatorskie czy wręcz szokujące. W 1865 roku Salon niespodziewanie przyjął obraz Maneta zatytułowany *Olimpia*, przedstawiający prostytutkę, który wywołał oburzenie w całym Paryżu. Trzeba było wystawić przy nim straże, żeby nie dopuścić publiczności za blisko. „Dominowała atmosfera histerii, a nawet strachu – pisze historyk Ross King. – Niektórzy widzowie ulegali »epidemii szaleńczego śmiechu«, podczas gdy inni, głównie kobiety, z lękiem odwracały wzrok od obrazu”. W 1868 roku Renoirowi,

Bazille’owi i Monetowi udało się wystawić swoje prace w Salonie. Jednak w połowie trwającej sześć tygodni wystawy usunięto je z głównych sal i powieszono w *dépotoir* – czyli „śmietniku” – ciasnym, ciemnym pomieszczeniu na tyłach budynku, dokąd przenoszono obrazy uważane za nieudane. Równie dobrze mogłyby wcale nie zostać przyjęte.

Salon był najważniejszą wystawą malarstwa na świecie. Wszyscy w Café Guerbois się co do tego zgadzali. Jednak akceptacja Salonu wiązała się z pewnym kosztem: wymagała tworzenia sztuki, której oni nie uważali za istotną, a jednocześnie ryzykowali, że ich obrazy utoną w zalewie prac innych artystów. Czy Salon był tego wart? Każdego wieczoru impresjoniści spierali się o to, czy powinni dalej pukać do jego drzwi, czy postawić na samodzielność i zorganizować własną wystawę. Czy chcą być małymi płotkami w dużym stawie, czy grubymi rybami w małym, który sami wybiorą.

W końcu impresjoniści podjęli właściwą decyzję i między innymi dlatego ich obrazy wiszą dziś w każdym ważnym muzeum sztuki na świecie. Stale jednak spotykamy się z takim samym dylematem w swoim życiu i często nie dokonujemy tak mądrego wyboru. Krzywa dzwonowa przypomina nam, że w pewnym momencie pieniądze i zasoby przestają poprawiać naszą sytuację, a wręcz zaczynają ją pogarszać. Historia impresjonistów podsuwa nam drugi, bardzo podobny problem. Chcemy osiągać najlepsze wyniki i przywiązujemy ogromną wagę do tego, by dostać się do najznakomitszych instytucji. Rzadko jednak zastanawiamy się – wzorem impresjonistów – czy miejsce w najbardziej prestiżowej instytucji zawsze leży w naszym interesie. Można przytoczyć tu wiele różnych przykładów, ale trudno o przykład bardziej wymowny niż nasze podejście do kwestii wyboru uczelni, na której będziemy studiować.

2

Caroline Sacks[14] wychowała się na najdalszych obrzeżach waszyngtońskiej metropolii. Chodziła do publicznych szkół aż do końca liceum. Jej matka jest księgową, a ojciec pracuje w firmie technologicznej. W dzieciństwie śpiewała w chórze kościelnym, uwielbiała też pisać i rysować. Jednak najbardziej fascynowała ją przyroda.

„Ciągle czołgałam się w trawie z lupą i szkicownikiem, żeby obserwować różne robaki i je rysować – mówi Sacks. Jest inteligentną i elokwentną młodą kobietą, szczerą i bezpośrednią. – Strasznie kręciły mnie owady. I rekiny. Więc przez pewien czas myślałam, że zostanę weterynarzem albo ichtiologiem. Moją bohaterką była Eugenie Clark. To pierwsza kobieta, która nurkowała, badaczka rekinów. Pochodziła z Nowego Jorku, z rodziny imigrantów, a w końcu została jednym z najlepszych naukowców w swojej dziedzinie, mimo że rzucano jej kłody pod nogi typu: »Jesteś kobietą, nie możesz nurkować w oceanie«. Uważałam, że jest wspaniała. Mój tata ją poznał i zdobył dla mnie jej zdjęcie z autografem, a ja skakałam z radości. Nauki przyrodnicze zawsze zajmowały ważne miejsce w moim życiu”.

W szkole średniej Sacks radziła sobie śpiewająco, miała najlepsze oceny w klasie. Jeszcze jako licealistka poszła na zajęcia z politologii w pobliskim college’u, a także z rachunku różniczkowego funkcji wielu zmiennych w miejscowej publicznej szkole pomaturalnej, tak zwanym community college. Oba kursy zaliczyła na piątkę, podobnie jak wszystkie przedmioty, których uczyła się w liceum. Zdobyła maksymalną liczbę punktów na każdym przygotowującym do studiów kursie dla zaawansowanych uczniów.

Podczas wakacji przed klasą maturalną ojciec zabrał ją na ekspresową wycieczkę po amerykańskich uniwersytetach. „W ciągu chyba trzech dni odwiedziliśmy pięć uczelni – opowiada Caroline. – Wesleyan, Brown,

Providence College, Boston College i Yale. Wesleyan mi się podobał, ale był bardzo mały. Yale był fajny, ale zdecydowanie nie pasowałam do tamtego klimatu”. Natomiast Uniwersytet Browna w Providence w stanie Rhode Island podbił jej serce. To niewielka, ekskluzywna uczelnia położona w dziewiętnastowiecznej dzielnicy georgiańskich i kolonialnych budynków z czerwonej cegły, na szczycie wzgórza o łagodnych stokach. Może się poszczycić najpiękniejszym chyba uniwersyteckim kampusem w Stanach Zjednoczonych. Caroline złożyła papiery do Browna, a jako opcję rezerwową wybrała Uniwersytet Maryland. Kilka miesięcy później przyszedł list z jej wymarzonej uczelni. Dostała się.

„Spodziewałam się, że wśród studentów Browna będą sami bogacze, światowcy i ludzie z ogromną wiedzą – wspomina. – A kiedy zjawiłam się na uczelni, wszyscy wydawali się zupełnie tacy sami jak ja: pełni ciekawości, trochę zdenerwowani i podekscytowani, niepewni, czy znajdą tu przyjaciół. Bardzo mi to dodało otuchy”. Najtrudniej było wybrać zajęcia, bo wszystko jej się podobało. W końcu zdecydowała się na wprowadzenie do chemii, hiszpański, ewolucję języka i botaniczne korzenie współczesnej medycyny, kurs, który, jak opisuje Caroline, traktował „trochę o botanice, a trochę o medycznych zastosowaniach roślin i ich chemicznych podstawach”. Była w siódmym niebie.

3

Czy Caroline Sacks dokonała właściwego wyboru? Większość z nas powiedziałaby, że tak. Podczas ekspresowego objazdu uczelni ze swoim ojcem ułożyła sobie ranking oglądanych college’ów, od najlepszego do najgorszego. Uniwersytet Browna znalazł się na pierwszym miejscu. Natomiast Uniwersytet Maryland wybrała jako rezerwowy właśnie dlatego, że w ogóle nie mógł się równać z Brownem. Brown należy do Ivy League, ośmiu najstarszych i najbardziej renomowanych uniwersytetów

w Stanach Zjednoczonych. Ma więcej środków finansowych niż Uniwersytet Maryland, lepszych studentów, większy prestiż i kadrę akademicką mogącą poszczycić się większymi osiągnięciami. W rankingach amerykańskich uczelni publikowanych co roku w piśmie „U.S. News & World Report” Brown zawsze plasuje się w pierwszej dziesiątce lub dwudziestce. Uniwersytet Maryland zajmuje znacznie niższą pozycję.

Rozważmy jednak decyzję Caroline z takiej perspektywy, z jakiej impresjoniści patrzyli na Salon. Uczestnicy niekończących się dyskusji w Café Guerbois rozumieli, że wybór między Salonem a samodzielną wystawą nie jest prostą alternatywą: albo najlepsza opcja, albo ta trochę gorsza. Był to wybór pomiędzy dwiema bardzo różnymi możliwościami, z których każda miała swoje plusy i minusy.

Salon przypominał w dużej mierze uczelnię z Ivy League. Był miejscem, w którym zdobywało się renomę. A o jego wyjątkowym charakterze decydowała ścisła selekcja. W latach sześćdziesiątych XIX wieku we Francji było około 3000 malarzy o „ogólnokrajowej sławie” i każdy z nich zgłaszał na tę najważniejszą wystawę dwie lub trzy swoje najlepsze prace, a więc jury przebierało w całej górze płócien. Odrzucenie obrazu było normą. Dostanie się do Salonu – wyczynem. „Salon to prawdziwe pole bitwy – stwierdził Manet. – To tutaj trzeba się sprawdzić”. Spośród wszystkich impresjonistów to on był najbardziej przekonany o wartości Salonu. Krytyk sztuki Théodore Duret, także należący do kręgu bywalców kawiarni Guerbois, podzielał jego zdanie. „Masz do zrobienia jeszcze jeden krok – pisał Duret do Pissarra w 1874 roku. – Mianowicie przebić się do świadomości widzów i zyskać akceptację marszandów oraz miłośników sztuki […]. Nalegam, byś wystawiał; musi ci się udać wywołać

szum, odpierać i przyciągać krytykę, stanąć twarzą w twarz z szeroką publicznością”.

Jednak to samo, co decydowało o atrakcyjności Salonu – ostra selekcja i wysoki prestiż – jednocześnie tworzyło problemy. Palais de l’Industrie był ogromnym budynkiem o długości 300 metrów, a jego główna sala miała wysokość dwóch pięter. Na wystawę przyjmowano zazwyczaj od 3000 do 4000 obrazów, które wieszano w czterech rzędach, od parteru aż do samego sufitu. Tylko płótna, które spotkały się z jednogłośną aprobatą jury, wisiały na wysokości wzroku. Jeśli czyjaś praca została umieszczona w najwyższym rzędzie, właściwie nie dało się jej obejrzeć. (Jeden z obrazów Renoira powieszono kiedyś tuż pod sufitem w *dépotoir*). Każdy malarz mógł zgłosić najwyżej trzy prace. Tłumy zwiedzających często przytłaczały. Salon był wielkim stawem, ale bardzo trudno było stać się w nim kimś więcej niż małą płotką.

Pissarro i Monet nie zgadzali się z Manetem. Uważali, że sensowniej być dużą rybą w małym stawie. Gdyby zorganizowali własną wystawę, twierdzili, nie ograniczałyby ich restrykcyjne zasady Salonu, gdzie *Olimpia* wywołała skandal, a medale zgarniały obrazy przedstawiające żołnierzy i płaczące kobiety. Mogliby malować wszystko, co tylko by chcieli. Nie przepadliby też w tłumie, bo nie byłoby tłumu. W 1873 roku Pissarro i Monet zaproponowali, by impresjoniści założyli grupę pod nazwą Société Anonyme Coopérative des Artistes Peintres, Sculpteurs, Graveurs (Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością artystów, malarzy, rzeźbiarzy, rytowników). Bez konkursu, bez jury, bez medali. Każdy artysta miał być traktowany na równych prawach. Do stowarzyszenia przystąpili wszyscy oprócz Maneta.

Grupa znalazła przestrzeń wystawową przy bulwarze Kapucynów, na ostatnim piętrze budynku, właśnie opuszczonym przez fotografa, który miał

tu swoje atelier. Tworzyło je kilka niewielkich pomieszczeń z czerwono-brązowymi ścianami. Wystawa impresjonistów została otwarta 15 kwietnia 1874 roku i trwała miesiąc. Wstęp kosztował 1 franka. Pokazano 165 dzieł sztuki, w tym trzy prace Cezanne’a, dziesięć obrazów Degasa, dziewięć Moneta, pięć Pissarra, sześć Renoira i pięć Alfreda Sisleya – zaledwie niewielki ułamek tego, co wisiało na ścianach Salonu w innej części miasta. Na swojej wystawie impresjoniści mogli zaprezentować tyle płócien, ile chcieli, i powiesić je tak, żeby publiczność mogła je rzeczywiście obejrzeć. „Prace impresjonistów tonęły w masie obrazów w Salonie, nawet kiedy zostały przyjęte – piszą historycy sztuki Harrison White i Cynthia White. – Na […] niezależnej wystawie grupowej mogły przyciągnąć uwagę opinii publicznej”.

Wystawę odwiedziło 35 000 ludzi – 175 pierwszego dnia, co wystarczyło, by wzbudzić zainteresowanie krytyków artystami. Nie wszystkie reakcje były pozytywne: jeden z krążących żartów mówił, że impresjoniści ładują pistolet farbą i strzelają nią na płótno. Była to jednak druga strona medalu dla tych, którzy zdecydowali się zostać dużymi rybami w małym stawie. Osoby z zewnątrz mogły nimi gardzić, ale taki mały staw jest przyjemnym miejscem dla swoich mieszkańców. Mogą oni liczyć na wsparcie wynikające z przyjaźni i poczucia wspólnoty, a na nowatorstwo i indywidualność patrzy się tu przychylnie. „Zaczynamy tworzyć sobie niszę – pisał pełen nadziei Pissarro do jednego z przyjaciół. – Udało się nam, intruzom, wywiesić nasz mały sztandar pośród tłumu”. Twierdził, że ich wyzwanie polega na „dalszym rozwoju bez przejmowania się opinią”. Miał rację. Sami, impresjoniści znaleźli nową tożsamość. Poczuli świeży powiew wolności twórczej i nie minęło wiele czasu, a zwróciły się na nich oczy świata. W historii sztuki nowoczesnej nie było ważniejszej ani słynniejszej wystawy. Gdybyśmy dziś próbowali kupić obrazy pokazane

wtedy na ostatnim piętrze przy bulwarze Kapucynów, kosztowałoby to nas ponad miliard dolarów.

Przykład impresjonistów uczy nas, że czasem lepiej być dużą rybą w małym stawie niż płotką w dużym, bo pozorna słabość wynikająca z pozycji outsidera okazuje się wcale nią nie być, kiedy znajdziemy się w tym „drugoplanowym" świecie. Pissarro, Monet, Renoir i Cézanne położyli na jednej szali prestiż i selekcję, a na drugiej możliwość pokazania się w pełnej krasie oraz wolność, i stwierdzili, że koszty pływania w wielkim stawie są zbyt wysokie. Caroline Sacks stanęła przed takim samym wyborem. Mogła być dużą rybą na Uniwersytecie Maryland albo płotką na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni na świecie. Wybrała Salon zamiast trzech pokojów przy bulwarze Kapucynów – i zapłaciła za to wysoką cenę.

4

Kłopoty Caroline Sacks zaczęły się w letnim semestrze na pierwszym roku, kiedy zapisała się na chemię. Teraz zdaje sobie sprawę, że pewnie przesadziła z liczbą kursów i miała za dużo zajęć dodatkowych. Kiedy zobaczyła swoją ocenę z trzeciego egzaminu śródsemestralnego z chemii, załamała się. Poszła porozmawiać z wykładowcą. „Kazał mi zrobić parę ćwiczeń i powiedział: »No cóż, ma pani fundamentalne braki w niektórych z tych zagadnień, więc właściwie radziłbym, żeby zrezygnowała pani teraz z moich zajęć, nie podchodziła do egzaminu końcowego i powtórzyła ten kurs w następnym semestrze«". Caroline posłuchała jego rady. Zapisała się na chemię ponownie w semestrze zimowym drugiego roku. Poprawa była jednak niewielka. Dostała słabą czwórkę. Była wstrząśnięta. „Nigdy wcześniej nie dostałam tak niskiej oceny z ważnego egzaminu – powiedziała. – Zawsze zdawałam celująco. W dodatku powtarzałam te zajęcia, już jako studentka drugiego

roku, a większość mojej grupy była z pierwszego semestru pierwszego roku. Dość zniechęcające doświadczenie”.

Kiedy przyjęto ją do Browna, wiedziała, że nie będzie tu tak jak w liceum. Nie może tak być. Nie będzie już najmądrzejszą dziewczyną w klasie – pogodziła się z tym faktem. „Uznałam, że choćbym się nie wiem jak przygotowała, zawsze znajdą się osoby, które uczyły się rzeczy, o jakich ja nawet nie słyszałam. Starałam się więc nie podchodzić do tego naiwnie”. Jednak chemia przeszła jej najśmielsze oczekiwania. Studenci w jej grupie stawiali na rywalizację. „Trudno mi było nawet z nimi rozmawiać. Nie chcieli powiedzieć mi, jak organizują sobie naukę ani jakie mają sposoby, żeby lepiej zrozumieć to, czego się uczą, bo jeszcze by mi pomogli i zyskałabym przewagę”.

W letnim semestrze drugiego roku studiów zaczęła chemię organiczną – i było jeszcze gorzej. Zupełnie sobie nie radziła. „Zapamiętujesz, jak działa dana reguła, a potem dają ci jakąś cząsteczkę, której nigdy wcześniej nie widziałeś, i każą zbudować inną cząsteczkę, której też nigdy nie widziałeś – masz dojść od jednej do drugiej. Są ludzie, którzy po prostu myślą w taki sposób i w ciągu pięciu minut mają gotową odpowiedź. Inni ogromnym wysiłkiem potrafią się wytrenować, żeby tak myśleć. Ja włożyłam w to mnóstwo pracy i nigdy tego nie opanowałam”. Prowadzący zadawał pytanie, wokół Caroline rósł las rąk, a ona siedziała w milczeniu i słuchała błyskotliwych odpowiedzi wszystkich pozostałych studentów. „Miałam przytłaczające poczucie niższości”.

Któregoś dnia siedziała do późna, przygotowując się do powtórki z chemii organicznej. Była nieszczęśliwa i zła. Nie chciała uczyć się chemii o trzeciej nad ranem, kiedy cała ta nauka najwyraźniej na nic się nie zdawała. „To chyba wtedy zaczęłam myśleć, że może powinnam dać sobie spokój” – stwierdziła. Miała dość.

Tragiczne było to, że Sacks uwielbiała nauki ścisłe. Kiedy mówiła o porzuceniu swojej pierwszej miłości, opłakiwała wszystkie przedmioty, których bardzo chciałaby się uczyć, ale teraz już nie będzie mogła – fizjologię, choroby zakaźne, biologię, matematykę. Podczas wakacji po drugim roku zadręczała się swoją decyzją. „Kiedy byłam mała, napawało mnie wielką dumą to, że mogę powiedzieć: »Jestem siedmioletnią dziewczynką i uwielbiam robaki! I chcę je badać, i ciągle o nich czytam, rysuję je w szkicowniku, podpisuję różne części ich ciała i wiem, gdzie żyją i co robią«. Później mówiłam: »Strasznie mnie interesują ludzie i to, jak działa ludzkie ciało, czy to nie jest niesamowite?«. Z deklaracją »Jestem dziewczyną zafascynowaną naukami ścisłymi« na pewno wiąże się pewna duma. To niemal wstyd, że się od tego odwracam i mówię: »No dobra, zajmę się czymś łatwiejszym, bo nie mogę znieść presji«. Przez pewien czas patrzyłam na to tylko pod tym kątem – że poniosłam całkowitą klęskę. To był mój cel, a ja nie umiałam go osiągnąć”.

To, na jaką ocenę Sacks zaliczyła chemię organiczną, nie powinno mieć znaczenia, prawda? Nie chciała być chemiczką. To były tylko jedne zajęcia. Dla mnóstwa ludzi chemia organiczna okazuje się skrajnie trudna. Studenci wybierający się na medycynę często chodzą na letnie kursy z tego przedmiotu w innym college’u, tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy. W dodatku Caroline studiowała chemię na niezwykle wymagającym uniwersytecie, na którym panowała ostra rywalizacja. Gdybyśmy mieli oceniać wszystkich studentów na świecie mających zajęcia z chemii organicznej, Sacks prawdopodobnie znalazłaby się w 99 percentylu.

Problem polegał jednak na tym, że Sacks nie porównywała się do wszystkich studentów na świecie uczących się chemii organicznej. Porównywała się ze swoimi kolegami z Browna. Była płotką w jednym z najgłębszych stawów w kraju, gdzie rywalizacja była bezwzględna,

a porównywanie się z wszystkimi innymi genialnymi rybami zachwiało jej pewnością siebie. Czuła się głupia, chociaż wcale głupia nie jest. „O rany, inni mają to w małym palcu, nawet ci, którzy na początku byli tak samo ciemni jak ja, tylko że ja najwyraźniej nie potrafię nauczyć się myśleć w ten sposób”.

5

Caroline Sacks doświadczała tak zwanej deprywacji względnej. Termin ten wprowadził socjolog Samuel Stouffer podczas drugiej wojny światowej. Armia USA zleciła mu zbadanie postaw i morale amerykańskich żołnierzy. Stouffer przeprowadził ankiety wśród pół miliona mężczyzn i kobiet, pytając o wszystko, od postrzegania dowódców przez żołnierzy przez odczucia czarnoskórych wojskowych co do sposobu ich traktowania po kwestię trudności służby w odizolowanych placówkach.

Jedno z poruszonych przez Stouffera zagadnień wyraźnie się jednak wyróżniało. Zapytał żołnierzy, zarówno tych służących w żandarmerii wojskowej, jak i tych z Korpusu Powietrznego (przemianowanego później na Siły Powietrzne), czy ich zdaniem ich formacja dobrze się spisuje, jeśli chodzi o uznanie zasług i awansowanie najzdolniejszych. Wynik był jednoznaczny. Żandarmi mieli znacznie bardziej pozytywne zdanie na temat swojej organizacji niż żołnierze lotnictwa.

Na pierwszy rzut oka nie miało to sensu. Odsetek awansów w żandarmerii wojskowej był jednym z najniższych w całych siłach zbrojnych. W Korpusie Powietrznym – jednym z najwyższych. Szeregowy rozpoczynający służbę w lotnictwie miał dwa razy większe szanse na zdobycie szlif oficerskich niż żołnierz żandarmerii. Dlaczego w takim razie żandarmi mieliby być bardziej zadowoleni? Słynne już wyjaśnienie Stouffera brzmiało: żandarmi porównywali się tylko do innych żandarmów. Jeśli ktoś w żandarmerii wojskowej dostawał awans, było to taką

rzadkością, że budziło wielką radość. Jeśli natomiast żandarm nie awansował, jechał na tym samym wózku co większość jego kolegów – szczególnie go to więc nie martwiło.

„Porównajmy go z członkiem Korpusu Powietrznego, mającym takie samo wykształcenie i staż – pisał Stouffer. Lotnik miał więcej niż 50 procent szans, że dochrapie się stopnia oficera. – Jeśli awansował, był w takiej samej sytuacji jak większość jego formacji, więc jego osiągnięcie rzucało się w oczy mniej niż w żandarmerii. Jeśli mu się nie udało, a większość odniosła sukces, miał więcej powodów, żeby czuć osobistą frustrację, która mogła znaleźć wyraz w postaci krytyki systemu awansowania”.

Stouffer wskazuje, że tworzymy swoje wrażenia nie w skali globalnej, umieszczając siebie samych w jak najszerszym kontekście, ale w skali lokalnej – porównując się z ludźmi „znajdującymi się w tej samej sytuacji co my”. Nasze poczucie deprywacji – czyli tego, że jesteśmy czegoś pozbawieni, a więc gorsi – jest względne. To jedna z tych obserwacji, które są jednocześnie oczywiste i (po przeanalizowaniu) bardzo głębokie, pozwalająca wyjaśnić najróżniejsze zastanawiające spostrzeżenia. Jak myślisz, na przykład, w których krajach jest większy odsetek samobójstw: w tych, których mieszkańcy deklarują, że są bardzo szczęśliwi, takich jak Szwajcaria, Dania, Islandia, Holandia i Kanada? Czy w takich jak Grecja, Włochy, Portugalia i Hiszpania, których obywatele opisują siebie jako nieszczególnie szczęśliwych? Odpowiedź: w tych tak zwanych oazach szczęśliwości. Mamy tu do czynienia z takim samym zjawiskiem jak w przypadku żandarmerii wojskowej i lotnictwa. Jeśli ktoś cierpi na depresję tam, gdzie większość ludzi jest raczej nieszczęśliwa, porównuje się z osobami ze swojego otoczenia i nie czuje się aż tak źle. Czy wyobrażasz

sobie jednak, jak trudno musi być przygnębionej jednostce w kraju, w którym wszyscy inni chodzą uśmiechnięci od ucha do ucha?[15]

Decyzja Caroline Sacks, by oceniać się na tle swojej grupy na zajęciach chemii organicznej, nie była więc zachowaniem dziwnym ani nieracjonalnym. Człowiek tak już postępuje. Porównujemy się z tymi, którzy znajdują się w sytuacji podobnej do naszej, co oznacza, że uczniowie elitarnej szkoły – może poza tymi najlepszymi – będą zmagać się z presją, której nie odczuwaliby przy mniej zaciętej rywalizacji. Odsetek samobójstw jest wyższy wśród mieszkańców szczęśliwych krajów niż w krajach nieszczęśliwych, bo patrzą oni na uśmiechnięte twarze wokół i ten ogromny kontrast ich przytłacza. A jak mają czuć się uczniowie świetnych szkół, kiedy wokół widzą samych genialnych kolegów?

Zjawisko deprywacji względnej w odniesieniu do edukacji nazywamy – całkiem trafnie – efektem wielkiej ryby w małym stawie (Big Fish Little Pond Effect). Im bardziej elitarna jest dana instytucja edukacyjna, tym gorzej uczniowie lub studenci oceniają swoje zdolności akademickie. Ci, którzy w dobrej szkole należeliby do najlepszych w klasie, w szkole bardzo dobrej mogą znaleźć się wśród najsłabszych. Ci, którzy w dobrej szkole czuliby, że opanowali dany przedmiot do perfekcji, w szkole bardzo dobrej mogą odnieść wrażenie, że mają w nim coraz większe zaległości. I to poczucie – chociaż może być subiektywne i absurdalne – ma istotne znaczenie. To, jak sami postrzegamy własne zdolności – nasza akademicka samoocena – w kontekście całej klasy kształtuje naszą gotowość do podejmowania wyzwań i doprowadzania trudnych zadań do końca. To kluczowy element naszej motywacji i pewności siebie.

Teorię wielkiej ryby w małym stawie zaproponował psycholog Herbert Marsh. Jego zdaniem większość rodziców i uczniów dokonuje szkolnych wyborów, kierując się niewłaściwymi przesłankami. „Wielu ludzi myśli, że

pójście do szkoły, do której trudno się dostać, stawiającej uczniom wysokie wymagania, będzie dla tych uczniów dobre – stwierdził Marsh. – A to nieprawda. W rzeczywistości będą oni mieli różne, mieszane doświadczenia. Kiedy mieszkałem w Sydney – ciągnie – w mieście było kilka szkół publicznych z ostrą selekcją, jeszcze bardziej prestiżowych niż elitarne szkoły prywatne. Testy, które trzeba było zdać, żeby się do nich dostać, były niezwykle trudne. W okresie egzaminów wstępnych do tych szkół zawsze dzwonił do mnie »Sydney Morning Herald«, największa miejscowa gazeta, z prośbą o komentarz. Tak było co roku i zawsze czułem presję, żeby powiedzieć coś nowego. W końcu powiedziałem więc coś, czego może nie powinienem był mówić: jeśli chcecie zobaczyć pozytywny wpływ elitarnych szkół na samoocenę, to badacie niewłaściwe osoby. Powinniście zająć się nie uczniami, ale rodzicami”.

Los Caroline Sacks staje się udziałem aż nazbyt wielu młodych ludzi. Ponad połowa amerykańskich studentów, którzy zaczynają naukę na kierunkach przyrodniczych, technicznych i matematycznych, rezygnuje po pierwszym lub drugim roku. Mimo że dyplom absolwenta studiów ścisłych jest chyba najcenniejszym atutem młodego człowieka we współczesnej gospodarce, wielu niedoszłych inżynierów i magistrów nauk przyrodniczych przenosi się na kierunki humanistyczne, gdzie standardy akademickie są niższe, a rywalizacja nie jest aż tak zacięta. To głównie dlatego w Stanach Zjednoczonych brakuje wykwalifikowanych naukowców i inżynierów wykształconych w Ameryce.

Aby przekonać się, kto rezygnuje – i dlaczego – przyjrzyjmy się statystykom dotyczącym kierunków ścisłych w Hartwick College w stanie Nowy Jork. To niewielka uczelnia, typowa dla północno-wschodnich Stanów Zjednoczonych.

Wszystkich studentów Hartwick specjalizujących się w naukach ścisłych i technicznych podzielono tu na trzy równe ilościowo grupy – najlepszą, średnią i najsłabszą – według ich wyników z matematycznej części SAT (Scholastic Assessment Test), egzaminu, na którego podstawie wiele amerykańskich college'ów decyduje o przyjęciu kandydata na studia. Na teście z matematyki można zdobyć maksymalnie 800 punktów[16].

Studenci ze specjalizacją w naukach ścisłych	Najlepsza 1/3	Średnia 1/3	Najsłabsza 1/3
Matematyka SAT	569	472	407

Jeśli oprzemy się na wynikach SAT, widać całkiem sporą różnicę w „surowych" uzdolnieniach matematycznych między najlepszymi a najsłabszymi studentami Hartwick.

Zobaczmy teraz, jaka część wszystkich dyplomów z nauk ścisłych przyznawanych przez tę uczelnię przypada na studentów z każdej z tych trzech grup.

Dyplomy z nauk ścisłych	Najlepsza 1/3	Średnia 1/3	Najsłabsza 1/3
Procent	55,0	27,1	17,8

Studentom należącym do górnej (najlepszej) jednej trzeciej przypada ponad połowa dyplomów z nauk ścisłych w Hartwick, zaś tym z dolnej jednej trzeciej – zaledwie 17,8 procent. Studenci, którzy rozpoczynając naukę w college'u, mieli najniższy poziom matematycznej wiedzy i umiejętności, masowo rezygnują ze studiowania matematyki i przedmiotów przyrodniczych. Wydaje się to zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Opanowanie wyższej matematyki i fizyki, niezbędnych, by zostać inżynierem lub naukowcem, jest bardzo trudne – i tylko garstka najlepszych studentów jest na tyle zdolna, żeby poradzić sobie z tym materiałem.

Przeprowadźmy teraz podobną analizę w odniesieniu do Harvardu, jednego z najbardziej prestiżowych uniwersytetów na świecie.

Studenci ze specjalizacją w naukach ścisłych	Najlepsza 1/3	Średnia 1/3	Najsłabsza 1/3
Matematyka SAT	753	674	581

Studenci Harvardu, co nie jest niespodzianką, mają znacznie lepsze wyniki SAT z matematyki niż ich koledzy z Hartwick. W istocie dolna jedna trzecia studentów Harvardu zdobyła na tym teście więcej punktów niż najlepsi studenci Hartwick. Jeśli o ukończeniu kierunku ścisłego decydują zdolności matematyczne, to właściwie wszyscy na Harvardzie powinni dorobić się dyplomu, prawda? Przynajmniej teoretycznie nie ma na tym uniwersytecie nikogo, komu brakowałoby intelektualnej mocy do opanowania materiału. Sprawdźmy więc odsetek dyplomów przypadający na każdą z tych grup.

Dyplomy z nauk ścisłych	Najlepsza 1/3	Średnia 1/3	Najsłabsza 1/3
Procent	53,4	31,2	15,4

Czy to nie dziwne? Z kierunków matematycznych i przyrodniczych na Harvardzie odpada mniej więcej tylu studentów z dolnej jednej trzeciej rocznika co w Hartwick College. Rozdział dyplomów z nauk ścisłych jest na Harvardzie taki sam jak w Hartwick.

Zastanówmy się nad tym przez chwilę. Mamy w Hartwick grupę studentów osiągających świetne wyniki. Nazwijmy ich Gwiazdami Hartwick. Mamy także grupę gorzej sobie radzących harvardczyków. Nazwijmy ich Ogonem Harvardu. Obie grupy korzystają z tych samych podręczników, zmagają się z tymi samymi zagadnieniami i próbują opanować rozwiązywanie podobnych zadań z takich przedmiotów jak zaawansowany rachunek różniczkowy i chemia organiczna, a według

wyników testów SAT mają mniej więcej takie same zdolności w tym kierunku. Jednak przeważająca większość Gwiazd Hartwick realizuje swój cel i zostaje inżynierami lub biologami. Natomiast studenci w Ogonie Harvardu – którzy uczęszczają do znacznie bardziej prestiżowej uczelni – czują się tak zdemotywowani i zniechęceni, że wielu z nich rezygnuje całkowicie z kierunków ścisłych i przenosi się na inną specjalizację. Ogon Harvardu to małe rybki w bardzo wielkim i strasznym stawie. Zaś Gwiazdy Hartwick – duże ryby w stawie małym i bardzo przyjemnym. W określeniu prawdopodobieństwa ukończenia studiów ścisłych liczy się nie tylko to, jacy jesteśmy zdolni i mądrzy, ale także za jak mądrych się uważamy na tle kolegów z roku.

Nawiasem mówiąc, prawidłowość ta dotyczy właściwie każdej szkoły, jaką się zajmiemy, niezależnie od jej poziomu akademickiego. Socjolodzy Rogers Elliott i Christopher Strenta zestawili te same co wyżej dane odnoszące się do jedenastu różnych uczelni wyższych w całych Stanach Zjednoczonych. Przekonajcie się sami:

Uczelnia	Górna 1/3	Matematyka SAT	Środkowa 1/3	Matematyka SAT	Dolna 1/3	Matematyka SAT
1. Uniwersytet Harvarda	53,4%	753	31,2%	674	15,4%	581
2. Dartmouth College	57,3%	729	29,8%	656	12,9%	546
3. Williams College	45,6%	697	34,7%	631	19,7%	547
4. Uniwersytet Colgate	53,6%	697	31,4%	626	15,0%	534
5. Uniwersytet Richmond	51,0%	696	34,7%	624	14,4%	534
6. Uniwersytet Bucknell	57,3%	688	24,0%	601	18,8%	494
7. Kenyon College	62,1%	678	22,6%	583	15,4%	485
8. Occidental College	49,0%	663	32,4%	573	18,6%	492
Uczelnia	**Górna** 1/3	**Matematyka SAT**	**Środkowa** 1/3	**Matematyka SAT**	**Dolna** 1/3	**Matematyka SAT**
9. Kalamazoo College	51,8%	633	27,3%	551	20,8%	479
10. Ohio Wesleyan	54,9%	591	33,9%	514	11,2%	431
11. Hartwick College	55,0%	569	27,1%	472	17,8%	407

Spróbujmy więc zrekonstruować sposób, w jaki powinna rozumować Caroline Sacks, mając wybór między Brownem a Uniwersytetem Maryland. Idąc do Browna, mogłaby czerpać korzyści z prestiżu tej uczelni. Miałaby może ciekawszych i zamożniejszych kolegów. Nawiązane podczas studiów kontakty oraz wartość „marki” Uniwersytetu Browna na dyplomie

mogłyby jej pomóc na rynku pracy. Wszystko to są klasyczne zalety wielkiego stawu. Brown jest odpowiednikiem Salonu.

Studia na Uniwersytecie Browna wiązałyby się jednak z pewnym ryzykiem. Caroline radykalnie zmniejszyłaby swoje szanse na dotrwanie do dyplomu na specjalizacji z nauk ścisłych. Jak duże było to ryzyko? Według badań przeprowadzonych przez Mitchella Changa z Uniwersytetu Kalifornijskiego prawdopodobieństwo ukończenia studiów na kierunku ścisłym lub technicznym rośnie o 2 punkty procentowe na każdy dziesięciopunktowy spadek w średnich wynikach SAT przyjmowanych przez uczelnię kandydatów[17]. Im mądrzejszych mamy kolegów z roku, tym głupsi się czujemy; a im głupsi się czujemy, tym bardziej prawdopodobne, że zrezygnujemy ze specjalizacji w przedmiotach ścisłych. Ponieważ różnica w średnich wynikach SAT studentów Uniwersytetu Maryland i Browna wynosi około 150 punktów, „ceną", jaką zapłaciła Sacks za wybranie świetnej szkoły zamiast dobrej, było zmniejszenie swoich szans na dyplom z nauk ścisłych o 30 procent. 30 procent! W czasach kiedy absolwentom studiów humanistycznych trudno jest znaleźć pracę, ci, którzy skończyli kierunki ścisłe lub techniczne, mają niemalże zapewnioną karierę. Stanowisk dla inżynierów oraz absolwentów studiów matematycznych i przyrodniczych jest w bród, w dodatku dobrze płatnych. Sacks wiele więc ryzykuje dla prestiżu uczelni z Ivy League.

Przytoczę tu jeszcze jeden przykład działania wielkiego stawu, może nawet bardziej uderzający. Wyobraź sobie, że jesteś uniwersytetem, który chce zatrudnić najlepszych młodych naukowców kończących studia doktoranckie. Jaką strategię powinieneś przyjąć? Angażować wyłącznie absolwentów najbardziej elitarnych uczelni? Czy może tych, którzy osiągnęli najlepsze wyniki na roku, bez względu na to, do jakiej szkoły wyższej chodzili?

Większość uniwersytetów stosuje tę pierwszą strategię. Wręcz się tym chwalą: „Zatrudniamy tylko absolwentów najznakomitszych uczelni”. Mam jednak nadzieję, że na tym etapie czytelnik traktuje taką deklarację przynajmniej z pewną dozą sceptycyzmu. Czy nie warto lepiej się przyjrzeć wielkiej rybie w małym stawie, zanim wybierze się drobnicę z wielkiego stawu?

Na szczęście można porównać te dwie strategie w bardzo prosty sposób. Zaproponowali go John Conley i Ali Sina Önder w swojej pracy dotyczącej absolwentów studiów doktoranckich z ekonomii. Wszyscy zajmujący się tą dziedziną naukowcy czytają kilka ogólnie szanowanych pism naukowych. Najbardziej cenione czasopisma drukują tylko najlepsze artykuły o najambitniejszych badaniach, a ekonomiści oceniają się wzajemnie głównie na podstawie liczby artykułów opublikowanych w tych elitarnych periodykach. Conley i Önder twierdzą, że wobec tego w celu ustalenia najlepszej strategii zatrudniania doktorów ekonomii wystarczy porównać liczbę artykułów publikowanych przez wielkie ryby z małych stawów z liczbą publikacji małych rybek z wielkich stawów. Co się więc okazało? Że najlepsi doktoranci z poślednich szkół prawie zawsze są lepszym wyborem niż dobrzy doktoranci z najświetniejszych uczelni.

Zdaję sobie sprawę, że to wniosek zdecydowanie sprzeczny z intuicją. Myśl, że uniwersytety mogą kiepsko wyjść na angażowaniu doktorów z Harvardu i MIT, wydaje się absurdalna. Jednak analizę Conleya i Öndera trudno obalić.

Zacznijmy od najlepszych studiów doktoranckich z ekonomii w Ameryce Północnej, z których wszystkie należą do najznakomitszych na świecie – to studia na Harvardzie, w MIT, Yale, Princeton, Columbii, na Stanfordzie oraz Uniwersytecie Chicagowskim. Conley i Önder podzielili „wypuszczonych” przez te uczelnie doktorów ekonomii według wyników

w nauce na tle kolegów z roku, a następnie policzyli liczbę publikacji każdego z nich w ciągu pierwszych sześciu lat kariery akademickiej.

	99.	95.	90.	85.	80.	75.	70.	65.	60.	55.
Harvard	4,31	2,36	1,47	1,04	0,71	0,41	0,30	0,21	0,12	0,07
MIT	4,73	2,87	1,66	1,24	0,83	0,64	0,48	0,33	0,20	0,12
Yale	3,78	2,15	1,22	0,83	0,57	0,39	0,19	0,12	0,08	0,05
Princeton	4,10	2,17	1,79	1,23	1,01	0,82	0,60	0,45	0,36	0,28
Columbia	2,90	1,15	0,62	0,34	0,17	0,10	0,06	0,02	0,01	0,01
Stanford	3,43	1,58	1,02	0,67	0,50	0,33	0,23	0,14	0,08	0,05
Chicago	2,88	1,71	1,04	0,72	0,51	0,33	0,19	0,10	0,06	0,03

Tak, wiem, to mnóstwo liczb. Spójrzmy jednak na pierwszą kolumnę od lewej – doktorantów, którzy kończą studia z wynikiem plasującym ich w 99 percentylu swojego roku. Opublikowanie trzech lub czterech artykułów w najbardziej prestiżowych czasopismach naukowych na początku kariery to duże osiągnięcie. Ci ludzie są naprawdę świetni. Jak na razie ma to sens. Bycie najlepszym doktorantem ekonomii w MIT albo na Stanfordzie to wybitne dokonanie.

Dalej jednak zaczynamy się dziwić. Spójrzmy na kolumnę dla 80 percentylu. Uczelnie takie jak MIT, Stanford czy Harvard przyjmują dwudziestu kilku doktorantów rocznie, czyli jeśli ktoś mieści się w 80 percentylu, jest mniej więcej piąty czy szósty na roku. To także są świetni doktoranci. Ale zobaczmy, ile 80 percentyl publikuje artykułów – tyle co nic! Ułamek tego, co najlepsi z najlepszych. Przy okazji rzućmy okiem na ostatnią kolumnę, dotyczącą 55 percentylu – studentów plasujących się tuż powyżej średniej. Są wystarczająco błyskotliwi, żeby dostać się na jedne z najbardziej wymagających studiów doktoranckich na świecie i skończyć

je z niezłym wynikiem, powyżej przeciętnej. A jednak właściwie niczego nie publikują. Jako naukowcy ekonomiści rozczarowują.

Przyjrzyjmy się teraz doktorantom z poślednich uczelni. Używam słowa „poślednie” tylko dlatego, że tak nazwałby je ktoś z tamtych siedmiu elitarnych uniwersytetów. W corocznym rankingu szkół wyższych prowadzących studia doktoranckie, opracowywanym przez „U.S. News & World Report”, instytucje te znajdują się gdzieś przy końcu listy. Wybrałem trzy z nich w celach porównawczych. Pierwsza to moja Alma Mater, Uniwersytet Toronto (z sentymentu!). Druga to Uniwersytet Bostoński. Trzecią pozycją w tabeli jest średnia ze wszystkich uczelni znajdujących się na samym dole listy, to jest niewchodzących w skład pierwszej trzydziestki.

	99.	95.	90.	85.	80.	75.	70.	65.	60.	55.
Toronto	3,13	1,85	0,80	0,61	0,29	0,19	0,15	0,10	0,07	0,05
Boston	1,59	0,49	0,21	0,08	0,05	0,02	0,02	0,01	0,00	0,00
Poza pierwszą 30	1,05	0,31	0,12	0,06	0,04	0,02	0,01	0,01	0,00	0,00

Widzicie, co jest tu fascynujące? Dla najlepszych doktorantów z uczelni spoza pierwszej trzydziestki – a więc szkoły zajmującej tak niską pozycję w rankingu, że ktoś z Ivy League skrzywiłby się na samą myśl o przestąpieniu jej progu – liczba publikacji wynosi 1,05. To wynik znacznie lepszy od wszystkich poza samą śmietanką na Harvardzie, MIT, Yale, Princeton, Columbii, Stanfordzie i Uniwersytecie Chicagowskim. Czy zatem korzystniej będzie zatrudnić wielką rybę z maleńkiego stawu zamiast nawet średniej z wielkiego? Zdecydowanie.

Sami Conley i Önder mają trudności z wyjaśnieniem otrzymanych wyników[18]. „Aby dostać się na studia doktoranckie na Harvardzie” – piszą:

kandydat musi mieć świetne oceny, idealne wyniki testów, mocne i wiarygodne rekomendacje, a także umieć wszystko to zaprezentować tak, by wyróżnić się przed komisją rekrutacyjną. A zatem kandydaci, którzy zostają przyjęci, muszą być pracowici, inteligentni, dobrze wykształceni na poziomie magisterium, obrotni i ambitni. Dlaczego większość z nich, osób, które odnosiły dotąd sukcesy i aż do momentu wyboru studiów doktoranckich robiły wszystko tak jak trzeba, osiągają potem tak przeciętne wyniki? Czy to my zawodzimy studentów, czy studenci nas?

Oczywiście ani jedno, ani drugie. Nikt nikogo nie zawodzi. Po prostu to, dzięki czemu elitarne uczelnie są takim wspaniałym miejscem dla najzdolniejszych, sprawia, że wszystkim innym jest tam bardzo trudno. To samo spotkało Caroline Sacks. Wielki staw zwabia błyskotliwych studentów, a potem łamie ich morale.

Nawiasem mówiąc, czy wiecie, która z elitarnych szkół od niemal pół wieku zdaje sobie sprawę z tych niebezpieczeństw wielkiego stawu? Harvard! W latach sześćdziesiątych dyrektorem do spraw rekrutacji został Fred Glimp, który wprowadził zasadę tak zwanej szczęśliwej dolnej ćwiartki. W jednym z pierwszych pism przygotowanych po objęciu stanowiska stwierdził: „W każdym roczniku, choćby najzdolniejszym, zawsze będzie dolna ćwiartka – najsłabsza jedna czwarta studentów. Jakie są psychologiczne skutki poczucia, że jest się przeciętniakiem, nawet w bardzo zdolnej grupie? Czy można rozpoznać typy osób mających psychologiczną tolerancję, pozwalającą im czuć się szczęśliwymi i w pełni korzystać z możliwości kształcenia, mimo że znajdują się w dolnej ćwiartce?”. Glimp miał pełną świadomość, jak demotywujące jest pływanie w wielkim stawie – studiowanie na Harvardzie – dla wszystkich poza garstką najlepszych. Uznał, że jego zadanie polega na znalezieniu

studentów, którzy są na tyle odporni i mają wystarczająco dużo osiągnięć innych niż naukowe, że będą w stanie poradzić sobie ze stresem wynikającym z bycia malutką rybką w bardzo dużym stawie Harvardu. W ten sposób uniwersytet zapoczątkował praktykę (kontynuowaną do dziś) przyjmowania sporej liczby utalentowanych sportowców mających znacznie niższe kwalifikacje akademickie niż reszta ich kolegów z roku. Jeśli ktoś ma być mięsem armatnim na zajęciach, głosi ta teoria, zapewne najlepiej by było, gdyby miał alternatywną ścieżkę spełnienia na boisku futbolowym.

Dokładnie taka sama logika dotyczy debaty na temat akcji afirmacyjnej. W Stanach Zjednoczonych ogromne kontrowersje budzi kwestia tego, czy szkoły wyższe powinny stosować niższe standardy przy rekrutacji osób należących do mniejszości znajdujących się w gorszej sytuacji. Zwolennicy akcji afirmacyjnej twierdzą, że pomaganie przedstawicielom mniejszości w przejściu ostrej wstępnej selekcji uzasadnia długa historia dyskryminacji tych grup. Przeciwnicy wskazują, iż dostęp do takich uczelni jest sprawą tak wielkiej wagi, że powinny o nim decydować wyłącznie wiedza i zdolności naukowe. Pośrodku tego sporu są jeszcze ci, którzy uważają za błąd faworyzowanie ze względu na rasę – ich zdaniem powinniśmy dawać pierwszeństwo ubogim. Wszystkie te trzy grupy uważają za rzecz oczywistą, że dostanie się na świetną uczelnię stanowi niezwykle istotną przewagę, więc warto walczyć o tych kilka miejsc na samej górze. Dlaczego jednak ludzie są przekonani, że owe miejsca na szczycie są tak cenne, że warto się o nie bić?

Akcję afirmacyjną najostrzej forsują wydziały prawa – rutynowo proponują czarnoskórym studentom miejsca na uczelniach stojących oczko wyżej od tych, które mogłyby ich przyjąć na normalnych zasadach. Efekt? Według profesora prawa Richarda Sandera ponad połowa wszystkich

Afroamerykanów studiujących prawo w Stanach Zjednoczonych – 51,6 procent – znajduje się w dolnych 10 procentach swojego rocznika na wydziale, a prawie trzy czwarte mieści się w dolnych 20 procentach[19]. Widząc już, jak trudno jest zrobić dyplom z nauk ścisłych, jeśli należy się do najsłabszych studentów na roku, zapewne zgodzicie się, że są to przerażające statystyki. Pamiętacie, co powiedziała Caroline Sacks? „O rany, inni mają to w małym palcu, nawet ci, którzy na początku byli tak samo ciemni jak ja, tylko że ja najwyraźniej nie potrafię nauczyć się myśleć w ten sposób”. Sacks nie jest głupia. To bardzo inteligentna dziewczyna. Ale na Uniwersytecie Browna czuła się głupia – a gdyby naprawdę zależało jej na skończeniu studiów z dyplomem z nauk ścisłych, najlepsze, co mogła zrobić, to zejść oczko niżej – wybrać Uniwersytet Maryland. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powiedziałby, że rozwiązaniem jej problemów byłoby pójście na jeszcze bardziej wymagającą uczelnię, na przykład Stanford czy MIT. Jednak w przypadku akcji afirmacyjnej właśnie coś takiego robimy. Bierzemy obiecujących studentów, takich jak Caroline Sacks – tyle że czarnoskórych – i proponujemy, że przepchniemy ich oczko wyżej. Dlaczego? Bo myślimy, że im w ten sposób pomagamy.

Co nie znaczy, że akcja afirmacyjna jest zła. Przyświecają jej jak najlepsze intencje, a elitarne szkoły często mają umożliwiające pomoc ubogim studentom zasoby, jakimi inne uczelnie nie mogą się pochwalić. Nie zmienia to jednak faktu, iż – jak zauważa Herbert Marsh – pływanie w wielkim stawie ma swoje plusy i minusy, dziwne tylko, że o minusach tak rzadko się wspomina. Rodzice nadal mówią dzieciom, żeby szły do najlepszej szkoły, do jakiej mogą się dostać, ponieważ wychodzą z założenia, że te najlepsze uczelnie umożliwią ich dzieciom realizację celów i pragnień. Przyjmujemy za pewnik, że wielki staw poszerza nasze możliwości, tak jak uważamy za oczywistość, że mniejsza klasa zawsze jest

lepsza. Mamy w głowach definicję przewagi – i coś jest z tą definicją nie tak. Co z tego wynika? To, że popełniamy błędy. To, że niewłaściwie interpretujemy starcia między słabeuszami a gigantami. To, że nie doceniamy, z jaką wolnością może wiązać się słabsza – rzekomo – pozycja. Nie dostrzegamy, że to mały staw zwiększa szanse na realizację naszych zamierzeń.

Kiedy Caroline Sacks składała papiery na studia, nie miała pojęcia, że ryzykuje rezygnację z tego, co kocha. Teraz już wie. Na zakończenie naszej rozmowy zapytałem, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby zdecydowała się pójść na Uniwersytet Maryland – gdyby została wielką rybą w małym stawie. Odparła bez wahania: „Nadal studiowałabym nauki ścisłe”.

7

„Już w dzieciństwie podchodziłem do nauki z entuzjazmem, bardzo lubiłem szkołę, lubiłem się uczyć i byłem w tym dobry – zaczął Stephen Randolph[20]. Jest wysokim ciemnowłosym młodzieńcem, starannie uczesanym, w elegancko wyprasowanych spodniach khaki. – W czwartej klasie podstawówki poszedłem na algebrę na poziomie licealnym. W piątej klasie – na algebrę II, a w szóstej – na geometrię. Zanim jeszcze formalnie rozpocząłem naukę w liceum, chodziłem tam już na matematykę, biologię, chemię i historię Stanów Zjednoczonych dla zaawansowanych. Od piątej klasy chodziłem też do miejscowego college’u, głównie na matematykę, ale też na różne inne przedmioty ścisłe. Wydaje mi się, że do momentu skończenia liceum zdążyłem zaliczyć tyle zajęć na Uniwersytecie Georgii, że spokojnie mógłbym od razu dostać licencjat. Właściwie jestem tego pewien”.

Codziennie, od pierwszej klasy podstawówki do końca liceum, Randolph przychodził do szkoły w krawacie. „Trochę to krępujące – powiedział mi teraz – trochę wariackie. Ale rzeczywiście tak było. Nie

pamiętam, jak to się zaczęło. Po prostu któregoś dnia w pierwszej klasie zachciało mi się założyć krawat, a potem tak już zostało. Chyba byłem typem kujona”.

Randolph skończył liceum z najwyższą średnią w szkole. Na testach decydujących o przyjęciu na studia zdobył prawie maksymalną liczbę punktów. Został przyjęty i na Harvard, i do MIT. Wybrał Harvard. W pierwszym tygodniu studiów szedł przez Harvard Yard, najstarszą, historyczną część kampusu, i nie mógł się nacieszyć swoim szczęściem. „Uświadomiłem sobie, że wszyscy tu są studentami, którzy dostali się na Harvard. Na zasadzie: ale ekstra, to wszystko są interesujący, mądrzy, niesamowici ludzie, to będzie wspaniałe doświadczenie. Byłem pełen entuzjazmu”.

Historia Randolpha do złudzenia przypomina historię Caroline Sacks, powtarza się niemal słowo w słowo. Słuchanie po raz drugi o działaniu tego samego mechanizmu pokazało wyraźnie, jak niezwykłe było osiągnięcie impresjonistów. Byli obdarzeni artystycznym geniuszem, ale także – rzadką życiową mądrością. Potrafili dostrzec prawdziwą cenę tego, co reszta z nas uznałaby za wielką przewagę. Monet, Degas, Cézanne, Renoir i Pissarro wybraliby mniej prestiżową uczelnię.

Co zatem spotkało Stephena Randolpha na Harvardzie? Chyba możecie się domyślić. Na trzecim roku miał zajęcia z mechaniki kwantowej. „Nie poszło mi najlepiej – przyznaje. – Zaliczyłem je bodajże na czwórkę z minusem”. Była to najniższa ocena, jaką dostał w życiu. „Uznałem, że albo nie jestem w tym dobry, albo nie jestem wystarczająco dobry. Może czułem, że powinienem być najlepszy albo genialny, żeby ciągnięcie tego dalej miało sens. Niektórzy załapywali ten przedmiot szybciej niż ja. Zazwyczaj koncentrujesz się na takich ludziach, a nie na tych, którzy są tak samo zagubieni jak ty”.

„Sam materiał był fascynujący – ciągnął Randolph – ale całe doświadczenie nauczyło mnie pokory. W tym sensie, że siedzisz na zajęciach, nic nie rozumiesz i pojawia się myśl: Nigdy nie będę w stanie tego pojąć! Potem rozwiązujesz zadania, zaczynasz to i owo rozumieć, ale cały czas myślisz, że inni ludzie z twojej grupy rozumieją to znacznie lepiej. Wydaje mi się, że na Harvardzie jest tylu mądrych, zdolnych studentów, że trudno też czuć się mądrym na ich tle”. Zdecydował, że nie może dalej ciągnąć specjalizacji z nauk ścisłych.

„W rozwiązywaniu zadania z matematyki jest coś bardzo satysfakcjonującego – powiedział mi w którymś momencie z niemal tęsknym wzrokiem. – Na początku nie wiesz, jak masz rozwiązać dane zadanie, ale wiesz, że istnieją pewne reguły, do których możesz się zastosować, i pewne sposoby podejścia, które możesz wypróbować. Często podczas tego procesu pośrednie wyniki są bardziej skomplikowane od stanu wyjściowego, a potem wynik końcowy jest prosty. Cała ta podróż wiąże się z pewną radością”. Randolph poszedł na wymarzoną uczelnię. Czy jednak otrzymał wykształcenie, jakiego pragnął? „Ogólnie jestem zadowolony z tego, jak się wszystko ułożyło – odparł. Po chwili zaśmiał się, jakby z lekkim żalem. – Przynajmniej tak sobie mówię”.

Po trzecim roku w college’u Randolph postanowił zdawać na prawo. Po skończeniu studiów prawniczych dostał pracę w kancelarii na Manhattanie. Harvard odebrał światu fizyka i dał kolejnego prawnika. „Zajmuję się prawem podatkowym – oznajmił Randolph. – Ciekawa rzecz: całkiem sporo studentów matematyki i fizyki ostatecznie zostaje specjalistami od prawa podatkowego”.

---

[14] Zmieniłem jej nazwisko i pewne szczegóły umożliwiające identyfikację.

[15] Zaczerpnąłem ten przykład z prac ekonomistki Mary Daly, która dużo pisała o tym zjawisku. Podam jeszcze jeden, tym razem z książki C. Graham *Happiness Around the World. The Paradox of Happy Peasants and Miserable Millionaires* (Szczęście w świecie. Paradoks szczęśliwych biedaków i nieszczęśliwych milionerów). Kto jest twoim zdaniem szczęśliwszy: biedak w Chile czy biedak w Hondurasie? Logika podpowiadałaby, że ten w Chile. To kraj o nowoczesnej, rozwiniętej gospodarce. Chilijski biedak zarabia prawie dwa razy tyle co biedak honduraski, a więc może przyjemniej mieszkać, lepiej jadać i pozwolić sobie na więcej wygód. Kiedy jednak porównamy deklarowany poziom szczęścia wśród ubogich w tych dwóch krajach, Honduraszczycy biją Chilijczyków na głowę. Dlaczego? Bo Honduraszczyków obchodzi tylko to, jak wiedzie się innym Honduraszczykom. Graham stwierdza: „Ponieważ średni poziom dochodów w danym kraju nie ma wpływu na szczęście, istotny jest natomiast dzielący nas od tej średniej dystans, honduraski biedak czuje się szczęśliwszy, gdyż w jego przypadku dystans ten jest mniejszy". W Hondurasie ubogim znacznie bliżej pod względem zamożności do klasy średniej niż w Chile, więc czują się także relatywnie bogatsi niż biedacy chilijscy.

[16] Te dane statystyczne zaczerpnąłem z artykułu *The Role of Ethnicity in Choosing and Leaving Science in Highly Selective Institutions* (Rola tożsamości etnicznej w wyborze oraz rezygnowaniu z nauk ścisłych w wysoce selektywnych instytucjach) socjologów R. Elliotta, A.C. Strenty i in. Punktacja SAT dotyczy początku lat dziewięćdziesiątych, więc dziś może być nieco inna.

[17] To na tyle istotna kwestia, że warto ją dokładniej wyjaśnić. Chang i jego współpracownicy przeanalizowali dane dotyczące kilku tysięcy studentów pierwszego roku amerykańskich college'ów i sprawdzili, jakie czynniki mają największy wpływ na prawdopodobieństwo rezygnacji ze specjalizacji w przedmiotach ścisłych. Co okazało się najistotniejszym czynnikiem? Poziom zdolności ogółu studentów danego uniwersytetu. „Wraz z dziesięciopunktowym wzrostem średnich wyników SAT kohorty rozpoczynającej naukę na pierwszym roku danej uczelni prawdopodobieństwo ukończenia studiów na kierunku ścisłym spadało o 2 punkty procentowe" – piszą autorzy. Co ciekawe, jeśli przyjrzymy się wyłącznie studentom należącym do mniejszości etnicznych, spadek ten jest jeszcze większy. Dziesięciopunktowy wzrost średniej SAT powoduje w tej grupie zmniejszenie się prawdopodobieństwa wytrwania przy przedmiotach ścisłych o 3 punkty procentowe. „Studenci szkół wyższych, które uważają za swoje szkoły pierwszego wyboru, częściej rezygnowali z dokończenia specjalizacji z nauk biomedycznych lub behawioralnych" – czytamy. Myślisz, że chcesz iść na najbardziej prestiżową uczelnię, na jaką możesz się dostać. Tak ci się tylko wydaje.

[18] Sprecyzujmy tutaj: zestawienie Conleya i Öndera nie uwzględnia całkowitej liczby publikacji poszczególnych ekonomistów. Jest to raczej średnia ważona – przyjęcie artykułu przez jedno z najbardziej prestiżowych czasopism (jak „American Economic Review" czy „Econometrica") liczy się bardziej niż opublikowanie pracy w mniej wymagającym periodyku.

Innymi słowy, zebrane przez nich liczby nie pokazują, ile artykułów może naprodukować dany naukowiec, ale ile może opublikować artykułów wysokiej jakości.

[19] Profesor prawa R. Sander jest głównym orędownikiem teorii wielkiego stawu w krytyce akcji afirmacyjnej. Wspólnie z S. Taylorem napisał na ten temat fascynującą książkę pod tytułem *Mismatch. How Affirmative Action Hurts Students It's Intended to Help, and Why Universities Won't Admit It* (Dysonans. Jak akcja afirmacyjna szkodzi studentom, którym miała pomagać, i dlaczego uczelnie nie chcą tego przyznać). Niektóre z argumentów Sandera streszczam w przypisach na końcu książki.

Sander stawia między innymi następujące pytanie. Studentowi będącemu przedstawicielem mniejszości trudniej będzie zostać prawnikiem, jeśli pójdzie do lepszej szkoły. To jest jasne. Jednak co, jeśli trudność tę rekompensuje fakt, że dyplom lepszej uczelni jest wart więcej? To nieprawda, twierdzą Sander i Taylor. Świetne stopnie w dobrej szkole dają mniej więcej ten sam – a może nawet lepszy – efekt co dobre stopnie w szkole świetnej. Piszą:

Student, który poszedł na Wydział Prawa Fordhamu, zajmującego trzydzieste miejsce w uniwersyteckim rankingu, i skończył studia z wynikiem plasującym go wśród najlepszej jednej piątej rocznika, mógł liczyć na bardzo podobne stanowiska i zarobki co student, który poszedł na piąty w rankingu Uniwersytet Columbii, gdzie panuje znacznie ostrzejsza rywalizacja i gdzie na podstawie uzyskanych ocen znalazł się nieco poniżej połowy rocznika. Stwierdziłem, że w większości takich przypadków student Fordhamu miał przewagę na rynku pracy.

Nie powinno nas to dziwić. Dlaczego czarnoskórzy studenci mieliby się zachowywać inaczej niż każdy, kto jest zmuszony zdobywać wiedzę, stojąc na najmniej korzystnej pozycji w klasie?

Argumenty Sandera budzą kontrowersje. Niektóre z jego wniosków są kwestionowane przez innych socjologów, którzy odmiennie interpretują dane. Jednak na poziomie ogólnym jego twierdzenia o niebezpieczeństwach wielkiego stawu wielu psychologów, począwszy od Stouffera i jego badań z okresu drugiej wojny światowej, uznałoby za przejaw zdrowego rozsądku.

[20] Stephen Randolph to pseudonim.

CZĘŚĆ DRUGA

TEORIA POŻĄDANEJ TRUDNOŚCI

„[…] dany mi został oścień dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzkował – żebym się nie unosił pychą. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby odszedł ode mnie, lecz [Pan] mi powiedział: »Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali«. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa. Dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny”.

2 List do Koryntian 12, 7–10

ROZDZIAŁ 4
DAVID BOIES

„Nie życzylibyście swojemu dziecku dysleksji. Prawda?”

1 Jeśli zrobimy tomografię mózgu osobie z dysleksją, uzyskany obraz wyda nam się dziwny. W niektórych kluczowych częściach mózgu – odpowiedzialnych za czytanie i przetwarzanie słów – u dyslektyków występuje mniej substancji szarej. Nie mają w tych obszarach tylu neuronów, ile powinni. Kiedy płód rozwija się w łonie matki, neurony powinny przemieścić się do właściwych rejonów mózgu, ustawiając się na odpowiedniej pozycji niczym pionki na szachownicy. Ale z jakiegoś powodu u dyslektyków neurony czasem się gdzieś po drodze gubią i lądują w złym miejscu. Mózg ma tak zwany układ komorowy, który pełni funkcję punktu wejścia i wyjścia. U niektórych osób z zaburzeniami czytania neurony grupują się w tych komorach jak pasażerowie, którzy utknęli na lotnisku.

Podczas przeprowadzania tomografii pacjent wykonuje jakieś zadanie, a następnie neurolog sprawdza na uzyskanym obrazie, które części mózgu uaktywniły się w reakcji na tę czynność. Jeśli poprosimy dyslektyka, żeby podczas badania czytał, obszary, które powinny zaświecić się na tomogramie, mogą pozostać nieaktywne. Obraz wygląda jak zdjęcie lotnicze miasta podczas awarii prądu. Czytając, dyslektycy używają prawej

półkuli mózgu w znacznie większym stopniu niż normalni czytelnicy. To półkula odpowiedzialna za myślenie koncepcyjne. Nieodpowiednia do precyzyjnego, rządzącego się żelaznymi prawami zadania, jakim jest czytanie. Czasem kiedy dyslektyk czyta, każdy etap tej czynności będzie opóźniony, jakby odpowiedzialne za nią poszczególne części mózgu komunikowały się poprzez słabe łącze. Jednym z testów na dysleksję u małych dzieci jest sprawdzenie zdolności szybkiego nazywania. Pokazujemy dziecku jeden kolor po drugim – czerwoną kropkę, potem zieloną, niebieską, żółtą – i obserwujemy, jak sobie poradzi. Musi zobaczyć kolor. Rozpoznać go. Przypisać mu nazwę. Wymówić tę nazwę. U większości z nas wszystko to odbywa się automatycznie. U osoby z zaburzeniami czytania – nie. W którymś momencie powiązania między tymi czterema krokami zaczynają pękać. Poprośmy czterolatka: powiedz słowo „banany” bez „ba”. Albo: posłuchaj następujących trzech dźwięków: „k”, „o”, „t”. Potrafisz połączyć je w „kota”? Albo weźmy słowa „kot”, „płot” i „park”. Które z nich nie rymuje się z pozostałymi? Dla większości czterolatków to łatwe pytania. Ale bardzo trudne dla dyslektyków. Dawniej wielu ludzi uważało, że dysleksja polega na przestawianiu liter w danym wyrazie – zamiast „kot” powstałby na przykład „tok” – a więc wyglądało na to, że jest to problem dotyczący graficznego przedstawiania słów. Okazało się jednak, że dysleksja sięga znacznie głębiej. Dotyka sposobu, w jaki słyszymy dźwięki i nimi manipulujemy. Różnica między „ba” i „da” to subtelność mieszcząca się w pierwszych 40 milisekundach sylaby. Ludzki język opiera się na założeniu, że potrafimy tę czterdziestomilisekundową różnicę wychwycić, a rozróżnienie pomiędzy dźwiękiem „ba” a dźwiękiem „da” może decydować o tym, czy coś dobrze zrozumiemy, czy też popełnimy katastrofalny błąd. Wyobrażasz sobie, jakie mogą być konsekwencje posiadania mózgu tak powolnego, że przy

składaniu dźwięków w słowa te kluczowe 40 milisekund po prostu mija zbyt szybko?

„Jeśli nie masz pojęcia o dźwiękach mowy, jeśli zabierzemy jedną literę, jeden dźwięk, a ty nie wiesz, co robić, to bardzo trudno przypisać dźwięki do ich pisemnych odpowiedników – tłumaczy Nadine Gaab, badaczka dysleksji z Harvardu. – Nauka czytania może wtedy potrwać. Taka osoba czyta bardzo wolno, co zmniejsza płynność lektury, a to z kolei wpływa niekorzystnie na rozumienie tekstu, bo czytanie idzie tak powoli, że zanim dojdziemy do końca zdania, zdążymy zapomnieć, jaki był jego początek. Prowadzi to więc do najróżniejszych problemów w szkole podstawowej czy liceum. Zaczyna wpływać na wszystkie przedmioty w szkole. Nie umiesz dobrze czytać. To jak sobie poradzisz na sprawdzianach z matematyki, na których jest dużo zadań z treścią? Jak zdasz egzamin z wiedzy o społeczeństwie, jeśli samo przeczytanie poleceń zajmuje ci dwie godziny?”

„Zazwyczaj dysleksja jest diagnozowana w wieku ośmiu lub dziewięciu lat – ciągnęła Gaab. – A z naszych badań wynika, że do tego czasu powstaje już mnóstwo poważnych psychologicznych konsekwencji, bo w tym wieku dyslektyk ma już za sobą trzy lata walki z trudnościami. Może był uważany za fajnego dzieciaka na podwórku, kiedy miał cztery lata. Potem poszedł do przedszkola, gdzie wszyscy rówieśnicy nagle zaczynają czytać, a jemu jakoś nie idzie. No to zaczyna się frustrować. Rówieśnicy mogą myśleć, że jest głupi. Rodzice – że leniwy. Ma bardzo niską samoocenę, co prowadzi do podwyższonego ryzyka depresji. Dzieciaki z dysleksją częściej lądują w poprawczakach i przed sądami dla nieletnich, bo sprawiają kłopoty wychowawcze. Dlatego, że sobie nie radzą i nie rozumieją, co jest nie tak. Umiejętność czytania ma w naszym społeczeństwie ogromne znaczenie”.

Nie życzylibyście swojemu dziecku dysleksji. Prawda?

2

Jak dotąd koncentrowaliśmy się w tej książce na tym, że często błędnie pojmujemy charakter przewagi. Teraz pora zająć się drugą stroną medalu. Co mamy na myśli, mówiąc o niekorzystnym położeniu lub słabości? W powszechnym przekonaniu jest to coś, czego należy unikać – komplikacja lub trudność, w której wyniku znajdujemy się w gorszej sytuacji, niż gdyby ta okoliczność nie wystąpiła. Jednak nie zawsze tak jest. W następnych kilku rozdziałach chciałbym przyjrzeć się bliżej koncepcji mówiącej, że istnieje coś takiego jak „pożądane trudności". Pojęcie to wprowadzili Robert Bjork i Elizabeth Bjork, psycholodzy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Pozwala ono zrozumieć, w piękny i zapadający w pamięć sposób, jak to się dzieje, że stojący na przegranej pozycji słabeusze potrafią się wybić.

Weźmy na przykład następującą zagadkę:

1. Kij baseballowy i piłeczka kosztują razem 1,10 dolara. Kij kosztuje o 1,00 dolara więcej od piłki. Ile kosztuje piłka?

Jaka odpowiedź instynktownie ci się nasuwa? Zgaduję, że taka, iż piłeczka musi kosztować 10 centów. Jednak nie może to być prawidłowe rozwiązanie, prawda? Kij ma kosztować o 1,00 dolara więcej od piłki. Zatem jeśli za piłkę płacimy 10 centów, to kij musi kosztować 1,10 dolara, a my przekroczyliśmy naszą sumę. Prawidłowa odpowiedź brzmi: piłka kosztuje 5 centów.

A oto następne pytanie:

2. Jeśli 5 maszyn produkuje 5 wihajstrów w ciągu 5 minut, ile czasu potrzeba 100 maszynom na wykonanie 100 wihajstrów?

Pytanie jest skonstruowane tak, że kusi cię, aby odpowiedzieć: 100 minut. Ale to zmyłka. Wykonanie 100 wihajstrów zajmie 100 maszynom dokładnie tyle samo czasu, co 5 maszynom wykonanie 5 wihajstrów. Prawidłowa odpowiedź brzmi: 5 minut.

Te zagadki to dwa z trzech pytań składających się na najkrótszy na świecie test inteligencji[21]. Nosi on nazwę testu refleksyjności poznawczej (Cognitive Reflection Test – CRT). Został wymyślony przez profesora Shane'a Fredericka z Yale i mierzy naszą zdolność rozumienia, kiedy coś jest bardziej złożone, niż się wydaje – przejścia od impulsywnych odpowiedzi do głębszego, analitycznego myślenia.

Frederick twierdzi, że jeśli potrzebujemy szybkiego sposobu na ocenę poziomu podstawowych zdolności poznawczych danych osób, CRT jest prawie tak samo skuteczny jak testy obejmujące setki zadań, do których rozwiązania potrzeba kilku godzin. Na dowód słuszności tej tezy poddał swojemu testowi studentów dziewięciu amerykańskich uczelni. Wyniki pokrywają się dość dokładnie z tym, jak wypadli oni w bardziej tradycyjnych testach inteligencji[22]. Wśród studentów Massachusetts Institute of Technology – być może najbystrzejszych na świecie – średnia wyniosła 2,18 prawidłowych odpowiedzi na trzy. Studenci Uniwersytetu Carnegie Mellon w Pittsburghu, także niezwykle elitarnej uczelni, średnio odpowiedzieli poprawnie na 1,51 spośród trzech pytań. Harvard uzyskał wynik 1,43; Uniwersytet Michigan w Ann Arbor – 1,18; Uniwersytet Toledo – 0,57.

CRT to bardzo trudny test. Zauważono tu jednak pewną dziwną rzecz. Wiecie, jak najprościej podnieść osiągane w tym teście wyniki? Trzeba go jeszcze trochę utrudnić. Psycholodzy Adam Alter i Daniel Oppenheimer przeprowadzili kilka lat temu taką próbę w grupie studentów Uniwersytetu Princeton. Najpierw studenci pisali CRT normalnie i uzyskali średnio 1,9 prawidłowych odpowiedzi na 3 możliwe. Całkiem niezły wynik, chociaż do średniej 2,18 studentów z MIT sporo jeszcze brakuje. Następnie Alter i Oppenheimer wydrukowali pytania testu bardzo trudną do odczytania

czcionką – dziesięciopunktową kursywą Myriad Pro, w dziesięcioprocentowej szarości – tak że wyglądały następująco:

> 1. *Kij baseballowy i piłeczka kosztują razem 1,10 dolara. Kij kosztuje o 1,00 dolara więcej od piłki. Ile kosztuje piłka?*

Średni wynik tym razem? 2,45. Nagle studenci Princeton zaczęli radzić sobie z testem znacznie lepiej niż ich koledzy z MIT.

Dziwne, prawda? Zazwyczaj myślimy, że rozwiązywanie zadań idzie nam lepiej, kiedy są one przedstawione w prosty, przejrzysty sposób. Tutaj jednak zdarzyło się coś odwrotnego. Czytanie tekstu zapisanego jasnoszarą dziesięciopunktową czcionką Myriad Pro jest mocno frustrujące. Trzeba trochę zmrużyć oczy i może przeczytać zdanie dwa razy, a w połowie pewnie zastanowimy się, kto, na litość boską, wpadł na ten świetny pomysł, żeby tak wydrukować test. Nagle musimy się napracować, żeby przeczytać pytanie.

Jednak cały ten dodatkowy wysiłek się opłaca. Jak mówi Alter, kiedy pytań nie da się odczytać płynnie, ludzie „zaczynają się głębiej zastanawiać nad tym, co widzą. Wykorzystają więcej swoich zasobów. Dokładniej przemyślą, co się dzieje. Jeśli muszą pokonać przeszkodę, zrobią to lepiej, kiedy zmusi się ich, żeby trochę bardziej się skoncentrowali”. Alter i Oppenheimer utrudnili CRT. Okazało się jednak, że jest to trudność pożądana.

Nie wszystkie utrudnienia mają takie dobre strony. To, przez co przeszła Caroline Sacks na zajęciach z chemii organicznej na Uniwersytecie Browna, było trudnością niepożądaną. Caroline to spragniona wiedzy, pilna, zdolna studentka, która uwielbia nauki ścisłe – nie było żadnej korzyści ze stawiania jej w sytuacji, w której czuła się zdemotywowana i gorsza od innych. Walka z trudnościami nie przełożyła się u niej na

większe docenienie nauki. Przeciwnie, odstraszyła ją od przedmiotów ścisłych. Jednak czasem, w pewnych okolicznościach, pokonywanie trudności ma odwrotne skutki – to, co wydaje się przeszkodą, która powinna pogrzebać szanse słabeusza, w rzeczywistości jest jak zastosowana przez Altera i Oppenheimera jasnoszara dziesięciopunktowa czcionka Myriad Pro.

Czy dysleksja może się okazać taką pożądaną trudnością? Trudno by było w to uwierzyć, zważywszy na to, ilu ludzi zmaga się z tym zaburzeniem przez całe życie – gdyby nie pewien fakt. Zdumiewająco wysoki odsetek odnoszących sukcesy przedsiębiorców to dyslektycy. Z badania przeprowadzonego niedawno przez Julie Logan z City University London wynika, że mówimy tu o około jednej trzeciej ludzi sukcesu. Lista obejmuje wielu najsłynniejszych innowatorów ostatnich kilkudziesięciu lat. Dyslektykiem jest Richard Branson, brytyjski przedsiębiorca miliarder, oraz Charles Schwab, założyciel domu maklerskiego nazwanego jego nazwiskiem, a także między innymi pionier branży telefonów komórkowych Craig McCaw, założyciel linii lotniczych JetBlue David Neeleman, dyrektor generalny giganta technologicznego Cisco John Chambers i założyciel sieci usług kserograficznych Kinko’s Paul Orfalea. Neurobiolożka Sharon Thompson-Schill wspomina, jak przemawiała na spotkaniu głównych darczyńców wspierających finansowo jej uczelnię – byli to właściwie sami święcący triumfy biznesmeni – i ni z tego, ni z owego zapytała, u ilu z nich zdiagnozowano kiedyś zaburzenia uczenia się. „Połowa osób podniosła rękę – stwierdziła. – Niewiarygodne”.

Nasuwają się dwie możliwe interpretacje tego faktu. Pierwsza – że ta niezwykła grupa ludzi zatriumfowała mimo swoich braków: są tak inteligentni i tak kreatywni, że nic, nawet zmaganie się przez całe życie z trudnościami w czytaniu, nie mogło ich powstrzymać. Druga, bardziej

intrygująca możliwość jest taka, że odnieśli sukces po części właśnie dzięki dysleksji – walcząc z trudnościami, nauczyli się czegoś, co, jak się okazało, dało im ogromną przewagę. Życzylibyście swojemu dziecku dysleksji? Jeśli druga z tych możliwości jest prawdziwa, to może byście się ku temu skłaniali.

3

David Boies wychował się na rolniczych terenach stanu Illinois. Był najstarszym z pięciorga dzieci. Rodzice pracowali w publicznej szkole jako nauczyciele. Matka czytała mu, kiedy był mały. Zapamiętywał to, co przeczytała, bo nie był w stanie odcyfrować tekstu. Zaczął czytać dopiero w trzeciej klasie, a nawet wtedy szło mu to powoli i z dużym trudem. Wiele lat później zorientował się, że ma dysleksję. Jednak wtedy, w szkole, nie sądził, by miał problem. W jego małym miasteczku w Illinois nie uważano płynnego czytania za jakieś istotne osiągnięcie. Wielu jego szkolnych kolegów przy pierwszej okazji rzucało naukę, żeby pracować na farmie. Boies lubił komiksy, które miały dużo obrazków i łatwo je było zrozumieć. Nigdy nie czytał dla przyjemności. Nawet dziś sięga może po jedną książkę rocznie, jeśli w ogóle. Ogląda telewizję – jak mówi, wszystko, co „kolorowe i się rusza”. Słownictwo, jakim się posługuje, jest ograniczone. Używa krótkich słów i prostych zdań. Czasem, kiedy czyta coś na głos i natknie się na słowo, którego nie zna, przerywa i powoli je literuje. „Półtora roku temu dostałem od żony iPada, który był moim pierwszym komputeropodobnym urządzeniem, i okazało się, że moje próby zapisania wielu słów nie są wystarczająco zbliżone do prawidłowej formy, żeby funkcja sprawdzania pisowni ją znalazła – mówi Boies. – Nie wyobraża pan sobie, ile razy wyskakuje mi okienko z informacją: »Brak sugestii pisowni«”.

Kiedy Boies skończył szkołę średnią, nie przejawiał wielkich ambicji. Oceny miał nierówne. Już wcześniej przeprowadził się z rodziną do południowej Kalifornii, która przeżywała boom gospodarczy. Znalazł pracę na budowie. „To była robota na powietrzu, z facetami starszymi ode mnie – wspomina Boies. – Zarabiałem więcej, niż mi się śniło. Podobało mi się. – Później pracował przez pewien czas jako księgowy w banku, grając często w brydża na boku. – To było wspaniałe życie. Mógłbym tak jeszcze trochę pociągnąć. Ale kiedy urodziło się nasze pierwsze dziecko, żona zaczęła coraz poważniej podchodzić do mojej przyszłości". Przynosiła do domu broszury z miejscowych college'ów i uniwersytetów. Przypominał sobie swoją dziecięcą fascynację prawem i postanowił, że pójdzie właśnie na ten wydział. Dziś David Boies jest jednym z najsłynniejszych prawników procesowych na świecie.

W jaki sposób udało się Boiesowi, robotnikowi budowlanemu po szkole średniej, zostać gwiazdą palestry, to dopiero zagadka. Nauka prawa opiera się na czytaniu – opisów spraw, uzasadnień wyroków i uczonych analiz – a Boies jest osobą, której czytanie sprawia trudność. Już samo to, że w ogóle pomyślał o studiowaniu prawa, zakrawa na szaleństwo. Nie zapominajmy jednak, że jeśli czytasz tę książkę, to zapewne jesteś wprawnym czytelnikiem – a to oznacza, że prawdopodobnie nigdy nie musiałeś uciekać się do sposobów i strategii pozwalających obejść konieczność czytania.

Boies zaczął studia na Uniwersytecie Redlands, niewielkiej prywatnej uczelni oddalonej o godzinę drogi od Los Angeles. To był jego pierwszy trafny strzał. Redlands miał charakter małego stawu. Boies znakomicie sobie tam radził. Uczył się pilnie i był bardzo dobrze zorganizowany – bo wiedział, że musi. A potem los się do niego uśmiechnął. Do uzyskania dyplomu licencjackiego w Redlands potrzebne było zaliczenie kilku

obowiązkowych przedmiotów, z których każdy wiązał się z czytaniem dużych ilości materiału. Jednak w tamtym czasie można było zapisać się na studia prawnicze bez konieczności zdobywania licencjatu. „Pamiętam, kiedy dowiedziałem się, że mogę iść na prawo bez robienia dyplomu – wspomina Boies. – Wspaniała wiadomość. Nie mogłem w to uwierzyć”.

Studiowanie prawa wymaga oczywiście jeszcze więcej czytania. Boies odkrył jednak, że istnieją streszczenia najważniejszych spraw, wyłuszczające sedno długiej opinii Sądu Najwyższego na jednej czy dwóch stronach. „Ktoś może twierdzić, że tak nie powinno się studiować prawa – mówi. – Ale ten sposób działał”. Poza tym Boies był świetnym słuchaczem. „Przez całe życie przede wszystkim słucham – twierdzi. – Tylko w ten sposób mogłem się uczyć. Zapamiętuję to, co mówią inni. Dokładnie pamiętam użyte słowa”. Siedział więc na zajęciach na wydziale prawa i – podczas gdy wszyscy inni zawzięcie notowali, gryzmolili na marginesach albo włączali się i wyłączali – koncentrował się na wykładzie, zapamiętując to, co usłyszał. Już wtedy jego pamięć była znakomitym narzędziem. W końcu ćwiczył ją, odkąd matka czytała mu w dzieciństwie, a on uczył się jej słów na pamięć. Jego koledzy i koleżanki z roku, notując, bazgrząc i to włączając się, to wyłączając, puszczali to i owo mimo uszu. Mieli osłabioną koncentrację. Boiesa ten problem nie dotyczył. Może czytanie sprawiało mu trudności, ale to, co musiał robić właśnie dlatego, że nie czytał dobrze, okazało się jeszcze cenniejsze. Zaczął studia w Northwestern Law School, a potem przeniósł się na Yale.

Kiedy już został adwokatem, nie wybrał jako specjalizacji prawa spółek. To by była głupota. Prawnicy w przedsiębiorstwie muszą przekopywać się przez góry dokumentów i dostrzec znaczenie drobnego przypisu na stronie 367. Boies został prawnikiem procesowym, a to zajęcie wymaga szybkiego podejmowania decyzji. Tego, co ma powiedzieć, uczy

się na pamięć. Czasem na sali sądowej zdarza mu się zaciąć, kiedy musi coś przeczytać i natyka się na słowo, którego nie jest w stanie wystarczająco szybko odcyfrować. Przerywa wtedy i je literuje, jak dziecko w konkursie ortograficznym. Jest w tym pewna niezręczność, ale to raczej dziwactwo niż rzeczywisty problem. W latach dziewięćdziesiątych Boies kierował zespołem oskarżycieli zarzucającym Microsoftowi łamanie przepisów antymonopolowych i podczas procesu uparcie nazywał login „lodżinem” – typowy błąd dyslektyka. Przy przepytywaniu świadków strony przeciwnej był jednak bezbłędny, bo nie było żadnego niuansu, żadnego subtelnego uniku, żadnego osobliwego czy znamiennego doboru słów, który by mu umknął – ani żadnej rzuconej mimochodem uwagi lub istotnego fragmentu zeznań sprzed godziny, doby czy tygodnia, którego by nie usłyszał, zarejestrował i zapamiętał.

„Gdybym mógł znacznie szybciej czytać, ułatwiłoby mi to wiele rzeczy – powiedział Boies. – Nie ma co do tego wątpliwości. Ale z drugiej strony niezdolność do czytania dużej ilości tekstu i uczenie się poprzez słuchanie i zadawanie pytań oznacza, że muszę upraszczać zagadnienia i sprowadzać je do ich esencji. A to jest bardzo istotne, bo podczas procesu ani sędziowie, ani przysięgli nie mają czasu ani możliwości, żeby zostać ekspertami w danej dziedzinie. Jedną z moich mocnych stron jest to, że przedstawiam sprawę w zrozumiały dla nich sposób”. Jego przeciwnicy prezentują typ erudytów, którzy przeczytali każdą możliwą analizę omawianego tematu. Raz po raz grzęzną w nadmiarze szczegółów. Boiesowi się to nie zdarza.

Jedna z jego najsłynniejszych spraw – „Hollingsworth przeciwko Perry’emu”[23] – dotyczyła pewnego kalifornijskiego przepisu prawa, które ograniczało instytucję małżeństwa do mężczyzny i kobiety. Boies dowodził, że przepis ten jest niezgodny z konstytucją, i podczas najbardziej

zapadającego w pamięć przesłuchania na sali sądowej zmiażdżył kluczowego biegłego strony przeciwnej Davida Blankenhorna, który w efekcie był zmuszony w wielu punktach przyznać rację Boiesowi.

„Kiedy przygotowuje się świadka do procesu, mówi mu się między innymi, żeby się nie spieszył – wyjaśnia Boies. – Nawet gdyby mógł. Bo przyjdą takie momenty, kiedy będzie musiał zwolnić, a nie chce poprzez zmianę tempa pokazywać przesłuchującemu, że potrzebuje czasu, żeby zastanowić się nad daną kwestią. Czyli: kiedy się pan urodził? – Boies odpowiada uważnie i z namysłem: – »W tysiąc… dziewięćset… czterdziestym pierwszym«. Nie mówi na jednym wdechu: »Jedenastego marca czterdziestego pierwszego o szóstej trzydzieści«, chociaż nie stara się tego ukryć. Świadek powinien odpowiadać w tym samym tempie na łatwe i na trudniejsze pytania, żeby nie zdradzać poprzez sposób udzielania odpowiedzi, co jest łatwe, a co trudne”.

Kiedy Blankenhorn w pewnych kluczowych momentach robił trochę za długie przerwy, Boies to wychwycił. „Chodziło o ton, tempo i słowa, których użył. Częściowo także o pauzy. Zwalniał, kiedy zastanawiał się, jak coś sformułować. Gdy się go przepytywało i słuchało tego, co mówi, można było się zorientować, w których kwestiach czuł się nieswojo – kiedy używał słów zaciemniających obraz sprawy. Dzięki temu, że potrafiłem wychwycić te momenty, udało mi się skłonić go do przyznania nam racji co do kluczowych elementów sprawy”.

4

Boies ma pewną szczególną umiejętność, która częściowo tłumaczy, dlaczego tak dobrze radzi sobie w swojej profesji. Jest znakomitym słuchaczem. Zastanówmy się jednak, jak rozwinął tę zdolność. Większość z nas w naturalny sposób przyciąga to, w czym jesteśmy świetni. Dziecko, któremu czytanie przychodzi z łatwością, zaczyna czytać jeszcze

więcej i coraz lepiej mu to idzie, więc w końcu zajmie się dziedziną wiążącą się z lekturą dużych ilości tekstu. Chłopiec nazwiskiem Tiger Woods ma wyjątkowo dobrą koordynację ruchową jak na swój wiek i przekonuje się, że gra w golfa odpowiada jego wyobraźni, więc lubi ją trenować. A ponieważ tak bardzo podobają mu się te treningi, coraz lepiej mu idzie i tak dalej, nakręca się spirala sukcesu. To „uczenie się przez kapitalizację": stajemy się w czymś dobrzy, rozwijając nasze naturalne talenty.

Natomiast pożądane trudności rządzą się inną logiką. Alter i Oppenheimer w swoich eksperymentach z CRT poprawili wyniki studentów, utrudniając im życie, zmuszając ich, żeby skompensowali sobie coś, co im odebrano. Tak samo postępował Boies, kiedy uczył się słuchać. Stosował kompensację. Nie miał wyboru. Tak kiepsko czytał, że musiał walczyć, przystosować się i znaleźć jakąś strategię, która pozwoliłaby mu dotrzymać kroku innym.

W przeważającej mierze uczymy się przez kapitalizację. To łatwe i oczywiste. Jeśli mamy piękny głos i słuch absolutny, nie trzeba nas długo namawiać na śpiewanie w chórze. „Kompensacyjne uczenie się" jest natomiast bardzo trudne. Uczenie się na pamięć tego, co czyta nam matka, a następnie odtwarzanie tych słów w taki sposób, by brzmiały przekonująco dla wszystkich wokół, wymaga stawienia czoła swoim ograniczeniom. Trzeba przezwyciężyć wstyd i brak pewności siebie. Trzeba się skoncentrować, żeby zapamiętać tekst, i mieć dość polotu, by z powodzeniem odegrać scenkę czytania. Większość ludzi z poważnymi zaburzeniami zdolności uczenia się nie potrafi opanować wszystkich tych elementów. Ale ci, którym się to udaje, wychodzą na tym lepiej, niż gdyby nie mieli żadnych trudności, gdyż to, czego uczymy się z konieczności, będzie zawsze silniejsze niż nauka, która przychodzi łatwo.

To uderzające, jak często dyslektycy, którzy odnieśli sukces, opowiadają różne wersje tej samej historii o kompensacji. „W szkole czułem się okropnie – powiedział mi niejaki Brian Grazer. – Mój organizm zawsze reagował negatywnie. Denerwowałem się, byłem spanikowany. Odrobienie prostej pracy domowej trwało w nieskończoność. Całymi godzinami bujałem w obłokach, bo nie potrafiłem odczytać słów. Siedziałem w jednym miejscu przez półtorej godziny i nic z tego nie wynikało. W siódmej, ósmej, dziewiątej i dziesiątej klasie dostawałem głównie pały, czasem wpadł jakiś mierny czy trójka. Zdawałem tylko dlatego, że moja mama nie pozwalała zostawić mnie na drugi rok”.

Jak zatem udało się Grazerowi skończyć szkołę? Przed każdą klasówką czy egzaminem zaczynał planować i układać strategię, nawet kiedy był jeszcze w podstawówce. „Spotykałem się dzień wcześniej z jakimś kolegą – opowiadał. – Jak to napiszesz? Jak myślisz, jak odpowiesz na to i na to? Starałem się zgadnąć, jakie będą pytania, a jeśli dało się jakoś skombinować pytania albo test wcześniej, to je zdobywałem”.

W szkole średniej miał już opracowaną lepszą strategię. „Kwestionowałem wszystkie swoje oceny – ciągnął. – Czyli dosłownie za każdym razem, kiedy dostałem w liceum stopień na okres, szedłem do poszczególnych nauczycieli na rozmowę. Przekonywałem, że chcę poprawić dwóję na trójkę, a trójkę na czwórkę. I prawie za każdym razem – w dziewięćdziesięciu procentach przypadków – mi się to udawało. Po prostu chodziłem, prosiłem, zamęczałem ich. Po pewnym czasie byłem w tym naprawdę dobry. Nabrałem pewności siebie. W college’u uczyłem się, wiedząc, że potem czeka mnie godzinne spotkanie z profesorem. Nauczyłem się, jak robić wszystko, co tylko możliwe, żeby przekonać go do swoich racji. To była naprawdę dobra szkoła życia”.

Oczywiście wszyscy dobrzy rodzice starają się nauczyć swoje dzieci sztuki przekonywania. Ale normalne, przystosowane dziecko nie ma potrzeby, żeby traktować te nauki poważnie. Jeśli ktoś dostaje w szkole piątki, nigdy nie będzie musiał negocjować swoich ocen, żeby przejść do następnej klasy ani w wieku dziewięciu lat rozglądać się po sali i układać strategii przetrwania na następną godzinę. Kiedy jednak Grazer ćwiczył się w sztuce negocjacji, tak jak Boies w sztuce słuchania, miał nóż na gardle. Ćwiczył dzień w dzień, rok po roku. Mówiąc, że była to „dobra szkoła życia", miał na myśli to, iż uczenie się, jak za pomocą siły perswazji przejść ze słabej pozycji do wygranej, okazało się idealnym przygotowaniem do zawodu, który dziś wykonuje. Brian Grazer jest jednym z odnoszących największe sukcesy producentów filmowych w Hollywood w ciągu ostatnich trzydziestu lat[24]. Czy doszedłby do tego, gdyby nie był dyslektykiem?

5 Przyjrzyjmy się trochę bliżej temu dziwnemu związkowi między dysleksją, będącą zasadniczo zaburzeniem neurologicznym, a sukcesem zawodowym. W rozdziale dotyczącym teorii wielkiego i małego stawu pisałem o tym, że bycie outsiderem, przebywanie w mniej elitarnym i mniej uprzywilejowanym środowisku może dać nam więcej swobody do realizacji własnych pomysłów i rozwijania zainteresowań naukowych. Caroline Sacks miałaby większe szanse na pracę w wymarzonym zawodzie, gdyby poszła na swoją rezerwową uczelnię zamiast na tę będącą jej pierwszym wyborem. Impresjonizm mógł rozkwitnąć tylko w maleńkiej galerii, do której właściwie nikt nie chodził, a nie na najbardziej prestiżowej wystawie sztuki na świecie.

Dyslektycy też są outsiderami. Z konieczności odstają od wszystkich innych uczniów, bo nie potrafią robić tego, czego szkoła od nich wymaga.

Czy to możliwe, że ta „outsiderskość” daje im później jakąś przewagę? Aby odpowiedzieć na to pytanie, warto zastanowić się, jaki rodzaj osobowości charakteryzuje innowatorów i przedsiębiorców.

Psycholodzy opisują osobowość za pomocą tak zwanego modelu pięcioczynnikowego, nazywanego też wielką piątką, pozwalającego ocenić to, jacy jesteśmy, w następujących wymiarach[25]:

Neurotyczność
(osoba wrażliwa/nerwowa – stabilna emocjonalnie/pewna siebie)
Ekstrawersja
(osoba energiczna/towarzyska – skryta/samotnicza)
Otwartość na doświadczenie
(osoba pomysłowa/ciekawa świata – działająca według schematów/ostrożna)
Sumienność
(osoba zdyscyplinowana/pracowita – rozluźniona/niefrasobliwa)
Ugodowość
(osoba chętna do współpracy/empatyczna – egoistyczna/wrogo nastawiona)

Psycholog Jordan Peterson twierdzi, że u nowatorów i rewolucjonistów występuje zwykle bardzo szczególna mieszanka tych czynników – zwłaszcza trzech ostatnich: otwartości, sumienności i ugodowości.

Nowatorzy muszą być otwarci. Zdolni wyobrazić sobie to, czego inni nie potrafią, a także gotowi kwestionować własne założenia. Muszą być także sumienni. Nowator, który ma genialne pomysły, ale któremu brakuje dyscypliny i wytrwałości, by je zrealizować, jest tylko marzycielem. To też oczywiste.

Przede wszystkim jednak nowatorzy nie mogą być ugodowi. Nie chcę przez to powiedzieć, że powinni być nieprzyjemnymi gburami. Mam tu na myśli, że jeśli chodzi o ten piąty wymiar modelu wielkiej piątki, zwany ugodowością, znajdują się oni na drugim końcu spektrum – to jest cechuje ich niska ugodowość. Są to ludzie gotowi podejmować ryzyko społeczne – a więc robić rzeczy, których inni mogą nie pochwalać.

Coś takiego nie przychodzi łatwo. Społeczeństwo krzywo patrzy na brak ugodowości. Jako gatunek jesteśmy zaprogramowani tak, żeby pragnąć aprobaty osób z naszego otoczenia. Jednak bez gotowości do rzucenia wyzwania konwencji nic nie będzie z radykalnej, niosącej możliwość zmian myśli. „Jeśli wpadasz na nowatorski, odważny pomysł, a jesteś osobą ugodową, to co z tym zrobisz? – mówi Peterson. – Jeśli będziesz się martwić, czy nie zranisz czyichś uczuć i nie zakłócisz struktury społecznej, nie wykorzystasz swoich koncepcji”. Jak to kiedyś ujął dramaturg George Bernard Shaw: „Człowiek rozsądny dostosowuje się do świata. Człowiek nierozsądny dostosowuje świat do siebie. Dlatego wszelki postęp dokonuje się dzięki ludziom nierozsądnym”.

Dobrym przykładem na potwierdzenie argumentacji Petersona jest historia początków szwedzkiej sieci sklepów meblowych IKEA. Firmę założył Ingvar Kamprad. Jego nowatorstwo polegało na zorientowaniu się, że znaczna część kosztów mebli jest związana z ich montażem: nie tylko trzeba zapłacić za przymocowanie nóg do blatu, ale także transport gotowego stołu będzie dużo droższy. Kamprad zaczął więc sprzedawać meble jeszcze niezmontowane, zapakowane w płaskie pudła, co umożliwiało tanią dostawę, i oferował ceny niższe niż cała konkurencja.

Jednak w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku wpadł w kłopoty. Szwedzcy producenci mebli rozpoczęli bojkot Ikei. Wściekli na dyktowane przez Kamprada niskie ceny, przestali realizować jego zamówienia. Firma

znalazła się na skraju ruiny. Rozpaczliwie szukając rozwiązania, Kamprad skierował wzrok na południe i uświadomił sobie, że na drugim brzegu Morza Bałtyckiego leży Polska, kraj ze znacznie tańszą siłą roboczą i lasami pełnymi drewna. Świadczy to o otwartości Kamprada: niewiele firm stawiało na taki outsourcing na początku lat sześćdziesiątych. Następnie założyciel Ikei skupił się na tym, by kontakt handlowy z Polską okazał się owocny. Nie było to takie proste. Polska w latach sześćdziesiątych znajdowała się w opłakanym stanie. Była krajem komunistycznym. Nie miała takiej infrastruktury, sprzętu, wykwalifikowanej siły roboczej ani ochrony prawnej jak państwo zachodnie. Kamprad jednak dopiął swego. „To »szczególarz« – mówi Anders Åslund, członek Peterson Institute for International Economics (Instytutu Gospodarki Międzynarodowej imienia Petersona). – Dlatego odniósł sukces tam, gdzie inni ponieśli klęskę. Pojechał do tych nieprzyjemnych miejsc i dopilnował, by wszystko działało. Jest potwornie uparty”. Tu mamy sumienność.

Co jednak było w decyzji Kamprada najbardziej uderzające? Data jego wyjazdu do Polski: rok 1961. Właśnie stawiano mur berliński. Zimna wojna osiągnęła apogeum. Nie minie rok, a Wschód i Zachód staną u progu wojny atomowej za sprawą kryzysu kubańskiego. Dzisiejszym odpowiednikiem posunięcia Kamprada byłoby otwarcie Walmartu w Korei Północnej. Większości ludzi nawet nie przyszłoby do głowy, żeby prowadzić interesy na terenie wrogiego państwa, z obawy, by nie zostać okrzykniętym zdrajcą. Kampradowi takie lęki były obce. Nie dbał ani trochę o to, co myślą o nim inni. To właśnie brak ugodowości.

Tylko garstka ludzi jest na tyle kreatywna, by wpaść na pomysł dostarczania mebli do samodzielnego montażu i zlecenia produkcji w innym kraju w obliczu bojkotu. Jeszcze mniej będzie miało, oprócz tych

przebłysków geniuszu, także dyscyplinę konieczną do stworzenia zakładów produkcyjnych pierwszej klasy w gospodarczym zaścianku. Ale żeby być kreatywnym i sumiennym, a do tego mieć dość siły ducha, by nie liczyć się z zimną wojną? To już naprawdę rzadkie.

Dysleksja niekoniecznie zwiększa naszą otwartość. Nie musi też poprawiać sumienności (chociaż oczywiście może). Jednak najbardziej kuszącą możliwością, jaką stwarza to zaburzenie, jest to, że być może nieco ułatwia pozbycie się ugodowości.

6

Gary Cohn wychował się na przedmieściach Cleveland, w północno-wschodnim Ohio. Jego rodzina działała w branży elektroinstalacyjnej. Były lata siedemdziesiąte, nie diagnozowano jeszcze rutynowo dysleksji. W szkole podstawowej Cohn powtarzał klasę, bo nie umiał czytać[26]. Jednak, jak stwierdził: „Za drugim razem nie poszło mi wcale lepiej niż za pierwszym”. Miał problem z dyscypliną. „Właściwie wyrzucono mnie z podstawówki – wyjaśnił. – Chyba jak uderzysz nauczycielkę, to cię wyrzucają. To był przykład zakłócania spokoju […]. Byłem maltretowany. Nauczycielka kazała mi wejść pod swoje biurko, przysunęła krzesło i zaczęła mnie kopać. No to ja odepchnąłem krzesło, uderzyłem ją w twarz i wyszedłem. Byłem w czwartej klasie”.

Nazywał ten okres „podłymi latami”. Rodzice nie wiedzieli, co robić. „Była to chyba najbardziej frustrująca część mojego życia, co dużo mówi. Bo to nie tak, że się nie starałem – ciągnął. – Wkładałem naprawdę mnóstwo wysiłku w naukę, ale nikt nie dostrzegał tej strony medalu. Myśleli, że to moje świadome decyzje, żeby sprawiać kłopoty, dawać zły przykład, nie uczyć się, hamować postępy całej klasy. Wiadomo, jak to jest: masz sześć, siedem czy osiem lat, jesteś w szkole publicznej i wszyscy mają cię za idiotę, więc starasz się wygłupiać i rozśmieszać innych, żeby

zdobyć chociaż trochę szacunku w oczach kolegów. Codziennie rano starasz się budzić z nastawieniem, że dzisiaj będzie lepiej, ale po paru latach uświadamiasz sobie, że dziś będzie tak samo jak wczoraj. Będę musiał się namęczyć, żeby przetrwać i dziś, i następnego dnia. Zobaczymy, co będzie”.

Rodzice przenosili go z jednej szkoły do drugiej, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. „Moja matka chciała tylko, żebym skończył szkołę średnią – mówił Cohn. – Gdyby ją zapytać, powiedziałaby pewnie: »Jak Gary skończy liceum, to będzie najszczęśliwszy dzień mojego życia. Może potem zostać kierowcą ciężarówki, ale przynajmniej będzie miał maturę«”. Kiedy wreszcie udało mu się zostać absolwentem, jego matka zalała się łzami. „Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak strasznie płakał” – stwierdził Cohn.

Kiedy miał 22 lata, znalazł pracę w U.S. Steel w Cleveland jako handlowiec sprzedający siding z aluminium i ramy okienne. Właśnie zrobił dyplom na Uniwersytecie Amerykańskim, po raczej umiarkowanych sukcesach akademickich. Pewnego dnia, tuż przed Świętem Dziękczynienia, kiedy pojechał do biura sprzedaży firmy na Long Island, przekonał kierownika, żeby dał mu wolne, i wybrał się na Wall Street. Kilka lat wcześniej był na wakacyjnych praktykach w jednej z lokalnych firm maklerskich i zainteresował się transakcjami giełdowymi. Skierował się na giełdę towarową, stanowiącą część dawnego kompleksu World Trade Center.

„Myślę sobie, że dostanę tu pracę – opowiadał. – Ale nie ma dokąd pójść. Wszystko pozamykane, pozabezpieczane. No to idę na taki taras widokowy, przyglądam się tym facetom i zastanawiam się, czy mogę jakoś z nimi porozmawiać. Schodzę na dół, na piętro, gdzie jest bramka pilnowana przez ochronę, staję sobie koło niej w nadziei, że ktoś mnie

wpuści. Oczywiście nikt nie ma takiego zamiaru. Aż w pewnym momencie, dosłownie tuż po zamknięciu giełdy, widzę nieźle ubranego faceta, który zbiega z góry i krzyczy do swojego asystenta: »Muszę lecieć, pędzę na LaGuardię, jestem już spóźniony, zadzwonię, jak dojadę na lotnisko«. Wskakuję za nim do windy i mówię: »Słyszałem, że jedzie pan na LaGuardię«. On na to, że tak. Ja dalej: »Może moglibyśmy wziąć razem taksówkę?«. On, że pewnie. Myślę sobie: super. Piątek po południu, korki, spędzę następną godzinę w taksówce, starając się o pracę".

Nieznajomy, z którym Cohn wsiadł do taksówki, okazał się szychą w jednej z dużych firm maklerskich na Wall Street. Akurat w tamtym tygodniu firma zaczęła sprzedawać i kupować opcje.

„Facet handlował opcjami, ale nie wiedział, co to właściwie jest – ciągnął Cohn. Śmiał się z całej zuchwałości, z jaką się to wszystko wiązało. – Kłamałem mu przez całą drogę na lotnisko. Kiedy zapytał: »Wiesz, co to jest opcja?«, odparłem: »Oczywiście, wiem wszystko, mogę wszystko dla pana zrobić«. Kiedy wysiadaliśmy z taksówki, miałem już jego numer. Powiedział: »Zadzwoń do mnie w poniedziałek«. Zadzwoniłem, we wtorek czy w środę poleciałem z powrotem do Nowego Jorku na rozmowę kwalifikacyjną, a w następny poniedziałek zacząłem pracę. Przez ten czas przeczytałem książkę McMillana *Options as a Strategic Investment* (Opcje jako strategiczna inwestycja). To taka biblia handlu opcjami".

Nie było to, rzecz jasna, łatwe, skoro, jak ocenia Cohn, w sprzyjających okolicznościach przeczytanie 22 stron zajmuje mu sześć godzin[27]. Zatopił się w książce, odcyfrowywał słowo po słowie, powtarzał zdania, aż miał pewność, że je rozumie. Zaczynając pracę, był gotów. „Dosłownie stałem za nim i mówiłem: »To kupuj, to sprzedaj« – mówi Cohn o swoim szefie. –

Nigdy nie przyznałem mu się, co zrobiłem. A może się zorientował, ale nic go to nie obchodziło. Zarobiłem dla niego kupę forsy”.

Cohn nie wstydzi się swoich początków na Wall Street. Błędem byłoby jednak stwierdzenie, że jest z nich dumny. Ma dość inteligencji, by zdawać sobie sprawę, że historia o zdobyciu pierwszej pracy za pomocą blefu szczególnie mu nie pochlebia. Opowiedział ją raczej w duchu szczerości. Na zasadzie: taki właśnie jestem.

Podczas tej jazdy taksówką Cohn musiał odegrać pewną rolę: udawać doświadczonego maklera opcji, którym w istocie nie był. Większości z nas w takiej sytuacji powinęłaby się noga. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do odgrywania kogoś innego. Ale Cohn grał jakąś rolę już od podstawówki. „Masz sześć, siedem czy osiem lat, jesteś w szkole publicznej i wszyscy mają cię za idiotę, więc starasz się wygłupiać i rozśmieszać innych, żeby zdobyć chociaż trochę szacunku w oczach kolegów”. Lepiej odgrywać błazna niż mieć opinię matoła. A jeśli przez całe życie udawałeś, że jesteś kimś innym, to czy blef podczas godzinnej jazdy taksówką na lotnisko będzie szczególnie trudny?

Co istotniejsze, większość z nas w ogóle nie wsiadłaby do tej taksówki, bo przejmowalibyśmy się potencjalnymi konsekwencjami społecznymi. Facet z Wall Street mógł nas przejrzeć – i opowiedzieć wszystkim innym grubym rybom, że taki jeden szczeniak pozuje na specjalistę od opcji. W jakiej by nas to stawiało sytuacji? Mógłby nas wyrzucić z taksówki. Moglibyśmy wrócić do domu i stwierdzić, że handel opcjami nas przerasta. Moglibyśmy pojawić się w nowej pracy w poniedziałek i zrobić z siebie głupka. Ktoś mógłby odkryć nasz blef, tydzień albo miesiąc później, i nas zwolnić. Wskoczenie do tej taksówki było dowodem braku ugodowości, a większość z nas jest zasadniczo ugodowa. Ale Cohn? Sprzedawał siding aluminiowy. Jego matka uważała, że będzie miał szczęście, jeśli zostanie

kierowcą ciężarówki. Wylatywał ze szkoły, brano go za idiotę i nawet jako dorosły potrzebował sześciu godzin na przeczytanie 22 stron, bo musiał zatrzymywać się przy każdym słowie, żeby mieć pewność, że rozumie, co czyta. Nie miał nic do stracenia.

„Dzieciństwo pozwoliło mi przyzwyczaić się do porażek – powiedział. – Wielu znanych mi dyslektyków ma pewną wspólną cechę: kiedy kończymy studia, mamy już wysoko rozwiniętą zdolność radzenia sobie z niepowodzeniami. Dlatego patrząc na większość sytuacji, widzimy znacznie więcej plusów niż minusów. Bo do minusów jesteśmy przyzwyczajeni. Nie ruszają nas. Wiele razy o tym myślałem, bardzo poważnie, bo zdecydowało to o tym, kim jestem. Bez dysleksji nie byłbym dziś tu, gdzie jestem. Nigdy bym nie zaryzykował i nie wykorzystał tej pierwszej okazji”.

Dysleksja – w najlepszych wypadkach – zmusza nas do rozwinięcia umiejętności, które być może w przeciwnym razie pozostałyby uśpione. Popycha nas także do rzeczy, które w innym wypadku może nigdy nie przyszłyby nam do głowy – naszej własnej wersji wyprawy Kamprada do Polski czy wskoczenia do taksówki z kimś, kogo nie znamy, i udawania kogoś, kim nie jesteśmy. Kamprad, jeśli jeszcze się zastanawiacie, był dyslektykiem. A Gary Cohn? Okazało się, że był bardzo dobrym maklerem i że nauczenie się, jak radzić sobie z możliwością porażki, znakomicie przygotowuje do kariery w świecie biznesu. Dziś jest prezesem Goldman Sachs.

---

[21] Właściwie istnieje test jeszcze krótszy. Jednym z najgenialniejszych współczesnych psychologów był człowiek nazwiskiem Amos Tversky. Był tak błyskotliwy, że jego koledzy po fachu opracowali „test inteligencji Tversky’ego”: im szybciej zdasz sobie sprawę, że Tversky jest

mądrzejszy od ciebie, tym bardziej jesteś inteligentny. O teście Tversky'ego opowiedział mi Adam Alter. Uzyskałby w nim bardzo wysoki wynik.

[22] Chcąc mieć pewność, że mierzy inteligencję, a nie coś innego, Frederick dodatkowo skorelował wyniki CRT z innymi czynnikami. „Analiza tych odpowiedzi wskazuje, że wyniki CRT nie są związane z preferencjami dotyczącymi wyboru między jabłkami a pomarańczami, pepsi a colą, piwem a winem oraz koncertem rapowym a baletem – pisze. – Natomiast wyniki CRT są silnie skorelowane z wyborem między czasopismami »People« a »The New Yorker«. W grupie z niskim wynikiem CRT 67 procent badanych preferowało »People«. Wśród studentów z wysokim wynikiem CRT 64 procent wolało »New Yorkera«". (Jestem publicystą „New Yorkera", więc po prostu nie mogłem tego pominąć).

[23] Kiedy Blankenhorn zeznawał na procesie w styczniu 2010 roku, sprawa nazywała się „Perry przeciwko Schwarzeneggerowi". Zmieniła się w „Hollingsworth przeciwko Perry'emu" na szczeblu Sądu Najwyższego w 2013 roku.

[24] Do licznych wyprodukowanych przez Grazera filmów należą: *Plusk*, *Apollo 13*, *Piękny umysł* i *8 mila*. Wspominam o nim także w książce *Błysk! Potęga przeczucia* przy omawianiu sztuki doboru obsady.

[25] Wielka piątka stanowi standard wykorzystywany przez psychologów społecznych do pomiaru osobowości. Specjalistom nauk społecznych nie zawsze podobają się takie testy osobowości, jak na przykład test Myers-Briggs, bo uważają, że tego rodzaju niespecjalistyczne testy pomijają pewne kluczowe cechy lub błędnie charakteryzują inne.

[26] Należy tu podkreślić, że dysleksja dotyczy tylko czytania. Nie miała wpływu na łatwość, z jaką Cohn operował liczbami. Jak mówi, jedyną osobą, która w niego wierzyła przez całe dzieciństwo, był jego dziadek, który miał świadomość, że mały Gary nauczył się na pamięć całej inwentaryzacji rodzinnego sklepu z artykułami wodno-kanalizacyjnymi.

[27] Mniej więcej taką długość ma ten rozdział. Jeśli Gary Cohn będzie chciał przeczytać, co o nim napisałem, będzie musiał zarezerwować na to sporo czasu w swoim rozkładzie dnia. „Żeby to rzeczywiście przeczytać, zrozumieć, sprawdzić wszystkie słowa, których nie znam, sprawdzić słowo i zorientować się: a, nie, to nie to, źle szukam, potrzebuję po dwie godziny trzy dni z rzędu" – stwierdził. Jest zapracowanym człowiekiem. Raczej więc do tego nie dojdzie. „Powodzenia z pańską książką, której nie przeczytam" – powiedział ze śmiechem na zakończenie naszej rozmowy.

ROZDZIAŁ 5
EMIL „JAY” FREIREICH

„Nie wiem, jak Jayowi się to udało”.

1 Kiedy Jay Freireich był bardzo mały, jego ojciec nagle zmarł. Freireichowie byli węgierskimi imigrantami, którzy prowadzili restaurację w Chicago. Działo się to tuż po krachu na giełdzie w 1929 roku. Wszystko stracili. „Znaleźli go w łazience – opowiadał Freireich. – Myślę, że to było samobójstwo, bo poczuł, że został zupełnie sam. Przyjechał do Chicago, bo miał tam brata. Po krachu brat wyniósł się z miasta. Ojciec miał żonę, dwoje małych dzieci, żadnych pieniędzy, restauracja przepadła. Musiał być zdesperowany”.

Matka Freireicha poszła do pracy w szemranej fabryczce odzieżowej, przyszywała ronda do kapeluszy. Dostawała po 2 centy za sztukę. Słabo mówiła po angielsku. „Musiała pracować osiemnaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu, żeby zarobić na czynsz – ciągnął Freireich. – W ogóle jej nie widywaliśmy. Mieliśmy małe mieszkanie po zachodniej stronie Humboldt Park, przy granicy z gettem. Nie mogła zostawić dwulatka i pięciolatki zupełnie samych, więc znalazła pewną panią, imigrantkę z Irlandii, która pracowała w zamian za dach nad głową i jedzenie. Moim rodzicem, odkąd miałem dwa lata, była ta irlandzka pomoc domowa. Uwielbialiśmy ją. Była de facto moją matką. A później,

kiedy miałem dziewięć lat, matka poznała pewnego Węgra, wdowca z synem, i wyszła za niego. To było małżeństwo z rozsądku. On nie mógł sam zajmować się synem, a ona nie miała nikogo. Był bardzo zgorzkniałym, zniszczonym facetem. Pobrali się, matka rzuciła pracę i wkroczyła z powrotem na scenę. Nie mogli już pozwolić sobie na pomoc domową, więc ją zwolnili. Wylali moją matkę. Nigdy tego matce nie wybaczyłem”.

Rodzina przeprowadzała się z jednego mieszkania do drugiego. Białko jedli raz na tydzień. Freireich pamięta, jak chodził po sklepach, szukając butelki mleka za 4 centy, bo na normalną cenę 5 centów rodziny nie było stać. Całe dnie spędzał na ulicy. Kradł. Nie miał bliskiej relacji z siostrą. Była dla niego raczej kimś, kto pilnuje dyscypliny, niż przyjaciółką. Nie lubił swojego ojczyma. Ani matki. „Cały intelekt, jaki miała, zniszczyła praca w nieludzkich warunkach – stwierdził. – Była pełna gniewu. A kiedy wyszła za tego brzydala, który sprowadził do nas tę osobę – mojego brata przyrodniego, który dostawał połowę wszystkiego, co kiedyś dostawałem ja, a potem zwolniła moją matkę…”. Umilkł.

Freireich siedział przy biurku. Miał na sobie biały fartuch. Wszystko, o czym mówił, działo się wiele lat temu, a jednocześnie – w innym, ważniejszym sensie – wcale nie tak dawno. „Nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek przytuliła, pocałowała ani nic w tym rodzaju – podjął. – Nigdy nie mówiła o moim ojcu. Nie mam pojęcia, czy był dla niej dobry, czy podły. Ani słowa o nim nie słyszałem. Czy zastanawiam się czasem, jaki był? Cały czas. Mam jedno zdjęcie”. Freireich odwrócił się na krześle i kliknął plik ze zdjęciami na swoim komputerze. Na monitorze pojawiła się ziarnista fotografia z początku XX wieku, przedstawiająca mężczyznę, który, jak można się spodziewać, był bardzo do Freireicha podobny. „To jedyne jego zdjęcie, jakie miała matka” – powiedział mój rozmówca.

Brzegi zdjęcia były nierówne. Zostało wycięte ze znacznie większej rodzinnej fotografii.

Zapytałem o irlandzką służącą, która go wychowała. Jak miała na imię? Zamarł. Dłuższą chwilę nic nie mówił, co rzadko mu się zdarzało. „Nie wiem – powiedział w końcu. – Na pewno zaraz mi się przypomni”. Siedział przez moment nieruchomo, koncentrując się. „Moja siostra by pamiętała, matka by pamiętała. Ale już nie żyją. Nie mam żadnych żyjących krewnych oprócz dwóch kuzynów”. Znów zamilkł. „Przychodzi mi do głowy imię Mary. I może rzeczywiście tak się nazywała. Ale Mary to było imię mojej matki. Więc może coś mylę…”

Freireich miał 84 lata, kiedy z nim rozmawiałem. Błędem byłoby jednak mówić tu o luce w pamięci związanej z wiekiem. Jay Freireich nie miewa luk w pamięci. Pierwszy raz przeprowadzałem z nim wywiad pewnej wiosny, następny pół roku później, po jakimś czasie rozmawialiśmy znowu i za każdym razem przypominał sobie z zegarmistrzowską precyzją daty, nazwiska i fakty, a jeśli poruszał jakiś temat, który omówił przy jednej z poprzednich okazji, przerywał i mówił: „Wiem, że już to panu opowiadałem”. Nie mógł sobie przypomnieć imienia kobiety, która go wychowała, bo wszystko, co związane z tymi latami, było tak bolesne, że zostało zepchnięte do najdalszych zakamarków umysłu.

2

W latach poprzedzających drugą wojnę światową rząd Wielkiej Brytanii miał powody do niepokoju. Brytyjskie dowództwo sądziło, że gdyby, w wypadku wojny, niemieckie siły powietrzne przypuściły dużą ofensywę na Londyn, nie dałoby się zrobić nic, żeby ją powstrzymać. Basil Liddell Hart, jeden z czołowych ówczesnych teoretyków wojskowych, szacował, że w ciągu pierwszego tygodnia niemieckich nalotów w Londynie zginęłoby i zostało rannych ćwierć miliona cywili.

Winston Churchill nazwał Londyn „najlepszym celem na świecie, swego rodzaju olbrzymią, tłustą, cenną krową, uwiązaną, by przyciągała drapieżnika”. Przewidywał, że miasto będzie do tego stopnia bezbronne w obliczu ataku, że od 3 do 4 milionów londyńczyków ucieknie na wieś. W 1937 roku, w przededniu wojny, brytyjskie dowództwo wojskowe opracowało raport z najbardziej złowieszczymi z dotychczasowych prognoz: nieprzerwane niemieckie bombardowanie przyniesie 600 000 zabitych, 1,2 miliona rannych i wywoła masową panikę na ulicach. Ludzie nie będą chcieli chodzić do pracy. Stanie produkcja przemysłowa. Armia nie będzie się nadawać do walki z Niemcami, bo będzie zajęta utrzymywaniem porządku wśród milionów spanikowanych cywili. Przez chwilę rozważano budowę ogromnej sieci podziemnych schronów bombowych w całym Londynie, ale porzucono ten plan z obawy, że gdyby takie schrony powstały, ludzie, którzy by z nich skorzystali, nie chcieliby już z nich wyjść. Tuż za granicami miasta powstało za to kilka szpitali psychiatrycznych, które miały się zająć spodziewaną lawiną ofiar z urazami psychologicznymi. „Istnieje duże prawdopodobieństwo – stwierdzał raport – że możemy to przypłacić przegraną wojną”.

Jesienią 1940 roku zaczął się od dawna oczekiwany atak. Przez osiem miesięcy – począwszy od niszczycielskich bombardowań trwających przez 57 kolejnych nocy – niebo nad Londynem z hukiem silników przecinały niemieckie bombowce, zrzucając dziesiątki tysięcy ładunków wybuchowych i ponad milion bomb zapalających. Zginęło 40 000 ludzi, a 46 000 zostało rannych. Uszkodzeniu lub zniszczeniu uległo milion budynków. Na East Endzie spustoszone zostały całe dzielnice. Ataki przebiegały zgodnie z najgorszymi obawami brytyjskiego rządu – tyle że wszystkie prognozy dotyczące reakcji londyńczyków okazały się chybione.

Panika nigdy nie wybuchła. Zbudowane na przedmieściach Londynu szpitale psychiatryczne przekazano do użytku wojskowego, bo nikt się do nich nie zgłaszał. Na początku bombardowań ewakuowano na wieś wiele kobiet i dzieci. Jednak mieszkańcy, których miasto potrzebowało, żeby funkcjonować, w większości w nim zostali. Kiedy trwały naloty i niemieckie ataki coraz bardziej się nasilały, brytyjskie władze zaczęły wśród londyńczyków dostrzegać – ku swojemu zdumieniu – nie tylko odwagę w obliczu bombardowań, ale postawę bliższą raczej obojętności. „W październiku 1940 roku miałem okazję jechać samochodem przez południowo-wschodni Londyn tuż po serii ataków na tę dzielnicę” – pisał pewien angielski psychiatra wkrótce po zakończeniu wojny:

> Mniej więcej co 100 metrów widać było lej po bombie albo gruzy czegoś, co kiedyś było domem lub sklepem. Rozległa się syrena alarmowa. Rozejrzałem się, żeby zobaczyć, co się stanie. Zakonnica, która prowadziła dziecko, chwyciła je za rękę i przyspieszyła kroku. Wydawało się, że ona i ja jesteśmy jedynymi osobami, które usłyszały alarm. Wszędzie na chodnikach dalej bawili się mali chłopcy, kupujący dalej się targowali, znudzony policjant majestatycznie kierował ruchem, a cykliści rzucali wyzwanie śmierci i kodeksowi drogowemu. Nikt, kogo widziałem, nawet nie spojrzał na niebo.

Chyba zgodzicie się, że trudno w to uwierzyć. Naloty na Londyn to była wojna. Z eksplodujących bomb na wszystkie strony leciały śmiercionośnie odłamki. Co noc inna dzielnica stawała w płomieniach od ładunków zapalających. Ponad milion mieszkańców straciło dach nad głową. Tysiące ludzi tłoczyły się codziennie w prowizorycznych schronach na stacjach metra. Na ulicach, wśród grzmotu samolotów, huku eksplozji, wystrzałów

artylerii przeciwlotniczej i nieustannego wycia karetek, wozów strażackich i syren alarmowych, panował niesłabnący ani na chwilę hałas. W ankiecie przeprowadzonej wśród londyńczyków wieczorem 12 września 1940 roku jedna trzecia badanych stwierdziła, że poprzedniej nocy nie spała, a jedna trzecia miała za sobą mniej niż cztery godziny snu. Wyobrażacie sobie, jak zareagowaliby nowojorczycy, gdyby obrócenie w gruzy jednego z ich biurowców nie było wydarzeniem jednorazowym, lecz miałoby miejsce codziennie, przez dwa i pół miesiąca?

Reakcję londyńczyków zazwyczaj tłumaczy się „angielską flegmą" – stoicyzmem, który ma być wpisany w charakter Brytyjczyków. (Jak można się spodziewać, oni sami zdecydowanie obstają przy tym wyjaśnieniu). Szybko jednak okazało się, że nie tylko mieszkańcy Wielkiej Brytanii zachowują się w ten sposób. Cywile z innych krajów także wykazywali nadspodziewany hart ducha w obliczu bombardowań. Stało się jasne, że naloty nie oddziałują na ludzi tak, jak to sobie wszyscy wyobrażali. Zagadkę rozwiązał dopiero kanadyjski psychiatra J.T. MacCurdy już po zakończeniu wojny, w książce pod tytułem *The Structure of Morale* (Struktura morale).

MacCurdy twierdził, że kiedy na miasto spada bomba, dzieli mieszkańców na trzy grupy. Pierwsza z nich to ofiary śmiertelne. Osoby, dla których bombardowanie ma – co oczywiste – najtragiczniejsze skutki. MacCurdy zauważył jednak (może nieco dosadnie): „Morale danej społeczności zależy od reakcji osób, które przeżyły, więc z takiej perspektywy zabici nie mają znaczenia. W takim ujęciu jest to fakt oczywisty: zwłoki nie biegają tam i z powrotem, siejąc panikę".

Druga grupa obejmowała ludzi, którzy o włos uniknęli śmierci, a więc zagrożonych bezpośrednio:

> Czują skutki wybuchu, widzą zniszczenia, są przerażeni rzezią, być może zostali ranni, ale przeżyte bombardowanie odcisnęło na nich niezatarte piętno. Piętno w znaczeniu silnego wzmocnienia reakcji lękowej w związku z bombardowaniem. Efektem może być „szok” – ten luźny termin obejmuje najróżniejsze reakcje, od stanu oszołomienia lub stuporu po nerwowość i obsesyjne wracanie do przerażających wydarzeń, których byli świadkami.

Trzecią grupę stanowią osoby zagrożone pośrednio. To ludzie, którzy słyszą syreny, widzą wrogie bombowce na niebie i słyszą huk wybuchów. Ale bomba trafia w dalszą część ulicy albo w następną przecznicę. Dla tych osób konsekwencje nalotu są dokładnie przeciwne niż w grupie zagrożonych bezpośrednio. Przeżyli, a kiedy zdarza im się to po raz drugi lub trzeci, emocją skojarzoną z atakiem, jak pisał MacCurdy, „jest ekscytacja podszyta lekkim poczuciem bycia niezniszczalnym”. Zagrożenie bezpośrednie kończy się traumą. W wyniku zagrożenia pośredniego zaczynamy myśleć, że jesteśmy niezwyciężeni.

W dziennikach i wspomnieniach londyńczyków, którzy przeżyli niemieckie naloty, można znaleźć niezliczone przykłady tego zjawiska. Oto jeden z nich:

> Kiedy rozległa się pierwsza syrena, zabrałam dzieci do naszej ziemianki wykopanej w ogrodzie i byłam właściwie pewna, że wszyscy zginiemy. A potem alarm odwołano, do niczego groźnego nie doszło. Od momentu, kiedy wyszliśmy z ziemianki, czułam pewność, że nigdy nic nam się nie stanie.

Albo taki fragment – z pamiętnika młodej kobiety, której domem wstrząsnęła pobliska eksplozja:

> Leżałam na podłodze z poczuciem nieopisanego szczęścia i triumfu. „Zostałam zbombardowana!” – powtarzałam sobie w kółko, przymierzając to zdanie jak nową sukienkę, sprawdzając, czy mi pasuje. „Zostałam zbombardowana! Zbombardowana – ja!”
>
> Może to straszne, co powiem, kiedy wczorajszej nocy zginęło i zostało rannych tak wielu ludzi; ale ja nigdy w całym swoim życiu nie czułam tak czystego i doskonałego szczęścia.

Dlaczego zatem londyńczycy pozostali niewzruszeni w obliczu nalotów? Ponieważ 40 000 zabitych i 46 000 rannych – na całym obszarze aglomeracji liczącej ponad 8 milionów mieszkańców – oznacza, że osób zagrożonych pośrednio, którym doświadczenie przeżycia bombardowania dodało odwagi, było znacznie więcej niż zagrożonych bezpośrednio, u których naloty wywołały traumę.

„Wszyscy jesteśmy nie tylko podatni na lęki” – ciągnął MacCurdy:

> Mamy także skłonność, by bać się tego, że będziemy się bać, a pokonanie strachu wywołuje w nas euforię […]. Jeśli baliśmy się, że możemy spanikować podczas nalotu, a potem, kiedy do niego doszło, zachowaliśmy spokój i nie daliśmy nic po sobie poznać, teraz zaś jesteśmy już bezpieczni, kontrast pomiędzy wcześniejszym niepokojem a obecną ulgą i poczuciem bezpieczeństwa sprzyja budowaniu wiary w siebie, będącej ojcem i matką odwagi.

W okresie trwania nalotów pewnemu robotnikowi w średnim wieku, pracującemu w fabryce guzików, zaproponowano ewakuację na wieś. W wyniku bombardowań dwukrotnie stracił dach nad głową. Za każdym razem jednak ani jemu, ani jego żonie nic się nie stało. Odmówił.

„I co, miałoby mnie to wszystko ominąć? – zawołał. – Za żadne skarby świata! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie było! Nigdy! I nigdy nie będzie”.

3

Koncepcja pożądanej trudności sugeruje, że nie wszystkie trudności muszą być negatywne. Problemy z czytaniem są poważną życiową przeszkodą, chyba że jest się Davidem Boiesem, którego przeszkoda ta zmienia w znakomitego słuchacza, albo Garym Cohnem, któremu daje ona odwagę do podejmowania ryzyka, na co w przeciwnym razie by się nie zdecydował.

Sformułowana przez MacCurdy’ego teoria morale to drugie, szersze spojrzenie na tę samą ideę. Winston Churchill i angielscy dowódcy wojskowi tak bardzo obawiali się niemieckich ataków na Londyn dlatego, że zakładali, iż trauma bombardowania będzie miała taki sam wpływ na wszystkich: że jedyną różnicą między zagrożonymi bezpośrednio a pośrednio będzie stopień doświadczonego urazu.

Jednak zdaniem MacCurdy’ego naloty na Londyn dowiodły, że traumatyczne przeżycia mogą oddziaływać na ludzi na dwa zupełnie różne sposoby: to samo wydarzenie jednej grupie może przynieść uraz, a na inną wpłynąć korzystnie. Ów pracownik fabryki guzików i owa młoda kobieta, której dom został naruszony przez bombę, chwalili sobie swoje doświadczenia, prawda? Trwała wojna. Nie mogli tego faktu zmienić. Uwolnili się jednak od lęków, które mogą sprawić, że życie w czasie wojny staje się nie do zniesienia.

Dysleksja jest klasycznym przykładem tego samego zjawiska. Wielu dyslektykom nie udaje się skompensować problemów z czytaniem rozwinięciem innych umiejętności. Całe ich mnóstwo trafia na przykład do więzienia: to osoby, które przytłoczyła niezdolność do opanowania najbardziej elementarnego ze szkolnych zadań. Jednak to samo zaburzenie

neurologiczne u ludzi takich jak Gary Cohn i David Boies może mieć zupełnie inne skutki. Dysleksja była jak bomba, która zrobiła wyrwę w życiu Cohna, przysparzając mu nieszczęść i cierpień. Ale Cohn był bardzo bystry, mógł liczyć na wsparcie rodziny i miał więcej niż trochę szczęścia, tak że udało mu się przetrzymać najgorsze skutki eksplozji i wyjść z tego doświadczenia silniejszym. Często popełniamy ten sam błąd co Brytyjczycy i wyciągamy pochopny wniosek, że istnieje tylko jeden rodzaj reakcji na straszne, traumatyczne wydarzenie. A to nieprawda. Zareagować można dwojako. I tu wracamy do Jaya Freireicha i dzieciństwa, które wolał wymazać z pamięci.

4

Kiedy Jay Freireich miał dziewięć lat, poważnie zachorował na anginę. Do ich mieszkania przyszedł miejscowy lekarz – doktor Rosenbloom – żeby wyciąć chłopcu migdałki. „Rzadko wtedy widywałem mężczyzn – wspominał Freireich. – Znałem głównie kobiety. Jak już widziało się mężczyznę, to brudnego, w kombinezonie roboczym. Ale Rosenbloom miał garnitur i krawat, był kulturalny i miły. I tak od dziesiątego roku życia marzyłem, że zostanę sławnym lekarzem. Nigdy nie pomyślałem o żadnym innym zawodzie”.

W liceum Jay zdobył sympatię nauczyciela fizyki, który powiedział mu, że powinien pójść na studia. „Zapytałem: »Co mi jest do tego potrzebne?«. A on odparł: »No, gdybyś zdobył 25 dolarów, to pewnie by ci się udało«. To było w 1942. Sytuacja się poprawiła, ale ludzie nadal nie byli zamożni. 25 dolarów to było nie byle co. Nie sądzę, żeby moja matka w ogóle kiedyś widziała taką sumę naraz. Powiedziała mi: »Zobaczę, co da się zrobić«. Przyszła parę dni później. Okazało się, że znalazła jakąś Węgierkę, której mąż umarł i zostawił jej spadek, i wyobraź sobie, ta kobieta dała mojej

matce 25 dolarów. A matka ich nie zatrzymała, tylko dała mnie. No i tak się sprawy mają. Mam szesnaście lat i tryskam optymizmem”.

Freireich pojechał pociągiem z Chicago do miasta Champaign-Urbana, gdzie mieścił się Uniwersytet Illinois. Wynajął pokój. Znalazł pracę w stołówce korporacji studentek, żeby opłacić czesne. Zajęcie to miało tę dodatkową zaletę, że mógł się żywić resztkami po posiłkach. W college’u dobrze sobie radził, dostał się na medycynę, a po jej skończeniu zaczął staż w Cook County Hospital, największym publicznym szpitalu w Chicago.

Medycyna była w owych czasach niezwykle szacowną profesją. Lekarze cieszyli się wysoką pozycją społeczną i zazwyczaj pochodzili z wyższej klasy średniej. Freireich był zupełnie inny. Nawet dziś, po osiemdziesiątce, jest mężczyzną budzącym onieśmielenie – ponad 190 centymetrów wzrostu i potężne bary. Ma nieproporcjonalnie dużą głowę – nawet przy tak imponującej posturze – przez co wydaje się jeszcze większy. Jest gadułą, mówi płynnie, bezustannie i głośno, z akcentem typowym dla swojego rodzinnego Chicago. Kiedy chce coś szczególnie podkreślić, ma w zwyczaju krzyczeć i walić pięścią w stół – co doprowadziło kiedyś do roztrzaskania przez niego szklanego blatu stołu konferencyjnego. (Bezpośrednim następstwem był jedyny znany wypadek, kiedy widziano, żeby Freireich zamilkł).

Przez pewien czas spotykał się z kobietą ze znacznie zamożniejszej rodziny. Dziewczyna była wytworna i wyrafinowana. Freireich był twardzielem z Humboldt Park, który wyglądał i mówił jak goryl gangstera z epoki wielkiego kryzysu. „Zabrała mnie do filharmonii. Pierwszy raz w życiu słyszałem wtedy muzykę klasyczną – wspominał. – Nigdy wcześniej nie widziałem baletu. Nigdy nie byłem w teatrze. Poza tym, co obejrzałem na naszym małym telewizorze, który kupiła matka, nie miałem właściwie żadnego obycia. Nie znałem żadnej literatury, sztuki, muzyki,

tańca, kompletnie niczego. Wszystko kręciło się wokół zdobywania jedzenia. I tego, żeby nie dać się zabić albo pobić. Zupełnie nie miałem ogłady”[28].

Freireich został adiunktem na hematologii w Bostonie. Kiedy powołano go do armii, postanowił dokończyć służbę wojskową w National Cancer Institute (Narodowym Instytucie Onkologicznym) pod Waszyngtonem. Mówiono o nim, że jest znakomitym, oddanym swojej pracy lekarzem, który pierwszy przychodzi rano do szpitala i ostatni wychodzi. Nigdy jednak nie oddalił się zbytnio od swoich burzliwych początków. Miał wybuchowy temperament. Brakowało mu cierpliwości i delikatności. Jeden z jego współpracowników tak opisuje niezapomniane pierwsze wrażenie, jakie zrobił na nim Freireich: „Olbrzym stojący gdzieś z tyłu i wrzeszczący do telefonu”. Inny z kolegów zapamiętał go jako „potwornie żywiołowego. Mówił, co mu tylko przyszło do głowy”. Siedmiokrotnie wyrzucano go z pracy, pierwszy raz podczas rezydentury, kiedy ze złością sprzeciwił się siostrze przełożonej w Presbyterian Hospital w Chicago. Pewien współpracujący z nim kiedyś doktor pamięta, jak Freireich odkrył błahy błąd popełniony przez jednego z podlegających mu lekarzy rezydentów. Przeoczono mało istotny wynik badania laboratoryjnego. „Pacjent zmarł – opowiadał doktor. – Nie z powodu tego błędu. Jay nawrzeszczał na rezydenta na oddziale, przy pięciu czy sześciu lekarzach i pielęgniarkach. Nazwał go mordercą, a facet załamał się i rozpłakał”. Prawie wszystko, co mówią o Freireichu jego przyjaciele, zawiera jakieś „ale”. Uwielbiam go, ale omal się nie pobiliśmy. Zaprosiłem go do domu, ale obraził moją żonę. „Freireich pozostaje do dziś jednym z moich najbliższych przyjaciół – powiedział Evan Hersh, onkolog, który pracował z Freireichem na początku jego kariery. – Zapraszamy go na śluby i bar micwy w naszej rodzinie. Kocham go, jakby był moim ojcem. Ale w dawnych czasach był bojowy

jak tygrys. Kilka razy strasznie się pożarliśmy. Czasami nie odzywałem się do niego przez kilka tygodni”.

Czy takie zachowanie Freireicha może w ogóle wydawać się zaskakujące? Większość z nas nie krzyczy „Ty morderco!” do kolegów z pracy, gdyż potrafimy postawić się na ich miejscu. Umiemy wyobrazić sobie, co czuje druga osoba, i wywołać takie uczucie w sobie. A jesteśmy w stanie to zrobić, ponieważ nasze cierpienia spotykały się wcześniej ze wsparciem, pociechą i zrozumieniem. To wsparcie pokazało nam, jak współczuć innym: stanowi podstawę empatii. Jednak w okresie, kiedy kształtowała się osobowość Freireicha, każda jego relacja z kimś bliskim kończyła się śmiercią lub porzuceniem – a tak ponure dzieciństwo pozostawia po sobie tylko ból i gniew.

Kiedyś, snując wspomnienia o swojej pracy zawodowej, Freireich nagle zaatakował pomysł zapewniania pod koniec życia opieki hospicyjnej pacjentom nieuleczalnie chorym na raka. „Ci wszyscy lekarze, którzy gadają o opiece hospicyjnej. No jak można tak traktować człowieka? – Kiedy Freireich się denerwuje, podnosi głos i zaciska szczęki. – Mamy mówić: »Ma pan raka, na pewno pan umrze. Czuje pan okropny ból. Wyślę pana w takie miejsce, gdzie pan sobie spokojnie umrze«? Nigdy bym czegoś takiego nie powiedział człowiekowi. Powiedziałbym tak: »Cierpi pan. Czuje pan ból. Ulżę panu w cierpieniu. Czy pan umrze? Może nie. Codziennie widzę, jak zdarzają się cuda«. Nie można być pesymistą, kiedy to tylko my możemy tchnąć w ludzi optymizm. We wtorki rano mam obchód dydaktyczny i czasem lekarze na specjalizacji mówią: »Ten pacjent ma osiemdziesiąt lat. To beznadziejne«. Absolutnie nie! Taki przypadek to wyzwanie, a nie powód, żeby rozkładać ręce. Trzeba coś wymyślić. Znaleźć sposób, żeby takim pacjentom pomóc, bo ludzie, żeby żyć, muszą mieć nadzieję. – Freireich już prawie krzyczał. – Ja nigdy nie czułem

przygnębienia. Nigdy nie płakałem razem z jakimś rodzicem z powodu umierającego dziecka. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił jako lekarz. Jako rodzic – możliwe. Gdyby moje dzieci umarły, pewnie bym oszalał. Ale jako lekarz przysięgałem, że będę dawał ludziom nadzieję. Na tym polega nasza praca”.

Freireich ciągnął w tym duchu jeszcze przez kilka minut, aż pełna siła jego osobowości stała się niemal przytłaczająca. Wszyscy chcemy mieć lekarza, który się nie poddaje i nie traci nadziei. Ale jednocześnie zależy nam na tym, żeby nasz lekarz umiał postawić się na naszym miejscu i zrozumieć, co czujemy. Chcemy być traktowani godnie, a to wymaga empatii. Czy Freireich to potrafił? „Nigdy nie czułem przygnębienia. Nigdy nie płakałem razem z jakimś rodzicem z powodu umierającego dziecka”. Gdyby zapytano nas, czy życzylibyśmy komukolwiek takiego dzieciństwa, jakie miał Freireich, z pewnością byśmy zaprzeczyli, bo nie możemy sobie wyobrazić, że mogłoby z takich przeżyć wyniknąć coś dobrego. Nie da się pozostać tylko „zagrożonym pośrednio”, doświadczywszy takiego wychowania.

Prawda?

5

Na początku lat sześćdziesiątych XX wieku psycholog Marvin Eisenstadt rozpoczął projekt badawczy, w którym przeprowadzał ankiety wśród osób kreatywnych – innowatorów, artystów, przedsiębiorców – szukając tendencji i prawidłowości. Analizując odpowiedzi, zauważył pewien dziwny fakt. Zaskakująco duża liczba ankietowanych straciła w dzieciństwie jedno z rodziców. Badana grupa była niewielka, więc Eisenstadt wiedział, że istnieje możliwość, iż to, co zaobserwował, to tylko przypadek. Nie dawało mu to jednak spokoju. A jeśli nie był to zwykły zbieg okoliczności? A jeśli ta prawidłowość coś

oznaczała? W literaturze psychologicznej już wcześniej pojawiły się podobne spostrzeżenia. W latach pięćdziesiątych historyczka nauki Anne Roe, studiując biografie słynnych biologów, zauważyła mimochodem, że wielu z nich zostało w dzieciństwie osieroconych przez co najmniej jedno z rodziców. To samo zaobserwowano kilka lat później w nieformalnym przeglądzie biografii sławnych poetów i pisarzy, takich jak Keats, Wordsworth, Coleridge, Swift, Edward Gibbon i Thackeray. Ponad połowa, jak się okazało, przed skończeniem piętnastego roku życia straciła ojca lub matkę. Związek między twórczymi i zawodowymi osiągnięciami a stratą bliskiej osoby w dzieciństwie był jednym z tych oderwanych faktów, z którymi nie wiadomo było, co zrobić. Eisenstadt postanowił więc podjąć ambitniejszy projekt.

„Był rok 1963, może 1964 – wspomina. – Zacząłem od *Encyclopaedia Britannica*, a potem sięgnąłem także do *Encyclopedia Americana*”. Zrobił listę wszystkich osób, od Homera do Johna F. Kennedy’ego, których dokonania zasługiwały na więcej niż jedną kolumnę w którymś z tych dwóch kompendiów. Uznał, że będzie to przybliżona miara osiągnięć. Miał zatem listę liczącą 699 nazwisk. Zaczął teraz systematycznie zbierać informacje biograficzne o każdej z osób w spisie. „Zajęło mi to dziesięć lat – mówi Eisenstadt. – Czytałem najróżniejsze książki w obcych językach, pojechałem do Kalifornii i do Biblioteki Kongresu, a także do biblioteki genealogicznej w Nowym Jorku. Prześledziłem tyle przypadków straty rodziców w młodym wieku, ile zdołałem znaleźć, aż uznałem, że mam dobre dane statystyczne”.

Spośród 573 osób, na których temat Eisenstadtowi udało się znaleźć wiarygodne informacje biograficzne, co czwarta straciła przynajmniej jedno z rodziców przed ukończeniem dziesiątego roku życia. W wieku piętnastu lat osieroconych przez ojca lub matkę było 34,5 procent, a w wieku lat

dwudziestu – 45 procent. Nawet w czasach sprzed XX wieku, kiedy z powodu chorób, wypadków i wojen średnia długość życia była znacznie krótsza niż dziś, są to wyniki zdumiewające.

W tym samym czasie, kiedy Eisenstadt prowadził swoje badania, historyczka Lucille Iremonger zabrała się do pisania historii premierów Anglii. Skoncentrowała się na okresie od początku XIX wieku do wybuchu drugiej wojny światowej. Jakiego rodzaju wychowanie i cechy – rozważała – są charakterystyczne dla osób zdolnych do wspięcia się na szczyty brytyjskiej polityki w czasach, kiedy był to najpotężniejszy kraj na świecie? Jednak, tak jak w przypadku Eisenstadta, jej uwagę zwrócił fakt, który, jak napisała, „występował tak często, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma istotniejszego znaczenia". 67 procent premierów z jej badania straciło jedno z rodziców przed ukończeniem szesnastego roku życia. To z grubsza dwa razy więcej, niż wynosił ogólny odsetek osób osieroconych przez jedno z rodziców wśród członków brytyjskiej klasy wyższej – społeczno-ekonomicznego segmentu, z którego pochodziła większość premierów. Tę samą prawidłowość można zaobserwować wśród amerykańskich prezydentów. Dwunastu z dotychczasowych czterdziestu czterech – począwszy od George'a Washingtona, a skończywszy na Baracku Obamie – straciło we wczesnej młodości ojca[29].

Od tej pory temat trudnego dzieciństwa i straty rodziców pojawia się coraz częściej w literaturze naukowej. Fascynujące spostrzeżenia znajdziemy na przykład w eseju psychologa Deana Simontona, w którym autor stara się zrozumieć, dlaczego tak wiele uzdolnionych dzieci nie spełnia w późniejszym życiu pokładanych w nich nadziei. Simonton dochodzi do wniosku, że jednym z powodów jest to, iż „odziedziczyły [one] nadmierną ilość zdrowia psychicznego". Takie dzieci są „zbyt konwencjonalne, zbyt posłuszne, obdarzone zbyt małą wyobraźnią, żeby

odnieść sukces dzięki jakiemuś rewolucyjnemu pomysłowi”. Simonton ciągnie: „Uzdolnione dzieci najczęściej pojawiają się w warunkach dużego wsparcia rodzinnego. Natomiast geniusze mają przewrotną tendencję do dorastania w warunkach raczej niekorzystnych”.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to tak, jakby strata rodzica była czymś dobrym. „Ludzie zawsze sobie ze mnie żartują, mówiąc: »Aha, czyli byłoby dla mnie lepiej, gdybym był sierotą albo zamordował swojego ojca?« – mówi Eisenstadt. – Myśl, że niektórzy odnoszą sukces bez rodziców, to bardzo groźna koncepcja, ponieważ powszechne przekonanie mówi, że rodzice są pomocni. Że są nam w życiu niezbędni”. Co jest, podkreśla Eisenstadt, absolutną prawdą. Rodzice są niezbędni. Strata ojca lub matki to najstraszniejsza rzecz, jaka może się przydarzyć dziecku. Psychiatra Felix Brown stwierdził, że odsetek osób, które zostały osierocone w dzieciństwie przez jedno z rodziców, jest dwa do trzech razy wyższy wśród więźniów niż w całej populacji. Różnica jest zbyt duża, by mógł to być jedynie zbieg okoliczności. Widać wyraźnie, że brak rodzica wiąże się z ogromną liczbą bezpośrednich szkód[30].

Dowody przedstawione przez Eisenstadta, Iremonger i innych sugerują jednak, że istnieje także coś takiego jak „zagrożenie pośrednie” wynikające ze śmierci rodzica. Twój ojciec może popełnić samobójstwo, a twoje dzieciństwo stać się takim koszmarem, że spychasz je do najgłębszych zakamarków pamięci – a i tak może z tego wyjść coś dobrego. „Nie jest to argument przemawiający za sieroctwem i deprywacją – pisze Brown – ale fakt istnienia sierot mających wybitne osiągnięcia sugeruje, że w pewnych okolicznościach takie nieszczęście może wyjść na dobre”[31].

Kiedy w 1955 roku Jay Freireich rozpoczął pracę w National Cancer Institute, jego przełożonym został Gordon Zubrod, zawiadujący leczeniem

6 onkologicznym. Zubrod skierował go na oddział białaczki dziecięcej, na pierwszym piętrze głównego budynku szpitala[32].

Białaczka dziecięca była wtedy jedną z najbardziej przerażających form raka. Atakowała bez ostrzeżenia. Dziecko, nawet bardzo małe, jednoroczne lub dwuletnie, dostawało gorączki. Wysoka temperatura się utrzymywała. Następnie pojawiał się silny ból głowy, który nie ustępował, a po nim, jedna po drugiej, kolejne infekcje, w miarę jak organizm tracił zdolność obrony. A potem zaczynało się krwawienie.

„Doktor Zubrod przychodził raz w tygodniu, żeby zobaczyć, jak sobie radzimy – wspominał Freireich – i powiedział do mnie: »Freireich, tu jest jak w rzeźni! Wszędzie od cholery krwi. Musimy tu posprzątać!«. Faktycznie tak było. Dzieciakom krwawiło wszystko, miały krew w stolcu, w moczu – to było najgorsze. Krew leciała im z uszu, krwawiła im skóra. Wszystko było umazane krwią. Pielęgniarki przychodziły rano do pracy w białych fartuchach, a do domu szły całe we krwi”.

Dzieci miały krwotoki wewnętrzne, do wątroby i śledziony, co sprawiało im potworny ból. Od przewracania się w łóżku dostawały okropnych siniaków. Nawet krwawienie z nosa było potencjalnie śmiertelne. Przytrzymywało się pacjentowi nos i przykładało lód. Nie pomagało. Wkładało mu się gazę do nozdrzy. Nie pomagało. Wzywało się laryngologa, który wkładał dziecku tampon z gazy do przewodu nosowego przez usta, a następnie przeciągało się go do przodu przez nos. Chodziło o to, żeby ucisnąć naczynia krwionośne od wewnątrz jamy nosowej. Możecie sobie wyobrazić, jak bolesne to było dla dziecka. Poza tym rzadko pomagało, więc wyjmowało się gazę i znów zaczynało się krwawienie. Oddział na pierwszym piętrze miał znaleźć lekarstwo na białaczkę. Problem jednak polegał na tym, że kontrolowanie krwotoków było tak trudne, że

większość pacjentów umierała, zanim ktokolwiek zdołał dojść do tego, jak im pomóc.

„Dziewięćdziesiąt procent dzieciaków z białaczką, które trafiały do szpitala, umierało w ciągu sześciu tygodni – powiedział Freireich. – Wykrwawiały się na śmierć. Jeśli krwawisz z ust i nosa, nie możesz jeść. Nic nie jesz. Próbujesz pić. Dławisz się. Wymiotujesz. Z powodu krwi w stolcu masz biegunkę. A więc umierasz z głodu. Albo dostajesz infekcji, a potem zapalenia płuc, gorączki, konwulsji i…” – zawiesił głos.

Lekarze nie wytrzymywali długo na oddziale białaczki. Nie dawali rady. „Przychodziło się o siódmej rano – wspomina jeden z lekarzy pracujących na pierwszym piętrze w tamtych czasach. – A wychodziło o dziewiątej wieczorem. Trzeba było zajmować się wszystkim. Codziennie wracałem do domu kompletnie zmiażdżony psychicznie. Zacząłem zbierać znaczki. Siadałem o dziesiątej wieczorem nad klaserem, bo tylko w ten sposób mogłem oderwać się myślami od pracy. Rodzice tych dzieciaków się bali. Nawet nie wchodzili do sali, gdzie leżały. Stali w drzwiach. Nikt nie chciał tam pracować. W ciągu roku umarło mi tam 70 dzieci. To był koszmar”[33].

Nie dla Freireicha. „Nigdy nie czułem przygnębienia. Nigdy nie płakałem razem z jakimś rodzicem z powodu umierającego dziecka”. Freireich połączył siły z innym badaczem z NCI, Tomem Freiem. Wspólnie doszli do przekonania, że problemem jest brak płytek krwi, czyli trombocytów – fragmentów komórek o nieregularnym kształcie, unoszących się w krwi człowieka. Białaczka niszczyła zdolność organizmu do wytwarzania płytek, a bez nich krew nie krzepła. Była to śmiała koncepcja. Jeden z szefów Freireicha w NCI – światowej sławy ekspert w dziedzinie hematologii, George Brecher – odniósł się do niej sceptycznie. Freireich uważał jednak, że Brecher w swojej analizie nieprawidłowo policzył płytki. Freireich był skrupulatny. Zastosował bardziej finezyjną

metodologię i wykrył subtelne zmiany w trombocytach przy bardzo niskim ich poziomie. Związek był dla niego jasny: im mniej płytek, tym obfitsze krwawienie. Dzieci potrzebowały nowych trombocytów – cały czas, w ogromnych dawkach.

Bank krwi NCI nie chciał dać Freireichowi świeżej krwi do transfuzji. Byłoby to wbrew przepisom. Freireich walił pięścią w stół i wrzeszczał: „Zabijecie ludzi!”. „Trzeba uważać, do kogo się mówi takie rzeczy – twierdzi Dick Silver, który pracował z Freireichem w NCI. – Jay miał to gdzieś”.

Freireich znalazł dawców krwi. Ojciec jednego z jego pacjentów był pastorem i sprowadził 20 członków swojego zboru. Standardową procedurą przy transfuzjach krwi w połowie lat pięćdziesiątych były stalowe igły, gumowe rurki i szklane buteleczki. Okazało się jednak, że trombocyty przywierają do tych powierzchni. Freireich wpadł więc na pomysł, żeby przestawić się na nowoczesną technologię – silikonowe igły i plastikowe worki, które nazywano „kiełbasami”. Były ogromne. „Takie wielkie – pokazywał Vince DeVita, jeden z lekarzy na specjalizacji pracujących wtedy z Freireichem, rozkładając szeroko ręce. – A dzieciak jest tylko tej wielkości – De Vita przysunął dłonie znacznie bliżej siebie. – To jakby podlewać kwiatek w doniczce wężem strażackim. Jak nie zrobisz tego dobrze, ryzykujesz ustanie akcji serca u dziecka. Dyrektorem klinicznym NCI był wtedy niejaki Berlin. Zobaczył »kiełbasę« i mówi do Jaya: »Oszalałeś«. Oświadczył Jayowi, że go wyleje, jeśli będzie dalej robił transfuzje płytek krwi”. Freireich zignorował groźbę. „Jay, jak to Jay – ciągnął DeVita – stwierdził, że jeśli nie może tego robić, to i tak nie chce tam pracować”. Krwawienie ustało.

7

Skąd brała się odwaga Freireicha? Jest człowiekiem o tak imponującej i onieśmielającej osobowości, że łatwo sobie wyobrazić, jak przychodzi na świat z już zaciśniętymi pięściami. Jednak z koncepcji MacCurdy'ego dotyczącej zagrożeń bezpośrednich i pośrednich wynika coś zgoła odmiennego – mianowicie że odwaga jest w pewnym sensie nabyta.

Przyjrzyjmy się jeszcze raz temu, co MacCurdy napisał o przeżyciu nalotów na Londyn:

> Jesteśmy wszyscy nie tylko podatni na lęki, mamy także skłonność, by bać się tego, że będziemy się bać, a pokonanie strachu wywołuje w nas euforię […]. Jeśli baliśmy się, że możemy spanikować podczas nalotu, a potem, kiedy do niego doszło, zachowaliśmy spokój i nie daliśmy nic po sobie poznać, teraz zaś jesteśmy już bezpieczni, kontrast pomiędzy wcześniejszym niepokojem a obecną ulgą i poczuciem bezpieczeństwa sprzyja budowaniu wiary w siebie, będącej ojcem i matką odwagi.

Zacznijmy od pierwszego zdania: „Jesteśmy wszyscy nie tylko podatni na lęki, mamy także skłonność, by bać się tego, że będziemy się bać". Ponieważ nikt w Anglii nie doświadczył wcześniej bombardowania, londyńczycy zakładali, że będzie to przerażające doświadczenie. Przestraszyli się swoich przewidywań dotyczących tego, jak się będą czuć, kiedy zaczną się naloty[34]. A potem całymi miesiącami na miasto spadał grad niemieckich bomb, a miliony ludzi zagrożonych pośrednio, którzy spodziewali się, że będą przerażeni bombardowaniem, zrozumiały, iż ich lęki były wyolbrzymione. Nic im się nie stało. Co było potem? „Pokonanie strachu wywołuje w nas euforię". I dalej: „Kontrast pomiędzy

wcześniejszym niepokojem a obecną ulgą i poczuciem bezpieczeństwa sprzyja budowaniu wiary w siebie, będącej ojcem i matką odwagi”.

Odwaga nie jest cechą, którą już mamy i która sprawia, że jesteśmy dzielni, gdy nadchodzą ciężkie czasy. Odwaga to coś, co zdobywamy, doświadczając ciężkich czasów i odkrywając, że wcale nie są aż tak ciężkie. Rozumiecie, jaki katastrofalny błąd popełnili Niemcy? Zbombardowali Londyn, bo myśleli, że związana z nalotami trauma zniszczy odwagę Brytyjczyków. Tymczasem stało się coś przeciwnego. W mieście zaroiło się od ludzi zagrożonych pośrednio, którzy stali się odważniejsi niż przedtem. Dla Niemców byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie zrzucili bomb na Londyn.

Następny rozdział tej książki opowiada o amerykańskim ruchu praw obywatelskich i momencie, kiedy Martin Luther King junior przyjechał ze swoją kampanią do Birmingham w stanie Alabama. Pewien aspekt tej historii warto jednak poruszyć już teraz, bo stanowi idealny przykład koncepcji nabytej odwagi.

Jednym z najważniejszych sprzymierzeńców Kinga w Birmingham był czarnoskóry pastor baptysta, Fred Shuttlesworth, który od lat przewodził walce z segregacją rasową w mieście. Rankiem w dniu Bożego Narodzenia 1956 roku Shuttlesworth ogłosił, że na przekór przepisom zakazującym czarnym podróżowania z białymi będzie jeździł miejskimi autobusami, w których obowiązywała segregacja. Nocą przed planowanym protestem członkowie Ku Klux Klanu podłożyli pod jego dom bombę. Próbowali zrobić Shuttlesworthowi to samo co naziści Anglikom podczas wojennych nalotów. Ale oni także nie rozumieli różnicy między zagrożeniem bezpośrednim a pośrednim.

W swojej książce *Carry Me Home* (Zabierz mnie do domu), imponującej historii kampanii na rzecz praw obywatelskich w Birmingham, Diane McWhorter opisuje, co się działo, kiedy do dymiących ruin domu

Shuttleswortha przybiegli policjanci i sąsiedzi. Była późna noc. Pastor położył się już spać. Bali się, że zginął:

> Z rumowiska dobiegł ich głos: „Nie wyjdę nago”. Po dłuższej chwili pojawił się Shuttlesworth w płaszczu przeciwdeszczowym, który ktoś rzucił na gruzy plebanii. Nie był ranny, zakrwawiony ani oślepiony; nie był nawet ogłuszony, chociaż wybuch stłukł szyby w oknach w promieniu mili […]. Shuttlesworth podniósł dłoń w biblijnym geście, uspokajając zatroskanych sąsiadów, i oświadczył:
>
> – Bóg mnie ochronił. Nie jestem ranny. […]
>
> Postawny policjant płakał.
>
> – Pastorze, ja znam tych ludzi – powiedział, mając na myśli tych, którzy podłożyli bombę. – Nie sądziłem, że posuną się tak daleko. Na pana miejscu wyjechałbym z miasta. Oni są bezwzględni.
>
> – Cóż, nie jest pan na moim miejscu – odparł Shuttlesworth. – Niech pan powie swoim braciom z Klanu, że skoro Bóg mnie uratował, to ja tu jeszcze długo zostanę. Walka dopiero się zaczyna.

Był to klasyczny przykład zagrożenia pośredniego. Shuttlesworth nie zginął. (Trafienie). Nie został okaleczony ani poważnie ranny. (Zagrożenie bezpośrednie). Wyszedł z zamachu bez szwanku. Zamiary Klanu się nie powiodły. Shuttlesworth bał się teraz mniej niż wcześniej.

Następnego ranka członkowie jego zboru prosili go, żeby odwołał protest. Odmówił. McWhorter pisze dalej:

> – Jasne, że wsiądziemy do tych autobusów, do cholery – zaklął pastor i zwrócił się do rady zboru: – Znajdźcie sobie jakąś szparę,

w którą się schowacie, jeśli się boicie, ale ja po tym spotkaniu idę do miasta i wsiadam do autobusu. Nie będę się oglądał, żeby zobaczyć, kto idzie za mną. – Jego głos nabrał mocy, jak podczas kazania. – Chłopcy niech się cofną – zakomenderował. – Mężczyźni, wystąp.

Kilka miesięcy później Shuttlesworth postanowił osobiście zapisać swoją córkę do Liceum imienia Johna Herberta Phillipsa, gdzie uczyli się wyłącznie biali. Kiedy podjechał z nią przed szkołę, jego samochód otoczył tłum rozgniewanych białych mężczyzn. Jeszcze raz oddajmy głos McWhorter:

Dziewczyna patrzyła z niedowierzaniem, jak jej ojciec wysiada z samochodu. Mężczyźni rzucili się na Shuttleswortha z kastetami, drewnianymi kijami i łańcuchami. Kiedy usiłował przejść chodnikiem w kierunku zachodnim, kilkakrotnie go przewracano. Ktoś naciągnął mu płaszcz na głowę, tak że nie mógł opuścić rąk […].

– Mamy tego sukinsyna! – krzyknął jakiś człowiek.

– Zabijmy go! – zawył tłum.

Ze strony białych kobiet, dopingujących napastników, padła rada, aby „zabić pierdolonego czarnucha i będzie spokój”. Mężczyźni zaczęli tłuc szyby w aucie pastora.

Co się stało Shuttlesworthowi? Niewiele. Udało mu się wczołgać z powrotem do samochodu. Pojechał do szpitala, gdzie stwierdzono lekkie uszkodzenie nerek oraz trochę siniaków i zadrapań. Wypisał się jeszcze tego samego popołudnia, a wieczorem z mównicy w kościele powiedział swojemu zborowi, że ma dla napastników jedynie wybaczenie.

Shuttlesworth musiał być człowiekiem o wielkiej determinacji i sile woli. Kiedy jednak wyszedł bez szwanku z wybuchu, który obrócił jego dom w ruinę, zyskał dodatkową warstwę psychologicznej zbroi. „Jesteśmy wszyscy nie tylko podatni na lęki, mamy także skłonność, by bać się tego, że będziemy się bać, a pokonanie strachu wywołuje w nas euforię […]. Kontrast pomiędzy wcześniejszym niepokojem a obecną ulgą i poczuciem bezpieczeństwa sprzyja budowaniu wiary w siebie, będącej ojcem i matką odwagi”.

Co zatem stało się przed Liceum imienia Phillipsa? Kolejny strzał daleko od celu – a więc zagrożenie pośrednie. Wychodząc ze szpitala, Shuttlesworth powiedział reporterom: „Dziś po raz drugi w ciągu roku cud ocalił mi życie”. Jeśli po jednym takim wypadku odczuwa się euforię, możemy tylko wyobrażać sobie, co przynoszą dwa.

Niedługo potem przyjechał razem z kolegą, Jimem Farmerem, na spotkanie z Martinem Lutherem Kingiem w kościele w Montgomery w Alabamie. Przed budynkiem zebrał się wzburzony tłum, powiewając konfederackimi flagami. Zgromadzeni dopadli do samochodu i rozhuśtali go, próbując przewrócić pojazd. Kierowca wrzucił wsteczny i chciał znaleźć inną drogę, ale auto ponownie zablokowano. Co zrobił Shuttlesworth? Tak jak przed Liceum imienia Phillipsa wysiadł z samochodu. Raz jeszcze sięgnijmy do McWhorter:

> Butelki po coca-coli roztrzaskały okna samochodu, podczas gdy on poczuł dziwną woń – po raz pierwszy dotarł do niego zapach gazu łzawiącego. Gestem pokazał Farmerowi, żeby też wysiadł, po czym wszedł w tłum. Farmer pospieszył za nim, „wystraszony jak jasna cholera”, usiłując wcisnąć swoją słuszną sylwetkę bon vivanta w wąski cień Shuttleswortha. Zbiry rozstąpiły się, opuściły kije,

a Shuttlesworth dotarł do drzwi kościoła baptystów cały i zdrowy; nie muśnięto nawet jednej niteczki w jego marynarce.

– Z drogi – mówił tylko. – No już. Z drogi.

To już trzecia sytuacja zagrożenia pośredniego.

Strata rodzica różni się od zbombardowania domu czy ataku oszalałego tłumu. Jest czymś gorszym. Nie wystarczy jedna straszna chwila, by było po wszystkim, a urazy nie goją się tak szybko jak siniak czy rana. Co jednak dzieje się z dziećmi, których najgorszy lęk się spełnia, a one odkrywają, że nadal żyją, że przetrwały? Czyż nie mogły zyskać tego co Shuttlesworth i osoby, które przeżyły naloty w Londynie – wiary w siebie, będącej ojcem i matką odwagi?[35]

„Policjant, który wiózł Shuttleswortha do aresztu – pisze McWhorter o innym z licznych konfliktów pastora z władzami – uderzył go, kopnął w goleń, nazwał małpą, a potem usiłował sprowokować: »Dlaczego mi nie oddasz?«. Shuttlesworth odparł: »Ponieważ cię kocham«. Skrzyżował ramiona i uśmiechał się przez resztę drogi do aresztu, gdzie, kiedy zabroniono mu śpiewać i się modlić, uciął sobie drzemkę”.

8

Zahamowanie krwawienia przez Freireicha stanowiło przełom. Pacjentów można było teraz utrzymać przy życiu wystarczająco długo, by leczyć fundamentalną przyczynę ich choroby. Jednak sama białaczka okazała się jeszcze trudniejszym problemem. Znano tylko kilka leków, które przynosiły jakąkolwiek poprawę w walce z chorobą. Były to środki zabijające komórki nowotworowe: 6-MP, czyli merkaptopuryna, i metotreksat – oraz steryd prednizon. Każdy z nich był jednak potencjalnie wysokotoksyczny, więc można je było podawać jedynie w ograniczonych dawkach, a w związku z tym mogły zlikwidować tylko część komórek

rakowych. U pacjenta na mniej więcej tydzień następowała poprawa. Potem komórki, które przetrwały, zaczynały się mnożyć i rak wracał z pełną siłą.

„Jednym z konsultantów w ośrodku klinicznym był Max Wintrobe – opowiadał Freireich. – Cieszył się światową sławą, bo napisał pierwszy podręcznik hematologii. Opracował też przegląd bieżącego stanu metod leczenia białaczki u dzieci. Mam taki cytat z tej pracy, który do tej pory pokazuję studentom: »Te leki przynoszą więcej szkody niż pożytku, ponieważ tylko przedłużają agonię. Wszyscy pacjenci i tak umierają. Leki powodują pogorszenie samopoczucia, więc nie powinno się ich stosować«. To słowa człowieka, który był światowym autorytetem".

Jednak Frei i Freireich wraz z zespołem z Roswell Park Memorial Institute w Buffalo pod kierownictwem Jamesa Hollanda doszli do wniosku, że to dominujące w medycynie podejście jest błędne. Skoro leki zabijały za mało komórek nowotworowych, to czy w takim razie dzieci nie potrzebowały leczenia bardziej, a nie mniej agresywnego? Może by tak połączyć 6-MP z metotreksatem? Każdy z tych środków atakował komórki nowotworowe w inny sposób. Jak armia lądowa i marynarka wojenna. Może komórki, które przeżyją podanie 6-MP, zabije metotreksat. A gdyby dodać do tej mieszanki prednizon? Mógłby się stać lotnictwem, bombardującym z powietrza, kiedy pozostałe leki atakują z lądu i morza.

Wtedy Freireich natknął się na czwarty lek, uzyskiwany z rośliny zwanej barwinkiem – winkrystynę. Ktoś z firmy farmaceutycznej Eli Lilly przyniósł tę substancję naukowcom z NCI, by ją przebadali. Nikt nie wiedział o niej zbyt wiele, ale Freireich miał przeczucie, że może okazać się skutecznym środkiem przeciwko białaczce. „Miałem 25 umierających dzieciaków – powiedział. – I nie mogłem im niczego zaoferować. Pomyślałem sobie, że spróbuję. Dlaczego nie? Te dzieci i tak miały umrzeć". Winkrystyna dawała obiecujące rezultaty. Freireich i Frei

wypróbowali ją na dzieciach, które nie reagowały już na inne leki, i u kilkorga nastąpiła tymczasowa remisja choroby. Frei i Freireich zwrócili się więc do komisji nadzorującej badania naukowe w NCI z prośbą o pozwolenie na testowanie wszystkich czterech leków naraz: armii lądowej, marynarki, lotnictwa i piechoty morskiej.

Dziś rutynowo leczy się raka „koktajlami" różnych leków, skomplikowanymi kombinacjami dwóch, trzech lub nawet czterech czy pięciu środków jednocześnie. Jednak na początku lat sześćdziesiątych nie słyszano jeszcze o takiej metodzie. Dostępne wtedy leki stosowane w terapii nowotworów uważano po prostu za zbyt niebezpieczne. Nawet winkrystyna, cenne odkrycie Freireicha, była absolutnie przerażająca. Freireich sam się o tym przekonał. „Czy miała skutki uboczne? I to jakie – powiedział. – Powodowała poważną depresję, neuropatie. Wywoływała u dzieci paraliż. Toksyczna dawka prowadzi do śpiączki. Spośród pierwszych czternaściorga dzieci, które leczyliśmy tą metodą, jedno czy dwoje zmarło. Ich mózgi nie wytrzymały". Max Wintrobe uważał, że przy humanitarnym podejściu nie powinniśmy chorym na białaczkę podawać żadnych leków. Freireich i Frei chcieli podawać cztery, i to naraz. Frei stanął przed radą NCI, żeby prosić o zgodę. Nic nie wskórał.

„W radzie zasiadał szanowany hematolog, doktor Carl Moore, który, tak się złożyło, był przyjacielem mojego ojca z Saint Louis – wspominał Frei po latach. – Ja też zawsze uważałem go za przyjaciela. Ale uznał moją prezentację za oburzającą. Nie zajmował się chorobami dziecięcymi, takimi jak białaczka, więc mówił o chłoniaku Hodgkina u dorosłych. Twierdził, że jeśli mamy pacjenta z zaawansowaną chorobą Hodgkina, to najlepiej powiedzieć mu, żeby pojechał na Florydę i cieszył się życiem. Jeśli pacjenci mają za dużo dokuczliwych objawów, leczy się ich odrobiną promieni rentgenowskich albo iperytów azotowych, ale należy stosować jak

najmniejszą dawkę. Jakakolwiek bardziej agresywna terapia jest nieetyczna, a podawanie czterech leków naraz to pozbawiona skrupułów przesada”.

Frei i Freireich byli zrozpaczeni. Poszli do swojego szefa, Gordona Zubroda. Zubrod miał za sobą przeprawy z Freireichem w sprawie kontrowersyjnych transfuzji płytek krwi. Na eksperyment z winkrystyną zgodził się niechętnie. Odpowiadał za to, co dzieje się na oddziale na pierwszym piętrze. Gdyby coś poszło nie tak, to jego zaciągną przed komisję Kongresu. Wyobrażacie to sobie? Dwóch naukowców buntowników w rządowym laboratorium podaje eksperymentalne i wysokotoksyczne mieszanki leków cztero- i pięciolatkom. Zubrod miał poważne zastrzeżenia. Ale Frei i Freireich nalegali. Właściwie nalegał Frei; Freireich nie jest typem osoby, której można powierzyć delikatne negocjacje. „Niczego bym nie zdziałał bez Toma – przyznał Freireich. – On jest moim przeciwieństwem. Waży słowa i jest bardzo ludzki”. Owszem, te leki to trucizny, argumentował Frei, ale każdy z nich truje w inny sposób, więc jeśli uważnie dobierze się dawki – i wystarczająco zdecydowanie będzie leczyć skutki uboczne – dzieci można utrzymać przy życiu. Zubrod uległ. „To było szaleństwo – stwierdził Freireich. – Ale mądre i słuszne. Przemyślałem to i wiedziałem, że ta metoda poskutkuje. Tak jak transfuzje płytek krwi. To musiało poskutkować!”

Eksperymentalną kurację nazwano programem VAMP. Niektórzy z asystentów klinicznych – młodszych stażem lekarzy pracujących na oddziale – odmówili udziału. Uważali, że Freireich oszalał. „Wszystko musiałem robić sam – opowiadał Freireich. – Musiałem zamówić leki. Musiałem przygotować mieszankę. Musiałem ją podać w zastrzykach. Musiałem robić morfologię krwi. Musiałem mierzyć intensywność krwawienia. Musiałem badać szpik. Musiałem liczyć szkiełka do mikroskopu”. W pierwszej turze kuracji uczestniczyło trzynaścioro dzieci.

Zaczęto od pewnej dziewczynki. Freireich początkowo podał jej dawkę, która okazała się za wysoka, i pacjentka omal nie umarła. Siedział przy niej godzinami. Podtrzymywał ją przy życiu za pomocą antybiotyków i respiratorów. Wyszła z tego, chociaż później zmarła z powodu nawrotu raka. Ale Frei i Freireich zdobywali cenne doświadczenie. Pomajstrowali przy protokole i wzięli się do pacjentki numer dwa. Miała na imię Janice. Wyzdrowiała, podobnie jak kolejnych dwoje dzieci. To już było coś.

Jedyny problem polegał na tym, że rak nie znikał całkowicie. Garstka komórek nowotworowych nadal czaiła się gdzieś w organizmie. Frei i Freireich uświadomili sobie, że jeden cykl chemioterapii nie wystarczy. Zaczęli więc kolejną turę. Czy choroba wróci? Wróciła. Musieli spróbować jeszcze raz. „Przeprowadzaliśmy kurację trzykrotnie – powiedział Freireich. – U dwanaściorga z trzynaściorga pacjentów nastąpił nawrót choroby. Stwierdziłem wtedy, że mamy tylko jedno wyjście. Będziemy ponawiać terapię co miesiąc, przez rok”[36].

„Jeśli wcześniej ludzie myśleli, że oszalałem, to teraz uznali mnie za kompletnego świra – ciągnął Freireich. – Te dzieci wyglądały zupełnie normalnie, całkowita remisja choroby, chodziły sobie, grały w piłkę, a ja chciałem wziąć je z powrotem do szpitala i sprawić, że znów będą chore. Zanik płytek krwi. Zanik białych krwinek. Krwotoki. Infekcje”. Terapia VAMP wykańczała układ odpornościowy pacjentów. Dzieci były bezbronne. Ich rodzice przeżywali katusze. Mówiono im, że aby ich dziecko miało szansę żyć, musi po raz kolejny otrzeć się o śmierć.

Freireich energicznie zabrał się do dzieła, wykorzystując całą swoją energię i zuchwałość, by utrzymać pacjentów przy życiu. W tamtych czasach, kiedy chory dostawał gorączki, lekarz robił posiew krwi, a kiedy dostał wyniki, dobierał najodpowiedniejszy antybiotyk do danej infekcji. Nigdy nie łączono kilku antybiotyków ze sobą. Podawano drugi, dopiero

kiedy pierwszy przestawał skutkować. „Jay od razu nam powiedział, że o czymś takim nie ma mowy – wspominał DeVita. – Jak te dzieciaki dostaną gorączki, mamy im od razu podawać antybiotyki, i to kilka naraz, bo inaczej pacjent umrze w ciągu trzech godzin”. DeVita miał antybiotyk, którego, jak zawsze mu mówiono, nie wolno wstrzykiwać do płynu rdzeniowego. Freireich kazał mu go podać pacjentowi – do płynu rdzeniowego. „Freireich wydawał nam polecenia – powiedział DeVita – które zgodnie z tym, czego się uczyliśmy, były herezją”.

„Był ostro krytykowany – ciągnął DeVita. – Asystenci kliniczni uważali to, co robił, za kompletne wariactwo. On to wszystko znosił. Obrażali go – zwłaszcza faceci z Harvardu. Stawali gdzieś z tyłu i robili zamieszanie. Mówił coś, a oni odpowiadali: »Jasne, Jay, a ja polecę na Księżyc«. To było okropne. A Jay cały czas trwał na posterunku, siedział ci nad głową, patrzył na każde badanie laboratoryjne, sprawdzał każdy wykres. Niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli nie zrobiłeś czegoś dla któregoś z jego pacjentów. Był dziko zawzięty. Mówił i robił rzeczy, które wpędzały go w kłopoty. Szedł na jakieś spotkanie, obrażał kogoś i wtedy musiał wkroczyć Frei i załagodzić sprawę. Czy obchodziło go, co inni o nim myślą? Może. Ale nie na tyle, żeby powstrzymać go od robienia tego, co uważał za słuszne”[37].

„Nie mam pojęcia, jak się to Jayowi udawało” – podsumował.

Ale my wiemy, prawda? Jay Freireich miał już za sobą gorsze przeżycia.

W 1965 roku Freireich i Frei opublikowali w piśmie „Advances in Chemotherapy” artykuł *Progress and Perspectives in the Chemotherapy of Acute Leukemia* (Postępy i perspektywy w chemioterapii białaczki ostrej), w którym ogłosili, że opracowali skuteczną terapię białaczki dziecięcej[38]. Dziś wyleczonych zostaje ponad 90 procent przypadków tej formy raka.

Liczba dzieci, którym uratowano życie dzięki staraniom Freia, Freireicha oraz badaczy, którzy poszli w ich ślady, sięga wielu dziesiątków tysięcy.

Czy w takim razie Freireich powinien się cieszyć, że miał takie a nie inne dzieciństwo? Oczywiście, że nie. Żadne dziecko nigdy nie powinno musieć przechodzić przez to, co on. W tym duchu zadałem też każdemu dyslektykowi, z którym rozmawiałem, pytanie postawione na początku poprzedniego rozdziału: czy życzyliby własnym dzieciom dysleksji? Wszyscy jak jeden mąż odparli, że nie. Grazer zadrżał na samą myśl. Gary Cohn był przerażony taką perspektywą. David Boies ma dwóch synów, obaj są dyslektykami, i serce mu się krajało, kiedy patrzył, jak męczą się, dorastając w środowisku, w którym wczesne i biegłe opanowanie umiejętności czytania ma ogromne znaczenie. Miałem przed sobą jednego z czołowych producentów filmowych w Hollywood, jednego z najpotężniejszych bankierów na Wall Street i jednego z najlepszych prawników procesowych w Ameryce, a wszyscy oni zdawali sobie sprawę, jak istotną rolę w ich sukcesie odegrała dysleksja. Ale jednocześnie przekonali się na własnej skórze, jaka jest cena tego sukcesu – i nie potrafili zdobyć się na to, żeby życzyć podobnego doświadczenia swoim dzieciom.

Jednak pytanie, czego byśmy życzyli własnym dzieciom, nie jest kwestią, którą powinniśmy się zajmować, prawda? Właściwe pytanie brzmi: czy jako społeczeństwo potrzebujemy ludzi, którzy przeszli przez jakąś traumę – i musimy odpowiedzieć, że najwyraźniej tak. Nie jest to przyjemna myśl. Na każdą osobę, która w wyniku zagrożenia pośredniego wyszła z trudnej sytuacji silniejsza, przypada mnóstwo zagrożonych bezpośrednio, których to, co przeżyli, załamało. Bywają jednak takie okoliczności, kiedy los nas wszystkich zależy od ludzi zahartowanych w wyniku swych wcześniejszych doświadczeń[39]. Freireich miał odwagę,

by poważyć się na coś, co wydawało się nie do pomyślenia. Eksperymentował na dzieciach. Kazał im znosić ból, jakiego nie powinien doświadczać żaden człowiek. A robił to w dużej mierze dlatego, iż dzięki własnym przeżyciom z dzieciństwa rozumiał, że z nawet najmroczniejszego koszmaru można wyjść zdrowym i silniejszym. Białaczka oznaczała śmierć. On zmienił ją w zagrożenie pośrednie – traumę, która hartuje.

W pewnym momencie, w samym środku zmagań, Freireich uświadomił sobie, że standardowa metoda monitorowania raka u leczonych przez niego dzieci – pobieranie próbki krwi i liczenie komórek nowotworowych pod mikroskopem – nie wystarcza. Badanie krwi wprowadzało w błąd. Nawet jeśli wydawało się, że we krwi nie ma śladów raka, choroba mogła nadal czaić się w szpiku kostnym – co oznaczało, że trzeba było przejść przez bolesny proces pobierania próbek szpiku, wielokrotnie, miesiąc po miesiącu, aż zyskało się pewność, że raka wyleczono. Max Wintrobe usłyszał o zamiarach Freireicha i próbował go powstrzymać. Stwierdził, że Freireich torturuje pacjentów. Trudno powiedzieć, że Wintrobe nie miał racji. Jego reakcja wynikała z empatii. Jednocześnie jednak była to reakcja, która nigdy nie doprowadziłaby do wyleczenia pacjenta.

„Pobieraliśmy próbkę szpiku, łapiąc dziecko za nogi, o, w ten sposób – zademonstrował mi Freireich, wyciągając swoją olbrzymią dłoń i pokazując, jak oplatała drobną kość udową pacjenta. – Wbijaliśmy igłę bez znieczulenia. Dlaczego bez? Bo dzieciaki tak samo krzyczały, kiedy robiło im się zastrzyk, żeby je znieczulić. Szpik pobiera się igłą ponadmilimetrowej grubości, prosto w piszczel, tuż pod kolanem. Dzieciaki dostają histerii. Muszą je przytrzymywać rodzice i pielęgniarki. I tak przy każdym cyklu chemioterapii. Musieliśmy wiedzieć, czy szpik się odbudował”.

Mówiąc o przytrzymywaniu dzieci za nogi, Freireich mimowolnie się skrzywił, jakby przez chwilę czuł, jak boli wbicie milimetrowej igły małemu dziecku prosto w piszczel, i jakby ta świadomość kazała mu się zawahać. Ten grymas zniknął jednak równie szybko, jak się pojawił.

10

Kiedy Jay Freireich był na stażu, poznał pielęgniarkę, Haroldine Cunningham. Zaprosił ją na randkę. Odmówiła. „Wszyscy młodzi lekarze byli dość agresywni – wspomina Haroldine. – Jay miał opinię osoby szczerej do bólu. Zadzwonił do mnie kilka razy, ale się z nim nie umówiłam”. Jednak w któryś weekend wybrała się z wizytą do ciotki na przedmieściach Chicago – aż tu zadzwonił telefon. Okazało się, że to Freireich. Przyjechał pociągiem z Chicago i dzwonił ze stacji. „Powiedział: Jestem – wspomina Cunningham. – Był potwornie uparty”. Działo się to na początku lat pięćdziesiątych. Jay i Haroldine wkrótce się pobrali i są małżeństwem do dziś.

Żona Freireicha jest równie drobna, jak on olbrzymi. Od razu jednak widać drzemiącą w tej niepozornej kobiecie siłę. „Rozumiem go. Widzę jego potrzeby” – stwierdziła. Jay wracał ze szpitala późnym wieczorem, z pracy pełnej krwi i cierpienia, a ona na niego czekała. „Haroldine jest pierwszą osobą, którą mnie kochała – oświadczył Freireich z prostotą. – Jest moim aniołem, zesłanym z nieba. Znalazła mnie. Myślę, że wyczuła we mnie jakiś potencjał. We wszystkim się na nią zdaję. To ona codziennie dodaje mi sił”.

Haroldine także wychowała się w biedzie. Jej rodzina gnieździła się w maleńkim mieszkaniu pod Chicago. Któregoś dnia, kiedy miała dwanaście lat, nie mogła się dostać do łazienki – szarpała za klamkę, drzwi nie ustępowały. „Moja matka zamknęła się w środku – opowiada Cunningham. – Poszłam na dół po sąsiada, który był właścicielem

mieszkania. Wszedł do łazienki przez okno. Zadzwoniliśmy do szpitala. Umarła na oddziale. Jak ma się dwanaście czy trzynaście lat, człowiek nie bardzo orientuje się, co się dzieje, ale wiedziałam, że była nieszczęśliwa. Ojca oczywiście nie było w domu. Nie był najlepszym ojcem”.

Haroldine siedziała na krześle w gabinecie swojego męża. Kobieta, która potrafiła stworzyć wyspę spokoju w jego burzliwym życiu. „Trzeba oczywiście zdać sobie sprawę, że miłość nie zawsze ocali ludzi, których chcesz uratować. Ktoś mnie kiedyś zapytał, czy nie byłam na nią zła. Powiedziałam, że nie, nie byłam, rozumiałam jej cierpienie.

Są rzeczy, które albo cię wzmocnią, albo zniszczą. Właśnie to Jay i ja mamy ze sobą wspólnego”.

---

[28] Kiedy Freireich był lekarzem stażystą, pewien jego daleki krewny zmarł i zostawił mu 600 dolarów spadku. „Miałem pacjenta, sprzedawcę używanych samochodów, który stwierdził, że ma dla mnie auto – opowiadał Freireich. – To był pontiac z 1948 roku. Którejś nocy balowałem z jakimiś dziewczynami, prowadziłem po pijanemu i stuknąłem w bok nowiutkiego lincolna. Powinienem iść za coś takiego do więzienia, ale policjanci od razu mnie poznali, wiedzieli, że jestem stażystą w szpitalu, więc powiedzieli: »Zajmiemy się tym«”. Tak to było być wtedy lekarzem. Można śmiało powiedzieć, że dziś już się to nie zdarza.

[29] Byli to George Washington, Thomas Jefferson, James Monroe, Andrew Jackson, Andrew Johnson, Rutherford Hayes, James Garfield, Grover Cleveland, Herbert Hoover, Gerald Ford, Bill Clinton i Barack Obama.

[30] Brown przytacza na początku poruszający fragment poematu Wordswortha, którego matka zmarła, gdy miał osiem lat:

Ta, która była sercem
I filarem naszych nauk i miłości:
Bez niej, ogołoceni, próbowaliśmy
Trzymać się razem.

[31] Lub innymi słowy, jak to ujął angielski eseista Thomas De Quincey: „Zostanie osieroconym we wczesnej młodości może wywrzeć korzystny lub niekorzystny wpływ, w zależności od charakteru

człowieka”.

[32] Jeśli chcecie zrozumieć pełny naukowy kontekst walki z białaczką, nie ma lepszego źródła niż nagrodzona Pulitzerem książka *Cesarz wszech chorób. Biografia raka* S. Mukherjee’ego. Wojnie z białaczką autor poświęca cały rozdział. Zdecydowanie warto przeczytać.

[33] W latach sześćdziesiątych zmarła na białaczkę córka pisarza P. De Vriesa, który później wydał chwytającą za serce powieść *The Blood of the Lamb* (Krew baranka), opartą na tych doświadczeniach. De Vries pisze:

Wróciliśmy więc do pawilonu dziecięcego, gdzie znów zobaczyliśmy znaną nam dobrze scenę: matki z półtrupami swoich dzieci, fałszywa twarz litości, rzeź niewiniątek. Jednonoga dziewczynka kuśtykała korytarzem, opierając się na kulach, dopingowana umiejętnie przez pielęgniarki. Przez szybę w zamkniętych drzwiach widać było chłopca, siedzącego na łóżku i krwawiącego z wszystkich otworów w głowie; obok podpierał ścianę ksiądz, czujny, gotowy podejść bliżej. W następnej sali pięcioletni chłopczyk był poddawany zabiegowi pompowania metotreksatu do czaszki, czy też, ściśle rzecz biorąc, obserwował grupę mechaników, oglądających z poważnymi minami szwankującą maszynerię. W kolejnej siedziało maleńkie dziecko i patrzyło w telewizor, w którym pokazywano jakiś teleturniej z udziałem gwiazd. […] Między rodzicami i dziećmi, wrzuconymi razem w piekło przedłużonego pożegnania, krążyły bezustannie opiekuńcze wampiry z laboratorium, wysysając próbki z kości i żył, aby sprawdzić, jak obszedł się z nimi wróg, który je wszystkie naznaczył. A lekarze w rzeźniczych fartuchach, którzy ucinali kończyny, dłubali w mózgach i kiereszowali nożem organy wewnętrzne kryjące demona – co oni myśleli o tych najlepszych owocach dziesięciu milionów godzin pełnej poświęcenia harówki? Przeganiali winowajcę z narządu do narządu, ze stawu do stawu, aż nie zostało nic, na czym mogliby praktykować swą sztukę: sztukę przedłużania choroby.

[34] Nasze przewidywania dotyczące tego, jak się będziemy czuć w jakiejś przyszłej sytuacji, nazywają się fachowo „prognozowaniem afektywnym”. Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy beznadziejnymi prognostami. Psycholog Stanley J. Rachman, na przykład, robił doświadczenia w rodzaju: zbierał grupę ludzi panicznie bojących się węży, po czym pokazywał im węża. Albo kazał grupie osób cierpiących na klaustrofobię stać w niewielkiej metalowej szafie. Stwierdził, że samo doświadczenie rzeczy będącej przedmiotem lęku było znacznie mniej przerażające, niż to sobie dana osoba wyobrażała.

[35] „Miałem wiele lat temu takiego pacjenta – powiedział mi nowojorski psychiatra Peter Mezan. – Ten człowiek zbudował całe imperium. Ale powiedzieć, że jego dzieciństwo było tragiczne, to mało. Matka umarła na jego oczach, kiedy miał sześć lat, a ojciec stał nad nią i wrzeszczał z furią. Ona dostała konwulsji. Ojciec został później zamordowany, bo był gangsterem, a mój pacjent i jego rodzeństwo trafili do sierocińca. Wychował się w środowisku, w którym musiał wciąż pokonywać kolejne przeszkody. Był więc skłonny podejmować ryzyko, jakiego inni by nie podjęli. Chyba czuł, że nie ma nic do stracenia”. Mezan, opierając się na swoim wieloletnim doświadczeniu, nie widzi sprzeczności między tego rodzaju poważną patologią w dzieciństwie

a ogromnym sukcesem, jaki niektóre z tych osieroconych dzieci osiągają później jako dorośli. Fakt przetrwania tak dużej traumy dawał poczucie swobody. „Tacy ludzie są w stanie przełamać schematy znanego nam świata: przekonania, założenia, to, co się przyjmuje za zdrowy rozsądek, co jest znane, co wszyscy biorą za oczywistość, czy chodzi o leczenie raka, czy o prawa fizyki – stwierdził Mezan. – Nie są ograniczeni do tych ram. Mają zdolność wyjścia poza nie, dlatego że, jak sądzę, zwyczajne ramy dzieciństwa dla nich nie istniały. Zostały zniszczone”.

[36] Na pomysł stosowania kolejnych cykli chemioterapii – nawet kiedy pacjent wydawał się wyleczony z raka – wpadli M.C. Li oraz Roy Hertz z National Cancer Institute pod koniec lat pięćdziesiątych. Li leczył nabłoniaka kosmówkowego – rzadkiego raka macicy – kolejnymi cyklami metotreksatu, aż do całkowitego wyrugowania go z organizmu pacjentek. Guza po raz pierwszy wyleczono za pomocą chemioterapii. Kiedy Li zaproponował tę metodę, powiedziano mu, żeby zaprzestał kuracji. Uznano ją za barbarzyństwo. Nie poddał się i kontynuował terapię. Został zwolniony – mimo że wyleczył swoje pacjentki. „Taka panowała wtedy atmosfera – mówi DeVita. – Pamiętam, że akurat wtedy mieliśmy seminarium, na którym omawialiśmy raka kosmówki. A dyskutowano o tym, czy jest to przypadek samorzutnej remisji. Nikomu nie chciało się pomieścić w głowie, że to metotreksat wyleczył pacjentkę”. Rzecz jasna Freireich do dziś mówi o Li z podziwem. Kiedy na pewnej konferencji naukowej jeden z prelegentów zbagatelizował osiągnięcia Li, Freireich zerwał się z miejsca i ryknął, w środku wykładu: „M.C. Li wyleczył nabłoniaka kosmówkowego!”.

[37] Historii o Freireichu jest całe mnóstwo. W którymś momencie zapuścił się na jedenaste piętro ośrodka klinicznego NCI, na którym mieścił się oddział dla dorosłych pacjentów z przewlekłą białaczką szpikową (ang. chronic myeloid leukemia – CML). W tej odmianie białaczki w organizmie następuje nadprodukcja białych krwinek. Natomiast dzieci, które leczył Freireich, cierpiały na ostrą białaczkę limfocytową – raka, który prowadzi do nadprodukcji nieprawidłowych białych krwinek. Właśnie dlatego ich organizm jest bezbronny w obliczu infekcji. Freireich zaczął pobierać krew dorosłym z białaczką leżącym na jedenastym piętrze i podawać ją dzieciom z białaczką leżącym na pierwszym piętrze. Czy pobieranie białych krwinek od pacjentów z CML było uważane za coś niekonwencjonalnego? „Za szaleństwo – powiedział Freireich, wracając myślami do tego eksperymentu. – Wszyscy mówili, że to szaleństwo. Co, jeśli dzieci też dostaną CML? Co, jeśli ich stan jeszcze się pogorszy? – Freireich wzruszył ramionami. – Umieralność wśród tych dzieci wynosiła 100 procent w ciągu kilku miesięcy. Nie mieliśmy nic do stracenia”.

[38] Uprościłem tu historię walki z białaczką. Pełniejszą wersję można znaleźć w *Cesarzu wszech chorób* Mukherjee’ego. Kiedy Freireich i Frei wykazali, że dokonali postępów w leczeniu białaczki, stosując niespotykane wcześniej dawki leków do chemioterapii, pałeczkę przejął onkolog Donald Pinkel, który posunął się z tą logiką jeszcze dalej. To zespół Pinkela w St. Jude’s Children’s Research Hospital w Memphis wprowadził „terapię totalną”, którą można opisać jako VAMP do kwadratu. Dzisiejsze niezwykle skuteczne terapie to zasadniczo wzmocniona przez Pinkela wersja kuracji VAMP.

[39] W swoich wspomnieniach *The Theory and Practice of Hell* (Piekło w teorii i w praktyce) E. Kogon opisuje, co działo się w niemieckim obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, kiedy naziści kazali więźniom funkcyjnym wybierać z własnych szeregów tych, którzy byli „społecznie nieprzystosowani", aby posłać ich do komór gazowych. Niepodporządkowanie się poleceniu oznaczało katastrofę; naziści wybierali wtedy kapo spośród „zielonych" – sadystycznych więźniów kryminalnych, przebywających w Buchenwaldzie razem z Żydami i więźniami politycznymi. „Pod żadnym pozorem", pisze Kogon, nie można było prosić tych „o czystym sercu" o podjęcie tej decyzji. Czasem walka o przetrwanie człowieka wymaga, byśmy wyrządzili krzywdę w imię jakiegoś większego dobra – a, jak pisze Kogon, „im wrażliwsze czyjeś sumienie, tym trudniej było podejmować takie decyzje".

ROZDZIAŁ 6
WYATT WALKER

„Królik jest najsprytniejszym ze wszystkich zwierząt, które Pan Bóg stworzył”.

1 Najsłynniejsze zdjęcie w historii amerykańskiego ruchu praw obywatelskich zrobił Bill Hudson, fotograf Associated Press, 3 maja 1963 roku. Hudson był w Birmingham w stanie Alabama, gdzie aktywiści Martina Luthera Kinga przeciwstawili się rasistowskiemu komisarzowi do spraw bezpieczeństwa publicznego, Eugene’owi „Bullowi” Connorowi. Fotografia przedstawia nastolatka atakowanego przez policyjnego psa. Nie straciła siły wyrazu i szokuje do dziś.

Hudson przekazał rolkę filmu z tego dnia swojemu redaktorowi Jimowi Laxonowi. Ten przeglądał zdjęcia Hudsona, aż doszedł do chłopaka poddającego się atakowi psa. Jak stwierdził później, jego uwagę przykuł „anielski spokój tego młodego człowieka, szarpanego zębami przez owczarka niemieckiego”. Żadna fotografia nie zrobiła na nim takiego wrażenia od czasu, kiedy siedemnaście lat wcześniej opublikował nagrodzone Pulitzerem zdjęcie kobiety skaczącej z okna podczas pożaru hotelu w Atlancie.

Laxon przesłał zdjęcie dalej. Następnego dnia „New York Times” zamieścił je na pierwszej stronie sobotniego wydania, szerokie na trzy szpalty. Podobnie postąpiła właściwie każda większa gazeta w kraju. Prezydenta Kennedy’ego fotografia zbulwersowała. Sekretarz stanu Dean Rusk martwił się, że „wprawi [ona] w zażenowanie naszych przyjaciół za granicą i ucieszy naszych wrogów”. O zdjęciu dyskutowano na sali obrad Kongresu oraz w milionach mieszkań i szkolnych klas. Przez pewien czas wydawało się, że dla Amerykanów nie istnieją inne tematy. Ten obraz, jak to ujął pewien dziennikarz, „będzie nas zawsze parzył […]. Szczupły, dobrze ubrany

chłopiec, który jak gdyby pochyla się w stronę psa, z bezwładnie zwieszonymi rękami, patrząc spokojnie przed siebie, jakby chciał powiedzieć: »Bierz mnie, tu jestem«”. Martin Luther King wraz ze swoją armią działaczy na rzecz praw obywatelskich od lat walczył z gąszczem rasistowskich praw i przepisów obowiązujących na amerykańskim Południu. Utrudniały one lub wręcz uniemożliwiały Murzynom znalezienie pracy, głosowanie w wyborach, zdobycie przyzwoitego wykształcenia, a nawet korzystanie z tego samego ujęcia wody pitnej co biali. Nagle los się odwrócił. Rok później, w 1964, amerykański Kongres uchwalił przełomową ustawę o prawach obywatelskich (Civil Rights Act), jedną z najważniejszych w historii Stanów Zjednoczonych. Często się słyszy, że ustawę tę „napisano w Birmingham”.

2

W 1963 roku, kiedy Martin Luther King przyjechał do Birmingham, jego ruch przeżywał kryzys. Wcześniej przez dziewięć miesięcy King kierował protestami przeciwko segregacji rasowej w Albany w stanie Georgia, 300 kilometrów dalej na południe, i odjechał stamtąd, nie wywalczywszy żadnych istotnych ustępstw. Największym jak dotąd zwycięstwem ruchu praw obywatelskich była wydana w 1954 roku decyzja Sądu Najwyższego w słynnej sprawie „Brown przeciwko Kuratorium Oświaty”, stwierdzająca, że segregacja w szkołach publicznych jest niezgodna z konstytucją. Minęło jednak prawie dziesięć lat, a szkoły publiczne na głębokim Południu wciąż były podzielone rasowo tak samo jak zawsze. W latach czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych większością południowych stanów rządzili politycy o stosunkowo umiarkowanych poglądach, którzy byli skłonni przyznać czarnoskórym mieszkańcom przynajmniej odrobinę godności. Gubernatorem Alabamy był wtedy „Big Jim” Folsom, który lubił mawiać: „Wszyscy ludzie są tacy sami”. Na początku lat sześćdziesiątych po tych politykach nie było już śladu. Stanowe

ustawodawstwo znalazło się pod kontrolą twardogłowych segregacjonistów. Południe najwyraźniej się cofało.

A samo Birmingham? Było najbardziej podzielonym rasowo miastem w Ameryce. Nazywano je „Johannesburgiem Południa". Kiedy autobus wiozący do Birmingham działaczy na rzecz praw obywatelskich został zmuszony przez członków Ku Klux Klanu do zjechania na pobocze, a następnie podpalony, miejscowa policja stała z założonymi rękami. Klan tak często podkładał dynamit pod domy czarnoskórych, którzy próbowali wprowadzić się do dzielnic zamieszkanych przez białych, że miasto przemianowano na Bombingham. „W Birmingham – pisze Diane McWhorter w książce *Carry Me Home* – uważano za fakt z zakresu kryminalistyki, że najpewniejszym sposobem powstrzymania fali przestępczości – włamań, gwałtów czy innych przestępstw – było zastrzelenie paru podejrzanych. (»Sprawa wymyka się spod kontroli – mógł powiedzieć jakiś porucznik [policji]. – Wiesz, co trzeba zrobić«)".

Eugene „Bull" Connor, komisarz do spraw bezpieczeństwa publicznego w mieście, był niskim, przysadzistym mężczyzną o imponujących uszach i „głosie ropuchy". Zrobiło się o nim głośno w 1938 roku, kiedy w śródmieściu Birmingham odbywała się konferencja polityczna, na którą przyjechali zarówno czarni, jak i biali delegaci. Connor przywiązał długą linę do słupka na trawniku przed salą konferencyjną, przeciągnął ją przez środek auli i upierał się – zgodnie z rozporządzeniami władz miasta w kwestii segregacji – że czarnoskórzy mają stać po jednej stronie sznura, a biali po drugiej. Jedną z uczestniczek spotkania była żona prezydenta, Eleanor Roosevelt. Siedziała po „złej" stronie i ludzie Connora musieli siłą przeciągać ją na stronę dla białych. (Wyobraźmy sobie, że ktoś próbuje tego samego z Michelle Obamą)[40]. Connor lubił spędzać poranki w śródmiejskim hotelu Molton, wlewając w siebie pięćdziesięcioprocentowy bourbon Old Grand-Dad i wygłaszając uwagi w rodzaju: „Żyd to tylko czarnuch wywrócony na

lewą stronę”. O Birmingham opowiadano sobie kawały, które właściwie nie były śmieszne, na przykład: czarnoskóry facet z Chicago budzi się rano i mówi żonie, że we śnie przyszedł do niego Jezus i kazał mu jechać do Birmingham. Żona pyta z przerażeniem: „Czy Jezus powiedział, że pojedzie z tobą?”. Na co mąż: „Tak, ale tylko do Memphis”.

Po przyjeździe do Birmingham King zwołał zebranie swojego zespołu zajmującego się planowaniem działań. „Muszę wam powiedzieć – oznajmił – że moim zdaniem niektóre spośród siedzących tu dzisiaj osób nie wrócą z tej kampanii żywe”. Następnie obszedł salę i wygłosił przed każdym swoistą mowę pogrzebową. Jeden z najbliższych współpracowników Kinga przyznał później, że w ogóle nigdy nie chciał jechać do Birmingham: „Kiedy ucałowałem żonę i dzieci na pożegnanie na Carol Road w Atlancie, pomyślałem, że już nigdy więcej ich nie zobaczę”.

Przeciwnicy Kinga byli liczniejsi i dysponowali większą siłą. King stał na przegranej pozycji. Miał jednak pewną paradoksalną przewagę – tego samego gatunku co dysleksja Davida Boiesa czy trudne dzieciństwo Jaya Freireicha. Pochodził ze społeczności, która zawsze była tym słabszym. Kiedy krucjata na rzecz praw obywatelskich dotarła do Birmingham, Afroamerykanie już od kilkuset lat uczyli się, jak radzić sobie w sytuacji tłamszonej mniejszości. Przez ten czas dowiedzieli się tego i owego o sztuce walki z olbrzymami.

3

Kluczową rolę w kulturze wielu uciskanych społeczności świata odgrywa postać tak zwanego trickstera (szachraja, spryciarza). W pieśniach i legendach pojawia się w formie pozornie nieszkodliwego zwierzątka, które triumfuje nad innymi, znacznie większymi od siebie, dzięki swojemu sprytowi i przebiegłości. Niewolnicy sprowadzeni z Afryki do Indii Zachodnich przywieźli ze sobą opowieści o chytrym pająku imieniem Anansi[41]. Wśród niewolników amerykańskich jako trickster występuje często Brer Rabbit, czyli Brat Królik[42]. „Królik jest najsprytniejszym ze

wszystkich zwierząt, które Pan Bóg stworzył” – opowiadał sto lat temu pewien były niewolnik w rozmowie z etnografami:

> Ani on największy, ani najgłośniejszy, ale spryciarz z niego, że ho, ho. Jak wpadnie w tarapaty, to się z nich wygrzebie, kogo innego w nie wpędzając. Pewnego razu wpadł do głębokiej studni i czy wrzeszczał i płakał? A gdzie by tam. Zaczął gwizdać ile sił i śpiewać, a kiedy nieopodal przechodził wilk, to królika usłyszał. Wilczysko wetknęło łeb do studni, a wtedy królik mówi: „Zabieraj się stąd, ale już. Nie ma tu miejsca dla dwóch. Tam, na górze, taki gorąc, a tu, na dole, tak przyjemnie chłodno. Ani się waż wsiadać do tego kubła i zjeżdżać tu na dół”. Wilka tylko podbechtało to gadanie, no to hyc do kubła. Jak zjeżdżał na dół, to królik wyjechał na górę, a jak się mijali, królik zaśmiał się i mówi: „Takie życie; jedni idą w górę, inni w dół”.

W najsłynniejszej historii o Bracie Króliku Brat Lis łapie go w pułapkę, konstruując lalkę ze smoły. Brat Królik chce porozmawiać ze smolistym stworzeniem, ale zamiast tego się do niego przylepia i im usilniej próbuje się uwolnić, tym bardziej rozpaczliwie grzęźnie w smole. „Nieważne, co ze mną zrobisz, Bracie Lisie – błaga Królik triumfującego przeciwnika – tylko mnie nie wrzucaj w tamtą kępę dzikich róż”. Brat Lis, oczywiście, natychmiast to robi – i Królik, który w kępie dzikich róż urodził się i wychował, za pomocą kolców odrywa się od lalki i ucieka. Lis zostaje pokonany. Królik siedzi ze skrzyżowanymi nogami na pobliskiej kłodzie, triumfalnie „wyczesując sobie drzazgą smołę z futra”.

Opowieści o tricksterach były spełnieniem życzeń niewolników, którzy marzyli, że pewnego dnia zwyciężą nad białymi panami. Jednak, jak pisze historyk Lawrence Levine, były to także „boleśnie realistyczne historie, które uczyły sztuki przetrwania, a nawet wygrywania we wrogim środowisku”.

Afroamerykanie byli zgnębioną mniejszością, a przesłanie historyjek o Bracie Króliku mówiło, że słabi mogą stawać do nawet najbardziej nierównej walki, jeśli są gotowi użyć sprytu i ruszyć głową. Brat Królik naprawdę rozumiał Brata Lisa lepiej, niż ten rozumiał samego siebie. Zdawał sobie sprawę, że jego przeciwnik Lis jest tak złośliwy, że nie będzie się mógł oprzeć, by nie wymierzyć jemu, Królikowi, właśnie tej kary, której ten rozpaczliwie stara się uniknąć. Królik wykiwał więc Lisa, tak jak w poprzedniej opowieści wywiódł w pole wilka, stawiając na to, że ten nie będzie mógł znieść myśli, iż mniejsze, słabsze zwierzątko może się świetnie bawić. Levine twierdzi, że przez wieki prześladowań Afroamerykanie wzięli sobie morały z takich historyjek do serca:

> Z zapisków pozostawionych przez dziewiętnastowiecznych obserwatorów niewolnictwa oraz przez samych panów wynika, że znaczna część niewolników kłamała, oszukiwała, kradła, symulowała choroby, obijała się, udawała, że nie rozumie wydawanych poleceń, wkładała kamienie na dno koszy z bawełną, żeby szybciej dobić do wymaganej normy, psuła narzędzia, podpalała mienie swoich panów, okaleczała się, żeby uniknąć pracy, niedbale zajmowała się uprawami i tak źle traktowała oddawane pod jej opiekę zwierzęta gospodarskie, że panowie często uznawali za konieczne korzystanie z mniej wydajnych mułów zamiast koni, ponieważ te pierwsze lepiej wytrzymywały brutalne traktowanie ze strony niewolników.

Dyslektycy kompensują sobie zaburzenia zdolności czytania, rozwijając inne umiejętności, które – czasami – mogą okazać się niezwykle korzystne. Przeżycie bombardowań lub utrata rodziców może być doświadczeniem z kategorii zagrożeń bezpośrednich, z którego człowiek wyjdzie zdruzgotany. A może być zagrożeniem pośrednim, które nas zahartuje i wzmocni. To właśnie okazje Dawida: okoliczności, w których przeszkody,

paradoksalnie, okazują się pożądane. Opowieści o tricksterach pokazują trzeci rodzaj takich pożądanych trudności: nieoczekiwaną wolność wynikającą z tego, że nie ma się nic do stracenia. Trickster może łamać reguły gry.

Dyrektorem wykonawczym Southern Christian Leadership Conference (Konferencji Chrześcijańskich Przywódców Południa), organizacji, na której czele stał King, był Wyatt Walker. Od samego początku znajdował się na miejscu, w Birmingham, przygotowując skromną armię Kinga do walki z siłami rasizmu. King i Walker nie mieli złudzeń, że mogą toczyć tę batalię konwencjonalnymi metodami. Nie mogli pokonać Bulla Connora przy urnach wyborczych ani na ulicach, ani na sali sądowej. Nie mogli stanąć z nim do równej walki. Mogli jednak odegrać rolę Brata Królika i spróbować skłonić Connora, by wrzucił ich w kępę dzikich róż.

„Wyatt – powiedział King – musisz znaleźć sposób na wywołanie kryzysu, żeby Bull Connor odsłonił karty". I Walker tak właśnie zrobił. A kryzysem, który wywołał, była fotografia nastolatka atakowanego przez psa policyjnego – nastolatka, który poddawał się temu atakowi, stojąc z opuszczonymi bezwładnie rękami, jakby mówił: „Bierz mnie, tu jestem".

4

Wyatt Walker był pastorem baptystów z Massachusetts. Przyłączył się do Martina Luthera Kinga w 1960 roku. Został jego człowiekiem do spraw praktycznych, organizatorem i „załatwiaczem". Był intrygantem – szczupłym, eleganckim intelektualistą z cienkim wąsikiem i specyficznym poczuciem humoru. Każde środowe popołudnie rezerwował sobie na rundkę golfa. Do kobiet zwracał się zawsze per „moja dhoga", na przykład: „Nietrudno się ze mną dogadać, moje dhogie. Wystarczy być idealną". Jako młody człowiek wstąpił do Ligi Młodych Komunistów, ponieważ – jak zawsze mawiał, nie kryjąc ironii – był to w tamtych latach jeden z nielicznych sposobów dla czarnego chłopaka na poznanie białych kobiet. „W college'u – pisze historyk Taylor Branch – sprawił sobie okulary

w ciemnych oprawkach, w których wyglądał jak zamyślony trockista”[43]. Kiedyś wygłaszał kazanie w Petersburgu, małym miasteczku w Wirginii, i zjawił się w lokalnej bibliotece publicznej tylko dla białych razem ze swoją rodziną i niewielką świtą, chcąc dać się aresztować za złamanie miejscowych praw segregacyjnych. Jaką książkę wypożyczył, żeby móc nią pomachać przed nosem zgromadzonych fotografów i dziennikarzy? Biografię wielkiego bohatera białego Południa, Roberta E. Lee, generała z czasów wojny secesyjnej, który dowodził armią Konfederacji, walczącą w obronie niewolnictwa. To był Wyatt Walker w najlepszym wydaniu. Z chęcią dał się wsadzić do aresztu za złamanie przepisów segregacji rasowej w Petersburgu. Jednocześnie zadbał jednak o to, żeby wytknąć miastu panujące w nim sprzeczności.

W Birmingham King, Walker i Fred Shuttlesworth stworzyli triumwirat. Shuttlesworth od dawna był twarzą walki o prawa obywatelskie w tym mieście, miejscowym pastorem, którego Ku Klux Klanowi nie udawało się zabić. King był prorokiem, dobrym i charyzmatycznym. Walker trzymał się w cieniu. Nie dawał się fotografować z Kingiem. Nawet w Birmingham wielu ludzi Bulla Connora nie miało pojęcia, jak Walker wygląda. Kinga i Shuttleswortha cechował pewien spokój. Walkera – nie. „Jeśli wejdziesz mi w drogę, rozjadę cię – tak Walker opisał swój styl zarządzania. – Nie mam czasu na »dzień dobry, do widzenia, jak pan się czuje«. My tu mamy rewolucję na głowie”.

Któregoś dnia w Birmingham, kiedy King wygłaszał przemówienie, na scenę wdarł się stukilowy biały mężczyzna i zaczął okładać go pięściami. Współpracownicy Kinga rzucili mu się na ratunek. Dalszy ciąg opisuje McWhorter:

> Ze zdumieniem patrzyli, jak King staje się obrońcą swojego napastnika. Objął go troskliwie i kiedy publiczność zaczęła śpiewać

> piosenki ruchu [praw obywatelskich], powiedział mu, że sprawa, o którą walczą, jest słuszna, że przemoc sama się deprecjonuje i że „zwyciężymy”. Następnie King przedstawił mężczyznę zebranemu tłumowi, jakby był to niespodziewany gość. Roy James, dwudziestoczteroletni nowojorczyk, który mieszkał w kwaterze Amerykańskiej Partii Nazistowskiej w Arlington w stanie Wirginia, zaczął płakać w objęciach Kinga.

King był wyznawcą absolutyzmu moralnego i nie odchodził od swoich zasad nawet w obliczu napaści. Walker lubił nazywać siebie pragmatykiem. Został kiedyś zaatakowany przez „wielkoluda” – 2 metry wzrostu, 120 kilo wagi – kiedy stał przed gmachem sądu w Karolinie Północnej. Walker bynajmniej nie objął swojego napastnika. Wstał i rzucił się na niego. Za każdym razem, kiedy wielkolud potężnymi ciosami zrzucał go ze schodów sądu, Walker podnosił się i wracał, wystawiając się na kolejne uderzenie. Za trzecim razem, jak później wspominał Walker: „dał mi do wiwatu, pobił mnie niemal do nieprzytomności. A ja wróciłem po raz czwarty. Tym razem, no wiecie, gdybym miał przy sobie brzytwę, tobym go pochlastał”.

Pewnego wieczoru wszyscy trzej – Walker, King i Shuttlesworth – mieli wygłaszać kazania w Pierwszym Kościele Baptystów w Montgomery, gdzie zebrało się 1500 osób. Kościół został jednak otoczony przez rozwścieczony biały tłum, który groził, że podpali budynek. King, jak można się spodziewać, chciał zachować się szlachetnie. „Jest tylko jeden sposób, żeby uratować tych ludzi na górze – powiedział do pozostałych. – My, przywódcy, musimy oddać się w ręce tłumu”. Shuttlesworth, jak zwykle niewzruszony, zgodził się z nim: „No dobra, jeśli to właśnie musimy zrobić, niech tak będzie”. A Walker? Popatrzył na Kinga i powiedział do siebie: „Ten człowiek musiał chyba upaść na głowę”[44]. (W ostatniej chwili przybyły oddziały wojsk federalnych i rozgoniły tłum). Później Walker zaczął opowiadać się za niestosowaniem

przemocy. Zawsze jednak dawał do zrozumienia, że nadstawianie drugiego policzka nie jest czymś, co przychodzi naturalnie.

„Czasami naginałem swoją moralność w imię doprowadzenia jakiegoś zadania do końca, bo to ja odpowiadałem za wyniki – powiedział kiedyś. – Robiłem to świadomie. Nie miałem wyboru. Zadając się z Bullem Connorem, nie miałem do czynienia z kimś, kto przestrzega zasad moralnych". Walker uwielbiał płatać Connorowi figle. „Przyjechałem do Birmingham, żeby ujeżdżać Byka[45]" – ogłosił z błyskiem w oku tuż po pojawieniu się w mieście. Dzwonił do miejscowej policji z wymyśloną skargą i opowiadał z udawanym południowym akcentem o „czarnuchach", którzy idą gdzieś protestować, każąc w ten sposób policjantom szukać wiatru w polu. Albo stawał na czele marszu, który wcale nie był marszem, tylko kręcił się w kółko, przechodząc przez hole biur i boczne uliczki, aż policjanci zaczynali rwać sobie włosy z głowy. „Rany boskie, to były piękne czasy" – westchnął, wspominając numery, jakie robił w Birmingham. Wiedział, że nie ma co mówić Kingowi o wszystkich swoich poczynaniach. King by ich nie pochwalił. Walker zatrzymywał swoje szelmostwa dla siebie.

„Myślę, że Murzyni tacy jak ja mają w głowie prawie cały katalog tonów głosu, jakim może mówić do nich biały – powiedział Walker poecie Robertowi Pennowi Warrenowi w długim wywiadzie tuż po zakończeniu kampanii w Birmingham. – Ale wszystko, co mówi biały człowiek, jest interpretowane poprzez jakiś niuans w jego tonie albo może to, jak trzyma głowę, albo głębię głosu, albo ostrość języka – rzeczy, które w zwykłym, normalnym modelu stosunków etnicznych nie miałyby znaczenia, nabierają ogromnego i głębokiego sensu".

Warren wspomniał wtedy o obecnych w afroamerykańskiej tradycji ludowej bajkach o bohaterach szachrajach. Można niemal dostrzec, jak przez twarz Walkera przemyka chytry uśmiech: owszem, odparł, znajduje „czystą radość" w robieniu sobie żartów z „pana", w mówieniu mu „czegoś, co [ten]

chce usłyszeć, podczas gdy tak naprawdę mamy na myśli coś zupełnie innego”.

Ludzie nazywali Martina Luthera Kinga „Panem Przywódcą” albo, w weselszych chwilach, „Panem Bogiem”. Walker był „Bratem Królikiem”.

5

Plan, który Walker obmyślił dla Birmingham, nosił nazwę Projekt C – od słowa „confrontation”, czyli konfrontacja. Zapleczem organizacyjnym był szacowny Kościół Baptystów na Sixteenth Street, obok parku imienia Kelly’ego Ingrama, zaledwie kilka przecznic od śródmieścia. Projekt C składał się z trzech aktów, z których każdy miał mieć większy rozmach i być bardziej prowokacyjny od poprzedniego. Zaczęło się od serii strajków okupacyjnych w lokalnych barach, restauracjach i sklepach, gdzie czarni zajmowali miejsca przeznaczone dla białych. Miało to zwrócić uwagę mediów na problem segregacji rasowej w Birmingham. Wieczorami Shuttlesworth i King organizowali masowe wiece dla miejscowej czarnej społeczności, żeby podtrzymać morale. Drugi etap polegał na bojkocie sklepów i lokali usługowych w śródmieściu, co miało wywrzeć presję finansową na białych przedsiębiorców i skłonić ich do zmiany traktowania czarnoskórych klientów. (Na przykład w domach towarowych czarni nie mogli korzystać z łazienek i przebieralni z obawy, że biały mógłby dotknąć ubrania, umywalki lub sanitariatu, których wcześniej dotykał czarny). Na akt trzeci składały się masowe marsze, które miały wesprzeć bojkot i zapełnić areszty – bo kiedy Connorowi skończą się miejsca w celach, nie będzie mógł rozwiązać problemu praw obywatelskich, po prostu zamykając protestujących. Będzie musiał zmierzyć się z nimi bezpośrednio.

Projekt C był grą o wysoką stawkę. Jeśli miał się udać, Connor musiał się bronić, odpowiedzieć na atak. Jak to ujął King, trzeba było skłonić go do „odsłonięcia kart” – a więc do pokazania światu swojej ciemnej strony. Nie mieli jednak gwarancji, że Connor to zrobi. King i Walker zakończyli właśnie

długą kampanię w Albany w stanie Georgia, gdzie ponieśli klęskę, ponieważ szef miejscowej policji Laurie Pritchett nie połknął przynęty. Zakazał podwładnym używania przemocy i nadmiernej siły. Był uprzejmy i przyjacielski. Nie zmienił może zdania na temat praw obywatelskich, ale traktował Kinga z szacunkiem. Dziennikarze z Północy przyjechali do Albany, żeby relacjonować konfrontację między białymi i czarnymi, a tu – ku ich zaskoczeniu – okazało się, że Pritchett budzi ich sympatię. Kiedy King wreszcie wylądował w areszcie, następnego dnia pojawił się tajemniczy, elegancko ubrany mężczyzna – przysłany, jak głosiła legenda, przez samego Pritchetta – i wpłacił za niego kaucję. Jak tu zostać męczennikiem, jeśli wychodzi się za kaucją od razu po aresztowaniu?

W pewnym momencie Pritchett wprowadził się do motelu w centrum miasta, żeby być na miejscu, w razie gdyby wybuchły zamieszki. W trakcie długich negocjacji z Kingiem sekretarka Pritchetta wręczyła mu telegram. Tak wspominał to Pritchett wiele lat później:

> Musiałem wydać się [tym telegramem] zaniepokojony, bo doktor King zapytał, czy to jakieś złe wieści. Odparłem: „Nie, to nie są złe wieści, doktorze King. Po prostu tak się składa, że mam dziś dwunastą rocznicę ślubu i żona przysłała mi telegram”. Na co on mówi – nigdy tych słów nie zapomnę i pokazują one, jakie było między nami porozumienie – a więc mówi: „Dziś jest pana rocznica ślubu?”. A ja na to: „No tak”, i dodaję: „Nie byłem w domu co najmniej od trzech tygodni”. A wtedy doktor King powiedział: „W takim razie, panie komendancie, niech pan idzie dzisiaj do domu, teraz, zaraz. Niech pan uczci swoją rocznicę. Daję panu słowo honoru, że aż do jutra nic się w Albany w stanie Georgia nie wydarzy, więc może pan iść, zabrać żonę na kolację, zrobić, co pan chce, a jutro o dziesiątej rano podejmiemy nasze wysiłki na nowo”.

Pritchett nie chciał wrzucić Kinga w kępę dzikich róż. Sprawa była beznadziejna. Niedługo potem King spakował manatki i wyjechał z miasta[46].

Walker wiedział, że porażka w Birmingham po tak niedawnym fiasku w Albany będzie mieć katastrofalne skutki. W tamtych latach w przeważającej większości amerykańskich domów oglądano wieczorne wiadomości w telewizji, a Walker rozpaczliwie pragnął, żeby Projekt C pojawiał się na ekranach telewizorów co wieczór, jako informacja dnia. Miał jednak świadomość, że jeśli zacznie dominować wrażenie, iż kampania słabnie, media stracą nią zainteresowanie i przeniosą się gdzie indziej.

„Walker przyjął ogólną zasadę, że protest musi się cały czas rozwijać – pisze Taylor Branch. – Jeśli pokażą siłę, wówczas poparcie z zewnątrz znacząco wzrośnie. Kiedy jednak już zaczęli, nie mogą się cofać […]. Pod żadnym pozorem, stwierdził Walker, kampania w Birmingham nie może mieć mniejszego rozmachu niż w Albany. Co oznaczało, że muszą być przygotowani na to, by w areszcie jednocześnie wylądowało 1000 osób, może nawet więcej”.

Po kilku tygodniach Walker dostrzegł, że kampania zaczyna tracić ten cenny rozpęd. Wielu czarnoskórych mieszkańców Birmingham martwiło się – nie bez powodu – że jeśli ktoś zobaczy ich z Kingiem, biali szefowie wyleją ich z pracy. W kwietniu jeden z bliskich współpracowników Kinga przemawiał podczas kościelnego nabożeństwa, na którym było 700 osób, i zdołał przekonać tylko 9 z nich, żeby przyłączyły się do marszu. Następnego dnia Andrew Young – jeszcze jeden z ludzi Kinga – spróbował ponownie, tym razem znajdując tylko 7 ochotników. Lokalna gazeta wydawana przez czarnych konserwatystów nazwała Projekt C „bezwartościowym marnotrawstwem”. Dziennikarze i fotografowie, którzy liczyli na spektakularną konfrontację czarnych z białymi, zaczynali się niecierpliwić. Connor raz na jakiś czas kogoś aresztował, ale głównie czekał i obserwował. Walker był w stałym kontakcie z Kingiem, który jeździł tam i z powrotem

między Birmingham a swoją bazą w Atlancie. „Wyatt – powiedział mu King po raz setny – musisz znaleźć jakiś sposób, żeby Bull Connor odsłonił karty”. Walker pokręcił głową. „Panie Przywódco, nie znalazłem jeszcze klucza, ale znajdę”.

Do przełomu doszło w Niedzielę Palmową. Walker zgromadził 22 demonstrantów gotowych do protestu. Marsz miał poprowadzić brat Kinga, Alfred Daniel, nazywany A.D. „Zbieraliśmy się powoli – wspomina Walker. – Mieliśmy wyruszyć wpół do trzeciej, a zaczęliśmy dopiero około czwartej. Przez ten czas ludzie, wiedząc o demonstracji, zbierali się na ulicach. Kiedy byliśmy gotowi do marszu, na obszarze tych trzech kwartałów ulic stało już z 1000 osób, widzów, którzy przyszli popatrzeć”.

Następnego dnia Walker otworzył gazety, żeby przeczytać relacje prasowe z wydarzenia, i ku swojemu zdumieniu stwierdził, że dziennikarze wszystko poplątali. Pisano, że w Birmingham maszerowało 1100 demonstrantów. „Zadzwoniłem do doktora Kinga i oświadczyłem: »Doktorze King, mam! – wspomina Walker. – Nie mogę powiedzieć panu przez telefon, ale mam!«. I tak codziennie przeciągaliśmy nasze spotkania aż do późnego popołudnia, żeby ludzie zdążyli wrócić z pracy do domu. Stawali z boku wzdłuż trasy przemarszu i wyglądało to tak, jakby szło nas 1000. A szło tylko 12, 14, 16, 18 osób. Ale gazety pisały o 1400”.

Była to sytuacja żywcem wyjęta z jednej z najbardziej znanych szachrajskich opowieści – bajki o Żółwiu, który staje do wyścigu z Jeleniem. Żółw chowa się tuż przy linii mety i rozstawia swoich krewnych na trasie, w strategicznych odstępach, żeby wydawało się, że przez cały czas biegnie. Przed finiszem wyłania się przed Jeleniem i wygrywa. Jeleń daje się nabrać, bo, jak Żółw wie, dla jeleni wszystkie żółwie „są takie same, więc jeleń jednego od drugiego nie odróżni”.

Stojący na słabszej pozycji Murzyni muszą studiować niuanse zachowania białych – to, jak ci trzymają głowę, ton ich głosu, ostrość języka. Od tego

zależy ich, słabeuszy, przetrwanie. Natomiast ci występujący z pozycji siły nie mają potrzeby przyglądania się słabszym. Jeleń traktował Żółwia z lekceważeniem. Dla niego żółw to żółw. Elita Birmingham przypominała Jelenia z bajki. „Potrafią patrzeć tylko […] białymi oczami – tłumaczył Walker ze złośliwą satysfakcją. – Nie umieją odróżnić murzyńskich demonstrantów od murzyńskich gapiów. Dla nich to wszystko Murzyni, i tyle”[47].

Connor był arogantem, który lubił paradować po Birmingham, mówiąc: „Tu, u nas, tworzymy nasze własne prawo”. Codziennie rano popijał sobie bourbon w hotelu Molton, przewidując głośno, że Kingowi „zabraknie czarnuchów”. A teraz wyglądał przez okno i na każdym zakręcie widział wyprzedzającego go Żółwia. Był zszokowany. Ów wyimaginowany 1000 protestujących to była prowokacja. „Bull Connor wymyślił sobie, że nie pozwoli tym czarnuchom dostać się do ratusza – opowiadał Walker. – Modliłem się, żeby dalej starał się nas powstrzymać […]. Przegralibyśmy w Birmingham, gdyby Bull pozwolił nam przejść do ratusza i tam się modlić. Gdyby dał nam to zrobić i usunął się na bok, co by w tym było ciekawego? Żadnej nowości, żadnego ruchu, żadnego tematu dla prasy”. „Proszę, Bracie Connor, proszę. Rób, co chcesz, tylko nie wrzucaj mnie w kępę dzikich róż”. I oczywiście Connor to właśnie zrobił.

Protesty trwały od miesiąca, kiedy Walker i King zwiększyli naciski. Jeden z członków ekipy organizującej kampanię w Birmingham, James Bevel, prowadził zajęcia z uczniami miejscowych szkół, przekazując im zasady biernego oporu. Bevel przypominał baśniowego flecistę z Hameln: wysoki, łysy, hipnotyczny mówca, który nosił jarmułkę i ogrodniczki i twierdził, że słyszy głosy. (McWhorter nazywa go „bojownikiem z książeczek dla dzieci Doktora Seussa”). W ostatni poniedziałek kwietnia Bevel rozwiózł po wszystkich szkołach średnich dla czarnych w okręgu ulotki następującej treści: „Przyjdźcie do Kościoła Baptystów na Sixteenth Street

w czwartek w południe. Nie pytajcie o pozwolenie”. Tę samą wiadomość przekazał swoim młodym słuchaczom najpopularniejszy czarnoskóry disc jockey w mieście, Shelley „Playboy” Stewart: „Dzieciaki, zapowiada się impreza w parku”[48]. FBI zwietrzyło plan i powiadomiło Bulla Connora, a ten ogłosił, że każdy uczeń, który pójdzie na wagary, zostanie wydalony ze szkoły. Nic to nie dało. Do kościoła przyszły tłumy dzieciaków. Walker nazwał ten dzień „Dniem D” (a więc terminem oznaczającym początek operacji wojskowej).

O pierwszej po południu drzwi kościoła się otworzyły i pomocnicy Kinga zaczęli wypuszczać zgromadzone tam dzieci i młodzież. Uczniowie nieśli transparenty z napisami „Wolność” czy „Umrę za to, by ta ziemia stała się moim domem”. Śpiewali hymny i protest songi w rodzaju *We Shall Overcome* i *Ain’t Gonna Let Nobody Turn Me Around*. Przed kościołem czekali policjanci Connora. Dzieci uklękły i zaczęły się modlić, a potem posłusznie weszły do podstawionych policyjnych suk. Po chwili z kościoła wyłoniła się następna kilkunastoosobowa grupa uczniów. Po niej kolejna i kolejna, i jeszcze jedna – aż ludziom Connora zaczęło świtać, że znów podniesiono stawkę.

Jeden z policjantów dostrzegł Freda Shuttleswortha.

– Hej, Fred, ile ich tam jeszcze macie?

– Jeszcze co najmniej tysiąc – odparł pastor.

– Dobry Boże – jęknął policjant.

Do wieczora w areszcie znalazło się ponad 600 dzieciaków.

Następny dzień – piątek – ochrzczono „Podwójnym Dniem D”. Tym razem na wagary poszło 1500 uczennic i uczniów, by zjawić się u baptystów przy Sixteenth Street. O pierwszej po południu zaczęli wymarsz z kościoła w równych szeregach. Ulice wokół parku imienia Kelly’ego Ingrama zabarykadowały policja i straż pożarna. Wiadomo było, dlaczego wezwano strażaków. Na wozach mieli zamontowane węże gaśnicze pompujące wodę

pod wysokim ciśnieniem, a takie „armatki wodne”, jak ten sprzęt nazywano, były podstawowym narzędziem do rozpędzania tłumów od lat trzydziestych, gdy zaczęto stosować je w nazistowskich Niemczech. Walker wiedział, że jeśli demonstracje przybiorą tak duże rozmiary, iż policja Birmingham nie będzie w stanie nad nimi zapanować, Connor będzie czuł silną pokusę, żeby włączyć armatki. Walker chciał, żeby Connor je włączył. „W Birmingham było gorąco – tłumaczył. – Kazałem [Bevelowi] przeciągnąć zbiórkę, żeby ci strażacy stali i piekli się w słońcu, aż ich cierpliwość będzie wisiała na włosku”.

A co z psami? Connor palił się do wykorzystania psiego oddziału miejscowej policji. Już wcześniej tamtej wiosny w jednym ze swoich przemówień poprzysiągł, że wyśle przeciwko obrońcom praw obywatelskich 100 policyjnych owczarków niemieckich. „Niech zobaczą te psy w akcji” – warknął Connor, kiedy sytuacja w parku imienia Kelly’ego Ingrama zaczęła wymykać się spod kontroli. Walkera nic nie mogło bardziej ucieszyć. Ulicami maszerują dzieci, a Connor chce je poszczuć owczarkami niemieckimi? Wszyscy w obozie Kinga wiedzieli, jak to będzie wyglądało, jeśli ktoś opublikuje zdjęcie psa policyjnego rzucającego się na dziecko.

Connor trwał na posterunku, obserwując zbliżających się uczniów. „Przejścia nie ma – oznajmił. – Ani kroku dalej, bo zaczniemy lać was z węży”. Więzienne cele Connora były pełne. Nie mógł już nikogo aresztować, bo nie miał gdzie wsadzać nowych więźniów. Dzieci szły dalej. Strażacy się zawahali. Nie byli przyzwyczajeni do kontrolowania tłumów. Connor zwrócił się do komendanta straży: „Puszczaj wodę albo wynocha”. Strażacy odkręcili zawory, które zamieniały rozpylaną przez węże wodę w strumień pod wysokim ciśnieniem. Dzieci przywarły jedno do drugiego. Siła strumienia odrzuciła je do tyłu, zerwała niektórym koszule, inne cisnęła o ściany i drzwi budynków.

Walker zaczął wysyłać kolejne grupy uczniów z kościoła na przeciwległy koniec parku, żeby utworzyć drugi front. Connor nie miał więcej wozów strażackich. Był jednak zdeterminowany, by nie przepuścić żadnych demonstrantów do „białego” Birmingham. „Dawać psy – rozkazał, wzywając osiem oddziałów szkolonych owczarków. – Po co wziąłeś starego Tigera? – wrzasnął Connor na jednego z policjantów. – Dlaczego nie wziąłeś jakiegoś groźniejszego, ten nie jest dość ostry!” Dzieci podeszły bliżej. Owczarek niemiecki rzucił się na jednego z chłopców. Nastolatek poddał się atakowi, stojąc z bezwładnie opuszczonymi rękami, jakby chciał powiedzieć: „Bierz mnie, tu jestem”. W sobotę to zdjęcie znalazło się na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju.

Czy postępowanie Wyatta Walkera budzi w was niesmak? James Forman, jedna z kluczowych postaci ruchu na rzecz praw obywatelskich w tamtych latach, był z Walkerem, kiedy Connor sprowadził psy policyjne. Forman twierdzi, że Walker zaczął skakać z radości: „Ruszyło się. Ruszyło się. Mamy brutalność policji”. Formana taka reakcja zaszokowała. Walker zdawał sobie sprawę, równie dobrze jak wszyscy pozostali, z tego, jak niebezpiecznie może być w Birmingham. Był na sali, kiedy King wygłosił przed każdym ze swoich współpracowników symboliczną mowę pogrzebową. Jak mógł teraz cieszyć się na widok protestujących atakowanych przez psy policyjne?[49]

Po „Dniu D” King i Walker słyszeli takie głosy ze wszystkich stron. Sędzia rozpatrujący sprawę aresztowanych demonstrantów oświadczył, że ludzie, którzy „wprowadzili te dzieci w błąd”, skłaniając je do udziału w marszu, „powinni się znaleźć w więzieniu”. W Kongresie jeden z kongresmenów z Alabamy nazwał wykorzystanie dzieci „karygodnym”. Burmistrz Birmingham potępił „nieodpowiedzialnych, bezmyślnych agitatorów”, którzy posłużyli się dziećmi jak „narzędziami”. Malcolm X –

czarnoskóry działacz pod każdym względem radykalniejszy od Kinga – powiedział: „Prawdziwi mężczyźni nie wysyłają dzieci na linię ognia”. We wstępniaku w „New York Timesie” pisano, że King prowadzi „niebezpieczną grę na przetrzymanie”, a „Time” zbeształ pastora za wykorzystanie dzieci w roli „oddziałów szturmowych”. Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych Robert F. Kennedy ostrzegał, że „uczestnictwo uczniów w demonstracjach ulicznych to niebezpieczna sprawa”, a także stwierdził: „Ranne, okaleczone lub zabite dziecko to cena, na której zapłacenie nikt z nas nie może sobie pozwolić”[50].

W piątek wieczorem, po drugim dniu protestów dzieci, King przemawiał do zgromadzonych w Kościele Baptystów przy Sixteenth Street rodziców uczniów aresztowanych tego i poprzedniego dnia. Ci ludzie bardzo dobrze znali niebezpieczeństwa i upokorzenia, z jakimi spotyka się czarnoskóry mieszkaniec Birmingham. „Jezus powiedział, że pojedzie ze mną tylko do Memphis”. Wyobrażacie sobie, jak się czuli, wiedząc, że ich dzieci gniją właśnie w więzieniu Bulla Connora? King wstał i próbował potraktować całą sytuację lekko: „Nie tylko stali w strumieniach wody, ale przechodzili pod nimi! – powiedział. – A psy? No cóż, pozwólcie, że coś wam powiem. Kiedy byłem dzieckiem, pogryzł mnie pies […] za nic. Nie szkodzi więc, jeśli teraz pogryzie mnie w obronie wolności!”.

Nie wiadomo, czy rodziców to przekonywało. King brnął dalej: „Wasze córki i synowie są w więzieniu […]. Nie martwcie się o nich […]. Cierpią za to, w co wierzą, i za to, by ten kraj, ten naród, stał się lepszy”. „Nie martwcie się o nich?” Taylor Branch pisze, że krążyły plotki – „prawdziwe i fałszywe” – o „szczurach, pobiciach, betonowych pryczach, przepełnionych latrynach, napaściach i mało subtelnych badaniach na obecność chorób wenerycznych”. W ośmioosobowych celach upychano po 75 czy 80 dzieci. Niektóre wywieziono autobusami na stanowe tereny targowe i przetrzymywano bez jedzenia i wody w ulewnym deszczu. Co na to King?

„Więzienie pomaga wznieść się ponad zatęchłą atmosferę codzienności – stwierdził niefrasobliwie. – Jeśli chcą dostać jakieś książki, to je im dostarczymy. Ja zawsze nadrabiam zaległości w lekturze, kiedy idę do więzienia”.

Walker i King usiłowali ustawić to zdjęcie – owczarek niemiecki rzuca się na chłopca. W tym celu musieli jednak prowadzić skomplikowaną podwójną grę. Przed Bullem Connorem udawali, że mają sto razy więcej zwolenników niż w rzeczywistości. Przed prasą – że Connor ich zaszokował, szczując protestujących psami, podczas gdy za kulisami skakali z radości, że udało im się go sprowokować. Natomiast przed rodzicami, których dzieci wykorzystywali w charakterze mięsa armatniego, udawali, że więzienia Bulla Connora to dobre miejsce do nadrabiania zaległości w lekturze.

Jednak ta gra nie powinna nas szokować. Jakie inne wyjście mieli Walker i King? W tradycyjnej bajce o Żółwiu i Zającu, opowiadanej każdemu dziecku w Europie Zachodniej i Ameryce, Żółw pokonuje Zająca w wyścigu dzięki wysiłkowi i wytrwałości. Powoli i spokojnie, bez zatrzymywania, a będziesz pierwszy na mecie. To bardzo ważny morał, ale tylko w świecie, w którym Żółw i Zając grają według tych samych reguł, a starania każdej ze stron zostają nagrodzone. W świecie, który sprawiedliwy nie jest – a nikt nie nazwałby Birmingham z roku 1963 sprawiedliwym – Żółw musi rozmieścić swoich krewnych w strategicznych punktach na trasie wyścigu. Szachraj nie jest szachrajem z natury. Staje się nim z konieczności. Dwa lata później w następnej przełomowej odsłonie walki o prawa obywatelskie w Selmie w stanie Alabama fotograf z magazynu „Life” odłożył aparat, żeby ruszyć na pomoc turbowanym przez policjantów dzieciom. Usłyszał później od Kinga reprymendę: „Świat nie wie, że coś takiego się stało, bo pan tego nie sfotografował. Nie chcę być bezwzględny, ale to znacznie ważniejsze, żeby zrobił pan zdjęcie, jak nas biją, niż żeby był pan kolejną osobą, która włącza się do walki”. King potrzebował tego zdjęcia. Na krytykę w związku

z wykorzystywaniem w protestach dzieci najlepiej odpowiedział Fred Shuttlesworth: „Musimy posługiwać się tym, co mamy”.

Dyslektyk, który chce osiągnąć sukces, jest oczywiście w dokładnie takiej samej sytuacji. To właśnie między innymi oznacza „niska ugodowość”. Gary Cohn wskoczył do taksówki, udając, że zna się na opcjach, a zdumiewająco wielu innych dyslektyków, którym się w życiu powiodło, ma za sobą podobny moment w karierze. Brian Grazer, producent filmowy, dostał się po college’u na trzymiesięczny staż w dziale biznesowym studia Warner Brothers. Rozwoził pocztę. „Siedziałem w wielkim biurze z dwiema sekretarkami – wspomina. – Mój szef pracował dla Jacka Warnera. Miał niebawem odejść z firmy. Był świetnym gościem. Zapytałem, czy mogę korzystać z tego wielkiego biura, było większe niż mój dzisiejszy gabinet. Odparł: »No jasne, korzystaj«. Biuro stało się firmą Briana Grazera. Załatwiałem cały swój ośmiogodzinny dzień pracy w godzinę. Wykorzystywałem biuro i swoje stanowisko, żeby zdobyć dostęp do wszystkich kontraktów, umów, wstępnych scenariuszy przysyłanych do Warner Brothers – dowiedzieć się, dlaczego zostały przyjęte, co brano pod uwagę. Wykorzystałem ten rok, żeby zdobyć wiedzę i informacje o przemyśle filmowym. Codziennie do kogoś dzwoniłem i mówiłem: »Jestem Brian Grazer. Pracuję w dziale biznesowym Warner Brothers. Chcę się z panem spotkać«”.

Wreszcie go zwolniono, ale wcześniej zdążył przedłużyć swój trzymiesięczny staż do roku i sprzedać NBC dwa pomysły po 5000 dolarów każdy.

Grazer i Cohn – dwaj outsiderzy z trudnościami w uczeniu się – posłużyli się fortelem. Za pomocą blefu znaleźli pracę w zawodach, które byłyby dla nich zamknięte. Ów człowiek z Wall Street w taksówce zakładał, że nikt nie będzie tak zuchwały, żeby twierdzić, iż zna się na handlu opcjami, jeśli nie ma o tym pojęcia. A ludziom, do których dzwonił Brian Grazer, nigdy nie przyszło do głowy, że kiedy przedstawia się jako Brian Grazer z Warner

Brothers, to w istocie chodzi o stażystę, który w Warner Brothers rozwozi pocztę. To, co zrobili, nie było „w porządku”, tak jak nie w porządku jest posyłanie dzieci przeciwko psom policyjnym. Musimy jednak pamiętać, że nasza definicja tego, co jest właściwe czy słuszne, to często po prostu zamknięcie drzwi przez osoby na uprzywilejowanej pozycji przed tymi, którzy zostali na zewnątrz. Dawid nie ma nic do stracenia i dlatego może lekceważyć reguły ustalone przez innych. W taki właśnie sposób ludzie, którzy mają nieco inne mózgi niż reszta z nas, dostają pracę jako maklerzy opcji czy producenci filmowi – a niewielka grupa demonstrantów, mających za broń tylko własny spryt, ma szansę w starciu z kimś takim jak Bull Connor.

„Nadal myślę, że biegam najszybciej na świecie” – skarży się oszołomiony Jeleń po wyścigu, w którym Żółw zrobił coś, co zdyskwalifikowałoby go w każdym turnieju. „Może i tak – odpowiada Żółw – ale ja mam dobrą taktykę”.

7

Chłopiec na słynnej fotografii Billa Hudsona nazywa się Walter Gadsden. Chodził do drugiej klasy liceum Parker High w Birmingham, miał piętnaście lat i 180 centymetrów wzrostu. Nie był jednym z demonstrantów, tylko widzem. Pochodził z konserwatywnej czarnej rodziny, do której należały dwie gazety w Birmingham i w Atlancie, ostro krytykujące Kinga. Gadsden poszedł tego dnia na wagary, żeby oglądać toczące się wokół parku imienia Kelly’ego Ingrama widowisko.

Policjant na zdjęciu to Dick Middleton. Był skromnym, powściągliwym człowiekiem. „Wiadomo było – pisze McWhorter – że praca z psami przyciąga prawych, porządnych ludzi, którzy nie chcieli mieć nic wspólnego z kantami i łapówkami, z jakimi często wiązała się zwykła policyjna robota. Wśród opiekunów psów rzadko też zdarzali się zdeklarowani rasiści”. Pies wabił się Leo.

Spójrzmy teraz na twarze widocznych w tle czarnoskórych przechodniów. Czy nie powinni być zaskoczeni albo przerażeni? A nie są. Przyjrzyjmy się jeszcze smyczy trzymanej przez Middletona. Jest napięta, jakby policjant starał się powstrzymać Lea. Rzućmy okiem na lewą dłoń Gadsdena. Chwycił Middletona za przedramię. Spójrzmy na lewą nogę chłopaka. Kopie Lea, prawda? Gadsden powiedział później, że wychowywał się wśród psów i nauczono go, jak się przed nimi chronić. „Automatycznie poderwałem kolano, żeby znalazło się przed głową psa” – stwierdził. Gadsden nie był męczennikiem, biernie pochylającym się w stronę napastnika, jakby chciał powiedzieć: „Bierz mnie, tu jestem”. Przytrzymuje się ręką Middletona, żeby złapać równowagę i móc wymierzyć mocniejszego kopniaka. Później mówiło się wśród protestujących, że złamał Leowi szczękę. Zdjęcie Hudsona pokazuje coś zupełnie innego, niż się wszystkim wydawało. Było małym szachrajstwem Brata Królika.

Trzeba posługiwać się tym, co się ma.

„Jasne, psy pogryzły parę osób – powiedział Walker, wspominając wydarzenia sprzed 20 lat. – Co najmniej dwie czy trzy. Ale obraz jest wart tysiąca słów, mój dhogi”[51].

---

[40] W. Nunnelley w napisanej przez siebie biografii Connora *Bull Connor* podaje mający tu zastosowanie ustęp przepisów porządkowych miasta Birmingham, a mianowicie paragraf 369, który zabrania obsługiwania „osób białych i kolorowych” w tym samym pomieszczeniu, jeśli nie jest ono przedzielone przepierzeniem o wysokości 7 stóp (2,13 metra) i nie posiada oddzielnych wejść.

[41] Moja matka, która pochodzi z Jamajki, nauczyła się w dzieciństwie bajek o pająku Anansim i opowiadała je mnie i mojemu bratu, kiedy byliśmy mali. Anansi to łotrzyk, który nie waha się przed oszustwem ani poświęceniem własnych dzieci (których zawsze ma dużo) dla swoich celów. Moja matka jest dystyngowaną jamajską damą, ale kiedy schodzi na temat Anansiego, staje się uosobieniem szelmostwa.

[42] W książce *Black Culture and Black Consciousness. Afro-American Folk Thought from Slavery to Freedom* (Czarna kultura i czarna świadomość. Myśl ludowa Afroamerykanów od czasów niewolnictwa do wolności) L. Levine pisze: „Królik, tak jak niewolnicy, którzy snują o nim historie, był zmuszony do radzenia sobie za pomocą tego, co miał. Krótki ogonek, dany mu przez naturę intelekt – tyle musiało wystarczyć, ażeby sobie dać radę, uciekał się do wszelkich środków, jakie tylko miał do dyspozycji – środków, które być może kalały jego moralność, ale pozwalały mu przeżyć, a nawet zwyciężać”.

[43] Historyk T. Branch tak pisze o Walkerze: „Walker był w gorącej wodzie kąpany. W latach czterdziestych, jako uczeń liceum w New Jersey, usłyszał, jak Paul Robeson mówi, że jeśli opowiadanie się za wolnością i równością oznacza, że jest się czerwonym, to on jest czerwony. Walker czym prędzej wstąpił do Ligi Młodych Komunistów. W jednej ze swoich prac licealnych przedstawił plan pięcioletni dotyczący budowy w Stanach Zjednoczonych gospodarki w stylu radzieckim, marzył też o przeprowadzeniu genialnych z technicznego punktu widzenia zamachów na czołowych segregacjonistów”.

[44] Dalszy ciąg myśli Walkera: „Mieliśmy oddać się w ręce tłumu, czując, że to go uspokoi. Chyba chodziło o to, żeby pobili nas na śmierć”.

[45] Bull (ang.) – byk (przyp. tłum.).

[46] Pritchett pojechał do Brimingham i ostrzegał Bulla Connora przed Kingiem i Walkerem. Chciał go nauczyć, jak radzić sobie ze spryciarzami z ruchu praw obywatelskich. Ale Connor nie był skłonny słuchać. „Nigdy tego nie zapomnę, kiedy weszliśmy do jego gabinetu – wspomina Pritchett – był do nas tyłem, widzimy jakiś wielki fotel prezesa, a kiedy się odwrócił, patrzymy, a tu siedzi taki mały człowieczek – to znaczy w sensie postury. Ale miał tubalny głos i oznajmił mi, że zamknęli tego dnia

pole golfowe […]. Powiedział: »Mogą sobie grać w golfa, ale my zabetonowaliśmy dołki. Nie mogą wbić piłki do dołków«. To mi dało pewną wskazówkę co do tego, z jakim człowiekiem mam do czynienia”.

[47] Walker często wykorzystywał ten motyw. W pewnym momencie w Birmingham miasto wniosło pozew przeciwko Southern Christian Leadership Conference, co oznaczało, że Walker musiał chodzić do sądu. Powstawało pytanie: jeśli będzie zajęty w sądzie, to jak ma prowadzić kampanię? Walker rozwiązał to w ten sposób, że został w sądzie zarejestrowany, a w kolejnych dniach wysyłał tam kogoś innego zamiast siebie. Dlaczego nie? Jak stwierdził: „No bo wiecie, wszystkie czarnuchy i tak są do siebie podobne”.

[48] Stewart był niezmiernie ważną postacią w Birmingham. Każdy afroamerykański nastolatek słuchał jego audycji. Druga część wiadomości, którą Stewart przekazał swoim słuchaczom, brzmiała: „Weźcie ze sobą szczoteczki do zębów, bo podadzą lunch”. Te „szczoteczki do zębów” oznaczały: „Bądźcie odpowiednio ubrani i przygotowani na spędzenie kilku nocy w więzieniu”.

[49] Forman pisze: „Radość z brutalnego traktowania niewinnych ludzi przez policję […], bez względu na to, czemu ta brutalność miałaby służyć, wydawała się czymś bardzo zimnym, okrutnym i wyrachowanym”.

[50] King długo się zastanawiał, zanim zgodził się wykorzystać w protestach dzieci. James Bevel musiał go do tego namawiać. W końcu doszli do wniosku, że jeśli ktoś osiągnął odpowiedni wiek, by należeć do Kościoła – by podjąć decyzję o tak istotnym znaczeniu dla swojego życia i swojej duszy – to ma dość lat, by walczyć o sprawę o wielkim znaczeniu dla swojego życia i swojej duszy. W baptyzmie można przystąpić do Kościoła, kiedy osiągnie się wiek szkolny. A zatem King zaaprobował wykorzystanie przeciwko Bullowi Connorowi nawet dzieci sześcio- czy siedmioletnich.

[51] W podobnym tonie Walker wypowiada się o słynnych zdjęciach protestujących polewanych z armatek wodnych. Twierdzi, że ludzie na tych fotografiach byli widzami, nie demonstrantami. Stali przed kościołem baptystów przy Sixteenth Street przez całe popołudnie – a był to typowy wiosenny dzień w Birmingham, bardzo parny. Ludziom było gorąco. „Zebrali się w parku, gdzie jest cień. A strażacy ustawili armatki w dwóch rogach parku, przy Fifth Street i Sixth Street. Panowała piknikowa atmosfera. Nie było wśród tych widzów nikogo, kto byłby rozgniewany. Czekali bardzo długo, robiło się już ciemno. No i ktoś rzucił cegłę, bo wiedzieli, że… Właściwie nawet mówili: »Puśćcie wodę. Puśćcie wodę«. Poleciała ta cegła, a Bull Connor zaczął odkręcać zawory. No i ludzie tańczyli i bawili się w tej lecącej z węży wodzie. To słynne zdjęcie, na którym trzymają się za ręce, to były tylko takie wygłupy, ludzie próbowali stać [niezrozumiałe] i niektórych siła strumienia przewracała. Wstawali, biegli z powrotem, a strumień wody przesuwał ich po chodniku. Potem zaczęto przenosić węże z drugiego rogu i zamiast Murzynów [niezrozumiałe] pobiegli do tego szlauchu. To było dla nich jak święto. I tak to trwało przez jakieś dwie godziny. Właściwie to były żarty. Wszyscy w dobrym humorze i nastroju. Żadnej złośliwej, pełnej jadu reakcji, nawet ze strony Murzynów widzów, co dla mnie raz jeszcze jest przykładem zmieniającego się nastawienia. Kiedyś Murzyni w obecności policjantów i armatek wodnych czuli się zastraszeni, a tu zupełnie policję lekceważyli. Obracali to wszystko w żart”.

CZĘŚĆ TRZECIA

GRANICE WŁADZY, GRANICE SIŁY

„A dalej widziałem pod słońcem,
że to nie chyżym bieg się udaje,
i nie waleczni w walce zwyciężają.
Tak samo nie mędrcom chleb się dostaje w udziale
ani rozumnym bogactwo,
ani też nie uczeni cieszą się względami.
Bo czas i przypadek rządzi wszystkim”.

Księga Koheleta 9, 11

ROZDZIAŁ 7
ROSEMARY LAWLOR

„Nie urodziłam się taka. To zostało mi narzucone siłą”.

1 Kiedy wybuchł konflikt w Irlandii Północnej, Rosemary Lawlor była świeżo po ślubie. Razem z mężem właśnie kupili dom w Belfaście. Urodziło im się dziecko. Było lato 1969 roku, katolicy i protestanci – dwie społeczności religijne, których koegzystencja w tym kraju nigdy nie była łatwa – rzucili się sobie do gardeł. Trwały zamieszki, wybuchały bomby. Protestanckie bojówki, zwane lojalistami, wyległy na ulice, podpalały domy. Lawlorowie byli katolikami, a katolicy zawsze stanowili w Irlandii Północnej mniejszość. Każdego dnia bali się coraz bardziej.

„Wracałam wieczorem do domu – opowiadała Lawlor – a na drzwiach napis: »Katole precz«. Albo: »Won z papieżem«. Którejś nocy mieliśmy dużo szczęścia. Do ogródka za domem wpadła bomba, ale nie wybuchła. W końcu pewnego dnia zapukałam do sąsiadki i okazało się, że jej nie ma, wyniosła się. Dowiedziałam się wtedy, że mnóstwo ludzi się wyniosło. Więc kiedy mój mąż Terry wrócił z pracy, zapytałam: »Terry, co tu się dzieje?«. A on na to: »Jesteśmy w niebezpieczeństwie«. Tego wieczoru opuściliśmy dom. Nie mieliśmy telefonu. Pamiętajmy, że to było w czasach sprzed komórek. Wyszliśmy. Strach zżerał mnie od środka. Włożyłam syna do wózka. Zebrałam szybko jakieś ubrania dla niego i dla nas. Wózek miał na dole taki koszyk, wepchnęliśmy to wszystko do niego. I Terry mówi do mnie: »Dobra, Rosie, teraz stąd wyjdziemy jak gdyby nigdy nic i będziemy się do wszystkich

uśmiechać«. Trzęsłam się. Byłam nastolatką, która właśnie wyszła za mąż, dziewiętnaście lat, mężatka, dziecko, nowy świat, nowe życie. Wszystko to odebrane mi ot tak. Wie pan? A ja nie byłam w stanie tego powstrzymać. Strach to okropna rzecz, a ja pamiętam, że bardzo, bardzo się bałam”.

Najbezpieczniejszym miejscem, jakie znali, była katolicka dzielnica Ballymurphy, w zachodnim Belfaście, gdzie mieszkali rodzice Lawlor. Nie mieli jednak samochodu, a ponieważ trwały zamieszki, żaden taksówkarz nie odważył się jechać do katolickiej dzielnicy. Wreszcie złapali taksówkę podstępem, mówiąc, że ich dziecko jest chore i muszą je zawieźć do szpitala. Kiedy zatrzasnęli drzwi auta, Terry poprosił kierowcę: „Niech nas pan zabierze do Ballymurphy”. Szofer odparł: „O nie, tam nie jadę”. Ale Terry miał pogrzebacz, wyjął go, przystawił ostry koniec szoferowi do karku i wycedził: „Pojedzie pan”. Taksówkarz dowiózł ich do skraju Ballymurphy i się zatrzymał. „Może pan we mnie wbić to żelastwo – powiedział. – Ale dalej nie jadę”. Lawlorowie wzięli dziecko, zebrali swój dobytek i uciekli w popłochu.

Na początku 1970 roku sytuacja się pogorszyła. W Wielkanoc wybuchły zamieszki w Ballymurphy. Wezwano brytyjską armię: samochody opancerzone z drutem kolczastym na zderzakach patrolowały ulice. Lawlor, pchając wózek z dzieckiem, mijała żołnierzy z karabinami maszynowymi i granatami z gazem łzawiącym. Podczas któregoś czerwcowego weekendu w sąsiedniej dzielnicy doszło do strzelaniny: grupa uzbrojonych katolików wyszła na środek drogi i otworzyła ogień do przypadkowych przechodniów – protestantów. W odwecie protestanccy lojaliści próbowali podpalić katolicki kościół w pobliżu portu. Strzelanina między obiema stronami trwała pięć godzin. W całym mieście wybuchły setki pożarów. W ciągu weekendu zginęło 6 osób, a ponad 200 zostało rannych. Brytyjski minister spraw wewnętrznych, odpowiedzialny za Irlandię Północną, przyleciał z Londynu, przyjrzał się panującemu chaosowi i wrócił biegiem do samolotu. „Na litość boską, dajcie mi dużą szkocką – powiedział, ukrywając twarz w dłoniach. – Co za cholernie potworny kraj”.

Tydzień później przez ulice Ballymurphy przeszła kobieta. Nazywała się Harriet Carson. „Słynęła z tego, że kiedyś w ratuszu zdzieliła Maggie Thatcher torebką w głowę – opowiadała Lawlor. – Znałam ją z dzieciństwa. Harriet szła z dwiema pokrywkami od garnków, waliła nimi o siebie i krzyczała: »No dalej, wychodźcie, wychodźcie. W Lower Falls mordują ludzi«. Tak krzyczała na całe gardło. Podeszłam do drzwi. W domu była cała moja rodzina. A ona krzyczała: »Są zamknięci w domach. Ich dzieci nie mają mleka, oni nie mają nic do jedzenia, nie ma chleba, wychodźcie, wychodźcie, musimy coś zrobić!«”.

Lower Falls to katolicka dzielnica położona poniżej Ballymurphy. Lawlor chodziła tam do szkoły, miała tam wujka oraz licznych kuzynów i kuzynki. Znała w Lower Falls tyle samo ludzi co w Ballymurphy. Armia Brytyjska ustanowiła w całej dzielnicy godzinę policyjną do odwołania, podczas gdy żołnierze szukali nielegalnej broni.

„Nie wiedziałam, co to znaczy »godzina policyjna« – wspominała Lawlor. – Nie miałam pojęcia. Musiałam kogoś zapytać. Usłyszałam: »Nie wolno im wychodzić z domów«. Byłam zszokowana. Ogłuszona. »Jak to?« »Ludzie są zamknięci w domach. Nie mogą wyjść po chleb czy mleko«. Kiedy Angole, to znaczy żołnierze Armii Brytyjskiej, wyważali kopniakami drzwi, przeszukiwali domy, siali spustoszenie, ja byłam w szoku. Wszyscy najbardziej martwili się o to, że ludzie są zamknięci w domach i że tam są dzieci. A musimy pamiętać, że niektóre rodziny miały wtedy po dwanaścioro, piętnaścioro dzieci. Wie pan? Tak to już było. »Jak to nie mogą wyjść z domów?«”. Ludzie byli wściekli.

Rosemary Lawlor jest dziś po sześćdziesiątce. To mocno zbudowana kobieta o rumianych policzkach i krótkich białoblond włosach zaczesanych na bok. Była z zawodu szwaczką i umiała się stylowo ubrać: podczas naszej rozmowy miała na sobie jaskrawą bluzkę w kwiatowy wzór i białe spodnie trzy czwarte. Opowiadała o wydarzeniach sprzed niemal pół wieku. Ale pamiętała każdy moment.

„Mój ojciec stwierdził: »Angole zwrócą się przeciwko nam. Mówią, że są tu po to, żeby nas chronić. Zwrócą się przeciwko nam, zobaczycie«. I miał sto

procent racji. Rzucili się na nas. A zaczęło się od tej godziny policyjnej”.

2 W tym samym roku, kiedy w Irlandii Północnej zapanował chaos, dwóch ekonomistów – Nathan Leites i Charles Wolf junior – napisało raport o tym, jak sobie radzić z rebeliami. Leites i Wolf pracowali dla RAND Corporation, prestiżowego think tanku utworzonego po drugiej wojnie światowej przez Pentagon. Swój raport zatytułowali *Rebellion and Authority* (Bunt i władza). W tamtych latach, kiedy świat zalewała fala przemocy, wszyscy czytali Leitesa i Wolfa. Ich praca stała się podstawą strategii wojny w Wietnamie oraz sposobów reagowania policji na niepokoje społeczne, a rządów na terroryzm. Wniosek raportu był prosty:

> Nasza analiza opiera się na fundamentalnym założeniu mówiącym, że ludność – zarówno jednostki, jak i grupy – zachowuje się „racjonalnie”, że oblicza koszty i korzyści związane z poszczególnymi sposobami działania i na tej podstawie dokonuje wyborów […]. W konsekwencji wywieranie wpływu na zachowanie ludności nie wymaga ani współczucia, ani mistycyzmu, lecz raczej lepszego rozeznania, jakiego rodzaju koszty i korzyści dotyczą danej jednostki lub grupy i jak są one obliczane.

Innymi słowy, uspokojenie buntowników to zasadniczo problem matematyczny. Jeśli na ulicach Belfastu wybuchają zamieszki, to dlatego, że dla ich uczestników koszty palenia domów i wybijania szyb w oknach nie są dość wysokie. A kiedy Leites i Wolf twierdzili, że „wywieranie wpływu na zachowanie ludności nie wymaga ani współczucia, ani mistycyzmu”, mieli na myśli, iż nic oprócz tej kalkulacji się nie liczy. Kto znajdował się w pozycji siły, nie musiał się przejmować tym, jakie uczucia budzi w łamiących prawo buntownikach. Wystarczyło, żeby był dość twardy, by zmusić ich do ponownego rozważenia kosztów i korzyści.

Generał, który dowodził siłami brytyjskimi w Irlandii Północnej, był człowiekiem jakby żywcem wyjętym z kart *Rebellion and Authority*. Nazywał się Ian Freeland. Podczas drugiej wojny światowej odznaczył się, służąc w Normandii, później zaś tłumił powstania na Cyprze i Zanzibarze. Był w świetnej formie, mówił bez ogródek, trzymał się prosto, miał kwadratową szczękę i słynął z twardej ręki: „sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co trzeba zrobić, i to zrobi". Kiedy przybył do Irlandii Północnej, nie ukrywał, że jego cierpliwość jest ograniczona. Nie bał się użyć siły. Miał rozkazy od premiera: Armia Brytyjska „powinna twardo rozprawić się ze zbirami i uzbrojonymi bandytami, i ta twarda ręka ma być widoczna".

30 czerwca 1970 roku brytyjskie wojsko dostało cynk. W domu przy Balkan Street 24 w Lower Falls miały być ukryte broń i materiały wybuchowe. Freeland natychmiast wysłał pod wskazany adres pięć samochodów opancerzonych z żołnierzami i policjantami. Przeszukano dom i znaleziono tajny skład broni i amunicji. Na zewnątrz zebrał się tłum. Ktoś zaczął rzucać kamieniami. Po chwili zamiast kamieni poleciały koktajle Mołotowa. Wybuchły zamieszki. O dziesiątej wieczorem Brytyjczycy mieli dość. Nad Lower Falls zaczął krążyć wojskowy helikopter wyposażony w megafon, przez który nakazywano wszystkim mieszkańcom pod groźbą aresztowania pozostać w domach. Kiedy ulice opustoszały, wojsko zaczęło przeszukiwać dom po domu. Nieposłuszeństwo spotykało się z natychmiastową surową karą. Następnego dnia rano triumfujący Freeland zabrał dwóch protestanckich przedstawicieli rządowych i grupę dziennikarzy na objazd po dzielnicy na otwartej pace ciężarówki, lustrując wzrokiem opustoszałe ulice niczym, jak to później ujął jeden z żołnierzy, „brytyjski kolonista podczas polowania na tygrysy".

Armia Brytyjska weszła do Irlandii Północnej z jak najlepszymi zamiarami. Miejscowa policja nie dawała sobie rady z przywróceniem spokoju i wojsko miało po prostu pomóc – służyć jako rozjemca między dwiema zwaśnionymi społecznościami. To nie był jakiś daleki, obcy kraj: mieli do czynienia

z własnym państwem, własnym językiem, własną kulturą. Dysponowali środkami, bronią, żołnierzami i doświadczeniem przyćmiewającym analogiczne zasoby buntowników, których starali się powstrzymać. Kiedy tego ranka Freeland objeżdżał puste ulice Lower Falls, był przekonany, że on i jego ludzie wrócą do Anglii przed końcem lata. Tak się jednak nie stało. Spodziewane trudne kilka miesięcy zmieniło się w 30 lat krwawego chaosu.

Brytyjczycy popełnili w Irlandii Północnej prosty błąd. Wpadli w pułapkę polegającą na myśleniu, że skoro dysponują lepszymi środkami, bronią, żołnierzami i doświadczeniem niż buntownicy, których starają się powstrzymać, nie ma znaczenia, co sądzą o nich mieszkańcy Irlandii Północnej. Generał Freeland wierzył Leitesowi i Wolfowi, kiedy ci pisali, że „wywieranie wpływu na zachowanie ludności nie wymaga ani współczucia, ani mistycyzmu”. A Leites i Wolf się mylili.

„Mówi się, że do większości rewolucji nie doprowadzają w pierwszym rzędzie rewolucjoniści, ale głupota i brutalność rządzących – stwierdził kiedyś Seán MacStiofáin, pierwszy szef sztabu Tymczasowej IRA, wspominając te pierwsze lata konfliktu. – W [Irlandii Północnej] na pewno tego nie brakowało”.

3

Błąd Brytyjczyków w Irlandii Północnej najłatwiej zrozumieć, wyobrażając sobie szkolną klasę. To sala lekcyjna zerówki, z kolorowymi ścianami, na których wiszą dziecięce rysunki. Powiedzmy, że nauczycielka nazywa się Stella.

Zajęcia w tej klasie nagrano na wideo w ramach projektu w Curry School of Education na Uniwersytecie Wirginii, a materiał filmowy jest wystarczająco obszerny, żeby dać nam dobre pojęcie o tym, jaką nauczycielką jest Stella i jaką klasę uczy. Po kilku minutach widać aż nadto wyraźnie, że nie idzie jej najlepiej.

Stella siedzi na krześle z przodu klasy. Czyta na głos z książki, którą trzyma z boku, podniesioną do góry: „siedem plasterków pomidora”, „osiem soczystych

oliwek”, „dziewięć kawałków sera…”. Przed nauczycielką stoi dziewczynka i czyta razem z nią, a wszędzie wokół nich panuje chaos, prawie jak w Belfaście latem 1970 roku. Jakaś dziewczynka robi gwiazdę. Jakiś chłopczyk stroi głupie miny. Większość klasy w ogóle nie uważa. Niektórzy uczniowie wręcz całkiem się odwrócili, tak że siedzą teraz plecami do Stelli.

Gdybyście zajrzeli do jej klasy, co byście sobie pomyśleli? Pewnie w pierwszej chwili przyszłoby wam do głowy, że Stella ma grupę niesfornych dzieci. Może uczy w szkole w biednej dzielnicy i jej uczniowie pochodzą z trudnych rodzin. Może nie mają szacunku dla autorytetów i nauki. Leites i Wolf powiedzieliby, że Stella musi wprowadzić dyscyplinę. Takie dzieci potrzebują twardej ręki. Potrzebują reguł. Jeśli w klasie nie ma porządku, jak mają się tu czegokolwiek nauczyć?

Prawda jest jednak taka, że szkoła Stelli wcale nie mieści się w złej dzielnicy. Jej uczniowie nie są szczególnie czy wyjątkowo niesforni. Na początku zajęć są idealnie grzeczni i słuchają z uwagą, pełni ciekawości i gotowi do nauki. Nie wyglądają bynajmniej na czarne owce. Zaczynają rozrabiać dopiero, kiedy lekcja trwa już od dłuższego czasu, wyłącznie w odpowiedzi na zachowanie Stelli. To Stella wywołuje kryzys. W jaki sposób? Beznadziejnie prowadząc lekcję.

Każe jednej z uczennic czytać razem ze sobą, co ma w zamyśle zainteresować resztę klasy. Ale ta ich wspólna lektura jest koszmarnie drewniana i powolna. „Proszę spojrzeć na jej mowę ciała – powiedziała jedna z badaczek z Wirginii, Bridget Hamre, kiedy oglądaliśmy lekcję Stelli. – W tej chwili mówi tylko do tej jednej dziewczynki, nikomu innemu nie poświęca uwagi”. Współpracujący z Hamre Robert Pianta dodał: „Nie ma tu rytmu. Nie ma dobrego tempa. To, co ona robi, do niczego nie prowadzi. Nie ma w tym żadnej wartości”.

Dopiero wtedy klasa zaczęła rozrabiać. Chłopiec robił głupie miny, dziewczynka – gwiazdy, co zupełnie umknęło uwadze Stelli. Troje czy czworo uczniów siedzących po prawej stronie nauczycielki dzielnie starało się dalej

śledzić lekturę, ale Stella tak się skupiła na książce, że w ogóle ich w tych wysiłkach nie dopingowała. Jednocześnie pięcioro czy sześcioro dzieci siedzących po lewej stronie odwróciło się do niej plecami. Ale to dlatego, że były zdezorientowane, a nie nieposłuszne. Stojąca przed Stellą dziewczynka całkowicie zasłoniła im książkę. Nie miały możliwości śledzenia lektury. Często uważamy, że władza wprowadza represje w odpowiedzi na nieposłuszeństwo: dziecko jest niegrzeczne, więc nauczycielka przykręca śrubę. Z obserwacji klasy Stelli wynika jednak coś innego: nieposłuszeństwo może być także reakcją na zachowanie władzy. Jeśli nauczycielka nie wykonuje właściwie swojej pracy, to dziecko stanie się nieposłuszne.

„W klasach takich jak ta ludzie często nazwą to, co się dzieje, problemem dotyczącym zachowania – powiedziała Hamre. Oglądaliśmy na nagraniu, jak jedna z uczennic Stelli wierci się, kręci, krzywi i ogólnie robi wszystko, co może, żeby nie patrzeć na nauczycielkę. – My jednak stwierdziliśmy między innymi, że częściej jest to problem dotyczący zainteresowania uczniów lekcją i zaangażowania ich w nią. Zamiast reagować na zasadzie »będę kontrolować twoje zachowanie«, nauczyciel musi pomyśleć: »Co mogę zrobić ciekawego, żeby zapobiec twojemu nieposłuszeństwu?«”.

Następnie Pianta i Hamre puścili nagranie, na którym nauczycielka zadawała pracę domową trzecioklasistom. Każdy uczeń dostał kartkę z zadaniem, po czym nauczycielka razem z klasą zaczęła odczytywać na głos instrukcje. Pianta był zbulwersowany. „Sam pomysł chóralnego czytania poleceń grupie ośmiolatków oznacza nieomal brak szacunku – stwierdził. – No bo po co? Czy ma to czemuś służyć?” Te dzieci umieją czytać. To trochę tak, jakby kelner w restauracji dał ci kartę, a potem zaczął po kolei odczytywać na głos każde z wymienionych dań.

W połowie tego czytania chłopiec siedzący obok nauczycielki podnosi rękę, a ona, nie patrząc na niego, łapie go za nadgarstek i tę rękę opuszcza. Inny uczeń zaczyna rozwiązywać zadanie – co jest zupełnie logiczne, biorąc pod uwagę bezsensowność działań nauczycielki. Ta zwraca się do niego ostrym

tonem: „Skarbie, to jest praca domowa”. W ten sposób go dyscyplinuje. Chłopiec złamał zasady. Nauczycielka zareagowała, natychmiast i stanowczo. Gdybyśmy oglądali ten moment z wyłączonym dźwiękiem, pomyślelibyśmy, że to doskonały przykład zastosowania idei Leitesa i Wolfa w praktyce. Jeśli jednak posłuchamy, co mówi nauczycielka, i spojrzymy na całe zajście z perspektywy ucznia, stanie się jasne, że reprymenda przynosi skutek odwrotny do zamierzonego. Chłopiec nie wyniesie z tej lekcji przekonania o istotności przestrzegania zasad. Wyjdzie z klasy zły i rozczarowany. Dlaczego? Ponieważ nałożona na niego kara jest całkowicie arbitralna. On nie może zabrać głosu i przedstawić własnego punktu widzenia. A przecież chce się uczyć. Jeśli ten chłopiec stał się bezczelny, to za sprawą nauczycielki. Podobnie Stella zmieniła żądną wiedzy i słuchającą z uwagą uczennicę w kogoś, kto robi gwiazdę na podłodze. Kiedy osoby sprawujące władzę chcą, by reszta z nas zachowywała się odpowiednio, przede wszystkim liczy się to, jak zachowują się one.

Zasada ta nosi nazwę legitymizacji władzy i opiera się na trzech kwestiach. Po pierwsze, ludzie, którzy mają być posłuszni wobec władzy, muszą czuć, że mają prawo głosu – że jeśli się odezwą, zostaną wysłuchani. Po drugie, prawo musi być przewidywalne. Ludzie powinni móc się spodziewać, że jutro reguły gry będą mniej więcej takie same jak dzisiaj. Po trzecie, władza musi być sprawiedliwa. Nie może traktować jednej grupy inaczej niż drugiej.

Wszyscy dobrzy rodzice intuicyjnie rozumieją te trzy zasady. Jeśli chcesz, żeby mały Jaś przestał bić siostrę, nie możesz raz odwracać wzroku, a innym razem na niego nakrzyczeć. Nie możesz traktować jego siostry inaczej, kiedy to ona uderzy jego. A jeśli Jaś mówi, że tak naprawdę wcale jej nie uderzył, musisz dać mu szansę, żeby się wytłumaczył. Rodzaj kary jest równie ważny jak sam fakt jej wymierzenia. To dlatego historia Stelli nie jest wcale taka zaskakująca. Każdy, kto chociaż raz siedział w klasie, wie, że nauczyciel musi zapracować na szacunek uczniów.

Trudniej jednak zrozumieć, że te zasady są równie istotne, jeśli chodzi o prawo i porządek. Znamy naszych rodziców i nauczycieli, więc to logiczne, że

w domu i szkole legitymizacja powinna mieć duże znaczenie. Ale decyzja, czy obrobić bank albo kogoś zastrzelić, wydaje się należeć do zupełnie innej kategorii, prawda? To właśnie mieli na myśli Leites i Wolf, pisząc, że walka z przestępcami i rebeliantami „nie wymaga ani współczucia, ani mistycyzmu”. Twierdzili, że na tym poziomie decyzja, by przestrzegać prawa, jest wypadkową racjonalnej kalkulacji ryzyka i korzyści. Nie mają na nią wpływu względy osobiste. W tym jednak właśnie całkowicie się mylili, gdyż, jak się okazuje, skłonienie przestępców i rebeliantów do posłuszeństwa zależy od legitymizacji w tym samym stopniu co utrzymanie spokoju wśród uczniów w klasie.

4 Podam wam przykład. Dotyczy on eksperymentu prowadzonego przez ostatnie kilka lat w nowojorskiej dzielnicy Brownsville. To obszar zamieszkany przez nieco ponad 100 000 ludzi, położony we wschodniej części Brooklynu, za eleganckimi kamienicami Park Slope i synagogami Crown Heights[52]. Od ponad 100 lat Brownsville należy do najuboższych zakątków Nowego Jorku. Jest tu 18 osiedli komunalnych, które zdominowały krajobraz dzielnicy: ponure, nijakie blokowiska z cegły i betonu. W ciągu ostatnich 20 lat w Nowym Jorku odnotowano radykalny spadek poziomu przestępczości, ale Brownsville zawsze zostawało o krok w tyle. Istną plagą były tu włóczące się po ulicach grupy nastolatków, napadające na przechodniów. Od czasu do czasu policja wypuszczała na patrole dodatkowych funkcjonariuszy, nie dawało to jednak trwałych efektów.

W 2003 roku szefem policyjnego biura do spraw osiedli komunalnych, zajmującego się głównie blokowiskami w Brownsville, została Joanne Jaffe. Postanowiła wypróbować nowe podejście. Zaczęła od zrobienia spisu wszystkich młodocianych przestępców w Brownsville, którzy mieli na koncie co najmniej jedno aresztowanie w ciągu poprzednich dwunastu miesięcy. Uzyskała 106 nazwisk, odpowiadających 180 zatrzymaniom. Jaffe wychodziła z założenia, że każdy aresztowany za napaść na ulicy prawdopodobnie popełnił od około 20 do 50 innych przestępstw, których policja nigdy nie wykryła, więc

logicznie rzecz biorąc, można przyjąć, że tych 106 nieletnich odpowiada za około 5000 przestępstw w poprzednim roku.

Następnie Jaffe zorganizowała zespół zadaniowy i kazała wchodzącym w jego skład policjantom skontaktować się z każdą osobą na liście. „Powiedzieliśmy tym dzieciakom: »Jesteście objęci programem – tłumaczyła Jaffe. – A ten program polega na tym, że damy wam wybór. Chcemy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc wam wrócić do szkoły, zrobić maturę, zapewnić świadczenia waszej rodzinie, dowiedzieć się, czego potrzeba w domu. Zapewnimy wam możliwości zdobycia pracy, wykształcenia, opiekę zdrowotną – wszystko, co tylko będziemy mogli. Chcemy z wami współpracować. Ale wasze konflikty z prawem muszą się skończyć. A jeśli się nie skończą i zostaniecie za coś aresztowani, zrobimy wszystko, żebyście nie wyszli z więzienia. Nieważne, jak drobne wykroczenie popełnicie. Dobierzemy się wam do skóry«”.

Program nazywał się J-RIP, skrót od Juvenile Robbery Intervention Program (Program Profilaktyki Napadów Rabunkowych wśród Nieletnich). Nie było w nim nic skomplikowanego – przynajmniej z pozoru. J-RIP to przykład standardowych, intensywnych, nowoczesnych działań policji. Jaffe umieściła zespół zadaniowy J-RIP w baraku na parkingu na jednym z blokowisk, nie gdzieś daleko na jakimś komisariacie. Udostępniła mu wszystkie możliwe narzędzia do inwigilacji. Policjanci z zespołu sporządzili listy wspólników swoich podopiecznych objętych programem – osób, z którymi zostali aresztowani. Sprawdzili ich profile na Facebooku, ściągnęli zdjęcia znajomych i poszukali powiązań z gangami. Rozmawiali z braćmi, siostrami i matkami. Opracowali olbrzymie, wielkie jak plakaty mapy przedstawiające sieć znajomości i koneksji każdego ze swoich podopiecznych – na wzór agencji wywiadu tropiącej ruchy osób podejrzewanych o terroryzm.

„Moi ludzie są na miejscu 24 godziny na dobę – powiedziała Jaffe. – Kiedy nieletni objęty J-RIP zostanie aresztowany, jestem gotowa wysłać ekipę, jeśli będę musiała. Nieważne, czy chodzi o Bronx albo czy jest środek nocy. Trzeba

wyciągnąć poważne konsekwencje. Nasi podopieczni muszą wiedzieć, jak to się dla nich skończy. Musimy działać szybko. Jeśli cię aresztują, to zaraz zobaczysz moją twarz”.

Jaffe ciągnęła: „Mówię im tak: »Możesz zatrzasnąć mi drzwi przed nosem, kiedy przyjdę do ciebie do domu. Ale będę cię widywać na ulicy. Będę ci mówić dzień dobry. Dowiem się o tobie wszystkiego. Jak pojedziesz z Brooklynu do Bronxu, będę wiedziała, którym pociągiem«. Mówimy któremuś z nich: »Johnnie, przyjdź jutro do biura J-RIP«. Johnnie przychodzi, a my mu oznajmiamy: »Zostałeś wczoraj zatrzymany w Bronxie. Dostałeś wezwanie do sądu«. »Że co?« – mówi Johnnie. »Byłeś z Raymondem Riverą i Mary Jones«. »Skąd wiecie?« Zaczęli myśleć, że mamy wtyki wszędzie. Założyliśmy każdemu z tych dzieciaków teczkę, więc pokazywaliśmy im, co na nich mamy. Mówiliśmy: »To wszyscy twoi kumple. Tu mamy wszystkie dane o tobie. A tu zdjęcia. Wiemy, że jesteś z tego blokowiska. Wiemy, że być może należysz do takiej jednej ekipy. Znamy twój świat”. Zaczęliśmy się dowiadywać, gdzie powinni chodzić do szkoły, z kim się tam trzymają. Kiedy nie ma ich w szkole, jesteśmy o tym informowani. Wtedy mój zespół J-RIP idzie do takiego delikwenta, budzi go i woła: »Wstawać!«”.

Była to jednak tylko część strategii Jaffe. Wprowadziła też działania, które wydają się dość nietypowe. Poświęciła na przykład dużo czasu na znalezienie odpowiednich policjantów, których mogłaby wcielić do zespołu zadaniowego. „Nie mogłam przydzielić tam byle którego gliniarza – stwierdziła i zabrzmiało to bardziej jak słowa pracownika opieki społecznej niż komisarza policji. – To musiał być ktoś, kto lubi dzieci. Kto nie ma w sobie ani grama negatywnego nastawienia i potrafi wpływać na dzieciaki, popychając je w dobrym kierunku”. Na szefa zespołu wybrała ostatecznie Davida Glassberga, byłego członka brygady antynarkotykowej, bardzo towarzyskiego, mającego własne dzieci.

Od samego początku Jaffe miała także obsesję na punkcie nawiązania kontaktu z rodzinami swoich podopiecznych z J-RIP. Chciała je poznać. Okazało się to zaskakująco trudne. Najpierw spróbowała wysłać do wszystkich

list z zaproszeniem do miejscowego kościoła na sesję grupową. Nikt się nie zjawił. Jaffe wraz z zespołem ruszyli więc na obchód, od drzwi do drzwi. I tym razem nic nie wskórali. „Poszliśmy do rodziny każdego z tych 106 dzieciaków – stwierdziła. – Usłyszeliśmy: »Spierdalajcie. Nie przychodźcie do mojego domu«”.

Przełom nastąpił dopiero po kilku miesiącach trwania programu. „Był taki chłopak – opowiadała Jaffe. Nazwała go Johnnie Jones. – Straszny chuligan. Miał jakieś czternaście, piętnaście lat. Mieszkał z siedemnasto- czy osiemnastoletnią siostrą. Matka mieszkała w Queens. Nawet ona nas nienawidziła. Nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia. No i jest listopad pierwszego roku trwania programu, 2007, i do mojego gabinetu wchodzi Dave Glassberg. W środę przed Świętem Dziękczynienia.

Mówi: »Wszyscy z zespołu się zrzucili i kupiliśmy dziś Johnniemu Jonesowi i jego rodzinie obiad na Dzień Dziękczynienia«.

Ja na to: »Żartujesz«. Bo ten Johnnie to był naprawdę młodociany bandyta.

A Dave: »Wiesz dlaczego? Tego chłopaka pewnie już nie uratujemy, ale w tej rodzinie jest jeszcze siedmioro dzieciaków. Musieliśmy coś dla nich zrobić«.

Miałam łzy w oczach. A potem Dave zagaja: »Słuchaj, zostały jeszcze te wszystkie inne rodziny. Co zrobimy z tym fantem?«. Jest dziesiąta rano, dzień przed Świętem Dziękczynienia. Odparłam: »Dave, a gdybym poszła do komendanta i zobaczyła, czy mogę dostać 2000 dolarów, żebyśmy kupili indyka dla każdej rodziny? Damy radę?«”.

Jaffe udała się na samą górę budynku komendy głównej i wybłagała dwie minuty rozmowy z komendantem. „Powiedziałam: »Dave Glassberg z zespołem zrobili to i to. Chciałabym kupić 125 indyków dla tych rodzin. Czy mogę skądś dostać na to pieniądze?«. Komendant odparł, że tak. Ludzie Glassberga pracowali po godzinach, załatwili mrożone indyki i samochody chłodnie. Wieczorem pojechali na blokowiska Brownsville i zapukali do drzwi każdej

z naszych rodzin. Indyki zapakowaliśmy w torby i dołączyliśmy kartkę: »Od naszej rodziny dla waszej rodziny. Szczęśliwego Dnia Dziękczynienia«”.

Rozmawialiśmy w jej biurze w nowojorskiej komendzie głównej policji na Manhattanie. Jaffe była w pełnym umundurowaniu – wysoka, onieśmielająca, z gęstymi czarnymi włosami i wyraźnym brooklyńskim akcentem.

„Pukaliśmy – ciągnęła. – Mama albo babcia otwierały drzwi i wołały: »Johnnie, policja przyszła« – od razu. Wtedy mówiłam: »Dobry wieczór, pani Smith, jestem komisarz Jaffe. Mamy coś dla państwa na Święto Dziękczynienia. Chcemy tylko złożyć wam świąteczne życzenia«. A wtedy one: »Co to takiego? Wejdźcie, wejdźcie«. I wciągały nas do środka. W mieszkaniach było strasznie gorąco. One znów wołały: »Johnnie, chodź, policja przyszła!«. I wszyscy się zbiegali, zaczynali ściskać się i płakać. W każdej rodzinie – ja poszłam do pięciu – były uściski i płacz. Za każdym razem mówiłam to samo: »Wiem, że czasem nienawidzicie policji. Ja to rozumiem. Ale chciałabym, żebyście wiedzieli, że chociaż może wam się wydawać, że pukając do waszych drzwi, tylko was nachodzimy i nękamy, naprawdę nam zależy i naprawdę chcemy, żebyście miło spędzili Święto Dziękczynienia«”.

Dlaczego Jaffe tak bardzo zależało na poznaniu rodzin dzieciaków z programu J-RIP? Ponieważ uważała, że policja nie ma w Brownsville legitymizacji. Wszędzie w Stanach Zjednoczonych zdumiewająco wielu czarnoskórych mężczyzn spędziło jakiś czas w więzieniu. (Weźmy chociażby te dane: 69 procent czarnych mężczyzn urodzonych w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, którzy nie skończyli szkoły średniej, trafiło na dłużej lub krócej za kratki). Brownsville to dzielnica, w której aż roi się od czarnoskórych chłopaków bez matury, co oznacza, że właściwie każdy z nieletnich na liście Jaffe miał brata, ojca albo kuzyna, który kiedyś siedział w więzieniu[53]. Jeśli tylu ludzi w twoim życiu wylądowało za kratkami, to czy prawo wydaje ci się sprawiedliwe? Przewidywalne? Czy masz poczucie, że możesz zabrać głos i zostać wysłuchany? Kiedy Jaffe zajęła się Brownsville, uświadomiła sobie, że policję uważa się tu za wroga. A jeśli tak jest tu postrzegana, to jak ma skłonić

piętnasto- i szesnastolatków – którzy już zeszli na drogę kradzieży i rozbojów – do zmiany zachowania? Mogła im grozić, ostrzegać przed poważnymi konsekwencjami popełniania przez nich kolejnych przestępstw. Mówimy tu jednak o nastolatkach, upartych i aroganckich z natury, którzy już zboczyli na złą drogę. Dlaczego mieliby jej słuchać? Jaffe reprezentowała instytucję, za której sprawą ich ojcowie, bracia i kuzyni lądowali w więzieniu. Musiała odzyskać szacunek społeczności, a w tym celu potrzebne jej było wsparcie rodzin chłopaków objętych programem J-RIP. Jej słowa wygłoszone przed tym pierwszym Dniem Dziękczynienia – „Wiem, że czasem nienawidzicie policji. Ja to rozumiem. Ale chciałabym, żebyście wiedzieli, że chociaż może wam się wydawać, że pukając do waszych drzwi, tylko was nachodzimy i nękamy, naprawdę nam zależy i naprawdę chcemy, żebyście miło spędzili Święto Dziękczynienia” – były apelem o legitymizację. Jaffe próbowała przekonać rodziny, które, czasem od pokoleń, tkwiły w konflikcie z prawem, że policja może stanąć po ich stronie.

Kiedy indyki okazały się sukcesem, Jaffe zorganizowała akcję rozdawania gwiazdkowych prezentów dla dzieci. Członkowie zespołu zadaniowego J-RIP zaczęli grać w koszykówkę ze swoimi młodymi podopiecznymi. Zabierali ich na sushi. Próbowali załatwiać im wakacyjną pracę. Wozili ich do lekarza. Później Jaffe zaczęła urządzać bożonarodzeniowy obiad, na który zaproszony był każdy nieletni z programu J-RIP wraz z całą rodziną. „Wie pan, co robię na tym gwiazdkowym obiedzie z moimi chłopakami z J-RIP? – zapytała Jaffe. – Przed swoimi znajomymi zgrywają twardzieli. Więc ja każdego z nich przytulam. Zawsze mówię: »Chodź, uściskajmy się«”. Jaffe nie jest drobną kobietką. To silna baba słusznej postury. Wyobraźcie sobie, jak z szeroko otwartymi ramionami podchodzi do jakiegoś chudego nastolatka. Zginąłby w jej uścisku.

Wszystko to brzmi jak żywcem wyjęte z kiepskiego hollywoodzkiego filmu, prawda? Indyki na Święto Dziękczynienia! Przytulanie i płacz! Większość wydziałów policji na świecie nie poszła w ślady Jaffe, bo jej działania z pozoru

nie wydają się właściwe. Johnnie Jones był chuliganem – nieletnim bandytą. Kupowanie takim jak on jedzenia i zabawek wygląda na liberalną pobłażliwość w najgorszym wydaniu. Gdyby szef policji w twoim mieście ogłosił, że w obliczu wzbierającej fali przestępczości zamierza przytulać i karmić rodziny krążących po ulicach przestępców, odjęłoby ci mowę, prawda? Cóż, spójrzmy, co się działo w Brownsville.

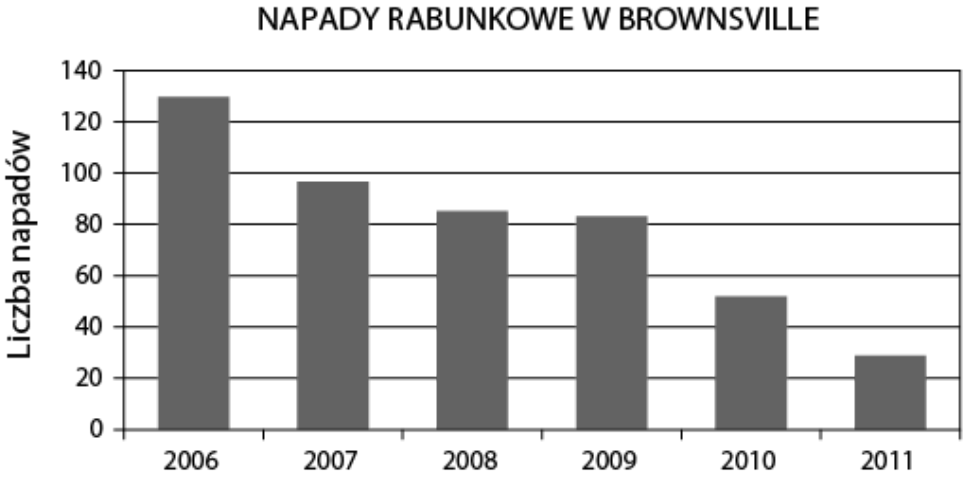

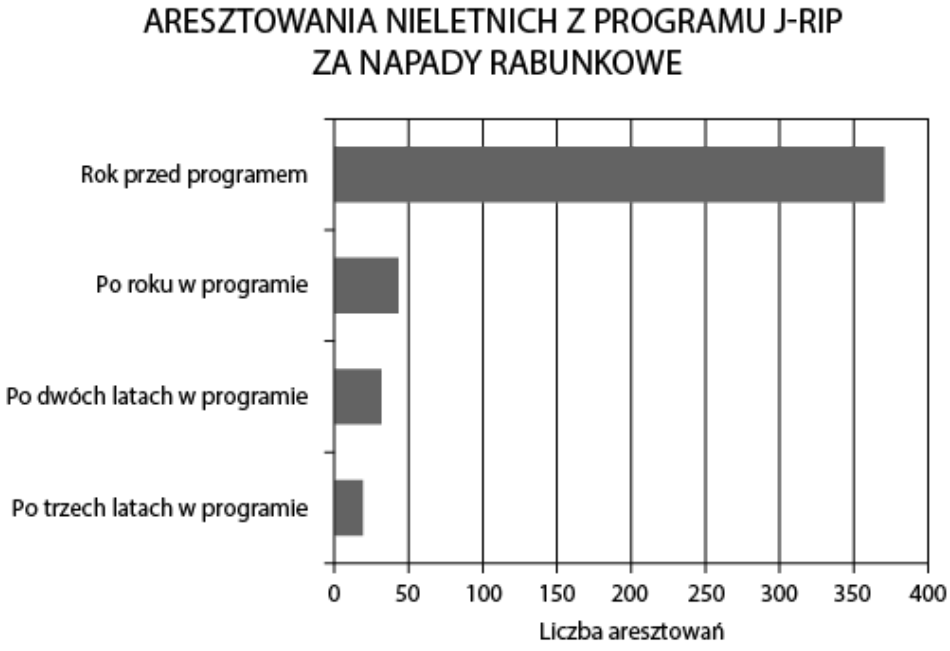

Kiedy Leites i Wolf pisali, że „wywieranie wpływu na zachowanie ludności nie wymaga ani współczucia, ani mistycyzmu”, chcieli powiedzieć, iż władza państwa nie ma granic. Jeśli chcemy zaprowadzić porządek, nie musimy się przejmować tym, co sobie o nas myślą ci, których rozstawiamy po kątach. Jesteśmy ponad to. Ale Leites i Wolf się mylili. Jaffe dowiodła, że sprawujący władzę muszą uważać na to, jak są postrzegani – że wydający rozkazy są zdani na opinię tych, którym rozkazują.

Taki właśnie błąd popełnił generał Freeland w Lower Falls. Nie spojrzał na to, co się tam działo, oczami ludzi takich jak Rosemary Lawlor. Objeżdżając ciche ulice niczym brytyjski kolonista na polowaniu na tygrysy, myślał, że stłumił bunt. Gdyby zadał sobie trud zapuszczenia się kawałek dalej, do Ballymurphy, gdzie Harriet Carson waliła pokrywkami od garnków i krzyczała: „Wychodźcie, wychodźcie, wychodźcie. W Lower Falls mordują ludzi”, uświadomiłby sobie, że bunt się dopiero zaczynał.

5 Lipiec w Irlandii Północnej to szczyt tak zwanego sezonu parad. Protestanccy lojaliści organizują wtedy liczne pochody, mające upamiętniać ich dawne zwycięstwa nad katolicką mniejszością. Odbywają się więc parady kościelne, parady na cześć nowej siedziby, łuku lub sztandaru oranżystów, różnorodne parady orkiestr, w tym orkiestr fletowych zwanych orkiestrami „krwi i grzmotu” lub „kopa papieżowi”, orkiestr dętych, dudziarzy, akordeonistów, a także parady, których uczestnicy mają na sobie ciemne garnitury przepasane szarfami i meloniki. Tych wszystkich parad są setki, maszerują w nich tysiące ludzi, a kulminację stanowi doroczny masowy pochód 12 lipca, w rocznicę zwycięstwa Wilhelma Orańskiego w bitwie nad Boyne w 1690 roku, w której wyniku protestanci zdobyli raz na zawsze kontrolę nad Irlandią Północną.

Wieczorem w przeddzień tego pochodu, zwanego „the Twelfth” (Dwunasty), lojaliści organizują w całym kraju imprezy uliczne i ogniska[54]. Kiedy olbrzymi

stos drewna rozpali się na dobre, zebrana wokół grupa wybiera symbol do spalenia. W minionych latach często była to kukła wyobrażająca papieża lub jakiegoś znienawidzonego miejscowego katolickiego oficjela. Wykonuje się przy tej okazji przyśpiewki na melodię *Clementine*, takie jak ta:

Rozpal ogień, rozpal ogień,
Katolika na to wrzuć
I papieża na dokładkę
I spal ich wszystkich w chuj[55].

Irlandia Północna nie jest dużym krajem. Ma gęsto zaludnione miasta o zwartej zabudowie, więc kiedy każdego lata lojaliści maszerują w melonikach, z szarfami i fletami, muszą mijać dzielnice zamieszkane przez ludzi, których klęskę świętują. Z głównej arterii katolickiego Belfastu Zachodniego można w ciągu kilku minut dojść do ulicy biegnącej przez serce protestanckiego Belfastu Wschodniego. W niektórych częściach miasta domy katolików sąsiadują bezpośrednio z tyłami posesji protestantów. Stoją tak blisko siebie, że oba mają ogródki na tyłach otoczone potężnymi metalowymi kratami, mającymi chronić mieszkańców przed kamieniami i koktajlami Mołotowa rzucanymi przez sąsiadów. Nocą przed pochodem 12 lipca, kiedy lojaliści rozpalają w całym mieście ogniska, ludzie w katolickich dzielnicach czują dym, słyszą śpiewy i widzą, jak płoną ich flagi.

Sezon parad w Irlandii Północnej zawsze kończy się erupcją przemocy. Do jednego z incydentów, które zapoczątkowały prawie trzydziestoletni konflikt, doszło w 1969 roku, kiedy wybuchły dwudniowe zamieszki po tym, jak jeden z protestanckich pochodów przeszedł przez katolicką dzielnicę. Gdy uczestnicy parady się rozeszli, zaczęli demolować ulice Belfastu Zachodniego, gdzie podpalili kilkadziesiąt domów[56]. Strzelaniny, które wystawiły cierpliwość Freelanda na ciężką próbę następnego lata, także miały miejsce podczas pochodów protestantów. Wyobraźcie sobie, że weterani amerykańskiej armii

z północnych stanów defilują co roku ulicami Atlanty i Richmond, aby upamiętnić swoje dawne zwycięstwo w wojnie secesyjnej. W tych mrocznych latach w Irlandii Północnej, kiedy katolicy i protestanci rzucili się sobie do gardeł, tak właśnie wyglądał sezon parad.

Kiedy mieszkańcy Lower Falls zobaczyli tego popołudnia wkraczające do ich dzielnicy brytyjskie oddziały, sami rozpaczliwie pragnęli, żeby w Belfaście przywrócono prawo i porządek. Równie istotne było jednak dla nich to, w jaki sposób to przywracanie porządku się odbędzie. Ich świat nie wydawał się sprawiedliwy. Od 12 lipca, kiedy zapłoną olbrzymie ogniska, w których zostanie spalona albo ich flaga, albo ich papież, dzieliło ich zaledwie kilka dni. Instytucją odpowiedzialną za odseparowanie zwaśnionych stron podczas sezonu parad była Królewska Policja Ulsteru (Royal Ulster Constabulary, RUC). Jednak były to siły niemal całkowicie protestanckie. RUC należała do tej drugiej, wrogiej strony. Poprzedniego lata nie zrobiła właściwie nic, żeby spróbować powstrzymać zamieszki. Powołany przez brytyjski rząd trybunał orzekł, że po tym, jak protestanccy lojaliści podpalali domy, funkcjonariusze RUC „nie podjęli skutecznych działań”. Obecni na miejscu zajść dziennikarze relacjonowali, że lojaliści podchodzili do policjantów i prosili o pożyczenie broni. Armię Brytyjską sprowadzono do Irlandii Północnej między innymi po to, by pełniła funkcję bezstronnego arbitra między protestantami a katolikami. Tyle że Anglia jest krajem w przeważającej większości protestanckim, więc znękanym północnoirlandzkim katolikom wydawało się naturalne, że żołnierze będą sympatyzować raczej z protestantami. Kiedy w Wielkanoc 1970 roku przez Ballymurphy przeszedł wielki pochód lojalistów, brytyjscy żołnierze stali między maszerującymi a mieszkańcami dzielnicy, pozornie pełniąc funkcję bufora. Byli jednak odwróceni twarzami do katolików na chodniku, a plecami do lojalistów – jakby za swoje zadanie uważali ochronę lojalistów przed katolikami, a nie odwrotnie.

Generał Freeland próbował wyegzekwować przestrzeganie prawa w Belfaście, ale najpierw powinien zadać sobie pytanie, czy miał ku temu

legitymizację – a prawda jest taka, że nie miał. Dowodził siłami uważanymi przez katolików z Irlandii Północnej – nie bez powodu – za sympatyzujące z ludźmi, którzy rok wcześniej spalili domy ich krewnych i znajomych. A kiedy egzekwuje się prawo bez legitymizacji, nie przynosi to posłuszeństwa. Efekt jest dokładnie odwrotny – ostry sprzeciw[57].

W przypadku Irlandii Północnej powstaje pytanie, dlaczego Brytyjczycy potrzebowali tyle czasu, żeby to zrozumieć. W 1969 roku konflikt przyniósł 13 ofiar śmiertelnych, 73 strzelaniny i 8 zamachów bombowych. W 1970 roku Freeland postanowił zabrać się ostro do oprychów i uzbrojonych bandytów, ostrzegając, że każda osoba przyłapana na rzucaniu koktajli Mołotowa „może zostać zastrzelona". Jaki był skutek? Historyk Desmond Hamill pisze:

> IRA w odwecie oświadczyła, że będzie strzelać do żołnierzy, jeśli ci otworzą ogień do Irlandczyków. Protestanckie Oddziały Ochotników z Ulsteru (Ulster Volunteer Force) – nielegalna ekstremistyczna organizacja paramilitarna – nie pozostały w tyle, proponując, że w zamian za każdego żołnierza zastrzelonego przez IRA zastrzelą jednego katolika. „Times" przytoczył słowa pewnego mieszkańca Belfastu: „Każdy, kto nie czuje się zdezorientowany, tak naprawdę nie rozumie, co się tu dzieje".

Tego roku było już 25 zabitych, 213 strzelanin i 155 zamachów bombowych. Brytyjczycy nie ustępowali. Jeszcze bardziej dokręcili śrubę – i w 1971 roku odnotowano 184 ofiary śmiertelne, 1020 zamachów bombowych i 1756 strzelanin. Wtedy Brytyjczycy powiedzieli „dość". Armia wprowadziła politykę internowania. Prawa obywatelskie w Irlandii Północnej zostały zawieszone. Kraj zalały oddziały wojska, a armia oświadczyła, że każdy podejrzany o działania terrorystyczne może zostać aresztowany i przetrzymywany w więzieniu w nieskończoność, bez stawiania zarzutów i procesu. W ramach internowań zgarnięto tylu młodych mężczyzn katolików, że w dzielnicy takiej jak Ballymurphy każdy miał brata, ojca lub kuzyna

w więzieniu. Jeśli tyle bliskich ci osób ląduje za kratkami, to czy prawo wydaje ci się sprawiedliwe? Przewidywalne? Masz poczucie, że możesz zabrać głos i zostać wysłuchany? A sytuacja jeszcze się pogorszyła. W 1972 roku doszło do 1495 strzelanin, 531 napadów z bronią w ręku i 1931 zamachów bombowych; zginęło 497 osób. Jednym z zabitych był siedemnastolatek imieniem Eamon. Młodszy brat Rosemary Lawlor[58].

„Eamon przyszedł do mnie do domu – opowiadała Lawlor. – Oznajmił: »Bardzo bym chciał tu zostać na dzień czy dwa«. Odparłam: »Czemu nie?«. A on na to: »Mama dostałaby szału. Byłaby wściekła«. Potem wyznał mnie i mojemu mężowi, że jest nękany przez Armię Brytyjską. Za każdym razem, kiedy wyszedł z domu, za każdym rogiem, dokądkolwiek by poszedł, wszędzie go zatrzymywali i mu grozili”.

Czy rzeczywiście współpracował z IRA? Lawlor nie wiedziała i stwierdziła, że to nie miało znaczenia. „W ich oczach wszyscy byliśmy podejrzani – ciągnęła. – Tak to już było. I Eamon został postrzelony przez brytyjskiego żołnierza. Stał z drugim chłopakiem na papierosie, rozległ się jeden strzał i trafił Eamona. Żył jeszcze przez jedenaście tygodni. Umarł 16 stycznia w wieku siedemnastu i pół roku. – Głos zaczął jej się łamać. – Mój ojciec przestał pracować w porcie. Matka była zdruzgotana, miała złamane serce. W tym roku mija czterdzieści lat. Nadal jest ciężko”.

Lawlor była młodą żoną i matką, która prowadziła normalne życie we współczesnym Belfaście. Potem jednak straciła dom. Spotkały ją pogróżki i nękanie. Jej krewni w sąsiedniej dzielnicy zostali uwięzieni we własnych domach. Jej brat zmarł w wyniku postrzału. Nie chciała żadnej z tych rzeczy ani nie prosiła o nie. Nie potrafiła nawet znaleźć sensu w tym, co się stało. „Miałam swoje życie, całe nowe życie – powiedziała. – A potem siłą narzucono mi coś takiego. I myślę sobie: To nie fair. Wie pan? Ludziom, z którymi chodziłam do szkoły, podpalają domy. Armia Brytyjska, która wkroczyła, żeby nas chronić, zwróciła się przeciwko nam i obraca nasze miasto w ruinę. Zrobiłam się zawzięta. Wciągnęłam się w walkę. Nie żartuję. A stało się tak, bo nie mogę

siedzieć w domu, kiedy dzieją się takie rzeczy. Nie mogę być pełnoetatową matką. Ludzie nazywają ten konflikt »the Troubles«: kłopoty – ciągnęła. – A to była wojna! Armia Brytyjska jeździła po ulicach samochodami opancerzonymi, z bronią i tak dalej. Żyliśmy w strefie wojny. Brytyjskie wojsko przyjechało tu ze wszystkimi środkami, jakimi dysponowało, żeby zdławić nasz opór. A my byliśmy jak ta wańka-wstańka – znów stawaliśmy na nogi. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Upadając, mocno się potłukliśmy. Wielu ludzi cierpiało. Ja przez bardzo długi czas nosiłam w sobie złość. Przeprosiłam za to swoje dzieci. Ale taka się stałam w wyniku okoliczności. Nie urodziłam się taka. To zostało mi narzucone siłą".

6

Kiedy ludzie generała Freelanda wkroczyli do Lower Falls, sąsiedzi od razu pobiegli do katedry Świętego Piotra, katolickiego kościoła stojącego zaledwie kilka przecznic dalej. Charakterystyczną cechą Lower Falls, podobnie jak wielu innych katolickich dzielnic Belfastu Zachodniego, była religijność jej mieszkańców. Katedra Świętego Piotra stanowiła serce tej okolicy. Na mszę przychodziło tu średnio 400 osób – w dzień powszedni. Najważniejszą osobą w społeczności był miejscowy ksiądz. Przybiegł natychmiast. Podszedł do żołnierzy. Przeszukanie muszą przeprowadzić szybko, ostrzegł ich, bo inaczej będą kłopoty.

Po 45 minutach żołnierze wrócili ze skonfiskowaną bronią: 15 pistoletów, karabin, pistolet maszynowy szmajser oraz ładunki wybuchowe i amunicja. Patrol spakował manatki i odjechał, skręcając w boczną uliczkę, która miała wyprowadzić ich z Lower Falls. Tymczasem jednak na ulicy zebrał się tłumek mieszkańców i kiedy samochody opancerzone skręcały za róg, kilku młodych ludzi podbiegło w ich stronę i zaczęło rzucać kamieniami w żołnierzy. Patrol się zatrzymał. W tłumie wzbierała złość. Żołnierze odpowiedzieli gazem łzawiącym. Tłum rozzłościł się bardziej. Kamienie zamieniły się w butelki z benzyną, a te z kolei w kule. Pewien taksówkarz powiedział, że widział kogoś z pistoletem maszynowym kierującego się w stronę Balkan Street. Uczestnicy

zamieszek podpalili ciężarówkę, żeby zablokować drogę i w ten sposób spowolnić przejazd armii. Żołnierze rozpylili jeszcze więcej gazu łzawiącego, aż wiatr rozniósł go po całym Lower Falls. Co jeszcze bardziej rozjuszyło tłum.

Dlaczego patrol się zatrzymał? Dlaczego po prostu nie pojechał dalej? Przecież ksiądz wyraźnie mówił żołnierzom, żeby nie zwlekali z odjazdem. Teraz wrócił do nich i znów zaczął ich błagać: jeśli przestaną puszczać gaz łzawiący, on przekona tłum, żeby nie rzucał kamieni. Żołnierze nie słuchali. Poinstruowano ich, żeby byli ostrzy i pokazali twardą rękę w walce ze zbirami i uzbrojonymi bandytami. Ksiądz odwrócił się w stronę tłumu. W tym momencie żołnierze znów wystrzelili pociski z gazem, prosto pod nogi księdza, który zataczając się, dobrnął na drugą stronę ulicy, oparł się o parapet okienny i z trudem łapał powietrze. W dzielnicy tak pobożnej, że na mszę w dzień powszedni przychodzi 400 osób, Armia Brytyjska potraktowała księdza gazem łzawiącym.

Wtedy zamieszki wybuchły na dobre. Freeland wezwał posiłki. Aby stłumić rozruchy w społeczności liczącej 8000 ludzi – gnieżdżących się w ciasnych domkach przy wąskich ulicach – Brytyjczycy sprowadzili 3000 żołnierzy. I to nie z pierwszej lepszej formacji. Do dzielnicy żarliwych katolików Freeland ściągnął pułk Royal Scots – jeden z najbardziej świadomie protestanckich w całej armii. Nad dzielnicą krążyły wojskowe helikoptery z megafonami, przez które rozkazywano mieszkańcom pozostać w domach. Na każdej ulicy wyjazdowej ustawiono blokady. Wprowadzono godzinę policyjną do odwołania i rozpoczęło się systematyczne przeszukanie wszystkich domów. Dwudziesto- i dwudziestojednoletni żołnierze, nadal boleśnie odczuwający upokorzenie, jakiego doznali, kiedy obrzucono ich kamieniami i koktajlami Mołotowa, wdzierali się siłą do kolejnych domów, wybijali dziury w ścianach i sufitach, przetrząsali pokoje. Posłuchajmy jednego z brytyjskich żołnierzy, wspominającego wydarzenia tamtej nocy:

> Ze środka wyszedł facet w piżamie, klnąc, z lampą w ręku, i walnął nią Stana w głowę. Stan uchylił się przed następnym ciosem i zaprawił gościa kolbą karabinu. Bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę, że wielu chłopaków wykorzystywało tę okazję, żeby wyładować swoją złość za to, co już się stało. Rozwalali głowy i demolowali domy od piwnic po dach. Wszystko, co było w domach, zmieniło się w jedno wielkie pobojowisko, ale z tej niewyraźnej masy nadal wyłaniają się ostre, drobne szczegóły: szkolne fotografie; zdjęcia uśmiechniętej rodziny (w rozbitej ramce); bibeloty i krzyże (połamane); płaczące dzieci; pęknięte szkło w ramce ze zdjęciem papieża; niedokończona kolacja i brzydka tapeta; kolorowe zabawki, dźwięk telewizora i szum radia; malowane talerze; buty; ciało w korytarzu, przyciśnięte do ściany […] Wtedy rzeczywiście czułem, że ich najechaliśmy.

Tej nocy aresztowano 337 osób. 60 zostało rannych. Charles O’Neill, niepełnosprawny weteran lotnictwa, zginął przejechany przez brytyjski samochód opancerzony. Kiedy jego ciało leżało na ziemi, jeden z żołnierzy szturchnął pałką przechodnia i powiedział: „Z drogi, ty irlandzki sukinsynu – jeszcze za mało was zginęło”. Niejaki Thomas Burns został zastrzelony przez żołnierza o ósmej wieczorem na Falls Road, gdzie stał razem ze znajomym, który zabijał deskami okna swojego sklepu. Kiedy jego siostra przyszła, by zabrać ciało, usłyszała, że Thomas nie powinien był o tej porze wychodzić na ulicę. O jedenastej w nocy starszy mężczyzna nazwiskiem Patrick Elliman, myśląc, że najgorsze już minęło, wyszedł na dwór w samej koszuli i kapciach, żeby przespacerować się przed snem. Zginął, kiedy armia otworzyła ogień. Jego śmierć relacjonuje jeden z mieszkańców:

> Jeszcze tej samej nocy brytyjscy żołnierze weszli do domu zastrzelonego mężczyzny i urządzili tam sobie kwaterę, każąc zrozpaczonej siostrze zabitego przenieść się do drugiego brata na tej samej ulicy. To niesmaczne wtargnięcie do opuszczonego domu odkryto

następnego dnia po południu, podczas przerwy w „godzinie policyjnej”, kiedy ów drugi brat razem ze swoją córką i zięciem przyszli tu i zastali wyważone drzwi, wybite okno, leżący na podłodze ekwipunek wojskowy, przybory do golenia na kanapie i brudne kubki w kuchni. Sąsiedzi poinformowali ich, że żołnierze także przespali się w pokojach na górze.

Wyważone drzwi. Wybite okno. Brudne naczynia w zlewie. Leites i Wolf uważali, że liczą się tylko reguły i racjonalne zasady. Tak naprawdę jednak liczą się setki drobnych rzeczy, które robią – lub których nie robią – ci będący w pozycji siły, by zdobyć legitymizację, jak spanie w łóżku niewinnego człowieka, którego właśnie przypadkowo zastrzelili, i rozrzucanie swoich rzeczy po jego domu.

W niedzielę rano sytuacja w Lower Falls robiła się coraz bardziej rozpaczliwa. Nie była to zamożna dzielnica. Mieszkało tu wielu bezrobotnych, a inni często pracowali na akord. Ulice były zatłoczone, a domy wąskie – tanio zbudowane dziewiętnastowieczne szeregowce z czerwonej cegły, z jednym pokojem na każdym piętrze i wychodkiem w ogródku na tyłach. Mało kto miał lodówkę. Domy były ciemne i wilgotne. Chleb kupowało się codziennie, bo inaczej pleśniał. Zakaz opuszczania mieszkań trwał już jednak od trzydziestu sześciu godzin – i chleb się skończył. Katolickie dzielnice Belfastu Zachodniego są położone jedna przy drugiej i połączone tak wieloma koligacjami rodzinnymi, że wieść o losie Lower Falls szybko się rozeszła. Przez Ballymurphy przeszła Harriet Carson, waląc pokrywkami. Potem pojawiła się Máire Drumm[59]. Miała megafon. Przemaszerowała ulicami, krzycząc do kobiet: „Wychodźcie! Zapakujcie dziecięce wózki chlebem i mlekiem! Dzieci nie mają jedzenia”.

Kobiety zaczęły zbierać się po dwie, po cztery, dziesięć, dwadzieścia, aż były ich tysiące. „Niektóre miały jeszcze wałki na głowie, przykryte

chustkami – wspominała Lawlor. – Wzięłyśmy się pod ręce i śpiewałyśmy *We Shall Overcome* – jeszcze zwyciężymy”.

„Zeszłyśmy na dół, tam gdzie zaczyna się Lower Falls – ciągnęła. – Atmosfera była pełna napięcia. Angole stali w hełmach, z karabinami, zwarci i gotowi. Z pałkami w rękach. Skręciłyśmy w Grosvenor Road, śpiewając i krzycząc. Wydaje mi się, że Angole patrzyli ze zdumieniem pomieszanym z podziwem. Nie mogli uwierzyć, że te kobiety z wózkami idą prosto na nich. Pamiętam jednego z nich, jak stał i drapał się po głowie, mówiąc: »Co mamy zrobić z tymi babami? Mamy to traktować jak zamieszki?«. Potem skręciłyśmy w Slate Street, gdzie stała szkoła – moja szkoła. A tu w niej Angole. Wylecieli [ze szkoły] i zaczęła się regularna walka wręcz. Wyrywali nam włosy. Szarpali nas, łapali i rzucali o ściany. No tak. Bili nas. A jak się upadło, to trzeba było bardzo szybko wstać, żeby cię nie stratowali. Ruszyli na nas z całą brutalnością. Pamiętam, że stałam na dachu jakiegoś samochodu i patrzyłam, co się dzieje z przodu. Aż zobaczyłam mężczyznę z kremem do golenia na twarzy, który zakładał szelki – i nagle żołnierze przestali nas bić”.

Człowiekiem zakładającym szelki był oficer dowodzący posterunkiem przy Slate Street. Być może był tego dnia jedynym głosem rozsądku po stronie brytyjskiej, jedyną osobą, która rozumiała pełny wymiar rozgrywającej się właśnie katastrofy. Grupa uzbrojonych po zęby żołnierzy biła grupę kobiet z wózkami, które przywiozły jedzenie dzieciom z Lower Falls[60]. Dowódca rozkazał swoim ludziom, żeby przestali.

„Musi pan zrozumieć, że marsz cały czas trwał i kobiety idące z tyłu nie miały pojęcia, co się dzieje z przodu – ciągnęła Lawlor. – Szły dalej. Niektóre płakały. Ludzie zaczęli wychodzić z domów i wciągać rannych do środka, bo było ich tak dużo. Wtedy Brytyjczycy stracili kontrolę. Wszyscy wylegli na ulice – setki ludzi. To było jak efekt domina. Jak wyszli na jednej ulicy, to ani się obejrzeliśmy, a już drzwi się otwierają na następnej i kolejnej, i jeszcze jednej. Angole się poddali. Podnieśli ręce. Kobiety naciskały – naciskałyśmy i naciskałyśmy – aż się tam wdarłyśmy i przełamałyśmy godzinę policyjną.

Często o tym myślę. Boże, to było takie… Wszyscy byli rozradowani. Na zasadzie: dokonałyśmy tego, udało się. Pamiętam, jak wróciłam do domu i nagle poczułam się bardzo roztrzęsiona i zdenerwowana całym tym zajściem, wie pan? Pamiętam też, jak później rozmawiałam o tym z ojcem. Powiedziałam: »Tato, twoje słowa się sprawdziły. Rzeczywiście zwrócili się przeciwko nam«. A on odparł: »To prawda. Armia Brytyjska tak już robi«. Miał rację. Zwrócili się przeciwko nam. I od tego się zaczęło”.

---

[52] Przez lata Brownsville wydało imponującą liczbę sławnych ludzi: pochodzi stąd dwóch mistrzów boksu wagi ciężkiej (Mike Tyson i Riddick Bowe), kompozytor Aaron Copland, grupa komików Three Stooges (Moe i Shemp Howard [zastąpiony później przez swojego brata Curly’ego] oraz Larry Fine), prezenter telewizyjny Larry King, nie mówiąc już o długiej liście gwiazd koszykówki, baseballu i futbolu amerykańskiego. Istotnym słowem jest tu jednak „wydało”. Nikt, kto nie musi, nie zostaje w Brownsville.

[53] Tak prezentują się więzienne statystyki Stanów Zjednoczonych, z podziałem według rasy i poziomu wykształcenia:

BIALI MĘŻCZYŹNI	1945–1949	1960–1964	1975–1979
Bez matury	4,2	8,0	15,3
Wykształcenie średnie	0,7	2,5	4,1
Niepełne wyższe	0,7	0,8	1,2
CZARNI MĘŻCZYŹNI	1945–1949	1960–1964	1975–1979
Bez matury	14,7	**41,6**	**69,0**
Wykształcenie średnie	10,2	12,4	18,0
Niepełne wyższe	4,9	5,5	7,6

Kluczowe dane to te wyróżnione tłustym drukiem. Aż 69 procent czarnoskórych mężczyzn, którzy nie skończyli szkoły średniej, urodzonych między 1975 a 1979 rokiem, siedziało w więzieniu. To kwintesencja Brownsville.

[54] W Belfaście pochód 12 lipca idzie ulicami miasta i kończy się na „polu”, dużym otwartym terenie, gdzie uczestnicy zbierają się, żeby wysłuchać przemówień. Poniżej próbka jednej z takich mów, wygłoszonej w 1995 roku. Pamiętajmy, że było to już po Deklaracji z Downing Street, która oficjalnie zapoczątkowała proces pokojowy w Irlandii Północnej:

Czytaliśmy książki historyczne o tym, co działo się 200 lat temu. Katolicy tworzyli grupy zwane Obrońcami, aby pozbyć się tak zwanych heretyckich psów, lepiej znanych nam tutaj jako protestanci. Dzisiaj jest tak samo jak w 1795. Na tronie siedzi papież, polski papież, który żył w czasach Hitlera i obozów koncentracyjnych w Auschwitz, gdzie katolicy stali z założonymi rękami, patrząc bez słowa potępienia, jak tysiące idą na śmierć.

[55] Jest oczywiście wiele różnych wersji tej rymowanki. Nieco mniej obraźliwą śpiewają kibice Manchester United o swoim odwiecznym rywalu, drużynie Liverpoolu.

Rozpal ogień, rozpal ogień,
Liwerpula na to wrzuć,
Całe miasto na dokładkę,
I spal ich wszystkich w chuj.

Jak można się domyślić, w serwisie YouTube dostępne są liczne przykłady niezwykle entuzjastycznego wykonania tego utworu.

[56] Następnego dnia lojalistyczny motłoch spalił katolicką Bombay Street do gołej ziemi. Lojaliści, znani miłośnicy poezji, także o tym ataku ułożyli przyśpiewkę:

15 sierpnia na wycieczkę poszliśmy,
Całą Bombay Street w cholerę spaliliśmy.
Wzięliśmy trochę benzyny i wzięliśmy broń
I z fenianami walczyliśmy, aż poszli sobie won.

[57] Jak powiedział wiele lat później przywódca Sinn Féin Gerry Adams, efektem godziny policyjnej w Lower Falls było to, że „tysiące ludzi […] którzy nigdy nie znosili przemocy fizycznej, teraz zaczęły ją akceptować jako konieczność”.

[58] Nawiasem mówiąc, w 1973 roku nie było dużo lepiej. Brytyjczycy jeszcze bardziej zaostrzyli represje, a odnotowano 171 ofiar śmiertelnych, 5018 strzelanin, 1007 eksplozji, 1317 napadów z bronią w ręku. Armia skonfiskowała 17,2 tony materiałów wybuchowych.

[59] Sześć lat później Drumm została zastrzelona przez protestanckich ekstremistów w szpitalnym łóżku, kiedy przebywała na leczeniu w Mater Hospital w Belfaście.

[60] Jedna z wielu legend dotyczących godziny policyjnej w Lower Falls głosi, że pchane przez kobiety wózki miały służyć dwóm celom. Po pierwsze chodziło o przywiezienie mleka i chleba do oblężonej dzielnicy. Po drugie – o zabranie broni oraz materiałów wybuchowych i wywiezienie ich pod nosem nic niepodejrzewającej Armii Brytyjskiej.

ROZDZIAŁ 8
WILMA DERKSEN

„Wszyscy zrobiliśmy w życiu coś potwornego, albo przynajmniej czuliśmy taką chęć”.

1 W czerwcu 1992 roku córka Mike’a Reynoldsa przyjechała z college’u do domu na weekend, żeby pójść na ślub. Była osiemnastolatką o długich włosach w kolorze miodu. Miała na imię Kimber. Studiowała w Fashion Institute of Design and Merchandising w Los Angeles. Jej rodzinnym miastem było Fresno, położone o kilka godzin drogi na północ, w Dolinie Kalifornijskiej. Po ślubie została w mieście dłużej, bo umówiła się na kolację ze swoim starym przyjacielem, Gregiem Calderonem. Miała na sobie szorty, wysokie buty i sportową marynarkę swojego ojca w czerwono-czarną kratkę.

Kimber Reynolds i Greg Calderon zjedli kolację w restauracji Daily Planet w dzielnicy Tower. Wypili kawę, a potem wrócili do jej isuzu. Była 22.41. Reynolds otworzyła Calderonowi drzwi od strony pasażera, po czym obeszła samochód, żeby wsiąść od strony kierowcy. W tym czasie z parkingu przy tej samej ulicy wyjechało powoli dwóch młodych mężczyzn na skradzionym motocyklu Kawasaki. Na głowach mieli kaski z przyciemnianymi osłonami. Prowadził Joe Davis, który miał na koncie długą listę wyroków za narkotyki i posiadanie broni. Właśnie został zwolniony warunkowo z więzienia stanowego Wasco, gdzie trafił za

kradzież samochodu. Za nim na motorze siedział Douglas Walker. Miał za sobą siedem pobytów w więzieniu. Obaj byli uzależnieni od metamfetaminy. Wcześniej tego dnia usiłowali ukraść samochód, wyciągając z niego kierowcę na Shaw Avenue, głównej arterii Fresno. „Właściwie to nic sobie nie myślałem – powie kilka miesięcy później Walker, zapytany o swój stan umysłu tego dnia. – Jak to się dzieje, to się dzieje, i już. To stało się nagle. Normalnie, robiliśmy to, co zwykle. Znaczy, to wszystko, co mogę powiedzieć”.

Walker i Davis podjechali do isuzu z boku i ciężarem motocykla przygwoździli Reynolds do jej samochodu. Calderon wyskoczył z auta i obiegł je od tyłu. Walker zagrodził mu drogę. Davis wyrwał Reynolds torebkę. Wyciągnął pistolet magnum kalibru .357 i przystawił go jej do prawego ucha. Ona się szarpnęła. On strzelił. Davis i Walker wskoczyli z powrotem na motor i przejechali pełnym gazem na czerwonym świetle. Z restauracji Daily Planet wybiegli ludzie. Ktoś próbował zatamować krew. Calderon pojechał do domu rodziców Reynolds, ale nie mógł ich obudzić. Dzwonił i odzywała się automatyczna sekretarka. Wreszcie, o wpół do trzeciej nad ranem, dodzwonił się. Mike Reynolds usłyszał krzyk żony: „W głowę! Postrzelili ją w głowę!”. Kimber zmarła następnego dnia.

„Relacja ojca z córką jest naprawdę szczególna” – powiedział niedawno Mike Reynolds, wspominając tę straszną noc. Jest już starszym człowiekiem. Stracił większość włosów i utyka. Siedział przy stole w swoim gabinecie, w pełnym zakamarków domu w stylu kolonialnym we Fresno, nie dalej niż pięć minut drogi samochodem od ulicy, na której postrzelono jego córkę. Na ścianie za jego plecami wisiała fotografia Kimber. Obok, w kuchni, był jeszcze obraz przedstawiający Kimber z anielskimi skrzydłami, wstępującą do nieba. „Z żoną możesz się kłócić – ciągnął Reynolds, a w jego głosie pobrzmiewały wywołane wspomnieniem

emocje. – Ale twoja córka jest trochę jak księżniczka, niczego nie będziesz jej miał za złe. A jej tata to jest ten facet, który wszystko potrafi naprawić, od zepsutego rowerka po złamane serce. Tata potrafi naprawić wszystko. Ale kiedy nasza córka została postrzelona, to było coś, czego naprawić nie umiałem. Trzymałem ją za rękę, kiedy umierała. Dosłownie. Czuje się wtedy ogromną bezradność". Wtedy właśnie złożył przysięgę.

„Wszystko, co od tamtej pory robię, wiąże się z obietnicą, jaką złożyłem Kimber na łożu śmierci – oświadczył Reynolds. – Nie mogę uratować ci życia. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapobiec kolejnej takiej śmierci".

2

Kiedy Reynolds wrócił do domu ze szpitala, zadzwonił do niego Ray Appleton, prowadzący popularny we Fresno program radiowy. „Miasto wrzało z wściekłości – wspomina Appleton. – Fresno było wtedy na pierwszym miejscu w kraju pod względem liczby morderstw per capita – lub na jednym z pierwszych. Ale to zabójstwo było takie bezczelne: na oczach miliona świadków, przed popularną restauracją. Późnym wieczorem dostałem wiadomość, że Kimber nie żyje, i skontaktowałem się z Mikiem. Powiedziałem mu: »Kiedy tylko będziesz gotowy przyjść do studia, daj mi znać«. A on na to: »Może dzisiaj?«. Wtedy się to wszystko zaczęło, czternaście godzin po śmierci jego córki".

Reynolds opisuje dwie godziny, które spędził w programie Appletona, jako najtrudniejsze chwile w swoim życiu. Płakał. „Nigdy nie widziałem kogoś tak zdruzgotanego" – wspomina Appleton. Na początku odbierali na antenie telefony od osób, które znały Reynoldsów albo chciały po prostu wyrazić współczucie. Później jednak zaczęli rozmawiać o tym, co to morderstwo mówi o kalifornijskim wymiarze sprawiedliwości, a wtedy zaczęli dzwonić słuchacze z całego stanu.

Po powrocie do domu Reynolds postanowił zorganizować spotkanie. Zaprosił wszystkich, którzy jego zdaniem mogli doprowadzić do zmian. Usiedli u niego w ogródku za domem, przy długim drewnianym stole, obok grilla. „Przyszło trzech sędziów, ludzie z policji, prawnicy, szeryf, ludzie z biura prokuratora okręgowego, przedstawiciele lokalnej społeczności i szkół – opowiadał gospodarz. – Zadaliśmy sobie pytanie: dlaczego tak się dzieje? Jaka jest przyczyna?”

Doszli do wniosku, że w Kalifornii kary za łamanie prawa są zbyt łagodne. Za łatwo i za szybko przyznaje się zwolnienia warunkowe. Recydywiści są traktowani tak samo jak ci, którzy popełniają przestępstwo po raz pierwszy. Douglas Walker, ten, który siedział z tyłu, po raz pierwszy wszedł w konflikt z prawem w wieku trzynastu lat, kiedy wpadł za przemyt heroiny. Niedawno dostał przepustkę, żeby odwiedzić swoją ciężarną żonę, i już z niej nie wrócił. Czy to miało sens?

Zebrana przez Reynoldsa grupa opracowała propozycję zmiany przepisów. Reynolds nalegał, żeby była krótka i prosta, napisana językiem zrozumiałym dla laika. Nazwano ją prawem trzech przestępstw (Three Strikes Law). Prawo to przewidywało, że jeśli ktoś zostanie skazany w Kalifornii za drugie poważne wykroczenie lub przestępstwo karne, przewidywany za ten czyn wyrok ulegnie podwojeniu. Natomiast każdy skazany za trzecie przestępstwo – którego definicja obejmowała każdy możliwy czyn zabroniony – wypadnie z gry i będzie musiał odsiedzieć wyrok dożywocia z możliwością zwolnienia po 25 latach[61]. Nie było tu żadnych wyjątków ani furtek w przepisach.

Reynolds i jego grupa zebrali tysiące podpisów wymaganych, aby o ich propozycji mogło zdecydować ogólnostanowe referendum. W każdym sezonie wyborczym w Kalifornii pojawia się mnóstwo referendalnych pomysłów, ale większość nigdy nie ujrzy światła dziennego. Jednak prawo

trzech przestępstw trafiało w czuły punkt. Propozycja przeszła z poparciem aż 72 procent głosujących. Wiosną 1994 roku zasadę trzech przestępstw wpisano do obowiązujących w Kalifornii przepisów prawnych, sformułowaną niemal w słowo w słowo tak, jak została zapisana w ogródku za domem Mike'a Reynoldsa. Kryminolog Franklin Zimring nazwał to „największym eksperymentem w systemie karnym w historii Ameryki". W 1989 roku w kalifornijskich więzieniach siedziało 80 000 ludzi. W ciągu dziesięciu lat ta liczba się podwoiła – a poziom przestępczości w Kalifornii spadł na łeb, na szyję. Od roku 1994 do 1998 liczba zabójstw w tym stanie zmniejszyła się o 41,4 procent, gwałtów – o 10,9 procent, napadów rabunkowych o 38,7 procent, napaści o 22,1 procent, włamań o 29,9 procent, a kradzieży samochodów o 36,6 procent. Mike Reynolds przysiągł na łożu śmierci swojej córki, że to, co spotkało Kimber, już się nie powtórzy – i z jego żalu po stracie wynikła rewolucja.

„W tamtych latach w stanie Kalifornia dochodziło do dwunastu morderstw dziennie. Dziś do około sześciu – powiedział Reynolds. – Kiedy więc mija kolejny dzień, lubię myśleć, że żyje sześć osób, które by nie żyły, gdyby nie to prawo". Reynolds siedział w gabinecie u siebie w domu we Fresno, otoczony swoimi zdjęciami z najróżniejszymi dygnitarzami, pamiątkowymi tabliczkami, dyplomami i oprawionymi w ramki listami, świadczącymi o niezwykle istotnej roli, jaką odegrał w polityce największego stanu Ameryki. „Czasem w życiu może się tak zdarzyć, że będziemy mieć okazję uratować życie drugiej osobie – ciągnął. – No wie pan, wyciągnąć kogoś z płonącego budynku, uratować tonącego albo zrobić jakąś równie niesamowitą rzecz. Ale ilu ludzi dostaje szansę uratowania sześciu istnień ludzkich dziennie? Chyba mam sporo szczęścia".

Umilkł na chwilę, jakby przebiegając myślami wszystko to, co zdarzyło się w ciągu niemal 20 lat, które minęły od złożenia przez niego obietnicy

umierającej Kimber. Był niezwykle elokwentnym człowiekiem, obdarzonym dużą siłą perswazji. Bez trudu można było dostrzec, że nawet przytłoczony ogromnym żalem mógł być bardzo przekonujący w tym programie Raya Appletona sprzed lat. Reynolds podjął: „Niech pan pomyśli o tym facecie, który wynalazł pasy bezpieczeństwa. Wie pan, jak się nazywał? Ja nie. Nie mam pojęcia. Ale niech pan tylko pomyśli, ilu ludzi jest bezpiecznych dzięki pasom, poduszkom powietrznym albo pojemnikom na leki z zabezpieczonym zamknięciem. Proste urządzenia, zrobione przez przeciętnego zjadacza chleba, takiego jak ja, które uratowały życie całemu mnóstwu ludzi. Jednak nam nie chodzi o żadne wyrazy uznania, żadne poklepywanie po plecach. Zależy nam tylko na rezultatach i to rezultaty są dla mnie największą nagrodą”.

Brytyjczycy wkroczyli do Irlandii Północnej z jak najlepszymi zamiarami, a skończyło się 30 latami krwawego chaosu. Nie osiągnęli tego, co chcieli, ponieważ nie rozumieli, że władza ma pewne istotne ograniczenie. Musi mieć legitymizację – być postrzegana jako prawowita – w przeciwnym razie wykorzystanie przez nią siły przyniesie efekt odwrotny do zamierzonego. Mike Reynolds wywarł ogromny wpływ na swój rodzinny stan. Niewielu jest innych Kalifornijczyków z jego pokolenia, których idee i działania odbiły się na życiu tylu ludzi. Jednak w jego przypadku władza najwyraźniej osiągnęła swój cel. Wystarczy spojrzeć na statystyki przestępczości w Kalifornii. Reynolds dopiął swego, czyż nie?

Bynajmniej. Prawda wygląda zupełnie inaczej.

3

Wróćmy do teorii krzywej dzwonowej, omawianej w rozdziale dotyczącym liczebności klas w szkołach. Krzywe dzwonowe zwracają naszą uwagę na to, jak istotna jest kwestia granic. Pokazują, że „więcej” nie zawsze znaczy „lepiej”; przychodzi taki moment, kiedy

dodatkowe zasoby, które dysponujący władzą i siłą uznają za swoją największą przewagę, tylko pogarszają sprawę. Krzywa dzwonowa wyraźnie pokazuje efekty związane z liczebnością klas, a także dobrze obrazuje zależność między wychowywaniem dzieci a stopniem zamożności. Jednak parę lat temu kilku naukowców zaczęło dowodzić ambitniejszej tezy – tezy, za której sprawą Mike Reynolds i jego prawo trzech przestępstw znaleźli się w samym środku trwającej od 20 lat kontrowersji. Co, jeśli zależność między przestępczością a karą także stanowiła krzywą dzwonową? Innymi słowy, co, jeśli na pewnym etapie surowość kary przestaje mieć wpływ na przestępców, a może nawet zaczyna podnosić poziom przestępczości?

Kiedy wprowadzano prawo trzech przestępstw, nikt nie brał tej możliwości pod uwagę. Mike Reynolds i jego zwolennicy zakładali, że każdy dodatkowy przestępca, którego zamkną, i każdy dodatkowy rok, który dołożą do przeciętnego wyroku, przyniesie proporcjonalny spadek przestępczości.

„Wtedy nawet za morderstwo pierwszego stopnia groziło tylko szesnaście lat, a można było wyjść po ośmiu – tłumaczył Mike Reynolds. Tak opisywał sytuację w Kalifornii przed rewolucją, jaką było wprowadzenie postulowanych przez niego zmian w prawie: – Życie z przestępstw stało się całkiem realną opcją. Ludzka psychika idzie po linii najmniejszego oporu. Człowiek wybiera to, co łatwe, a znacznie łatwiej kraść i brać narkotyki niż wziąć tyłek w troki, harować 40 godzin tygodniowo, odbijać kartę w robocie i znosić upierdliwych klientów. Po co to komu? Mogę sobie wyjść, pomachać pistoletem i zarobić, ile chcę, tak szybko, jak chcę, a jeśli mnie złapią, w 95 procentach spraw można liczyć na łagodniejszy wyrok. Oskarżają mnie o jedno, przyznaję się do czegoś innego, więc się dogadajmy. A po trzecie zaliczę tylko połowę odsiadki. Jak

weźmiemy wszystkie te trzy rzeczy pod uwagę, są duże szanse, że popełnisz od cholery przestępstw, zanim zostaniesz chociaż raz złapany i postawiony przed sądem”.

Reynolds przedstawiał swoją wersję tego samego argumentu, którym posłużyli się Leites i Wolf w cytowanej już klasycznej pracy o odstraszającym efekcie dyscypliny i kary: „Nasza analiza opiera się na fundamentalnym założeniu mówiącym, że ludność – zarówno jednostki, jak i grupy – zachowuje się »racjonalnie«, że oblicza koszty i korzyści związane z poszczególnymi sposobami działania i na tej podstawie dokonuje wyborów”. Zdaniem Reynoldsa przestępcy uważali, że korzyści z łamania prawa w Kalifornii znacznie przewyższają związane z tym ryzyko. W jego odczuciu rozwiązaniem było podniesienie kosztów popełnienia przestępstwa do tak wysokiego poziomu, żeby życie z kradzieży i napadów przestało być łatwiejsze niż uczciwa praca. Natomiast w kwestii tych, którzy nadal łamali prawo – nawet w obliczu tak zmienionego bilansu ryzyka i korzyści – zasada trzech przestępstw mówiła: zamknąć ich na resztę życia, żeby nie mieli już szansy na dopuszczenie się kolejnego występku. Jeśli chodzi o prawo i porządek, Reynolds i wyborcy w Kalifornii wierzyli, że „więcej” zawsze znaczy „lepiej”.

Czy jednak tak jest w istocie? Tu dochodzimy do teorii krzywej dzwonowej. Zacznijmy od pierwszego założenia – że reakcją przestępców na podniesienie kosztów zbrodni jest popełnianie mniejszej liczby przestępstw. Ewidentnie tak się dzieje, kiedy kary za łamanie prawa są bardzo niskie. Jedno z najsłynniejszych studiów przypadku w kryminologii dotyczy zdarzeń z jesieni 1969 roku, kiedy policja w Montrealu ogłosiła szesnastogodzinny strajk. Montreal był – i jest nadal – nowoczesnym miastem w kraju uważanym za jeden z najbardziej praworządnych i stabilnych na świecie. Co więc się wtedy działo? Zapanował chaos.

W trakcie strajku doszło do tylu napadów na bank – w biały dzień – że trzeba było zamknąć prawie wszystkie banki w mieście. W śródmieściu grasowali chuligani, wybijali szyby i plądrowali sklepy. Najbardziej szokujące było jednak to, że długotrwały spór między miejskimi taksówkarzami a lokalną firmą przewozową Murray Hill Limousine Service w kwestii prawa do odbierania pasażerów z lotniska przerodził się w regularną bitwę, jakby dwie skonfliktowane strony były zwaśnionymi księstwami w średniowiecznej Europie. Taksówkarze zaatakowali Murray Hill koktajlami Mołotowa. Ochroniarze firmy otworzyli ogień. Wtedy taksówkarze podpalili autobus i rozpędzili go tak, że staranował zamknięte drzwi do garażu Murray Hill. Wszystko to działo się w Kanadzie. Jednak kiedy tylko policja wróciła do pracy, przywrócono porządek. Groźba aresztowania i kary poskutkowała.

Najwyraźniej istnieje więc duża różnica między całkowitym brakiem kar za łamanie prawa a wprowadzeniem pewnych kar – tak jak istnieje istotna różnica między klasą czterdziestoosobową a dwudziestopięcioosobową. Po lewej stronie krzywej dzwonowej interwencje wymiaru sprawiedliwości mają znaczący wpływ.

Pamiętajmy jednak, że zgodnie z logiką krzywej dzwonowej te same strategie, które początkowo bardzo dobrze się sprawdzają, na pewnym etapie przestają działać. Wielu kryminologów twierdzi, że dotyczy to także kar.

Na przykład kryminolodzy Richard Wright i Scott Decker przeprowadzili wywiady z 86 skazanymi za napad z bronią w ręku. Większość ich rozmówców wypowiadała się mniej więcej w takim duchu:

> Specjalnie się staram, żeby nie myśleć [o tym, że mnie złapią […]. To] za bardzo mnie rozprasza. Nie możesz się na niczym

> skoncentrować, jeśli myślisz: Co będzie, jak coś pójdzie nie tak? Z biegiem czasu, jeśli już zdecydowałem się na napad, [postanawiałem] że całkowicie skoncentruję się na tym i na niczym innym.

Lub w takim:

> Dlatego [ja i moi wspólnicy] tyle ćpamy. Bierzemy, jesteśmy na haju, to nas przytępia i nie mamy jazdy [że nas złapią]. Co ma być, to będzie […]. Po prostu w tamtej chwili masz to gdzieś.

Nawet naciskani, przestępcy, z którymi rozmawiali Decker i Wright, „pozostawali obojętni na grożące im sankcje". Po prostu nie wybiegali myślami tak daleko w przyszłość.

Morderstwo jego córki spowodowało, że Reynolds chciał, by potencjalni przestępcy w Kalifornii poczuli bojaźń bożą – by dobrze się zastanowili, zanim przekroczą wyznaczone prawem granice. Ale ta strategia nie działa, jeśli przestępcy myślą w taki sposób jak ci cytowani powyżej. Joe Davis i Douglas Walker – dwaj bandyci, którzy zaatakowali Kimber Reynolds przed restauracją Daily Planet – byli narkomanami uzależnionymi od metamfetaminy. Wcześniej tego samego dnia próbowali ukraść samochód, wywlekając z niego kierowcę – w biały dzień. Pamiętacie, co powiedział Walker? „Właściwie to nic sobie nie myślałem. Jak to się dzieje, to się dzieje, i już. To stało się nagle. Normalnie, robiliśmy to co zwykle. Znaczy, to wszystko, co mogę powiedzieć". Czy jest to typ człowieka, który lepiej się zastanowi w obliczu surowszej kary?

„Rozmawiałem z przyjaciółmi rodziny, którzy znali Joego i jego brata. Zapytali go, dlaczego strzelił do Kimber – powiedział kiedyś Reynolds, wracając pamięcią do tego tragicznego wieczora. – A on odparł, że miał już

jej torebkę, więc nie o to chodziło. Powodem, dla którego strzelił, było to, jak na niego patrzyła. Strzelił, bo jego zdaniem nie brała go poważnie i nie okazała mu szacunku”. Te słowa Reynoldsa przeczą logice zasady trzech przestępstw. Joe Davis zabił Kimber Reynolds, bo nie chciała okazać mu szacunku, na który w swoim mniemaniu zasługiwał, przystawiając jej pistolet do głowy i wyrywając torebkę. Jak, na litość boską, zaostrzenie kary ma odstraszyć kogoś, czyj mózg działa w ten sposób? Ty i ja zareagujemy na groźbę surowszej kary, bo jesteśmy osobami mającymi swój udział w społeczeństwie, a więc i coś do stracenia. Przestępcy – nie. Kryminolog David Kennedy pisze: „Być może po prostu ci, którzy dziś są gotowi podjąć ryzyko, często pod wpływem impulsu, często w chwili, gdy mają zaburzony obraz postrzegania świata, bo uznają prawdopodobieństwo już bardzo poważnej sankcji za bardzo małe, jutro będą gotowi podjąć to samo ryzyko, bo nadal uważają, że prawdopodobieństwo sankcji, tym razem jeszcze trochę poważniejszej, wciąż jest niewielkie”[62].

Drugi argument za prawem trzech przestępstw – że każdy dodatkowy rok, który przestępca spędzi za kratkami, to jeszcze jeden rok, w którym nie może złamać prawa – jest równie problematyczny. Liczby się nie zgadzają. W 2011 roku średni wiek kalifornijskiego przestępcy w momencie skazania za trzecie przestępstwo wynosił 43 lata. Przed wprowadzeniem prawa trzech przestępstw taki człowiek mógł odsiedzieć około 5 lat i wyjść na wolność w wieku 48 lat. Teraz miał zostać w więzieniu przez minimum 25 lat – i wyjść jako sześćdziesięcioośmiolatek. Nasuwa się logiczne pytanie: ile przestępstw popełniają kryminaliści w wieku od 48 do 68 lat? Nie za wiele. Spójrzmy na poniższe wykresy, przedstawiające zależność między wiekiem a liczbą popełnionych czynów w wypadku napaści z bronią w ręku i morderstw oraz napadów rabunkowych i włamań.

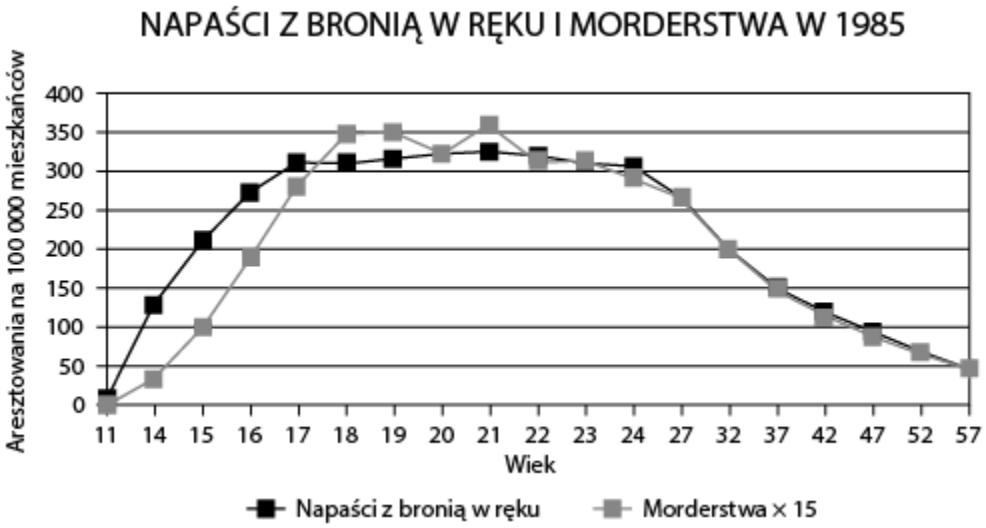

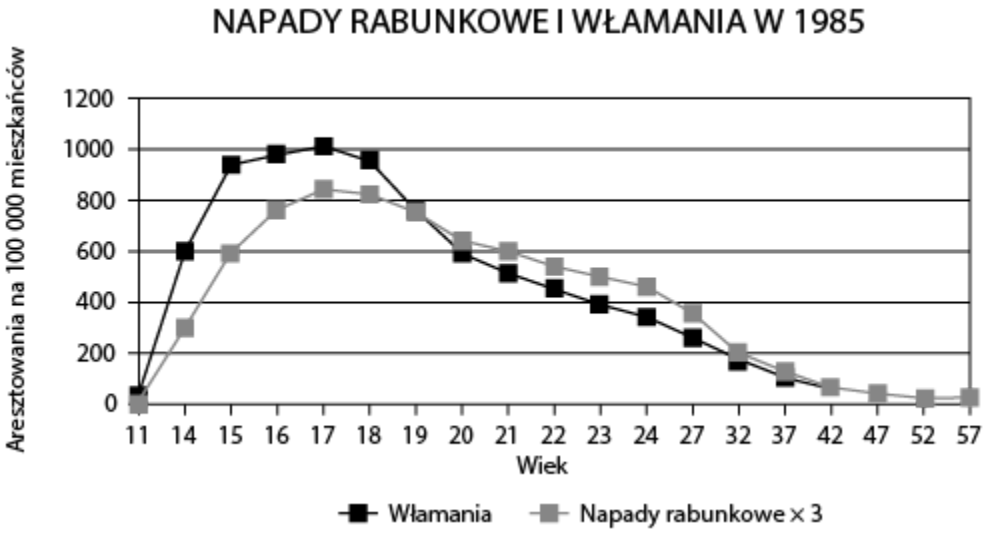

Dłuższe wyroki są skuteczne w przypadku młodszych mężczyzn. Jednak po przekroczeniu pewnej kluczowej granicy wieku, około 25 lat, ich jedynym efektem jest to, że chronią nas przed groźnymi przestępcami w momencie, w którym stają się mniej groźni. Raz jeszcze obiecująca początkowo strategia przestaje działać.

A teraz najistotniejsze pytanie: czy krzywa zbrodni i kary ma swoją prawą stronę – to znaczy punkt, w którym zaostrzanie sankcji zaczyna pogarszać sprawę? Kryminologiem, który najbardziej przekonująco

przedstawia taką tezę, jest Todd Clear – opiera się na następującym rozumowaniu.

Kara więzienia ma bezpośredni wpływ na przestępczość: złoczyńca idzie za kratki, gdzie nie może już nikogo skrzywdzić. Istnieje tu jednak także efekt pośredni, dotyczący wszystkich ludzi, z którymi ten przestępca jest związany. Na przykład znaczny odsetek mężczyzn trafiających do więzienia to ojcowie. (Dzieci ma aż jedna czwarta skazanych młodocianych przestępców). A posłanie ojca za kratki ma druzgocący wpływ na dziecko. Niektórzy przestępcy są beznadziejnymi ojcami: agresywnymi, stosującymi przemoc, nieobecnymi. Ale nie wszyscy. Ich dochody – zarówno z przestępstw, jak i z legalnych źródeł – pomagają utrzymać rodzinę. Dla dziecka utrata ojca, który idzie do więzienia, to trudność niepożądana. Kara pozbawienia wolności dla rodzica zwiększa prawdopodobieństwo, że dziecko zostanie młodocianym przestępcą, o 300 do 400 procent, zaś ryzyko poważnych zaburzeń psychiatrycznych – o 250 procent.

Kiedy złoczyńca odsiedzi wyrok, wraca do swojej dawnej okolicy. Istnieje spora szansa, że pobyt w zakładzie karnym pozostawił w nim uraz psychiczny. Perspektywy zatrudnienia znacznie się pogorszyły. Będąc w więzieniu, stracił wielu nieparających się przestępstwem kolegów, których zastąpili znajomi z kryminału. A teraz wraca, jeszcze bardziej obciążając pod względem emocjonalnym i finansowym dom, który już zrujnował, idąc siedzieć. Kara pozbawienia wolności powoduje pewne uboczne, niezamierzone straty. W większości wypadków szkody, jakie przynosi więzienie, są mniejsze niż korzyści; mimo wszystko lepiej wsadzać przestępców za kratki. Jednak Clear zwraca uwagę, że jeśli zamkniemy zbyt wielu ludzi na zbyt długo, szkody uboczne zaczną przeważać nad korzyściami[63].

Clear i druga badaczka, Dina Rose, przetestowali jego hipotezę w Tallahassee na Florydzie[64]. Porównali liczbę mieszkańców danej dzielnicy, którzy trafili do więzienia w jednym roku, z poziomem przestępczości w tej samej dzielnicy w roku następnym – i spróbowali oszacować, matematycznie, czy istnieje punkt, w którym krzywa zaczyna opadać. Okazało się, że tak. „Jeśli więcej niż 2 procent populacji dzielnicy idzie do więzienia – stwierdził Clear – wpływ tej kary na przestępczość zaczyna spadać”.

O czymś takim mówiła Joanne Jaffe w Brownsville. Szkody, które próbowała naprawić uściskami i indykami, nie były spowodowane brakiem prawa i porządku, ale, w pewnym sensie, jego nadmiarem: w więzieniu siedziało tylu ojców, braci i kuzynów, że ludzie w dzielnicy zaczęli uważać policję i wymiar sprawiedliwości za swoich wrogów. Brownsville znajdowało się po prawej stronie krzywej dzwonowej. W Kalifornii w 1989 roku za kratkami siedziało 76 000 osób. Dziesięć lat później, w dużej mierze w wyniku prawa trzech przestępstw, osadzonych było ponad dwa razy więcej. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców na początku XXI wieku Kalifornia miała od pięciu do ośmiu razy więcej więźniów niż Kanada czy Europa Zachodnia. Czyż nie wydaje się możliwe, że prawo trzech przestępstw zmieniło niektóre części Kalifornii w odpowiednik Brownsville?

Reynolds jest przekonany, że jego krucjata ocalała życie sześciu osobom dziennie, ponieważ poziom przestępczości w Kalifornii dramatycznie spadł po wprowadzeniu prawa trzech przestępstw. Jednak przy bliższej analizie okazuje się, że ów spadek zaczął się, zanim to prawo weszło w życie. W latach dziewięćdziesiątych przestępczość drastycznie malała nie tylko w Kalifornii, ale także w wielu innych częściach Stanów Zjednoczonych, nawet tam, gdzie w ogóle nie zaostrzono kar. Im dokładniej

badano prawo trzech przestępstw, tym bardziej złudne zaczynały się wydawać jego efekty. Niektórzy kryminolodzy doszli do wniosku, że rzeczywiście prowadzi ono do spadku przestępczości. Inni twierdzili, że jest skuteczne, ale pieniądze wydawane na zamykanie złoczyńców można by było spożytkować lepiej. Jedno z ostatnich badań wskazuje, że prawo trzech przestępstw zmniejszyło całkowity poziom przestępczości, ale, paradoksalnie, podniosło liczbę brutalnych zbrodni. Najwięcej jest chyba tych badań, w których nie stwierdzono żadnego efektu, chociaż są też takie, które przekonują, że prawo trzech przestępstw doprowadziło do wzrostu przestępczości[65]. Stan Kalifornia przeprowadził największy eksperyment dotyczący systemu karnego w historii Ameryki i po 20 latach, w ciągu których wydano dziesiątki miliardów dolarów, nikt nie potrafił potwierdzić, czy ten eksperyment się powiódł[66]. W listopadzie 2012 roku Kalifornia wreszcie się poddała. W referendum stanowym prawo trzech przestępstw znacznie złagodzono[67].

4

Wilma Derksen była w domu i sprzątała w pokoju dziennym, mieszczącym się w suterenie, kiedy zadzwoniła jej córka Candace. Był piątek po południu, listopad, dziesięć lat przed tym, jak Kimber Reynolds po raz ostatni wyszła z domu swoich rodziców. Derksenowie mieszkali w Winnipeg w prowincji Manitoba, na preriach środkowej Kanady, a o tej porze roku temperatura na dworze spadała znacznie poniżej zera. Candace miała trzynaście lat. Chichotała, flirtując z jakimś chłopcem ze szkoły. Chciała, żeby matka po nią przyjechała. Wilma przeprowadziła w myślach szybkie obliczenia. Derksenowie mieli jeden samochód. Wilma musiała odebrać z pracy swojego męża Cliffa, ale dopiero za godzinę. Mieli jeszcze dwoje dzieci – w wieku dwóch i dziewięciu lat. Słyszała, jak się kłócą w drugim pokoju. Musiałaby je najpierw ubrać, zapakować do auta,

pojechać po Candace, a potem po męża. Godzina w samochodzie z trójką głodnych dzieci. Ze szkoły jeździł autobus. Candace miała trzynaście lat, nie była już małym dzieckiem. A w domu taki bałagan.

– Candace, masz pieniądze na autobus?

– Mam.

– Nie dam rady po ciebie przyjechać.

Derksen wróciła do odkurzania. Poskładała uprane rzeczy. Krzątała się po domu. W pewnym momencie przystanęła. Coś było nie tak. Spojrzała na zegar. Candace powinna już być w domu. Na dworze nagle zrobiło się zimniej. Zaczął padać śnieg. Przypomniała sobie, że Candace nie była ciepło ubrana. Zaczęła chodzić od okna frontowego do okna w kuchni z tyłu domu, wychodzącego na boczną uliczkę. Candace mogła nadejść i z tej, i z tej strony. Mijały minuty. Musiała już jechać po męża. Zapakowała pozostałą dwójkę dzieci do samochodu, wsiadła za kierownicę i przejechała powoli Talbot Avenue, drogą, która łączyła dzielnicę Derksenów ze szkołą jej córki. Zajrzała przez okna do sklepu 7-Eleven, gdzie czasem kręciła się Candace. Pojechała do szkoły. Drzwi były zamknięte.

– Mamo, gdzie ona jest? – zapytała jej młodsza córka, dziewięciolatka. Pojechały do biura Cliffa.

– Nie mogę znaleźć Candace – oznajmiła Wilma mężowi. – Martwię się.

Cała czwórka wróciła do domu, rozglądając się po ulicy. Zaczęli dzwonić do wszystkich koleżanek i kolegów Candace. Od popołudnia nikt jej nie widział. Wilma Derksen pojechała do tego chłopca, z którym Candace flirtowała, zanim zadzwoniła do domu. Powiedział, że ostatni raz widział ją, jak szła Talbot Avenue. Derksenowie zadzwonili na policję. O jedenastej wieczorem do ich drzwi zapukało dwóch policjantów. Usiedli

przy stole w jadalni i zaczęli wypytywać Wilmę i jej męża, czy Candace była w domu szczęśliwa.

Derksenowie utworzyli komitet poszukiwawczy, złożony z ludzi z ich kościoła i szkoły Candace, a także wszystkich innych, którzy im przyszli do głowy. Rozwiesili plakaty „Kto widział Candace” w całym Winnipeg, organizując największą obywatelską akcję poszukiwawczą w historii miasta. Modlili się. Płakali. Nie spali. Minął miesiąc. Zabrali dzieci na film *Pinokio*, żeby oderwać się od czarnych myśli – udawało się aż do momentu, kiedy załamany Geppetto błąka się, szukając zaginionego syna.

W styczniu, siedem tygodni po zniknięciu Candace, Derksenowie zostali wezwani na lokalny komisariat, gdzie dwóch sierżantów zajmujących się tą sprawą zapytało, czy mogą porozmawiać z Cliffem na osobności. Po kilku minutach wprowadzili Wilmę do pokoju, w którym czekał jej mąż, i zamknęli drzwi. Cliff odezwał się po długiej chwili milczenia.

– Wilma, znaleźli Candace.

Ciało ich córki zostało porzucone w szopie, kilkaset metrów od ich domu. Miała związane ręce i stopy. Zamarzła na śmierć.

5

Derksenowie przeżyli taką samą tragedię jak Mike Reynolds. Miasto Winnipeg zareagowało na zniknięcie Candace tak samo jak Fresno na morderstwo Kimber. Tak jak Mike Reynolds, Derksenowie rozpaczali po śmierci córki. Na tym jednak podobieństwa się kończą.

Kiedy Derksenowie wrócili z komisariatu, ich dom zaczął się zapełniać krewnymi i znajomymi. Goście przychodzili cały dzień. O dziesiątej wieczorem zostali już tylko sami gospodarze i kilkoro bliskich przyjaciół. Siedzieli w kuchni i jedli placek z wiśniami. Rozległ się dzwonek do drzwi.

„Pamiętam, że pomyślałam sobie, że pewnie ktoś zostawił rękawiczki czy coś takiego – wspominała Derksen. Siedziała na ogrodowym krześle w ogródku swojego domu w Winnipeg, gdzie rozmawialiśmy. Otworzyła drzwi. W progu stał nieznajomy. – Powiedział tylko: »Ja też jestem rodzicem zamordowanego dziecka«”.

Przybysz był po pięćdziesiątce, o pokolenie starszy od Derksenów. Jego córka została zabita w cukierni kilka lat wcześniej. To była głośna sprawa w Winnipeg. Za zabójstwo aresztowano podejrzanego Thomasa Sophonowa, odbyły się trzy procesy. Przesiedział cztery lata w więzieniu, po czym został oczyszczony z zarzutów przez sąd apelacyjny. Mężczyzna, który przyszedł do Derksenów, usiadł w ich kuchni. Poczęstowali go plackiem z wiśniami – i zaczął opowiadać.

„Siedzieliśmy wszyscy przy stole i tylko gapiliśmy się na niego – powiedziała Wilma Derksen. – Pamiętam, jak opisywał procesy, wszystkie trzy. Miał notes w czarnej okładce, taki, jaki często mają dziennikarze. Przedstawił nam wszystkie szczegóły. Miał nawet rachunki, które zapłacił. Ułożył je w równą stertę. Mówił o Sophonowie, o tym, jak ciężkim przeżyciem były procesy, o swoim gniewie, że nie ma sprawiedliwości, że system nie potrafi nikogo obarczyć winą za tę zbrodnię. Chciał jakiegoś jasnego rozwiązania. Cały ten proces go rozwalił. Zniszczył jego rodzinę. Nie mógł już pracować. Stracił zdrowie. Wymienił leki, które przyjmował. Myślał, że dostanie tam zawału. Chyba nie rozwiódł się z żoną, ale z jego słów wynikało, że ich związek się posypał. O córce dużo nie mówił. Było tylko to pochłaniające go dążenie do wymierzenia sprawiedliwości. Nie musiał tego mówić. To się czuło”. Cały czas powtarzał jak refren: mówię to wam, żebyście wiedzieli, co was czeka. Wreszcie, dobrze po północy, umilkł. Spojrzał na zegarek. Jego opowieść była skończona. Wstał i wyszedł.

„To był przerażający dzień – stwierdziła Derksen. – Może pan sobie wyobrazić, że odchodziliśmy od zmysłów. To znaczy, byliśmy… nie wiem nawet, jak to wyjaśnić… jakby odrętwiali, bez czucia. Ale ta jego wizyta w pewien sposób przebiła się przez to odrętwienie, bo była taka intensywna. Miałam wrażenie, że to coś ważnego. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jakby taki głos mówiący: zanotuj to sobie, to dla ciebie ważne. Jest ci ciężko, ale to coś, na co powinnaś zwrócić uwagę”.

Nieznajomy przedstawił swój los jako coś nieuchronnego. „Mówię to wam, żebyście wiedzieli, co was czeka”. Jednak Derksenowie odebrali jego słowa nie jako prognozę, ale jako ostrzeżenie. To, o czym opowiadał, mogło ich czekać. Mogli stracić zdrowie, fizyczne i psychiczne, a także siebie nawzajem, jeśli pozwolą, żeby morderstwo córki ich pochłonęło.

„Gdyby wtedy nie przyszedł, może byłoby inaczej – powiedziała Derksen. – Z perspektywy czasu patrzę na to w ten sposób, że ten człowiek zmusił nas do wzięcia pod uwagę innej opcji. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak z tego wybrnąć”.

Derksenowie poszli spać – a przynajmniej próbowali. Następnego dnia odbył się pogrzeb Candace. Później zgodzili się porozmawiać z prasą. Zjawili się dziennikarze z prawie wszystkich gazet oraz stacji telewizyjnych i radiowych z całej prowincji. Zniknięcie Candace Derksen przykuło uwagę mieszkańców.

– Jakie są państwa odczucia wobec tego kogoś, kto skrzywdził Candace? – zapytał Derksenów jeden z reporterów.

– Chcielibyśmy wiedzieć, kim jest ten człowiek, lub ludzie, żebyśmy mogli, mam nadzieję, podzielić się miłością, której najwyraźniej w ich życiu brakuje – odparł Cliff.

Następnie głos zabrała Wilma:

– Chcieliśmy przede wszystkim odnaleźć Candace. I ją znaleźliśmy. Nie mogę w tej chwili powiedzieć, że wybaczam człowiekowi, który to zrobił. – Położyła jednak nacisk na słowa „w tej chwili”. – Wszyscy zrobiliśmy kiedyś w życiu coś potwornego, albo przynajmniej czuliśmy taką chęć.

6

Czy Wilma Derksen jest w większym – a może w mniejszym – stopniu bohaterem niż Mike Reynolds? Można czuć pokusę, aby postawić takie pytanie. Byłoby to jednak nie fair: każde z nich działało w jak najlepszych intencjach i wybrało ścieżkę wymagającą ogromnej odwagi.

Różnica między nimi polegała na tym, że mieli inne zdanie na temat tego, co można osiągnąć za pomocą kontroli i władzy. Derksenowie zwalczyli w sobie rodzicielski instynkt odwetu, ponieważ nie byli pewni, co może im to dać. Nie byli przekonani o potędze olbrzymów. Zostali wychowani w tradycji religijnej menonitów. A menonici są pacyfistami i outsiderami. Rodzina Wilmy wyemigrowała z Rosji, gdzie wielu menonitów osiedliło się w XVIII wieku. Podczas rewolucji, która wybuchła w 1917 roku, i w czasach stalinowskich byli brutalnie prześladowani. Całe wioski menonitów znikły z powierzchni ziemi. Setki mężczyzn zesłano na Syberię. Ich gospodarstwa splądrowano i spalono do gołej ziemi. Całe społeczności były zmuszone uciekać do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Derksen pokazała mi zdjęcie swojej ciotecznej babki, zrobione wiele lat temu w Rosji. Powiedziała, że pamięta, jak jej babcia opowiadała o swojej siostrze, patrząc na to zdjęcie i płacząc. Ta cioteczna babka uczyła w szkółce niedzielnej – była osobą, do której dzieci się garnęły. Podczas rewolucji przyszli po nią i dzieci uzbrojeni ludzie i wszystkich zmasakrowali. Wilma opowiadała, jak jej dziadek budził się w środku nocy, bo śniły mu się koszmary o tym, co się działo w Rosji, a potem rano

wstawał i szedł do pracy. Pamiętała, jak jej ojciec postanowił nie pozywać do sądu człowieka, który był mu winien mnóstwo pieniędzy – wolał mu darować. „W to właśnie wierzę i tak właśnie żyjemy” – mawiał.

Niektóre ruchy religijne mają za bohaterów wielkich wojowników albo proroków. Menonici mają Dirka Willemsa, który w XVI wieku został aresztowany za swoje przekonania religijne i wtrącony do więzienia w wieży. Opuścił się z okna po sznurze uplecionym z gałganów i uciekł po skutej lodem fosie. Jeden ze strażników ruszył za nim w pościg. Willems przedostał się bezpiecznie na drugą stronę. Pod strażnikiem załamał się lód i wpadł do przeraźliwie zimnej wody. Willems zatrzymał się, zawrócił i wyciągnął swojego prześladowcę z fosy. Za to okazanie litości został ponownie uwięziony, poddany torturom, a następnie spalony na stosie, gdzie powtarzał 70 razy „O Panie, o mój Boże”[68].

„Uczono mnie, że można sobie inaczej poradzić z niesprawiedliwością – powiedziała Derksen. – Uczyliśmy się w szkole historii prześladowań. Mieliśmy cały ten obraz męczeństwa, sięgający aż XVI wieku. Cała filozofia menonitów opiera się na tym, że wybaczamy i zapominamy”. Dla menonitów przebaczenie stanowi religijny imperatyw: „Wybaczaj tym, którzy grzeszą przeciw tobie”. Jest to jednak także bardzo praktyczna strategia, oparta na przekonaniu, że istnieją granice tego, co mogą osiągnąć formalne mechanizmy kary. Menonici wierzą w krzywą dzwonową.

Mike Reynolds tych granic nie rozumiał. Wierzył, co do zasady, że państwo i prawo mogą wymierzyć sprawiedliwość za śmierć jego córki. W którymś momencie Reynolds zaczął mówić o niesławnej sprawie Jerry’ego DeWayne’a Williamsa, młodego człowieka, który został aresztowany za zabranie kawałka pizzy czwórce dzieci na molo w Redondo Beach, na południe od Los Angeles. Ponieważ Williams miał na koncie pięć

wcześniejszych wyroków za najróżniejsze rzeczy, od napadu przez posiadanie narkotyków po złamanie zasad zwolnienia warunkowego, kradzież kawałka pizzy liczyła się jako jego trzecie przestępstwo. Został skazany na dożywocie z możliwością zwolnienia po 25 latach[69]. Miał dłuższy wyrok niż więzień, z którym dzielił celę, a który był mordercą.

Sprawa Williamsa okazała się początkiem końca krucjaty Mike'a Reynoldsa. Stanowiła dobitny przykład wszystkich problemów związanych z prawem trzech przestępstw. Prawo nie potrafiło dokonać rozróżnienia między złodziejami pizzy a mordercami. Ale Mike Reynolds nigdy nie zrozumiał, dlaczego sprawa Williamsa wywołała tak wielkie oburzenie. Jego zdaniem sprawa była prosta: Williams naruszył fundamentalną zasadę – wielokrotnie złamał obowiązujące w społeczeństwie reguły i tym samym pozbawił się prawa do wolności. „Proszę posłuchać – powiedział mi Reynolds – ci, którzy dostają dożywocie za trzecie przestępstwo, doszli do tego starym, dobrym sposobem: zasłużyli sobie na to". Dla niego liczyło się to, że przykład recydywistów może być nauczką dla innych. „Za każdym razem, kiedy w mediach ukazuje się relacja o jakimś idiocie, który kradnie kawałek pizzy i jest to jego trzecie przestępstwo – ciągnął – przyczynia się bardziej do zahamowania przestępczości w naszym stanie niż cokolwiek innego".

Na początku konfliktu w Irlandii Północnej Brytyjczycy działali w oparciu o tę samą zasadę. Nie można pozwolić ludziom robić bomb, chować po kątach karabinów maszynowych i strzelać do siebie w biały dzień. Żadne społeczeństwo obywatelskie nie przetrwa w takich warunkach. Generał Freeland miał pełne prawo potraktować zbirów i uzbrojonych bandytów twardą ręką.

Freeland nie rozumiał jednak tej samej rzeczy co Reynolds: przychodzi taki moment, w którym wynikające z najlepszych intencji zastosowanie

kontroli i władzy zaczyna odnosić odwrotny skutek. Przeszukanie pierwszego domu w Lower Falls miało sens. Splądrowanie całej dzielnicy tylko pogorszyło sytuację. Do połowy lat siedemdziesiątych każde katolickie mieszkanie w Irlandii Północnej przeszukano średnio dwukrotnie. W niektórych dzielnicach liczba ta sięgała dziesięciu lub więcej. Od 1972 do 1977 roku w Irlandii Północnej jeden na czterech katolików płci męskiej w wieku od 16 do 44 lat został przynajmniej raz aresztowany. Nawet jeśli każdy z nich dopuścił się czegoś nielegalnego, taka surowość nie może przynieść pozytywnych skutków[70].

Tę ostatnią lekcję dotyczącą granic władzy i siły niełatwo przyswoić. Wymaga zaakceptowania przez tych w pozycji władzy, że to, co uważali za swoją największą przewagę – fakt, iż mogli przeszukać tyle domów, ile chcieli, aresztować dowolną liczbę ludzi i trzymać ich w więzieniu tak długo, jak im się podobało – ma istotne ograniczenia. Caroline Sacks stanęła w obliczu podobnej konstatacji, kiedy zdała sobie sprawę, że to, co brała za przewagę, w rzeczywistości stawia ją na słabszej pozycji. Ale czym innym jest przyznanie, że twoje mocne strony mają pewne ograniczenia, kiedy stoi się przed wyborem między szkołą bardzo dobrą a świetną, a czym innym – kiedy trzymałeś swoją córkę za rękę, gdy umierała w szpitalnym łóżku. „Tata potrafi naprawić wszystko, ale kiedy nasza córka została postrzelona, to było coś, czego naprawić nie umiałem” – powiedział Reynolds. Obiecał swojej córce, że wstanie i powie: dość. Trudno go za to winić. Jednak tragedią Mike’a Reynoldsa było to, że spełniając swoją obietnicę, zaszkodził Kalifornii.

Przez te lata wiele osób przyjechało do Fresno, żeby porozmawiać z Reynoldsem o prawie trzech przestępstw: długa droga z Los Angeles na równiny Doliny Kalifornijskiej stała się swoistą pielgrzymką. Reynolds ma w zwyczaju zabierać swoich gości do Daily Planet – restauracji, w której

jadła kolację jego córka, tuż przed tym, jak została zastrzelona po drugiej stronie ulicy. Słyszałem o jednej z takich wizyt, zanim sam odbyłem tę podróż. Reynolds wdał się w sprzeczkę z właścicielką restauracji, która powiedziała mu, żeby przestał oprowadzać tu wycieczki. Szkodził jej interesom. „Kiedy to się skończy?” – zapytała. Reynolds był wściekły. „Jasne, jej restauracji to zaszkodziło – powiedział – ale nam zrujnowało życie. Odparłem, że skończy się, kiedy moja córka do nas wróci”.

Pod koniec wywiadu Reynolds oświadczył, że chce mi pokazać, gdzie została zamordowana jego córka. Nie mogłem się zgodzić. To było dla mnie za dużo. Wtedy Reynolds wyciągnął rękę i położył mi ją na ramieniu.

„Nosi pan portfel? – zapytał. Wręczył mi paszportowe zdjęcie Kimber. – Zostało zrobione na miesiąc przed morderstwem. Może niech pan je włoży do przegródki i pomyśli o tym wszystkim, kiedy będzie pan otwierał portfel. Czasem trzeba takie zdarzenie skojarzyć z twarzą”. Mike Reynolds zawsze już będzie w żałobie. „Ta dziewczyna miała przed sobą całe życie. Kiedy dzieje się coś takiego, kiedy ktoś ją zabija z zimną krwią, ot, tak – to jakaś cholerna bzdura. Po prostu trzeba położyć temu kres”.

7

W 2007 roku do Derksenów zadzwoniła policja. „Przez dwa miesiące odkładałam spotkanie z nimi” – powiedziała Wilma Derksen. O cóż by mogło chodzić? Od zniknięcia Candace minęło 20 lat. Starali się ułożyć sobie życie na nowo. Co dobrego mogło wyniknąć z otwierania starych ran? Wreszcie Derksenowie oddzwonili. Zjawili się policjanci. Oznajmili: „Znaleźliśmy człowieka, który zabił Candace”.

Szopa, w której odnaleziono ciało dziewczynki, była przez wszystkie te lata przechowywana w policyjnym magazynie, a teraz udało się przyporządkować DNA z miejsca zbrodni do mężczyzny nazwiskiem Mark Grant. Mieszkał kiedyś niedaleko Derksenów. Miał na koncie różne

przestępstwa seksualne i większość dorosłego życia spędził w więzieniu. W styczniu 2011 rozpoczął się jego proces.

Derksen mówi, że była przerażona. Nie wiedziała, jak zareaguje. Opłakała już córkę, a teraz wszystko zostanie z powrotem wywleczone na wierzch. Siedziała na sali rozpraw. Grant był opuchnięty, miał ziemistą cerę. Białe włosy. Wyglądał niezdrowo, jak człowiek przegrany. „Strasznie dziwna była jego złość i wrogość wobec nas – stwierdziła Derksen. – Nie wiedziałam, skąd ten gniew, skoro to my powinniśmy być źli na niego. Chyba dopiero pod sam koniec wstępnej rozprawy wreszcie na niego spojrzałam i powiedziałam do siebie: To jest człowiek, który zabił Candace. Pamiętam, jak oboje patrzyliśmy na siebie, i to niedowierzanie: Kim jesteś? Jak mogłeś? Jak można być kimś takim?

Najgorszy był dla mnie ten moment, kiedy… zaraz się rozpłaczę… kiedy… – Urwała i przeprosiła za swoje łzy. – Kiedy uświadomiłam sobie, że związał Candace, i co to oznaczało. Seksualność przyjmuje różne formy, a ja nie zdawałam sobie sprawy… – Znów urwała. – Jestem naiwną menonitką. I uświadomienie sobie, że on czerpał przyjemność ze związania Candace i przyglądania się, jak cierpi, z torturowania jej… Nie wiem, czy to ma sens, ale dla mnie to jest gorsze niż żądza i gwałt. Jest nieludzkie. Potrafię zrozumieć, że pożądanie może pójść w złą stronę. Ale to tutaj to jak zbrodnie Hitlera. Coś potwornego. Najgorszego”.

Abstrakcyjne przebaczenie to jedno. Kiedy Candace została zabita, nie znali mordercy: był kimś bez nazwiska i twarzy. Ale teraz już wiedzieli.

„Jak można wybaczyć komuś takiemu? – ciągnęła Derksen. – Moja historia stała się teraz znacznie bardziej skomplikowana. Musiałam poradzić sobie ze wszystkimi tymi uczuciami w rodzaju: Dlaczego on po prostu nie umrze? Dlaczego ktoś go nie zabije? To niezdrowe. To zemsta. W pewnym sensie byłaby to też zadana jemu tortura, gdybym trzymała jego

los w swoich rękach. Któregoś dnia w kościele trochę mnie poniosło. Byłam z grupą przyjaciół i zaczęłam pomstować na seksualny obłęd, jaki się wiązał z tą sprawą. A następnego dnia rano jedna z tych znajomych zadzwoniła do mnie i zaproponowała, żebyśmy zjadły razem śniadanie. Potem mówi: »Nie, tutaj nie możemy rozmawiać. Musimy pójść do mnie«. Poszłyśmy. Zaczęła opowiadać o swoim uzależnieniu od pornografii i praktyk sadomasochistycznych, takich jak krępowanie partnera. Żyła kiedyś w tym świecie, więc go rozumiała. Opowiedziała mi o tym. A potem przypomniałam sobie, że to moja przyjaciółka, że ją uwielbiam. Pracowałyśmy razem w kościele. Ta cała dysfunkcja, ta strona jej osoby, była przede mną ukryta”.

Rozmawialiśmy już od dłuższego czasu i emocje zaczynały brać górę. Derksen mówiła teraz powoli, cicho. „Bardzo się martwiła – ciągnęła. – Bała się. Widziała moją złość. Zastanawiała się, czy zamknę się w tej złości i skieruję ją na nią. Czy ją odrzucę? – Żeby przebaczyć przyjaciółce, uświadomiła sobie, musi przebaczyć Grantowi. Nie mogła robić wyjątków dla własnej moralnej wygody. – Opierałam się – podjęła. – Podchodziłam do tego z niechęcią. Nie jestem święta. Nie zawsze jestem wielkoduszna. To ostatnia rzecz, jaką chcesz zrobić. Znacznie łatwiej byłoby powiedzieć… – Zacisnęła pięść. – Bo wtedy o wiele więcej ludzi stanęłoby po mojej stronie. Pewnie do tego czasu byłabym już znaną orędowniczką słusznej sprawy. Miałabym za sobą całą organizację”.

Wilma Derksen mogła zostać Mikiem Reynoldsem. Mogła zapoczątkować własną wersję prawa trzech przestępstw. Wybrała inną drogę. „Na początku byłoby łatwiej – stwierdziła – ale później trudniej. Myślę, że straciłabym wtedy Cliffa, straciłabym dzieci. W pewnym sensie robiłabym innym to, co on zrobił Candace”.

Mężczyzna wykorzystuje w swojej żałobie pełną moc władzy i w rezultacie wciąga rząd stanowy w bezowocny i kosztowny eksperyment. Kobieta, która obietnicę władzy odrzuca, znajduje siłę, by wybaczyć – i ocala swoją przyjaźń, małżeństwo i zdrowie psychiczne. Świat stanął na głowie.

---

[61] W praktyce prawo trzech przestępstw oznaczało na przykład następujący scenariusz. Pierwsze przestępstwo (włamanie). Wcześniejsza kara: 2 lata. Obecna kara: 2 lata. Drugie przestępstwo (włamanie). Wcześniejsza kara: 4,5 roku. Obecna kara: 9 lat. Trzecie przestępstwo (paserstwo). Wcześniejsza kara: 2 lata. Obecna kara: dożywocie z możliwością zwolnienia po 25 latach. Inne stany, a także kraje na całym świecie wprowadziły własne wersje prawa trzech przestępstw. Żadna jednak nie posuwała się tak daleko jak wersja kalifornijska.

[62] Dalej Kennedy twierdzi, że jeśli przyjrzymy się faktycznym motywacjom przestępców, odkryjemy, iż kalkulacja ryzyka i korzyści jest procesem „zdecydowanie subiektywnym". Kennedy pisze: „Jeśli chodzi o odstraszający wymiar kary, liczy się to, co istotne dla przestępców i potencjalnych przestępców. Czyli koszty i korzyści, ale w ich rozumieniu i w sensie, w jakim oni je definiują". Natomiast w zakrojonej na szeroką skalę analizie wszystkich ważniejszych badań dotyczących kary kryminolodzy Anthony Doob i Cheryl Marie Webster doszli niedawno do następującego wniosku: „Przegląd dotychczasowych badań – ze szczególnym uwzględnieniem badań z ostatnich dziesięciu lat – prowadzi do uzasadnionej konkluzji, że surowość wyroku nie ma wpływu na poziom przestępczości w społeczeństwie […]. W literaturze przedmiotu ostatnich 25–30 lat nie powstał spójny zbiór opracowań, które by wskazywały, że surowe sankcje mają efekt odstraszający". Doob i Webster mieli na myśli to, że większość krajów rozwiniętych mieści się w środkowej części krzywej. Zamykanie sprawców w wieku, w którym szczyt działalności przestępczej mają już za sobą, oraz grożenie młodszym przestępcom czymś, co ich po prostu nie obchodzi, nie daje szczególnych korzyści.

[63] Clear po raz pierwszy opisał swoją koncepcję w artykule naukowym zatytułowanym *Backfire. When Incarceration Increases Crime* (Niewypał. Sytuacje, w których kara więzienia wzmaga przestępczość). Przedstawił dziesięć argumentów dowodzących, dlaczego wsadzanie do więzienia bardzo dużej liczby ludzi może mieć skutek przeciwny do zamierzonego. Początkowo Clear nie mógł nigdzie tej pracy opublikować. Próbował we wszystkich najważniejszych pismach naukowych z tej dziedziny – żadne nie przyjęło artykułu. Nikt mu nie wierzył, poza środowiskiem pracowników więziennictwa. Clear mówi: „Jednym z mało znanych faktów w tej sferze jest to, że specjaliści od więziennictwa w większości nie uważają, że to, co robią, poprawi sytuację. Próbują

prowadzić humanitarne więzienia, starają się, jak mogą. Ale patrzą, co się dzieje, i są tam, na miejscu. Mówią na przykład: »Moi strażnicy źle traktują osadzonych« albo »Nie zapewniamy więźniom tego, czego potrzebują«. Są tym doświadczeniem naprawdę rozgoryczeni. Mój artykuł krążył wśród nich, jeden przekazywał go drugiemu, aż jakiś facet z Oklahoma Criminal Justice Research Consortium (Naukowego Konsorcjum Sądownictwa Karnego w Oklahomie) zapytał, czy może go opublikować. Odparłem, że oczywiście. Opublikował. I przez dłuższy czas, kiedy wpisało się moje nazwisko do Google'a, to była pierwsza rzecz, która wyskakiwała".

[64] W najprostszym ujęciu teza Cleara brzmi następująco: „Wyrwanie dużej liczby młodych mężczyzn z danego obszaru poprzez wtrącenie ich do więzienia, a następnie ich powrót do tego samego miejsca nie jest zdrowe dla mieszkańców tego obszaru".

[65] Na przykład zgodnie z tym prawem prokurator może wybrać, czy prosić o zastosowanie zasady trzech przestępstw przy skazywaniu zatrzymanych. Niektóre miasta, takie jak San Francisco, korzystają z niej rzadko. Są natomiast okręgi w Dolinie Kalifornijskiej – w okolicy, skąd pochodził Mike Reynolds – gdzie stosowano ją aż 25 razy częściej. Jeśli prawo trzech przestępstw naprawdę zapobiega przestępstwom, powinien istnieć związek między częstotliwością zastosowania tej zasady w danym okręgu a tempem spadku poziomu przestępczości na tym terenie. A takiej zależności nie ma. Jeśli prawo trzech przestępstw rzeczywiście działa odstraszająco, to poziom przestępczości powinien spadać szybciej w wypadku tych przestępstw, które kwalifikują się do zaostrzonych zgodnie z tym prawem kar. A czy tak było? Nie.

[66] W latach osiemdziesiątych Kalifornia wydawała 10 procent budżetu na kształcenie wyższe i 3 procent na więzienia. Po dwóch dekadach obowiązywania prawa trzech przestępstw przeznaczała ponad 10 procent budżetu na więzienia – 50 000 dolarów rocznie na każdą osobę za kratkami – podczas gdy wydatki na edukację spadły poniżej 8 procent.

[67] W listopadzie 2012 roku 68,6 procent kalifornijskich wyborców zagłosowało za przyjęciem Propozycji 36, która mówiła, że recydywista może dostać wyrok dożywocia z możliwością zwolnienia po minimum 25 latach, tylko jeśli jego trzecie przestępstwo ma „poważny lub brutalny" charakter. Propozycja 36 pozwala także osobom skazanym wcześniej w ramach prawa trzech przestępstw odbywającym obecnie wyrok dożywocia apelować o zmianę wyroku, jeśli trzecie przestępstwo nie było poważne.

[68] W książce *Amish Grace* (Łaska amiszów) można przeczytać historię młodej matki, amiszki, której pięcioletni syn został potrącony przez samochód i poważnie ranny. Amisze, tak jak menonici, są spadkobiercami tradycji Dirka Willemsa. Wraz z menonitami cierpieli prześladowania w początkach istnienia ruchu. Podobnych historii jest w tradycji menonickiej i amiskiej bez liku:

Kiedy prowadzący śledztwo policjant kazał kierowcy samochodu [który spowodował wypadek] wsiąść do radiowozu, żeby go zawieźć na badanie na obecność alkoholu we krwi, matka rannego dziecka podeszła do policyjnego auta. Zwróciła się do policjanta, podczas gdy mała córeczka czepiała się jej spódnicy: „Proszę, zajmijcie się tym chłopcem". Zakładając, że kobieta ma na myśli ciężko rannego syna, policjant odparł: „Ratownicy w karetce i lekarz zrobią wszystko, co w ich

mocy. Reszta w rękach Boga”. Matka wskazała podejrzanego na tylnym siedzeniu radiowozu. „Chodziło mi o kierowcę. Wybaczamy mu”.

[69] Williams został zwolniony po kilku latach, po skróceniu mu wyroku przez sędziego, a jego sprawa stała się hasłem przewodnim ruchu skierowanego przeciw prawu trzech przestępstw.

[70] W połowie lat dziewięćdziesiątych IRA organizowała już codzienne wycieczki autobusowe do więzienia pod Belfastem, jakby to był park rozrywki. „Prawie każdy mieszkaniec katolickich gett ma ojca, brata, wujka albo kuzyna, który był kiedyś w więzieniu – napisał politolog John Soule w apogeum konfliktu. – W takiej atmosferze młodzi ludzie nabierają przekonania, że więzienie to raczej powód do dumy niż hańba”.

ROZDZIAŁ 9
ANDRÉ TROCMÉ

„Czujemy się w obowiązku poinformować pana, że znajduje się wśród nas pewna liczba Żydów”.

1 Kiedy w czerwcu 1940 roku Francja skapitulowała, armia niemiecka pozwoliła Francuzom utworzyć rząd w mieście Vichy. Na jego czele stanął francuski bohater pierwszej wojny światowej, marszałek Philippe Pétain, który otrzymał w pełni dyktatorską władzę. Pétain aktywnie kolaborował z Niemcami. Pozbawił Żydów praw. Ograniczył im możliwości zatrudnienia. Uchylając przepisy przeciwko antysemityzmowi, umożliwił organizowanie łapanek francuskich Żydów i wywożenie ich do obozów. Podjął też wiele innych autorytarnych kroków, większych i mniejszych, włącznie z wprowadzeniem wymogu, by każdego ranka uczniowie w szkołach oddawali cześć francuskiej fladze pełnym faszystowskim salutem – wyciągając prawą rękę zwróconą wnętrzem dłoni do dołu. W porównaniu z innymi niedogodnościami okupacji niemieckiej codzienne oddawanie honorów fladze było błahą sprawą. Większość ludzi się dostosowała. Ale nie mieszkańcy miasteczka Le Chambon-sur-Lignon.

Le Chambon to jedna z kilkunastu miejscowości na płaskowyżu Vivarais, w górzystym regionie w południowej Francji, niedaleko granicy z Włochami i Szwajcarią. Zimy są tu mroźne i śnieżne. To odległy zakątek, najbliższe większe miasta leżą w dolinach, wiele kilometrów stąd. Ludność

trudni się głównie rolnictwem, liczne farmy są poprzetykane sosnowymi lasami. Od kilku stuleci w Le Chambon zamieszkiwały różne dysydenckie sekty protestanckie, przede wszystkim hugenoci. Miejscowy hugenocki pastor nazywał się André Trocmé. Był pacyfistą. W niedzielę po kapitulacji Francji wygłosił kazanie w protestanckiej świątyni w Le Chambon. „Naszymi obowiązkami są miłość, przebaczenie i czynienie dobra wobec naszych wrogów – powiedział. – Jednak musimy czynić to tak, aby się nie poddać, aby nie stchórzyć. Będziemy stawiać opór, kiedy tylko nasi przeciwnicy będą wymagać od nas posłuszeństwa sprzecznego z nakazami ewangelii. Będziemy to czynić bez lęku, ale także bez pychy i bez nienawiści”.

Oddawanie honorów reżimowi Vichy za pomocą faszystowskiego salutu stanowiło zdaniem André Trocmégo bardzo dobry przykład „posłuszeństwa sprzecznego z nakazami ewangelii”. Kilka lat wcześniej wraz z drugim pastorem, Édouardem Theis’em, założyli w Le Chambon szkołę, która nazywała się Collège Cévanol. Zdecydowali, że nie będzie w niej masztu z flagą ani żadnych faszystowskich pozdrowień.

Następnie rząd Vichy kazał wszystkim francuskim nauczycielom podpisać przysięgę wierności państwu. Trocmé, Theis i cała kadra Cévanol odmówili. Pétain zarządził, żeby w każdej francuskiej szkole wisiał jego portret. Trocmé i Theis przewrócili oczami. W pierwszą rocznicę ustanowienia reżimu Vichy Pétain rozkazał miastom w całym kraju, by 1 sierpnia w południe rozległy się kościelne dzwony. Trocmé oznajmił kościelnej, Amélie, żeby nie zawracała sobie tym głowy. Dwóch letników z miasteczka przyszło do niej z pretensjami. „Dzwon nie należy do marszałka, tylko do Boga – odparła stanowczo Amélie. – Dzwonimy nim dla Boga, w innych wypadkach – nie”.

Przez całą zimę i wiosnę 1940 roku warunki życia Żydów w całej Europie coraz bardziej się pogarszały. Pewnego dnia do drzwi państwa Trocmé zapukała kobieta. Była przerażona i trzęsła się z zimna. Oświadczyła, że jest Żydówką. Jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Słyszała, że Le Chambon to gościnne miejsce. „A ja zaprosiłam ją do środka – wspominała po latach żona André Trocmégo, Magda. – I tak to się zaczęło”.

Wkrótce w Le Chambon zaczęło pojawiać się coraz więcej żydowskich uchodźców. Trocmé pojechał pociągiem do Marsylii, żeby spotkać się z kwakrem Burnsem Chalmersem. Kwakrzy załatwiali pomoc humanitarną dla obozów internowania, które powstały w południowej Francji. Panowały tam potworne warunki: szczury, wszy, choroby. Tylko w jednym obozie od 1940 do 1944 roku zmarło 1100 Żydów. Wielu z tych, którzy przeżyli, przewieziono w końcu na Wschód i zamordowano w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Kwakrzy potrafili wyciągnąć niektórych – zwłaszcza dzieci – z obozów. Nie mieli jednak dokąd ich wysłać. Trocmé zaproponował Le Chambon. Docierająca do miasteczka w górach strużka uciekinierów nagle zmieniła się w powódź.

Latem 1942 roku Georges Lamirand, minister do spraw młodzieży w rządzie Vichy, przyjechał do Le Chambon z oficjalną wizytą. Pétain chciał, żeby założył w całej Francji obozy młodzieżowe na wzór obozów Hitlerjugend w Niemczech.

Lamirand dotarł w góry ze swoją świtą, ubrany w wytworny granatowy mundur. W planach był bankiet, następnie przemarsz na miejski stadion, gdzie miało się odbyć spotkanie z miejscową młodzieżą, a na koniec oficjalne przyjęcie. Bankiet jednak nie poszedł najlepiej. Jedzenie było takie sobie. Córka Trocmégo „niechcący” oblała Lamiranda zupą. Podczas parady ulice były puste. Na stadionie nic nie przygotowano: dzieci kłębiły

się bezładnie, gapiąc się i popychając nawzajem. Na przyjęciu jeden z mieszkańców wstał i przeczytał fragment z Nowego Testamentu, List do Rzymian, rozdział 13, wers 8: „Nikomu nie bądźcie nic dłużni poza wzajemną miłością. Kto bowiem miłuje bliźniego, wypełnił Prawo”.

A potem do Lamiranda podeszła grupa uczniów i na oczach całego miasteczka wręczyła mu list. Trocmé pomógł im go napisać. Kilka tygodni wcześniej w Paryżu policja Vichy aresztowała na polecenie nazistów 12 000 Żydów. Przetrzymywano ich w potwornych warunkach na krytym torze kolarskim, Vélodrome d’Hiver, na południu Paryża, skąd byli wywożeni do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Le Chambon, jak pokazały dzieci, nie chciało mieć z tym nic wspólnego. „Panie Ministrze” – zaczynał się list:

> Dowiedzieliśmy się o przerażających wydarzeniach, które rozegrały się trzy tygodnie temu w Paryżu, kiedy francuska policja, na mocy rozkazów okupanta, aresztowała wszystkie paryskie żydowskie rodziny, wtargnąwszy do ich domów, aby przetrzymywać je na Vél d’Hiv. Ojców oddzielono siłą od rodzin i wywieziono do Niemiec. Dzieci oddzielono od matek, które spotkał ten sam los co ich mężów […]. Obawiamy się, że takie metody deportacji Żydów zostaną wkrótce zastosowane w strefie południowej.
>
> Czujemy się w obowiązku poinformować pana, że znajduje się wśród nas pewna liczba Żydów. Jednak my nie dzielimy ludzi na Żydów i nie-Żydów. Jest to bowiem sprzeczne z nauczaniem ewangelii.
>
> Gdyby nasi towarzysze, których jedyną winą jest to, że urodzili się w innej religii, otrzymali rozkaz poddania się deportacji lub choćby przesłuchaniu, nie zastosowaliby się do tego rozkazu, a my postaralibyśmy się ich jak najlepiej ukryć.

Mamy Żydów. Nie dostaniecie ich.

2 Dlaczego naziści nie zjawili się w Le Chambon i nie ukarali przykładnie jego mieszkańców? Liczba uczniów w założonej przez André Trocmégo i Theis'a szkole wzrosła z 18 w przededniu wojny do 350 w 1944 roku. Nie trzeba było geniusza dedukcji, żeby zorientować się, kim było tych 332 dodatkowych dzieci. Miasteczko nie ukrywało też specjalnie, co robi. „Czujemy się w obowiązku poinformować pana, że znajduje się wśród nas pewna liczba Żydów". Jedna z zajmujących się pomocą humanitarną kobiet opisywała, jak parę razy w miesiącu przyjeżdżała tu pociągiem z Lyonu z kilkanaściorgiem żydowskich dzieci. Zostawiała je w hotelu May koło stacji, po czym chodziła po mieście, aż znalazła dla nich wszystkich domy. We Francji pod rządami Vichy transportowanie i ukrywanie żydowskich uchodźców było całkowicie nielegalne. Podczas wojny naziści zdążyli już zademonstrować, że nie są skłonni do pojednawczych działań w kwestii Żydów. W pewnym momencie policja Vichy założyła posterunek w Le Chambon i przez trzy tygodnie żandarmi przetrząsali miasto i okolicę w poszukiwaniu żydowskich uchodźców. Zdołali aresztować tylko dwie osoby – z których jedną potem wypuścili. Dlaczego nie zgarnęli całego miasta i nie wywieźli wszystkich do Auschwitz?

Philip Hallie, który napisał najpełniejszą historię Le Chambon, twierdzi, że pod koniec wojny miasteczko było chronione przez majora Juliusa Schmehlinga, wysokiego urzędnika Gestapo w regionie. Także w miejscowej policji Vichy pracowało wiele życzliwie nastawionych do sprawy osób. Czasem w środku nocy do André Trocmégo dzwonił telefon z ostrzeżeniem o planowanym na następny dzień nalocie. Kiedy indziej zjawiał się oddział lokalnej policji, żeby sprawdzić doniesienia o ukrytych

uchodźcach. Policjanci najpierw udawali się do miejscowej kawiarni, gdzie bardzo długo pili kawę, żeby uprzedzić mieszkańców o swoich zamiarach. Niemcy mieli dość innych kłopotów, zwłaszcza od 1943 roku, kiedy zaczęli obrywać na froncie wschodnim. Może nie chcieli wdawać się w przepychanki z kłótliwymi i gburowatymi góralami.

Jednak najlepszym wyjaśnieniem jest to, o którym cały czas mowa w tej książce – że rozprawienie się z całym miastem, narodem lub ruchem nigdy nie jest tak proste, na jakie wygląda. Potężni nie są tak potężni, jak się wydają – ani słabi – tak słabi. Hugenoci z Le Chambon byli potomkami pierwszych francuskich protestantów, których już wcześniej próbowano się pozbyć raz na zawsze – bez powodzenia. Hugenoci zerwali z Kościołem katolickim w czasach reformacji, co w oczach francuskiego państwa czyniło z nich wyjętych spod prawa. Kolejni królowie usiłowali ich zmusić do powrotu na łono Kościoła. Ruch hugenocki został zdelegalizowany. Dochodziło do łapanek i rzezi. Tysiące mężczyzn posłano na szubienicę. Kobiety skazywano na dożywotnie więzienie. Dzieci umieszczano w katolickich rodzinach zastępczych, żeby wykorzenić ich wiarę. Terror trwał przez ponad 100 lat. Pod koniec XVII wieku 200 000 hugenotów uciekło z Francji do innych krajów Europy i do Ameryki Północnej. Ta garstka, która została, zeszła do podziemia. Odprawiali nabożeństwa potajemnie, w odległych lasach. Schronili się w górskich wioskach na płaskowyżu Vivarais. Utworzyli seminarium w Szwajcarii i przemycali duchownych przez granicę. Nauczyli się sztuki uników i maskowania. Zostali i przekonali się – tak jak londyńczycy w czasie nalotów – że tak naprawdę się nie boją. Bali się tylko samego strachu[71].

„Ludzie z naszej wioski wiedzieli już, czym są prześladowania – powiedziała Magda Trocmé. – Często opowiadali o swoich przodkach. Minęło wiele lat i zdążyli zapomnieć, ale kiedy przyszli Niemcy,

przypomnieli sobie i potrafili zrozumieć, co znaczą prześladowania Żydów, może lepiej niż ludzie w innych wioskach, bo mieli już pewne przygotowanie”. Kiedy w progu ich domu pojawiła się pierwsza uciekinierka, Magdzie Trocmé nie przyszło nawet do głowy, żeby powiedzieć „nie”. „Nie wiedziałam, że to będzie niebezpieczne. Nikt o tym nie myślał”. Nie wiedziałam, że to będzie niebezpieczne? Nikt o tym nie myślał? W całej Francji ludzie myśleli wyłącznie o tym, jak niebezpieczne zrobiło się życie. Jednak mieszkańcy Le Chambon byli ponad to. Załatwili fałszywe papiery pierwszym żydowskim uchodźcom, którzy tam dotarli – nic trudnego dla ludzi pochodzących ze społeczności, która przez 100 lat taiła przed rządem swoje prawdziwe przekonania. Ukryli Żydów tam, gdzie od pokoleń ukrywali uchodźców, i przerzucali ich przez granicę do Szwajcarii tymi samymi szlakami, z których korzystali od 300 lat. Magda Trocmé ciągnęła: „Czasem ludzie pytają mnie: Jak podjęliście decyzję? Nie było żadnej decyzji do podejmowania. Tylko prosta kwestia: czy myślisz, że wszyscy jesteśmy braćmi, czy nie? Czy uważasz, że wydanie Żydów jest niesprawiedliwe, czy nie? No to spróbujmy pomóc!”.

Usiłując pozbyć się hugenotów, Francuzi stworzyli w swoim własnym kraju ognisko oporu, którego nie dało się ugasić.

André Trocmé powiedział kiedyś: „Jak naziści mogliby kiedykolwiek wyczerpać siłę takich ludzi?”.

3

André Trocmé urodził się w 1901 roku. Był wysoki, mocno zbudowany, miał długi nos i przenikliwe niebieskie oczy. Pracował bez ustanku, przemierzając Le Chambon wzdłuż i wszerz. Jego córka Nelly pisze, że „poczucie obowiązku emanowało z niego wszystkimi porami”. Uważał się za pacyfistę, ale w nim samym trudno było dostrzec umiłowanie spokoju. On i jego żona Magda słynęli z pyskówek. Często

mówiono o nim: *un violent vaincu par Dieu* – agresywny człowiek pokonany przez Boga. „Niech przeklęty będzie ten, kto zaczyna w łagodności – napisał w swoim dzienniku. – Skończy w nijakości i tchórzostwie i nigdy nie wejdzie w wielki, wyzwalający prąd chrześcijaństwa”.

Pół roku po wizycie ministra Lamiranda Trocmé i Theis zostali aresztowani i zesłani do obozu internowania (gdzie, jak pisze Hallie, „zabrano im rzeczy osobiste i zmierzono nosy, żeby stwierdzić, czy są, czy nie są Żydami”). Po miesiącu usłyszeli, że zostaną wypuszczeni, ale tylko pod warunkiem, że przysięgną, iż będą „wypełniać bez zastrzeżeń rozkazy wydawane przez władze rządowe, dla bezpieczeństwa Francji i dla dobra narodowej rewolucji marszałka Pétaina”. Trocmé i Theis odmówili. Komendant obozu podszedł do nich z niedowierzaniem. Większość przetrzymywanych w obozie miała skończyć w komorach gazowych. W zamian za podpisanie się na kawałku papieru, pod patriotyczną formułką, ci dwaj mieli dostać darmowy bilet do domu.

„Co to ma znaczyć? – krzyknął do nich komendant. – W tej przysiędze nie ma niczego, co byłoby sprzeczne z waszym sumieniem! Marszałek pragnie wyłącznie dobra Francji!”

„Przynajmniej w jednym punkcie nie zgadzamy się z marszałkiem – odparł Trocmé. – Wydaje Żydów Niemcom. Kiedy wrócimy do domu, z pewnością nadal będziemy temu przeciwni i w dalszym ciągu nie będziemy posłuszni rozkazom rządu. Jak moglibyśmy to podpisać?”

Wreszcie władze obozu się poddały i odesłano ich do domu.

Jakiś czas później, kiedy Gestapo nasiliło kontrolę Le Chambon, Trocmé i Theis musieli uciekać. Theis zaczął działać w podziemiu i przez resztę wojny przeprowadzał Żydów przez Alpy do Szwajcarii. („Nie było to rozsądne – powiedział Halliemu o swojej decyzji. – Ale i tak musiałem to

zrobić”). Trocmé przenosił się z miasta do miasta, miał lewe papiery. Mimo środków ostrożności został aresztowany w łapance na dworcu kolejowym w Lyonie. Potwornie się zdenerwował – nie tylko perspektywą, że zostanie odkryty, ale przede wszystkim kwestią tego, co zrobić z fałszywymi dokumentami. Hallie pisze:

> Miał dowód na nazwisko Béguet, a na pewno zamierzali go spytać, czy rzeczywiście się tak nazywa. Wtedy musiałby skłamać, aby ukryć swoją tożsamość. Jednak kłamać nie chciał, nie był w stanie. Uciekanie się do kłamstwa, szczególnie w celu ratowania własnej skóry, było „ześlizgiwaniem się w stronę takich kompromisów, do których zawierania Bóg mnie nie wzywał” – napisał w autobiograficznej relacji z tego zajścia. Posługiwanie się fałszywymi dokumentami, żeby ratować życie innym – czy nawet sobie – to jedno, ale stanąć przed drugim człowiekiem i kłamać mu prosto w oczy tylko po to, by przeżyć, to zupełnie co innego.

Czy rzeczywiście istnieje moralna różnica między wypisaniem fałszywego nazwiska na dowodzie osobistym a podaniem tego nazwiska policjantowi? Być może nie. Trocmé podróżował wtedy z jednym ze swoich synów, jeszcze dzieckiem. Nadal był zaangażowany w ukrywanie uchodźców. Innymi słowy, istniało mnóstwo okoliczności łagodzących, usprawiedliwiających posłużenie się kłamstwem.

Nie o to tu jednak chodzi. Trocmé był człowiekiem pozbawionym ugodowości, w tym samym pozytywnym sensie, w jakim brakowało jej Jayowi Freireichowi, Wyattowi Walkerowi czy Fredowi Shuttlesworthowi. A piękno takich nieugodowych ludzi tkwi w tym, że oni nie przeprowadzają takich kalkulacji jak reszta z nas. Walker i Shuttlesworth nie mieli nic do stracenia. Jeśli podłożono bombę pod twój dom, Ku Klux Klan otoczył twój

samochód i okładał cię pięściami, czy może być dużo gorzej? Jayowi Freireichowi kazano zrezygnować z eksperymentalnych kuracji i ostrzegano, że kładzie swoją karierę na szali. Koledzy go opuścili. Trzymał umierające dzieci w objęciach i wbijał im grubą igłę w piszczel. Ale miał już za sobą gorsze doświadczenia. Hugenoci, którzy na pierwszym miejscu stawiali własny interes, już dawno nawrócili się na jakąś inną wiarę, poddali się albo wynieśli gdzieś daleko. Tym, którzy wytrwali, zostały upór i nieposłuszeństwo.

Funkcjonariusz, który aresztował André Trocmégo, w końcu nie poprosił go o dokumenty. Trocmé przekonał policjantów, żeby zabrali go z powrotem na dworzec, gdzie czekał na niego syn, a jemu udało się wymknąć bocznym wyjściem. Gdyby jednak zapytano, czy nazywa się Béguet, już zdecydował, że powiedziałby prawdę: „Nie jestem monsieur Béguet. Jestem pastor André Trocmé”. Było mu wszystko jedno. Jak Goliat ma pokonać kogoś, kto myśli w ten sposób? Mógłby go zabić, oczywiście. Byłby to jednak tylko wariant tego samego podejścia, które okazało się spektakularnym niewypałem w wypadku konfliktu w Irlandii Północnej i prawa trzech przestępstw w Kalifornii. Przesadne użycie siły prowadzi do kwestionowania legitymizacji władzy, a siła bez legitymizacji prowadzi do nieposłuszeństwa, nie do podległości. Można by zabić André Trocmégo. Najprawdopodobniej jednak dałoby to tyle, że na jego miejscu pojawiłby się następny.

Kiedy Trocmé miał dziesięć lat, pewnego dnia jechał z rodziną samochodem do ich domu na wsi. Siedział z tyłu razem z dwoma braćmi i kuzynem. Rodzice – z przodu. Ojciec, który prowadził, zdenerwował się na wlokący się przed nimi samochód i zaczął go wyprzedzać. „Paul, Paul, nie tak szybko. Będzie wypadek!” – krzyknęła matka. Ojciec stracił panowanie nad kierownicą, auto wpadło w poślizg i zjechało z drogi. Mały

André wyczołgał się z wraku. Ojcu, braciom i kuzynowi nic się nie stało. Matka zginęła. Zobaczył jej nieruchome ciało leżące dziesięć metrów dalej. Stawienie czoła gestapowcowi bladło w porównaniu z patrzeniem na jej zwłoki na poboczu. Wiele lat później Trocmé napisał w liście do swojej nieżyjącej matki:

> Jeśli tak bardzo grzeszyłem, jeśli byłem od tamtej pory dojmująco samotny, jeśli moja dusza wirowała w samotności, jeśli we wszystko wątpiłem, jeśli byłem fatalistą i pesymistą codziennie czekającym na śmierć, niemalże jej szukającym, jeśli powoli i późno otworzyłem się na szczęście i jeśli wciąż jestem człowiekiem ponurym, niepotrafiącym śmiać się całym sercem, to dlatego, że opuściłaś mnie wtedy, 24 czerwca, na tamtej drodze.
>
> Jeśli jednak wierzyłem i wierzę w prawdy wieczne […], jeśli rzuciłem się w ich kierunku, to także dlatego, że byłem sam, bo zabrakło ciebie, byś była moim Bogiem, byś wypełniała moje serce swoim bujnym, dominującym życiem.

To nie uprzywilejowani, nie ci, do których uśmiecha się los, dali schronienie Żydom we Francji. Przyjęli ich pod swój dach ci odsunięci na margines i pokrzywdzeni, co powinno nam przypominać, że zło i nieszczęście mają ograniczoną moc. Jeśli zabierzemy dar czytania, stworzymy dar słuchania. Jeśli zbombardujemy miasto, spowodujemy śmierć i zniszczenie. Stworzymy jednak także społeczność ludzi zahartowanych zagrożeniem pośrednim. Jeśli zabierzemy dziecku matkę lub ojca, wywołamy cierpienie i rozpacz. Ale w jednym przypadku na dziesięć z tej rozpaczy powstaje niezłomna siła. Widzimy olbrzyma i pasterza w dolinie Elah i nasz wzrok przyciąga wojownik z mieczem, tarczą, w lśniącej zbroi. Jednak wiele z tego, co na świecie piękne i cenne,

pochodzi od tego pasterza, który ma więcej siły i determinacji, niż sobie wyobrażamy.

Najstarszy syn Magdy i André miał na imię Jean-Pierre. Był wrażliwym, utalentowanym nastolatkiem. André Trocmé był z nim blisko związany. Pewnego wieczoru pod koniec wojny cała rodzina poszła na wieczór poetycki, na którym przedstawiano *Balladę wisielców* Villona. Następnego dnia państwo Trocmé wrócili do domu z kolacji i znaleźli Jean-Pierra powieszonego w łazience. André wybiegł w las, krzycząc: „Jean-Pierre! Jean-Pierre!”. Później napisał:

> Nawet dziś noszę w sobie śmierć, śmierć mojego syna, i jestem jak sosna, której odrąbano wierzchołek. Sosnom wierzchołki nie odrastają. Drzewa pozostają poskręcane, okaleczone.

Musiał jednak zawahać się, kiedy pisał te słowa, bo wszystko, co zdarzyło się w Le Chambon, wskazywało, że to jeszcze nie cała historia. Dalej dopisał:

> Może stają się grubsze, mocniejsze i właśnie to dzieje się ze mną.

---

[71] Historyczka Christine van der Zanden nazywa te tereny „płaskowyżem gościnności”. Region był od dawna znany z przyjmowania uchodźców. W 1790 roku francuskie Zgromadzenie Narodowe uchwaliło, że cały kler katolicki musi, pod groźbą więzienia, złożyć ślubowanie wierności państwu, podporządkowując Kościół rządowi. Ci, którzy odmówili podpisania przysięgi, uciekli. Dokąd wielu z nich się udało? Na płaskowyż Vivarais, do społeczności już dobrze wyćwiczonej w sztuce nieposłuszeństwa. Liczba odszczepieńców rosła. Podczas pierwszej wojny światowej mieszkańcy płaskowyżu przyjmowali do siebie uchodźców. Podczas hiszpańskiej wojny domowej – ludzi uciekających przed faszystowską armią generała Franco. A w początkach nazistowskiego terroru – socjalistów i komunistów z Austrii i Niemiec.

PODZIĘKOWANIA

Przy pisaniu tej książki nieocenioną pomocą służyło mi wiele osób, które hojnie dzieliły się ze mną swoją mądrością: moi rodzice; moja agentka Tina Bennett; mój redaktor z „New Yorkera” Henry Finder; Geoff Shandler, Pamela Marshall i cały zespół z wydawnictwa Little, Brown; Helen Conford z wydawnictwa Penguin w Anglii; oraz zbyt wielu moich przyjaciół, by wszystkich ich tu wymienić. Należą do nich między innymi: Charles Randolph, Sarah Lyall, Jacob Weisberg, Lyntonowie, Terry Martin, Tali Farhadian, Emily Hunt i Robert McCrum. Specjalne podziękowania dla moich weryfikatorek i resercherek Jane Kim i Carey Dunne, a także dla konsultanta teologicznego Jima Loeppa Thiessena z Gathering Church w Kitchener w Ontario. Oraz dla Billa Phillipsa, jak zawsze. Jesteś maestrem.

PRZYPISY

WSTĘP. GOLIAT

Literatura naukowa dotycząca bitwy Dawida z Goliatem jest bardzo bogata. Jedno ze źródeł: J.A. Beck, *David and Goliath, a Story of Place. The Narrative-Geographical Shaping of 1 Samuel 17*, „Westminster Theological Journal” 2006, nr 68, s. 321–330.

Relacja Klaudiusza Kwadrygariusza o walce jeden na jednego pochodzi z książki R. Cowana *For the Glory of Rome*, London 2007, s. 140. Nikt w czasach starożytnych nie wątpiłby w przewagę taktyczną Dawida, kiedy już by się okazało, że jest znakomitym procarzem. Tak o procarzach pisze rzymski historyk Wegecjusz (*De re militari*, księga I):

> Rekrutów szkoli się w sztuce miotania kamieni, zarówno za pomocą ręki, jak i procy. Wynalazcami proc są ponoć mieszkańcy Balearów, którzy mieli posługiwać się nimi ze zdumiewającą zręcznością, a to dzięki sposobowi, w jaki wychowywano u nich dzieci. Matki podawały dzieciom jedzenie dopiero, kiedy te najpierw trafiły w potrawę z procy. Żołnierzom, mimo zbroi ochronnych, często okrągłe kamienie wypuszczane z procy zdają się bardziej uprzykrzone niż wszystkie strzały wroga. Kamienie

> zabijają, nie okaleczając ciała, uderzenie jest śmiertelne, nie powodując utraty krwi. Wiadomo powszechnie, iż starożytni korzystali z procarzy we wszystkich potyczkach. Wyszkolenie wszystkich oddziałów bez wyjątku w tej umiejętności jest tym bardziej zasadne, że procy nie można uznać za żadne obciążenie, często zaś jest nad wyraz przydatna, zwłaszcza kiedy potyczka następuje w terenie skalistym, gdy broni się góry lub wzniesienia, bądź odpiera atak wroga na zamek lub miasto.

Tekst M. Garsiela *The Valley of Elah Battle and the Duel of David with Goliath. Between History and Artistic Theological Historiography* ukazał się jako rozdział książki *Homeland and Exile*, Leiden 2009.

B. Halpern omawia użycie proc w książce *David's Secret Demons*, Grand Rapids 2001, s. 11.

Obliczenia E. Hirscha pochodzą z artykułu: E. Hirsch, J. Cuadros, J. Backofen, *David's Choice. A Sling and Tactical Advantage*, „International Symposium on Ballistics", 21–24 maja 1995. Roi się w nim od akapitów w rodzaju:

> Eksperymenty ze zwłokami oraz hybrydowymi modelami symulacyjnymi wskazują, że energia uderzeniowa o wartości 72 J wystarcza do perforacji czaszki (ale nie do przejścia pocisku na wylot), kiedy uderzenie za pomocą stalowego pocisku o średnicy 6,35 mm trafia w część ciemieniową czaszki z prędkością 370 m/s. Pocisk nie musi przebić czaszki, wystarczy, że zmiażdży część kości czołowej, by doszło do wgniecenia kości czaszki

> (w najlepszym wypadku) lub by uderzenie prowadziło do utraty przytomności. Taka siła uderzeniowa powoduje napięcie w naczyniach krwionośnych i tkankach mózgu przy uderzeniu w przednią część czaszki […], ponieważ ruch mózgu spowalnia ruch czaszki. Do uzyskania tych dwóch efektów wystarczy znacznie niższa energia uderzeniowa, rzędu 20 do 40 J.

Hirsch przedstawił swoją analizę na sympozjum naukowym. W mailu do mnie dodał:

> Dzień po wykładzie przyszedł do mnie jeden z uczestników i powiedział, że w potoku na terenie, gdzie odbywał się pojedynek, można znaleźć kamienie z barytu (siarczanu baru), który ma gęstość 4,2 g/cm^3 (dla porównania: znajdowane zwykle kamienie mają gęstość 2,4 g/cm^3). Jeśli Dawid rzucił w Goliata jednym z nich, dawało mu to znaczącą dodatkową przewagę poza tym, co pokazują obliczenia w tabelach.

Artykuł R. Dohrenwenda *The Sling. Forgotten Firepower of Antiquity* w: „Journal of Asian Martial Arts” 2002, nr 2 (11), jest bardzo dobrym wprowadzeniem do zagadnienia procy jako broni.

Esej M. Dajana o Dawidzie i Goliacie, *Spirit of the Fighters*, ukazał się w: „Courageous Actions – Twenty Years of Independence” 1968, nr 11, s. 50–52.

Sugestia, że Goliat cierpiał na akromegalię, po raz pierwszy pojawiła się najprawdopodobniej w: C.E. Jackson, P.C. Talbert, H.D. Caylor, *Hereditary*

Hyperparathyroidism, „Journal of the Indiana State Medical Association” 1960, nr 53, s. 1313–1316, a następnie w liście D. Rabina i P. Rabin do „New England Journal of Medicine” z 20 października 1983. Później szereg innych specjalistów od medycyny doszło do tego samego wniosku. W liście S. Sprechera do pisma „Radiology” z lipca 1990 czytamy:

> Niewątpliwie wielkie rozmiary ciała Goliata wynikały z akromegalii, będącej skutkiem ubocznym gruczolaka przysadki mózgowej. Ten guz był najwyraźniej wystarczająco duży, by wywoływać zaburzenia pola widzenia poprzez ucisk na skrzyżowanie wzrokowe, w związku z czym nie był w stanie śledzić ruchów Dawida, kiedy ten go okrążał. Kamień wszedł w sklepienie czaszki Goliata przez wyraźnie cieńszą kość czołową, co wynikało z powiększenia czołowej zatoki przynosowej, często występującego przy akromegalii. Kamień utkwił w powiększonej przysadce mózgowej Goliata i wywołał w niej krwotok, co doprowadziło do wgłobienia mózgu i śmierci.

Najpełniejszą relację o dolegliwości Goliata przedstawił izraelski neurolog V. Berginer. To Berginer podkreśla, że giermek niosący tarczę Goliata jest czymś podejrzanym. Zob. V. Berginer, C. Cohen, *The Nature of Goliath’s Visual Disorder and the Actual Role of His Personal Bodyguard*, „Ancient Near Eastern Studies” 2006, nr 43, s. 27–44. Berginer i Cohen piszą: „Przypuszczamy zatem, że określenie »giermek« było pierwotnie używane przez Filistynów jako honorowy eufemistyczny tytuł określający osobę, która służyła Goliatowi jako przewodnik niedowidzącego, aby nie pomniejszać wojskowej renomy bohaterskiego wojownika. Mogli więc równie dobrze dać temu przewodnikowi tarczę, żeby zakamuflować jego prawdziwą funkcję!”.

ROZDZIAŁ 1. VIVEK RANADIVÉ

Książka I. Arreguína-Tofta o zwycięzcach startujących z przegranej pozycji to: *How the Weak Win Wars*, New York 2006.

Historia niekonwencjonalnych działań wojskowych W.R. Polka to *Violent Politics. A History of Insurgency, Terrorism, and Guerrilla War, from the American Revolution to Iraq*, New York 2008.

ROZDZIAŁ 2. TERESA DEBRITO

Najbardziej chyba znanym badaniem wpływu zmniejszenia liczebności klas był projekt STAR (Student-Teacher Achievement Ratio – „Liczebność klas a wyniki nauczania") realizowany w Tennessee w latach osiemdziesiątych. W ramach STAR 6000 uczniów przypisano losowo do małej lub dużej klasy, a następnie śledzono ich postępy w nauce przez całą szkołę podstawową. Badanie pokazało, że dzieci w mniejszych klasach mają lepsze wyniki niż te w klasach bardziej licznych, w niewielkim, ale istotnym stopniu. Kraje oraz stany w USA, które wydały później miliardy dolarów na redukcję liczebności klas, zrobiły to w dużej mierze pod wpływem wyników STAR. Jednak badanie to było dalekie od doskonałości. Istnieją na przykład mocne dowody na wyjątkowo duży przepływ uczniów między dużymi i małymi klasami. Wydaje się, że wielu ambitnym rodzicom mogło udać się przenieść dzieci do małych klas – a uczniowie osiągający gorsze wyniki mogli zostać z tych klas usunięci. Jeszcze bardziej problematyczne jest to, że badanie nie było ślepą próbą. Nauczyciele mniejszych klas wiedzieli, że to ich klasy będą sprawdzane. Normalnie

wyniki takich „nieślepych” eksperymentów są w nauce podawane w wątpliwość. Przekonującą krytykę projektu STAR można znaleźć w: E. Hanushek, *Some Findings from an Independent Investigation of the Tennessee STAR Experiment and from Other Investigations of Class Size Effects*, „Educational Evaluation and Policy Analysis” 1999, nr 2(21), s. 143–163. „Naturalny” eksperyment, który przeprowadziła Hoxby, jest znacznie cenniejszy. Więcej o jej wynikach w: C. Hoxby, *The Effects of Class Size on Student Achievement. New Evidence from Population Variation*, „Quarterly Journal of Economics” 2000, nr 4(115), s. 1239–1285. Więcej o liczebności klas w: E. Hanushek, *The Evidence on Class Size*, Rochester 1998; E. Hanushek, A. Lindseth, *Schoolhouses, Courthouses and Statehouses. Solving the Funding-Achievement Puzzle in America's Public Schools*, Princeton 2009, s. 272; L. Wössmann, M.R. West, *Class-Size Effects in School Systems Around the World. Evidence from Between-grade Variation in TIMSS*, „European Economic Review”, 26 marca 2002.

Badania dotyczące związku między pieniędzmi a szczęściem: D. Kahneman, A. Deaton, *High Income Improves Evaluation of Life but Not Emotional Well-Being*, „Proceedings of the National Academy of Sciences” 2010 (sierpień), nr 38(107), s. 107. B. Schwartz i A. Grant omawiają szczęście, posługując się krzywą dzwonową, w: *Too Much of a Good Thing. The Challenge and Opportunity of the Inverted U*, „Perspectives on Psychological Science” 2011, nr 1(6), s. 61–76.

W artykule *Using Maimonides' Rule to Estimate the Effect of Class Size on Scholastic Achievement* w „Quarterly Journal of Economics” z maja 1999 J. Angrist i V. Lavy zauważają: „Warto także zastanowić się, czy wyniki dotyczące Izraela można przekładać na Stany Zjednoczone i inne kraje

rozwinięte. Poza różnicami kulturowymi i politycznymi Izrael ma niższy standard życia i mniejsze wydatki na oświatę w przeliczeniu na jednego ucznia niż Stany Zjednoczone i niektóre kraje OECD. Poza tym, jak już wspomniano, liczebność klas w Izraelu jest wyższa niż w szkołach Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanady. Zatem przedstawione tutaj wyniki mogą stanowić dowód na marginalne zyski z redukcji liczebności klas dotyczące zakresu liczebności rzadko występującego w amerykańskich szkołach".

Związek między piciem alkoholu a zdrowiem jako krzywa dzwonowa: A. Di Castelnuovo i in., *Alcohol Dosing and Total Mortality in Men and Women. An Updated Meta-Analysis of 34 Prospective Studies*, „Archives of Internal Medicine" 2006, nr 22(166), s. 2437–2445.

Jesse Levin pisze o swoich badaniach dotyczących związku między liczebnością klas a wynikami w nauce w: *For Whom the Reductions Count. A Quantile Regression Analysis of Class Size and Peer Effects on Scholastic Achievement*, „Empirical Economics" 2001, nr 26, s. 221. Obsesja na punkcie małych klas ma realne konsekwencje. Wszyscy badacze oświaty zgadzają się co do tego, że znacznie bardziej od liczebności klasy liczy się jakość nauczyciela. Świetny nauczyciel może nauczyć dziecko materiału przewidzianego na półtora roku w rok. Nauczyciel mniej niż przeciętny może w rok nauczyć materiału przewidzianego na pół roku. To rok różnicy w nauce – w ciągu jednego roku. Co sugeruje, że znacznie lepsze efekty przyniosłoby skupienie się na nauczycielu niż na liczbie uczniów siedzących w klasie. Problem w tym, że świetnych nauczycieli jest niewielu. Po prostu nie ma wystarczającej liczby ludzi dysponujących

złożonym zestawem specjalistycznych umiejętności koniecznych do inspirowania do nauki dużych grup dzieci – rok w rok.

Co zatem powinniśmy robić? Zwalniać kiepskich nauczycieli. Albo ich szkolić, aby poprawili swoje wyniki. Albo płacić więcej najlepszym nauczycielom w zamian za uczenie większej liczby dzieci. Albo podnieść prestiż zawodu nauczyciela, aby przyciągnąć więcej osób mających wyjątkowe zdolności do jego wykonywania. Ostatnią rzeczą, którą powinniśmy robić w odpowiedzi na problem zbyt dużej liczby marnych nauczycieli i niewystarczającej liczby dobrych nauczycieli, jest zwiększenie ogólnego zatrudnienia w tej grupie zawodowej. Jednak tak właśnie postąpiło w ostatnich latach wiele krajów uprzemysłowionych w związku z obsesją na punkcie zmniejszania liczebności klas. Warto także zauważyć, że nic nie kosztuje tyle, ile redukcja tej liczebności. Zatrudnienie dodatkowych nauczycieli oraz stworzenie klas, w których będą uczyć, jest tak kosztowne, że pozostaje niewiele pieniędzy na wynagrodzenia. W efekcie pensje nauczycieli, w porównaniu z zarobkami w innych zawodach, w ciągu ostatnich 50 lat stale spadały.

W poprzednim pokoleniu amerykański system oświaty postanowił nie postępować według zasady: znajdźmy najlepszych nauczycieli, dajmy im dużo dzieci do uczenia i więcej im za to zapłaćmy – co byłoby dla dzieci najkorzystniejsze. Zdecydował, że będzie zatrudniać każdego nauczyciela, jaki mu wpadnie w ręce, i płacił mu mniej. Wzrost wydatków na edukację publiczną w ciągu XX wieku w Stanach Zjednoczonych był ogromny: od 1890 do 1990 roku podniosły się one z 2 miliardów do 187 miliardów dolarów (według niezmiennego kursu dolara), przy czym wzrost był najszybszy pod koniec stulecia. W większości te pieniądze wydano na zatrudnienie większej liczby nauczycieli, aby można było zmniejszyć klasy. W latach 1970–1990 stosunek liczby uczniów do kadry w amerykańskich

szkołach publicznych spadł z 20,5 do 15,4, a koszty zatrudnienia wszystkich tych dodatkowych nauczycieli stanowiły lwią część dziesiątków miliardów dolarów dodatkowych pieniędzy wydanych w tych latach na edukację.

Dlaczego tak się stało? Można to tłumaczyć polityką oświaty – siłą związków zawodowych nauczycieli i osobliwościami sposobu finansowania szkół. Nie jest to jednak w pełni zadowalające wyjaśnienie. Nikt nie zmuszał Amerykanów – ani Kanadyjczyków, ani Brytyjczyków, ani Francuzów i tak dalej – do wydawania tych pieniędzy na zmniejszanie liczebności klas. Wszyscy chcieli, żeby klasy były mniejsze. Dlaczego? Ponieważ ludziom i krajom na tyle zamożnym, by płacić za coś takiego jak małe klasy, trudno zrozumieć, że to, co mogą kupić dzięki swojemu bogactwu, nie zawsze wyjdzie im na dobre.

ROZDZIAŁ 3. CAROLINE SACKS

O impresjonistach piszę w oparciu o kilka książek, przede wszystkim o: J. Rewald, *The History of Impressionism*, New York 1973 (wyd. pol.: *Historia impresjonizmu*, przeł. J. Guze, Warszawa 1985); R. King, *The Judgment of Paris*, New York 2006, gdzie można znaleźć cudowny opis świata Salonu; S. Roe, *The Private Lives of the Impressionists*, New York 2006 (wyd. pol. *Prywatne życie impresjonistów*, przeł. A. Mokrzewski, Warszawa 2007); oraz H. White, C. White, *Canvases and Careers. Institutional Change in the French Painting World*, New York 1965, s. 150.

Pierwszym artykułem naukowym, w którym poruszono kwestię deprywacji relatywnej w odniesieniu do wyboru uczelni, był: J. Davis, *The Campus as*

Frog Pond. An Application of the Theory of Relative Deprivation to Career Decisions of College Men, „The American Journal of Sociology” 1966, nr 1(72). Davis wnioskuje:

> Na poziomie indywidualnym [moje badania] kwestionują koncepcję mówiącą, że dostanie się do „jak najlepszej” szkoły wyższej stanowi najefektywniejszą drogę prowadzącą do mobilności zawodowej. Doradcy i rodzice powinni wziąć pod uwagę nie tylko plusy, ale minusy posłania ucznia do „dobrego” college’u, jeśli w takim wypadku jest niemal pewne, że osiągnie tam jedne z najsłabszych wyników w swoim roczniku. Aforyzm: „Lepiej być dużą żabą w małym stawie niż małą żabą w dużym stawie” nie jest radą idealną, ale ma w sobie sporo racji.

Badanie Stouffera pojawia się w artykule: S. Stouffer, E.A. Suchman, L.C. DeVinney, S.A. Star, R.M. Williams Jr., *The American Soldier. Adjustment during Army Life*, *Studies in Social Psychology in World War II*, t. 1, Princeton 1949, s. 251.

Badania dotyczące tak zwanych szczęśliwych krajów: M. Daly, A. Oswald, D. Wilson, S. Wu, *Dark Contrasts. The Paradox of High Rates of Suicide in Happy Places*, „Journal of Economic Behavior and Organization” 2011, nr 80; oraz C. Graham, *Happiness Around the World. The Paradox of Happy Peasants and Miserable Millionaires*, Oxford, NY 2009.

H. Marsh uczy na Wydziale Edukacji Uniwersytetu Oksfordzkiego. Jego dorobek naukowy jest niezwykle bogaty. Tylko na temat zagadnienia wielkich ryb w małym stawie napisał całe mnóstwo artykułów. Na początek

warto zapoznać się z: H. Marsh, M. Seaton i in., *The Big-Fish-Little-Pond-Effect Stands Up to Critical Scrutiny. Implications for Theory, Methodology, and Future Research*, „Educational Psychology Review" 2008, nr 20, s. 319–350.

Statystki dotyczące programów STEM: R. Elliott, A.C. Strenta i in., *The Role of Ethnicity in Choosing and Leaving Science in Highly Selective Institutions*, „Research in Higher Education" 1996, nr 6(37); oraz M. Chang, O. Cerna i in., *The Contradictory Roles of Institutional Status in Retaining Underrepresented Minorities in Biomedical and Behavioral Science Majors*, „The Review of Higher Education" 2008 (lato), nr 4(31).

Analiza artykułów naukowych przeprowadzona przez J.P. Conleya i A. Sinę Öndera: *An Empirical Guide to Hiring Assistant Professors in Economics*, „Vanderbilt University Department of Economics Working Papers Series", 28 maja 2013.

Wzmianka o prowadzonej przez F. Glimpa polityce szczęśliwej dolnej ćwiartki pochodzi z fascynującej książki J. Karabela *The Chosen. The Hidden History of Admission and Exclusion at Harvard, Yale, and Princeton*, Boston 2006, s. 291. Karabel pisze:

> Czyż nie byłoby lepiej, sugerował [Glimp], gdyby najsłabsi studenci byli zadowoleni i dobrze się czuli na uczelni? Tak narodziła się słynna (niektórzy powiedzieliby: niesławna) zasada stosowana przy rekrutacji na Harvard, zwana polityką szczęśliwej dolnej ćwiartki […]. Celem Glimpa było znalezienie „właściwych kandydatów na studentów z dolnej ćwiartki – osób mających

wystarczające perspektywy, silne ego lub pozauczelniane zainteresowania, które pozwolą im zachować szacunek do samych siebie przy maksymalnym wykorzystaniu swoich możliwości na poziomie ocen trójkowych”.

Kwestii akcji afirmacyjnej warto przyjrzeć się bliżej. Spójrzmy na poniższą tabelę, zaczerpniętą z pracy R. Sandera i S. Taylora *Mismatch. How Affirmative Action Hurts Students It’s Intended to Help, and Why Universities Won’t Admit It*, New York 2012. Pokazuje pozycję Afroamerykanów w rankingu ocen na wydziale prawa w porównaniu z białymi studentami. Ranking obejmuje miejsca od 1 do 10, gdzie 1 oznacza dolną jedną dziesiątą rocznika, a 10 – pierwszą dziesiątkę.

Pozycja	Czarni	Biali	Pozostali
1.	51,6	5,6	14,8
2.	19,8	7,2	20,0
3.	11,1	9,2	13,4
4.	4,0	10,2	11,5
5.	5,6	10,6	8,9
6.	1,6	11,0	8,2
7.	1,6	11,5	6,2
Pozycja	Czarni	Biali	Pozostali
8.	2,4	11,2	6,9
9.	0,8	11,8	4,9
10.	1,6	11,7	5,2

Mamy w tej tabeli dużo liczb, ale najistotniejsze są dwa pierwsze wiersze, które pokazują podział najsłabszych 20 procent przeciętnego rocznika studentów prawa według rasy:

Pozycja	Czarni	Biali	Pozostali
1.	51,6	5,6	14,8
2.	19,8	7,2	20,0

A oto jak Sander i Taylor analizują koszty tej strategii. Wyobraźmy sobie dwóch czarnoskórych studentów prawa z identycznymi ocenami i identycznymi wynikami testów. Obaj zostają przyjęci na elitarny wydział prawa w ramach programu akcji afirmacyjnej. Jeden akceptuje propozycję, drugi ją odrzuca. Ten, który odmawia, w zamian decyduje się – z powodów logistycznych, finansowych lub rodzinnych – pójść na uczelnię będącą jego drugim wyborem, mniej prestiżową i stosującą mniej ostrą selekcję. Sander i Taylor przyjrzeli się dużej próbie takich par studentów i porównali ich sukcesy zawodowe, posługując się czterema kryteriami: odsetek studentów kończących prawo, zdających egzamin adwokacki za pierwszym razem, zdających egzamin adwokacki w ogóle oraz pracujących w zawodzie prawnika. Różnica okazuje się ogromna. Czarnoskórzy studenci, którzy nie idą do „najlepszej” szkoły, radzą sobie pod każdym względem lepiej niż ci, którzy się na to decydują.

Sukces zawodowy	Biali	Czarni	Czarni (akcja afirmacyjna)
Odsetek kończących studia prawnicze	91,8	93,2	86,2
Odsetek zdających egzamin adwokacki za pierwszym razem	91,3	88,5	70,5
Odsetek zdających egzamin adwokacki w ogóle	96,4	90,4	82,8
Odsetek pracujących w zawodzie prawnika	82,5	75,9	66,5

Sander i Taylor bardzo przekonująco dowodzą, że jeśli jesteś czarnoskóry i naprawdę chcesz zostać prawnikiem, powinieneś wziąć przykład z impresjonistów i trzymać się z daleka od wielkiego stawu. Nie

przyjmuj żadnych propozycji z uczelni, która chce wywindować cię oczko wyżej. Idź do szkoły, do której byś poszedł, gdyby tam cię nie przyjęto. Sander i Taylor piszą bez ogródek: „Na każdym wydziale prawa kiepsko jest znaleźć się w ogonie rocznika”.

Nawiasem mówiąc, ci czytelnicy, którzy znają moją książkę *Poza schematem*, gdzie także omawiam akcję afirmacyjną na studiach prawniczych, wiedzą, że dowodziłem tam czegoś zupełnie innego – mianowicie że na pewnym poziomie IQ przydatność inteligencji wyrównuje się i przestaje mieć znaczenie, a zatem rozróżnienia między studentami, dokonywane przez elitarne uczelnie, niekoniecznie są korzystne i pomocne. Innymi słowy, błędem jest zakładać, że student przyjęty na bardzo dobry wydział prawa z gorszymi referencjami będzie mniej kompetentnym prawnikiem niż ci przyjęci ze znakomitymi referencjami. Na poparcie tej tezy przedstawiłem dane z Wydziału Prawa Uniwersytetu Michigan, z których wynika, że czarnoskórzy absolwenci prawa na tej uczelni, przyjęci w ramach akcji afirmacyjnej, osiągają takie same sukcesy zawodowe jak biali absolwenci.

Czy nadal w to wierzę? I tak, i nie. Myślę, że ogólne spostrzeżenie dotyczące wyrównywania się korzyści z inteligencji na wysokim końcu spektrum nadal pozostaje w mocy. Jednak z perspektywy czasu sądzę, że konkretniejsza teza na temat studiów prawniczych, przedstawiona w *Poza schematem*, była naiwna. Nie znałem jeszcze wtedy teorii deprywacji względnej. Dziś jestem znacznie bardziej sceptyczny, jeśli chodzi o programy akcji afirmacyjnej.

ROZDZIAŁ 4. DAVID BOIES

Dobrym ogólnym wprowadzeniem do zagadnienia dysleksji jest książka M. Wolf, *Proust and the Squid. The Story and Science of the Reading Brain*, New York 2007.

E. i R. Bjorkowie napisali dużo błyskotliwych prac na temat pożądanej trudności. Dobre podsumowanie można znaleźć w: E. Bjork, R. Bjork, *Making Things Hard on Yourself, But in a Good Way. Creating Desirable Difficulties to Enhance Learning*, w: *Psychology and the Real World*, ed. M.A. Gernsbacher i in., New York 2011, rozdział 5.

Zagadki o kiju i piłce baseballowej oraz wihajstrach pochodzą z artykułu: S. Frederick, *Cognitive Reflection and Decision Making*, „Journal of Economic Perspectives" 2005 (jesień), nr 4(19). Wyniki eksperymentu A. Altera i D. Oppenheimera z CRT w Princeton opisano w: A. Alter i in., *Overcoming Intuition. Metacognitive Difficulty Activates Analytic Reasoning*, „Journal of Experimental Psychology. General" 2007, nr 136. Alter napisał właśnie nową znakomitą książkę o swoich badaniach zatytułowaną *Drunk Tank Pink*, New York 2013.

Badanie dysleksji wśród przedsiębiorców: J. Logan, *Dyslexic Entrepreneurs. The Incidence; Their Coping Strategies and Their Business Skills*, „Dyslexia" 2009, nr 4(15), s. 328–346.

Najlepsza historia sieci IKEA to: I. Kamprad, B. Torekull, *Leading by Design. The IKEA Story*, New York 1999. Trudno w to uwierzyć, ale nic w tych wywiadach B. Torekulla z I. Kampradem nie wskazuje na to, by Kamprad choć przez chwilę wahał się w kwestii robienia interesów

z komunistycznym krajem w apogeum zimnej wojny. Przeciwnie, wydaje się niemal zblazowany: „Najpierw zajęliśmy się wstępnym przemytem. Wwieźliśmy nielegalnie narzędzia, takie jak pilniki, części zamienne do maszyn, a nawet kalkę do starych maszyn do pisania”.

ROZDZIAŁ 5. EMIL „JAY” FREIREICH

Źródła traktujące o nalotach Londynu to między innymi: T. Harrisson, *Living Through the Blitz*, New York 1976. Cytaty z tej książki: słowa Winstona Churchilla o tym, że Londyn jest „najlepszym celem na świecie” – s. 22; „Leżałam na podłodze z poczuciem nieopisanego szczęścia i triumfu” – s. 81; „I co, miałoby mnie to wszystko ominąć?” – s. 128. Inne źródła na ten temat: E. Jones, R. Woolven i in., *Civilian Morale During the Second World War. Responses to AirRaids Re-Examined*, „Social History of Medicine” 2004, nr 3(17); oraz J.T. MacCurdy, *The Structure of Morale*, Cambridge 1943. Cytaty z książki MacCurdy’ego: „W październiku 1940 roku miałem okazję jechać samochodem przez południowowschodni Londyn” – s. 16; „Morale danej społeczności zależy od reakcji osób, które przeżyły” – s. 13–16; „Kiedy rozległa się pierwsza syrena” – s. 10.

Nieformalny przegląd słynnych poetów i pisarzy zaczerpnięto z: F. Brown, *Bereavement and Lack of a Parent in Childhood*, w: *Foundations of Child Psychiatry*, ed. E. Miller, Oxford, NY 1968. Cytat: „Nie jest to argument przemawiający za sieroctwem” – s. 444, tamże. Badanie J.M. Eisenstadta jest szczegółowo opisane w: *Parental Loss and Genius*, „American Psychologist” 1978, nr 3, s. 211. Ustalenia L. Iremonger dotyczące

dzieciństwa premierów Wielkiej Brytanii można znaleźć w: *The Fiery Chariot. A Study of British Prime Ministers and the Search for Love*, London 1970, s. 4. Iremonger popełniła błąd w obliczeniach, który poprawił historyk H. Berrington w „British Journal of Political Science" 1974 (lipiec), nr 4, s. 345. Literatura naukowa na temat związku między stratą rodzica a wybitnością jest obszerna, między innymi: S.M. Silverman, *Parental Loss and Scientists*, „Science Studies" 1974, nr 4; R.S. Albert, *Genius and Eminence*, Oxfrod, NY 1992; C. Martindale, *Father's Absence, Psychopathology, and Poetic Eminence*, „Psychological Reports" 1972, nr 31, s. 843; D.K. Simonton, *Genius and Giftedness. Parallels and Discrepancies*, w: *Talent Development. Proceedings from the 1993 Henry B. and Jocelyn Wallace National Research Symposium on Talent Development*, ed. N. Colangelo, S.G. Assouline, D.L. Ambroson, t. 2, Ohio, s. 39–82.

Dwa znakomite źródła dotyczące historii walki z białaczką dziecięcą to: J. Laszlo, *The Cure of Childhood Leukemia. Into the Age of Miracles*, New Brunswick 1996; oraz S. Mukherjee, *Cesarz wszech chorób. Biografia raka*, Wołowiec 2013 (wyd. ang.: *The Emperor of All Maladies*, New York 2011). Cytat: „W radzie zasiadał szanowany hematolog" pochodzi z książki Laszla – s. 183. Laszlo przeprowadził wywiady ze wszystkimi kluczowymi postaciami w tej dziedzinie z tamtego okresu, a każdy rozdział to oddzielna opowieść danej osoby.

Eksperymenty S. Rachmana dotyczące osób cierpiących na fobie zostały opisane w artykule *The Overprediction and Underprediction of Pain*, „Clinical Psychology Review" 1991, nr 11.

„Z rumowiska dobiegł ich głos” – cytat z D. McWhorter, *Carry Me Home. Birmingham, Alabama; The Climactic Battle of the Civil Rights Revolution*, New York 2002, s. 97; „Jasne, że wsiądziemy do tych autobusów, do cholery” – s. 98; „Dziewczyna patrzyła z niedowierzaniem” – s. 109; „Dziś po raz drugi w ciągu roku” – s. 110; „Butelki po coca-coli” – s. 215.

Wspomnienia E. Kogona to: *The Theory and Practice of Hell*, Berkeley 1975. Cytat: „im wrażliwsze czyjeś sumienie” – s. 278.

ROZDZIAŁ 6. WYATT WALKER

Historię słynnego zdjęcia Hudsona – i innych fotografii, które stały się symbolem ruchu na rzecz praw obywatelskich – genialnie opowiada M. Berger w *Seeing Through Race. A reinterpretation of civil rights photography*, Berkeley 2011. Na tej książce opiera się cały wywód na temat zdjęcia oraz jego wpływu na opinię publiczną. Szerszą, dającą wiele do myślenia tezą Bergera jest to, że przeciętni biali Amerykanie w latach sześćdziesiątych musieli widzieć czarnych aktywistów jako biernych i „świętych”, żeby zaakceptować ich sprawę. Potępienie Kinga i Walkera za wykorzystanie w protestach dzieci – s. 82–86. Wyjaśnienia Gadsdena dotyczące jego zachowania („Automatycznie poderwałem kolano”) – s. 37.

Najlepszą relacją o kampanii Kinga w Birmingham – na której w dużej mierze opiera się ten rozdział – jest książka D. McWhorter *Carry Me Home. Birmingham, Alabama; The Climactic Battle of the Civil Rights Revolution*, New York 2002. Jeśli uważacie historię Walkera za nadzwyczajną, powinniście sięgnąć po tę książkę. To jedna z najlepszych

prac historycznych, jakie czytałem. Cytaty: „W Birmingham uważano za fakt z zakresu kryminalistyki” – w przypisie na s. 340; „Jedną z uczestniczek spotkania była żona prezydenta” – s. 292; „Żyd to tylko czarnuch wywrócony na lewą stronę” – s. 292; „Czarnoskóry facet z Chicago budzi się rano” – s. 30; „Ze zdumieniem patrzyli, jak King” – s. 277; „bojownikiem z […] Doktora Seussa” – s. 359; „Musimy posługiwać się tym, co mamy” – s. 363; „Wiadomo było, że praca z psami” – s. 372; „Jasne, psy pogryzły parę osób” – s. 375. McWhorter znakomicie opisuje ostateczną rozgrywkę w parku imienia Kelly’ego Ingrama. Znacznie ten opis skróciłem.

O symbolicznych mowach pogrzebowych wygłaszanych przez Kinga pisze T. Branch w *Parting the Waters. America in the King Years 1954–63*, New York 1988, s. 692. Opis Wyatta Walkera – s. 285. „Protest musi się cały czas rozwijać” – s. 689. Słowa Kinga skierowane do rodziców aresztowanych dzieci – s. 762–764.

Cytat: „Kiedy ucałowałem żonę i dzieci na pożegnanie” pochodzi z wywiadu z W. Walkerem przeprowadzonego przez A. Manisa w Canaan Baptist Church of Christ w Nowym Jorku 20 kwietnia 1989 roku, s. 6. Zapis wywiadu znajduje się w Birmingham Public Library, Birmingham, Alabama. Z tego samego źródła pochodzą cytaty: „Ten człowiek musiał chyba upaść na głowę” – s. 14; oraz „Potrafią patrzeć tylko […] białymi oczami” – s. 22.

„Królik jest najsprytniejszym ze wszystkich zwierząt, które Pan Bóg stworzył” – cytat przytoczony w książce L. Levine’a *Black Culture and*

Black Consciousness. Afro--American Folk Thought from Slavery to Freedom, Oxford, NY 2007, s. 107. Z Levine'a pochodzą też cytaty: „Królik, tak jak niewolnicy, którzy snują o nim historie" – s. 112; „boleśnie realistyczne historie" – s. 115; „Z zapisków pozostawionych przez dziewiętnastowiecznych obserwatorów niewolnictwa" – s. 122. Bajka o Żółwiu i Jeleniu – s. 115.

„Nietrudno się ze mną dogadać, moje dhogie" – z wywiadu J. Brittona z W. Walkerem, stanowiącego część Civil Rights Documentation Project, z siedzibą w Moorland-Spingarn Research Center na Uniwersytecie Howarda. Zob. s. 35 zapisu. Z tego samego wywiadu pochodzą cytaty: „Jeśli wejdziesz mi w drogę, rozjadę cię" – s. 66; „gdybym miał przy sobie brzytwę" – s. 15; „Czasami naginałem swoją moralność" – s. 31; „Rany boskie, to były piękne czasy" – s. 63; „[…] żeby odsłonił karty" – s. 59; „Zadzwoniłem do doktora Kinga" – s. 61; „W Birmingham było gorąco" – s. 62.

R.P. Warren przeprowadził szereg wywiadów z działaczami na rzecz praw obywatelskich i przywódcami ruchu podczas zbierania materiałów do książki *Who Speaks for the Negro?*. Wywiady te, pod nazwą Robert Penn Warren Civil Rights Oral History Project, znajdują się w zbiorach Louie B. Nunn Center for Oral History na Uniwersytecie Kentucky. Cytat o „czystej radości" pochodzi z taśmy nr 1 wywiadu Warrena z W. Walkerem z 18 marca 1964 roku.

Teza, że ruch na rzecz praw obywatelskich czerpał z tradycji opowieści o tricksterach, pojawiała się już wcześniej. Na przykład: D. McKinney, *Brer*

Rabbit and Brother Martin Luther King, Jr. The Folktale Background of the Birmingham Protest, „The Journal of Religious Thought” 1989–1990, nr 2(46), s. 42–52. McKinney pisze (s. 50):

> Tak jak Brat Królik dzięki swojemu sprytowi skłonił podstępem Brata Tygrysa, by ten zrobił dokładnie to, czego chciały małe zwierzęta (tj. błagał, żeby go związać), tak techniki pokojowych protestów wymyślone przez Kinga i jego kadrę sprytnych doradców przyniosły podobny skutek: Bull Connor zrobił to, czego chcieli. Mianowicie aresztował tak wielu czarnoskórych demonstrantów, że nie tylko przyciągnęło to uwagę całego kraju, ale także sparaliżowało miasto Birmingham.

Zob. także: T. Harris, *Martin Luther King, Jr., Heroism and African American Literature*, Tuscaloosa (w przygotowaniu).

Rozmowa Pritchetta z Kingiem o rocznicy ślubu tego pierwszego jest przytoczona w: H. Raines, *My Soul Is Rested. The Story of the Civil Rights Movement in the Deep South*, New York 1983, s. 363–365.

Wyjaśnienie Walkera, dlaczego ruch potrzebował oporu ze strony Bulla Connora: M.C. Nichols, *Cities Are What Men Make Them. Birmingham, Alabama, Faces the Civil Rights Movement 1963*, praca magisterska, Uniwersytet Browna 1974, s. 286.

Reakcja Walkera na użycie psów („Ruszyło się, ruszyło się”): J. Forman, *The Making of Black Revolutionaries. A Personal Account*, New York 1972.

Reprymenda udzielona przez Kinga fotografowi z „Life” („Świat nie wie, że to się stało”): G. Roberts, H. Klibanoff, *The Race Beat. The Press, the Civil Rights Struggle, and the Awakening of a Nation*, New York 2006.

ROZDZIAŁ 7. ROSEMARY LAWLOR

„Na litość boską, dajcie mi dużą szkocką”: P. Taylor, *Brits*, London 2002, s. 48.

Raport N. Leitesa i Ch. Wolfa juniora o tłumieniu rebelii to: *Rebellion and Authority. An Analytic Essay on Insurgent Conflicts*, Chicago 1970. Cytat: „Nasza analiza opiera się na fundamentalnym” – s. 30.

Opis I. Freelanda: J. Callaghan, *A House Divided. The dilemma of Northern Ireland*, London 1973, s. 50. Porównanie Freelanda do brytyjskiego kolonisty na polowaniu na tygrysy: P. Taylor, *Provos. The IRA and Sinn Fein*, London 1998, s. 83.

Słowa S. MacStiofáina o rewolucjach wywoływanych głupotą i brutalnością rządów: R. English, *Armed Struggle. The history of the IRA*, Oxford, NY 2003, s. 134.

Zasadę legitymizacji formułowali różni uczeni, ale trzech zasługuje na szczególną uwagę: T. Tyler, autor *Why People Obey the Law*, Princeton 2006; D. Kennedy, autor *Deterrence and Crime Prevention*, London, NY 2008; oraz L. Sherman, redaktor *Evidence-Based Crime Prevention*,

London, NY 2006. A oto jeszcze jeden przykład tej zasady. Poniżej przedstawiono listę krajów rozwiniętych, uszeregowanych według tego, jaki procent ich gospodarki stanowiła w 2010 roku szara strefa – czyli jak dużo obywatele celowo ukrywają przed fiskusem, aby uniknąć podatków. To jeden z najlepszych sposobów na porównanie uczciwości podatników w różnych krajach.

USA	7,8	Finlandia	14,3
Szwajcaria	8,34	Dania	14,4
Austria	8,67	Niemcy	14,7
Japonia	9,7	Norwegia	15,4
Nowa Zelandia	9,9	Szwecja	15,6
Holandia	10,3	Belgia	17,9
Wielka Brytania	11,1	Portugalia	19,7
Australia	11,1	Hiszpania	19,8
Francja	11,7	Włochy	22,2
Kanada	12,7	Grecja	25,2
Irlandia	13,2		

Lista pochodzi z nieopublikowanej pracy F. Schneidera *The Influence of the Economic Crisis on the Underground Economy in Germany and Other OECD Countries in 2010* ze stycznia 2010. Zestawienie nie jest szczególnie zaskakujące. Amerykańscy, szwajcarscy i japońscy podatnicy są dość uczciwi. Podobnie jak większość zachodnioeuropejskich demokracji. Grecja, Hiszpania i Włochy – już nie. W Grecji uchylanie się od płacenia podatków osiągnęło wręcz taki poziom, że deficyt kraju – tak wysoki, że Grecja od lat stoi na progu bankructwa – właściwie by zniknął, gdyby greccy obywatele przestrzegali prawa i płacili to, co się państwu należy.

Dlaczego w zakresie podatków Ameryka jest znacznie bardziej praworządnym krajem niż Grecja?

Leites i Wolf stwierdziliby zapewne, że koszty unikania podatków w Stanach Zjednoczonych są znacznie większe niż korzyści: jeśli Amerykanie będą na podatkach oszukiwać, istnieje spore prawdopodobieństwo, że zostaną złapani i ukarani. Jest to jednak zupełnie niezgodne z prawdą. W Stanach Zjednoczonych audytom poddaje się nieco ponad 1 procent zeznań podatkowych rocznie. To bardzo niewiele. A jeśli obywatel zostanie przyłapany na zaniżeniu zgłoszonego dochodu, najczęstszą karą jest po prostu zapłacenie należnych podatków plus stosunkowo skromnej grzywny. Kara więzienia zdarza się rzadko. Gdyby amerykańscy podatnicy zachowywali się racjonalnie – zgodnie z definicją tego słowa według Leitesa i Wolfa – uchylanie się od podatków byłoby w Ameryce powszechne. Ekonomista James Alm pisze:

> W krajach z jednoprocentowym odsetkiem audytów powinniśmy teoretycznie obserwować poziom oszustw podatkowych sięgający co najmniej 90 procent obywateli. Deklarując jednego dodatkowego dolara dochodu, zapłacisz 30–40 centów podatku. Jeśli nie zadeklarujesz tego dolara, zatrzymujesz wszystko. Istnieje ryzyko, że cię przyłapią. Ale wynosi tylko 0,01 lub nawet mniej. A jeśli zatajenie dochodu zostanie wykryte, urząd skarbowy musi ustalić, czy było zamierzone. Jeśli nie, płacisz należny podatek plus około 10 procent. Jeśli audyt wykaże, że było to oszustwo podatkowe, płacisz podatek plus około 75 procent. Zatem spodziewany koszt zostania przyłapanym nie jest aż tak wysoki. Rachunek wskazuje, że szala jest bardzo mocno przechylona na korzyść oszustwa.

Dlaczego więc Amerykanie nie oszukują? Ponieważ uważają, że ich system ma legitymizację. Ludzie akceptują władzę, kiedy widzą, że traktuje wszystkich równo, kiedy można zabrać głos i zostać wysłuchanym i kiedy istnieją reguły gwarantujące, że jutro nie będziemy traktowani zupełnie inaczej niż dziś. Legitymizacja opiera się na sprawiedliwości, prawie do zabrania głosu i przewidywalności, a rząd Stanów Zjednoczonych, mimo że Amerykanie lubią na niego narzekać, całkiem dobrze radzi sobie ze spełnianiem wszystkich tych trzech standardów.

W Grecji szara strefa jest procentowo trzy razy większa niż w Stanach Zjednoczonych. Ale to nie dlatego, że Grecy są z natury mniej uczciwi od Amerykanów. Powód jest inny: grecki system nie ma takiej legitymizacji jak amerykański. Grecja to jeden z najbardziej skorumpowanych krajów w Europie. Ma nieprzejrzyste i pogmatwane prawo podatkowe. Ludzie zamożni mogą liczyć na specjalne traktowanie. Gdyby Amerykanie żyli w kraju, w którym system podatkowy jest w tak oczywisty sposób pozbawiony legitymacji – gdzie nic nie wydaje się sprawiedliwe, nasze głosy nie są wysłuchiwane i reguły zmieniają się z dnia na dzień – też byśmy nie płacili podatków.

Opis parad w Irlandii zaczerpnięto z: D. Bryan, *Orange Parades. The Politics of Ritual, Tradition and Control*, London 2000.

Relacja D. Hamilla o Armii Brytyjskiej w Irlandii Północnej to: *Pig in the Middle. The Army in Northern Ireland 1969–1984*, London 1985. Przyśpiewka zaczynająca się od słów „15 sierpnia” – s. 18. „IRA w odwecie oświadczyła” – s. 32.

Statystyki dotyczące ofiar śmiertelnych i przemocy w Irlandii Północnej w 1969 roku: J. Soule, *Problems in Applying Counterterrorism to Prevent Terrorism. Two Decades of Violence in Northern Ireland Reconsidered*, „Terrorism" 1989, nr 12, s. 33.

O wkroczeniu generała Freelanda do Lower Falls opowiada S. MacStiofáin w: S. Óg Ó Fearghaíl, *Law (?) and Orders. The Story of the Belfast Curfew*, Central Citizens' Defense Committee, Belfast 1970. Szczegóły dotyczące śmierci Patricka Ellimana – s. 14. Dobrym źródłem informacji o godzinie policyjnej w Lower Falls jest książka Taylora *Provos*. Relacja brytyjskiego żołnierza („Ze środka wyszedł facet w piżamie"): N. Curtis, *Faith and Duty. The True Story of a Soldier's War in Northern Ireland*, London 1998.

ROZDZIAŁ 8. WILMA DERKSEN

Historia wprowadzenia prawa trzech przestępstw opiera się na kilku źródłach, przede wszystkim: M. Reynolds, B. Jones, D. Evans, *Three Strikes and You're Out! The Chronicle of America's Toughest Anti-Crime Law*, Fresno 1996; J. Domanick, *Cruel Justice. Three Strikes and the Politics of Crime in America's Golden State*, Berkeley 2004; F. Zimring, G. Hawkins, S. Kamin, *Punishment and Democracy. Three Strikes and You're out in California*, Oxford 2001; oraz G. Skelton, *A Father's Crusade Born from Pain*, „Los Angeles Times", 9 grudnia 1993.

Wywiady R. Wrighta i S. Deckera ze skazanymi za napad z bronią w ręku pochodzą z *Armed Robbers in Action. Stick-ups and street culture*, Boston 1997. Przytoczone wypowiedzi – s. 120. Książka Wrighta i Deckera jest

fascynująca. Zacytujmy jeszcze fragment dotyczący psychologii przestępczości:

> Niektórzy ze sprawców napadów z bronią w ręku starali się nie myśleć o możliwości wpadki także dlatego, że takie myśli wywoływały nieprzyjemnie wysoki poziom psychicznych katuszy. Wierzyli, że najlepszy sposób, by tego uniknąć, to zapomnieć o ryzyku i zostawić sprawy swojemu losowi. Jeden z nich ujął to następująco: „Nie mam jazdy, że mnie złapią, bo tylko bym się martwił jak głupi". Biorąc pod uwagę, że prawie wszyscy z tych sprawców nie tylko czuli presję szybkiego zdobycia pieniędzy, ale także nie widzieli możliwości uzyskania ich w sposób legalny, jest to całkiem logiczne. Jeśli nie istnieje żadna realna alternatywa dla przestępstwa, nie ma sensu zastanawiać się nad potencjalnie negatywnymi konsekwencjami jego popełnienia. Nie powinno nas zatem dziwić, że sprawcy na ogół woleli ignorować ryzyko i skoncentrować się na spodziewanej nagrodzie: „O [groźbie zatrzymania] myślę tak: wolę ryzykować, że mnie złapią i zamkną, niż chodzić spłukany i nawet nie spróbować skołować jakiejś kasy".

D. Kennedy pisze o motywacjach przestępców w swojej książce: *Deterrence and Crime Prevention*, London, NY 2008. Analiza badań dotyczących kary, przeprowadzona przez A. Dooba i C. Webster, to: *Sentence Severity and Crime. Accepting the Null Hypothesis*, „Crime and Justice" 2003, nr 30, s. 14.

Wykresy przedstawiające zależność między wiekiem a przestepczością pochodzą z: A. Blumstein, *Prisons. A Policy challenge*, w: *Crime. Public*

Policies for Crime Control, ed. J.Q. Wilson, J. Petersilia, Richmond 2002, s. 451–482.

Książka T. Cleara o wpływie masowych uwięzień na ubogie tereny: *Imprisoning Communities. How Mass Incarceration Makes Disadvantaged Neighborhoods Worse*, Oxford, NY 2007. Artykuł Cleara, który trudno było mu opublikować – *Backfire. When Incarceration Increases Crime* – można znaleźć w „Journal of the Oklahoma Criminal Justice Research Consortium" 1996, nr 3, s. 1–10.

Jeśli chodzi o badania wpływu prawa trzech przestępstw na poziom przestępczości w Kalifornii, uzbierałaby się cała biblioteka. Najlepszą książką naukową na ten temat jest wspomniana wyżej praca Zimringa *Punishment and Democracy*. Poniżej natomiast – próbka jednego z ostatnich badań tego prawa, E. Chen, *Impacts of 'Three Strikes and You're Out' on Crime Trends in California and Throughout the United States*, „Journal of Contemporary Criminal Justice" 2008, nr 24, s. 345–370:

> Wpływ prawa trzech przestępstw na przestępczość w Kalifornii i całych Stanach Zjednoczonych jest badany za pomocą przekrojowej analizy szeregów czasowych danych z poszczególnych stanów z lat 1986–2005. Model ten pozwala zmierzyć zarówno efekt odstraszający, jak i unieszkodliwiający, z uwzględnieniem wcześniej istniejących trendów w poziomie przestępczości oraz czynników ekonomicznych, demograficznych i politycznych. Mimo ograniczonego zastosowania poza Kalifornią obecność prawa trzech przestępstw wydaje się mieć związek z nieznacznie, lecz ewidentnie szybszym tempem spadku liczby

> napadów rabunkowych, włamań, kradzieży i kradzieży pojazdów mechanicznych w całym kraju. Prawo trzech przestępstw wiąże się także z wolniejszym spadkiem liczby morderstw. Chociaż w prawie Kalifornii zasada trzech przestępstw znajduje najczęstsze i najszersze zastosowanie, nie przyniosła większych efektów unieszkodliwiających niż znacznie bardziej ograniczone prawa w innych stanach. Z analiz wynika, że polityka najsurowszych wyroków niekoniecznie stanowi najskuteczniejszą opcję.

Sprawę Candace Derksen relacjonują dwie znakomite książki: W. Derksen, *Have You Seen Candace?*, Wheaton 1992; oraz M. McIntyre, *Journey for Justice. How Project Angel Cracked the Candace Derksen Case*, Winnipeg 2011. Historia o amiskiej matce, której syn został potrącony przez samochód, pochodzi z: D.B. Kraybill, S. Nolt, D. Weaver--Zercher, *Amish Grace. How Forgiveness Transcended Tragedy*, San Francisco 2010, s. 71.

Użycie przez Brytyjczyków siły i autorytetu władzy podczas konfliktu w Irlandii Północnej – zob. P. Dixon, *Hearts and Minds. British Counter-Insurgency Strategy in Northern Ireland*, „Journal of Strategic Studies” 2009, nr 3(32), s. 445–475. Dixon pisze (s. 456):

> Paddy Hillyard szacuje, że w latach 1972–1977 jeden na czterech mężczyzn katolików w wieku od 16 do 44 lat był przynajmniej raz aresztowany. Każde katolickie gospodarstwo domowe w Irlandii Północnej zostało przeszukane średnio dwa razy, ponieważ jednak wiele domów nie było podejrzanych, niektóre domy w pewnych dzielnicach musiały być przeszukane „co najmniej dziesięć razy”. Według jednej z relacji mieszkańców pewnych domów

w wybranych okolicach Armia rutynowo kontrolowała cztery razy w miesiącu. „Szacuje się, że do połowy 1974 roku Armia zebrała informacje o 34–40 procentach dorosłej i młodocianej populacji Irlandii Północnej”. Od 1 kwietnia 1973 do 1 kwietnia 1974 zatrzymano i przeszukano 4 miliony pojazdów.

Artykuł J. Soule’a napisany w trakcie trwania konfliktu to: *Problems in Applying Counterterrorism to Prevent Terrorism. Two Decades of Violence in Northern Ireland Reconsidered*, „Terrorism” 1989, nr 12/1.

O tym, że Reynolds zabiera swoich gości do Daily Planet, przeczytałem w: *Cruel Justice* J. Domanicka, dz. cyt., s. 167.

ROZDZIAŁ 9. ANDRÉ TROCMÉ

Znakomity zarys historii i kultury miasteczka Le Chambon-sur-Lignon: C.E. van der Zanden, *The Plateau of Hospitality. Jewish refugee life on the Plateau Vivarais-Lignon* (nieopublikowana praca naukowa, Worcester, MA 2003). Książki o państwu Trocmé: K. Oxenford Suckau, *Christian Witness on the Plateau Vivarais-Lignon. Narrative, Non-violence and the Formation of Character* (nieopublikowana rozprawa doktorska, Boston 2011); P. Hallie, *Lest Innocent Blood Be Shed. The Story of the Sillage of le Chambon and How Goodness Happened There*, New York 1994; oraz *The Courage to Care. Rescuers of Jews during the Holocaust*, ed. C. Rittner, S. Myers, New York 2012.

Cytat: „Naszym obowiązkiem jest miłość, przebaczenie i czynienie dobra wobec naszych wrogów” pochodzi z pracy *Christian Witness*, dz. cyt., s. 6.

Z *Lest Innocent Blood Be Shed*, dz. cyt.: „Dzwon nie należy do marszałka” – s. 96; „Lamirand dotarł w góry ze swoją świtą” – s. 99; „poczucie obowiązku emanowało z niego wszystkimi porami” – s. 146; „Niech przeklęty będzie ten, kto zaczyna w łagodności” – s. 266; „Co to ma znaczyć?” – s. 39; „Nie było to rozsądne” – s. 233; „Miał dowód na nazwisko Béguet” – s. 226; „Kiedy Trocmé miał dziesięć lat” – s. 51; „Jean-Pierre! Jean-Pierre!” – s. 257.

Z *The Courage to Care*, dz. cyt.: „A ja zaprosiłam ją do środka” – s. 101; „Ludzie z naszej wioski wiedzieli już” – s. 101.

Pytanie A. Trocmégo: „Jak naziści mogliby kiedykolwiek wyczerpać siłę takich ludzi?” przytoczono w: G. Keizer, *Help. The Original Human Dilemma*, San Francisco 2005, s. 151.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Wstęp

- Goliat

Część pierwsza. Przewagi słabości (i słabości przewag)

- Rozdział 1. Vivek Ranadivé
- Rozdział 2. Teresa DeBrito
- Rozdział 3. Caroline Sacks

Część druga. Teoria pożądanej trudności

- Rozdział 4. David Boies
- Rozdział 5. Emil „Jay” Freireich
- Rozdział 6. Wyatt Walker

Część trzecia. Granice władzy, granice siły

- Rozdział 7. Rosemary Lawlor
- Rozdział 8. Wilma Derksen
- Rozdział 9. André Trocmé
- Podziękowania
- Przypisy

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału
David and Goliath. Underdogs, misfits, and the art of battling giants

Copyright © 2003 by Malcolm Gladwell
All rights reserved.

Copyright © for the translation by Agnieszka Sobolewska

Projekt okładki
Katarzyna Bućko

Fotografia na okładce
© t_kimura / iStock

Opieka redakcyjna
Artur Wiśniewski

Adiustacja
Pracownia 12A

Korekta
Małgorzata Kłosowicz

Projekt typograficzny serii
Anna Niklewicz

ISBN 978-83-240-7218-7

znak litera nova

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com
plik przygotowała Katarzyna Rek